

EVAN
CURRIE

Atlantis
Rising
tom 3

Świt Atlantydoy

EVAN CURRIE

Atlantis Rising tom 3

Przekład
Mateusz Pazdur

Świt Atlantydou

 **DRAGEUS**
PUBLISHING HOUSE

Warszawa 2023

Tytuł oryginału: *Risen. Atlantis Rising Trilogy Book Three*

Text copyright © 2021 Evan Currie
All rights reserved

Projekt okładki: Tomasz Maroński
Redakcja: Rafał Dębski
Korekta: Agnieszka Pawlikowska
Skład i łamanie: Karolina Kaiser
Opracowanie wersji elektronicznej: **mobi**sfera

Książka ani żadna jej część nie może być kopiowana w urządzeniach przetwarzania danych ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Utwór niniejszy jest dziełem fikcyjnym i stanowi produkt wyobraźni Autora. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci i zdarzeń jest przypadkowe.

Wydawca:
Drageus Publishing House Sp. z o.o.
ul. Kopernika 5/L6
00-367 Warszawa
e-mail: drageus@drageus.com
www.drageus.com

ISBN EPUB: 978-83-67053-68-6
ISBN MOBI: 978-83-67053-69-3

PROLOG

ATLANTYDA

Elanthielle spoglądała na spokojne morze o zachodzie słońca. Rozmyślała o tym, jak zaskakujące potrafią być zmiany w życiu. Gdy dorastała na pustyni, nie mając nikogo prócz matki, w ogóle nie myślała o przyszłości.

W przeciwieństwie do wielu ludzi, których od tamtej pory poznała, Elan nigdy nie uskarżała się na głód, jednak każdy dzień wypełniony był pracą konieczną do zapewnienia innym wyżywienia, picia i schronienia na kolejne dni. Elan doszła do wniosku, że przyszłość jest dla ludzi, którzy mają zbyt wiele wolnego czasu.

Większość mogła liczyć jedynie na to, że teraźniejszość jakoś się ułoży.

Teraz jednak spoglądała poprzez teraźniejszość ku przyszłości. Było to niemal magiczne doświadczenie. Troska i nadzieja związane z tym, co może nadejść... Dziewczyna nie potrafiła się tego pozbyć, mimo iż doprowadzało ją to do szału.

„Minął już cały cykl pór roku...”

Oczywiście demony nie zniknęły, jednak nikt na Atlantydzie nie widział ich, odkąd Elan zatopiła Lemurię, wielkie miasto, które wpadło w szpony potworów.

Dziewczyna starała się nie myśleć, ilu zginęło wówczas zniewolonych ludzi, a także... nieludzi, którzy nie byli tak wrogo nastawieni, jak wcześniej sądziła. Zdała sobie sprawę, że świat nabrał choć trochę lepszych barw, gdy poznała braci, Brokkra i Sindriego.

Przez ten czas Atlantyda prężnie się rozwijała. Zasoby udostępnione przez Merlina wykorzystywano jak najlepiej się dało, budując domy, tworząc narzędzia dla myśliwych i rybaków, edukując rolników.

Na pustyni trwała teraz bezlitosna pora sucha. Z kolei na północy ludziom groziłaby zapewne śmierć z zimna lub głodu. Natomiast

Atlantyda leżała w ciepłym klimacie, żywności było pod dostatkiem i choć burze bywały dość gwałtowne, dało się je przetrwać.

Mała zbiorowość rozrastała się. Merlin często meldował Elan o stanie populacji, choć dla dziewczyny liczby miały niewielkie znaczenie. Zauważyła, że choćby nie wiadomo jak się starała, pewne liczby były po prostu za duże, by mogła je objąć rozumem.

Wystarczyła jej wiedza o rozwoju. Regularnie potrzebowali nowych siedzib, a na osobliwym archipelagu należało uprawiać rolę i łowić ryby.

Takie życie powinno wszystkim wystarczyć.

Elan ponownie zwróciła myśli ku przyszłości, to znaczy czemuś, co istniało tylko w jej umyśle, a mimo to nie przestawało zaprzętać jej głowy.

Gdy jej rodzice zostali zamordowani, i to przez człowieka na usługach demonów, Elan poprzysięgła zemstę. Oczywiście zamierzała ją wyrzucić na zdrajcy, ale także na demonach, które pozyskały go jako sojusznika i kierowały jego potwornymi poczynaniami.

„Czy zatopienie całego miasta wyrównało nasze rachunki?” – zastanawiała się ponuro. „Czy wciąż jestem im winna zemstę? A może teraz przyszła kolej na ich ruch?”

Nie potrafiła odpowiedzieć na to pytanie po upływie zaledwie jednego pełnego cyklu pór roku. A mimo to nie była w stanie o nim zapomnieć.

Podniosła się i stanęła na spokojnie kołyszącej się platformie, którą wypłynęła Kanałami Atlantydy na otwarte morze. Miała teraz dość czasu na rozmyślanie, jednak wydawały się one przynosić tylko coraz więcej zwątpienia w sens jej działań.

Zatęskniła za aktywnością. Za nieustającym zagrożeniem ze strony demonów. Za prostotą sytuacji, gdy miała przed sobą wroga, w dłoni trzymała kij i mogła liczyć na sprzymierzeńców. Gdy umysł wyparł cały związany z tym lęk, pozostawała jedynie ekscytacja.

Elanthielle nie wiedziała, czy wszyscy zaczęli postrzegać przeszłość tak samo, w miarę jak uwalniali się od dawnych udręk... Jeśli tak, obawiała się o los rodzaju ludzkiego. Znaczyłoby to, że sama uwielbia walkę do tego stopnia, by pozostać ślepa na prawdziwą grozę.

„Mam nadzieję, że to tylko mój wymysł”.

CYTATELA DEMONÓW

– Pani...

Demon pokłonił się, gdy wysoka, kształtna postać, zasiadająca na połyskującym, czarnym tronie, zaszczyliła sługę zde gustowanym spojrzeniem. Zdeformowany demon w porównaniu z alabastrową perfekcją swojej pani wyglądał jeszcze gorzej niż zwykle.

– Możesz mówić – oznajmiła demonessa władczym tonem, zachęcając sługę gestem i starając się nie okazywać obrzydzenia.

Najsłabsze spośród demonów bywały nawet urodziwe, gdyż nie uległy jeszcze całkowitej Przemianie. Nadal egzystowały w formie zaplanowanej przez Stwórcę, dlatego ich piękno pozostawało nienaruszone. Potwory średniego poziomu, jakkolwiek potężniejsze, miały jedną wspólną cechę. Prezentowały się odrażająco.

Przemiana skaziła ich umysły w równym stopniu jak ciała. Zamyśl Stwórcy był odzwierciedlony w postaci jego stworzenia, więc wypaczenie jednego koniec końców musiało odbić się na drugim.

Pani Cytadeli wiedziała, że jeśli te demony przeżyją, z czasem będą mieć szansę osiągnąć taką potęgę i doskonałość, by mierzyć się nawet z wybrańcami samego Stwórcy... Tak jak ona, gdy jej ciało zakończyło Przemianę i gdy zyskała siłę potrzebną, by doprowadzić się do ładu.

W przeciwieństwie do demonów Pierwszego Kręgu, które zrodziły się na obraz myśli Stwórcy i odwróciły się od niego bez Przemiany, ich mniej doskonali pobratymcy musieli przejść piekło, zanim mogli wstąpić na wyższy poziom.

Kimś takim był sługa stojący przed swoją panią. Dotarł do połowy Przemiany. Minie co najmniej kilka wieków, zanim zyska choć cień szansy na odwrócenie efektów transformacji i dalszy rozwój. Jeżeli do tego czasu zachowa siłę ducha, a jego ciało przetrwa, być może okaże się wart poświęconego mu wysiłku.

Tymczasem... Cóż, nawet najbardziej szkaradne bestie mogły okazać się użytecznymi narzędziami.

– Pani, zakończono przygotowania do wznowienia przerwane go rytuału. Możemy przejść do ostatecznego przyzwania na twój rozkaz.

Kobieta-demon westchnęła i przygryzła wargę, drżąc lekko z podniecenia na samą myśl.

Ostateczny konflikt będzie oznaczać koniec świata, a dla niej stanie się znakiem, że wypełniła swoje zadanie. Nareszcie!

Przez pewien czas bawiła się całkiem dobrze. Początkowe wojny obrosły legendami i były pełne bitew o epickim rozmachu. Ludzie spalili niezliczone demony w obronie własnego świata. Wyrznęli ich biliony... Jednak w pogotowiu czekało bilion razy więcej posiłków, więc ludzkość musiała ponieść druzgocącą klęskę.

Po wygranej wojnie rutyna związana z zarządzaniem światem, który dopiero zaczynał się zmieniać, szybko dała się demonessie we znaki. Ile to już lat? Sto? Dwieście? Może pięćset albo i więcej? Straciła rachubę. Zresztą nie miało to znaczenia.

Dla istoty w takim wieku wszystkie lata zlewały się w jedno. Liczyły się tylko te dobre, pełne emocji i satysfakcji... A potem cała reszta. Ta „reszta” ciągnęła się w nieskończoność, miło było więc wiedzieć, że zbliża się upragniony koniec.

„Oczywiście już dawno powinniśmy z tym skończyć”.

Na jej twarzy wykwitł ponury grymas. Widząc to, demon średniego poziomu cofnął się lękliwie, jednak jego pani nie zwróciła na to uwagi.

Utrata zdobyczy wojennej, jaką była Lemuria, stanowiła skazę na prawie doskonałej kampanii. Każdy podległy jej obserwator zaręczał, że zajęte Miasto pozostanie użyteczne jeszcze przez kilka stuleci, nawet bez należytej dbałości o jego stan.

Na tym polegał prawdziwy problem. Sama utrata Miasta była zniewagą dla Pani Cytadeli i jej dowództwa, jednak bardziej niepokojący był fakt, iż do tej straty w ogóle nie powinno dojść.

Pojawił się ktoś nieprzewidziany, a jego działania miały bezpośredni wpływ na bardzo skonkretyzowaną wizję obserwatorów.

Rzecz jasna, oznaczało to, że zwycięstwo pozostaje realną perspektywą.

Kobieta-demon uśmiechnęła się lekko, oblizując wargi i czując, jak przez jej ciało przebiega dawno zapomniany dreszczyk emocji.

– Znakomicie. – Odetchnęła, uniosła się z czarnego tronu i zeszła z podium, gdy sługus jednocześnie starał się zachować dystans i okazać szacunek.

Zignorowała go. Demon był postawiony tak nisko, że nie zasługiwał nawet na to, by go odepchnąć czy podeptać. Mimo to władczyni wbiła stopę w jedną z jego kończyn... Prawdę mówiąc, nie wiedziała, czy to ręka, czy noga. Zmiażdżyła ją, a demon jęknął z bólu, choć robił, co mógł, by trwać w milczeniu.

Za Panią Cytadeli ruszyli służący, chcąc przekazać jej płaszcz, osobistą broń i sprzęt. Władczyni wyszła z sali tronowej na spory podest, z którego rozciągał się widok na ziemię wokół twierdzy.

W większości były to jałowe pustynie, choć na zachodzie dało się dostrzec biało-zielone góry, natomiast na wschodzie i południu połyskiwał błękit morza.

Cytadelę postawiono na jednej z trzech wielkich studni mocy tego świata.

Na pierwszej znajdowała się Lemuria. Druga leżała pośrodku płytkiego morza, o jedną trzecią drogi wokół globu, zarówno od Lemurii, jak i od Cytadeli. Przejęcie dwóch ośrodków zadecydowało o ostatecznym zwycięstwie nad siłami ludzi. Trzeci z nich uważano za raczej niezdatny do użytku, ponieważ nie dało się w żaden sposób czerpać stamtąd mocy.

Mając dwa pozostałe, władczyni dysponowała wystarczającą siłą, by zmiażdżyć ludzki opór w jednej bitwie, która rozciągnęła się na aż czterdzieści lat nieustających walk.

Teraz została jej tylko jedna studnia.

Nie było to poważne utrudnienie. Nieprzyjaciel i tak został rozgromiony. Nieliczni nędzni głupcy, którzy wciąż walczyli, nie mieli na podorędziu strategicznych zasobów. Brakowało im magii, mocnych pancerzy i okrętów. Czy choćby wystarczającej siły w ludziach.

„I tak się właśnie kończy świat”. Demonessa rozkoszowała się tą myślą z uśmiechem. „Nie hukiem, ale skomleniem[1]. Jakże odpowiednio dla tak nędznych stworzeń”.

Wszyscy ludzie, którzy mogli się na coś przydać, już dawno rozpoczęli Przemianę.

Reszta? To tylko szumowiny.

Ich los nie obchodził nikogo, nawet ich samych. A już na pewno nie Panią Cytadeli.

AVALON

Był znany jako Merlin określano różnymi mianami na przestrzeni jego egzystencji, okresu, którego nie dało się wyjaśnić zwykłym bytom linearnym. Sam zainteresowany uważał, że najdokładniejszym określeniem jest „międzywymiarowa inteligencja”. Istota, której całe jestestwo zakotwiczone nie w ciele, lecz w fundamentalnej sile.

Właśnie to dawało mu elastyczność i moc, które zachował wiele wieków po swoim powstaniu i po domniemanej śmierci tych, którzy stworzyli go, czy też dali mu życie.

Domniemanej, ponieważ sam Merlin nie wiedział, kto tego dokonał.

Nie chodziło o to, że utracił jakieś dane. Nigdy nie znał tej informacji. Ludzie, z którymi współpracował, nigdy mu o tym nie mówili... O ile sami mieli na ten temat jakąkolwiek wiedzę, w co Merlin szczerze wątpił.

Zagadka jego stworzenia irytowała go najbardziej spośród nielicznych rzeczy umykających jego przenikliwemu spojrzeniu. Poza tym jednak widział naprawdę wiele. Szkoda tylko, że spora część tego, co widział, prezentowała się tak... ponuro.

Rok wcześniej świat dostąpił chwili wytchnienia. Wydarzenia, których sam Merlin nie przewidział, choć przecież tak dobrze rozumiał ludzkość, pozwoliły odroczyć wyrok śmierci na planetę i jej prawowitych właścicieli.

Czas odroczenia dobiegł jednak końca.

Merlin odczuwał zmianę w studniach mocy. Wszystkich, choć głównym źródłem zaburzeń z pewnością była druga z trójki.

Musiało do tego dojść.

„Czeka nas ostatnia bitwa... Nie możemy jednak liczyć na powtórzenie ostatniego zwycięstwa, bo to z pewnością położyłoby kres naszej historii”.

Merlin sposepniał, bardziej w duchu niż na twarzy, ponieważ nie uważał fizyczności za niezbędną. Następnie przystąpił do pracy nad rozwiązaniem, dzięki któremu ta bitwa rzeczywiście okaże się ostatnią.

Elan zeszła z platformy, gdy ta łagodnie osiadła na piasku. Dziewczyna zostawiła ją, wiedząc, że trzeba by było gwałtownego sztormu, by przenieść platformę wbrew woli posiadacza, a już od dawna nie zapowiadało się na burzę. Elan skierowała się do starej reduity.

Gdy przybyli na wyspę, wejście było prawie całkowicie ukryte pod powierzchnią morza.

Teraz jednak szło się do niego głównie suchą nogą. Merlin ogrodził wejście i wypompował morze, stosując swoją magię... Choć on nazywał to inaczej.

Elanthielle starała się spędzać w tym miejscu jak najwięcej czasu, by dzięki pozyskanej wiedzy wspierać miasto, które sama pomogła założyć.

Kaleb był w głębi serca rolnikiem. Elan nauczyła go wszystkiego, co na ten temat mówiły księgi i archiwa, a potem dała mu wolną rękę. Chłopak dopracowywał resztę na bieżąco. Wydawał się z tego zadowolony i rzadko przychodził z pytaniami, a jeśli już, to tylko wtedy, gdy natrafił na problem nie do przejścia.

Jolnir, no cóż... On nie był rolnikiem.

Elan zarumieniła się lekko, przypominając sobie pewne rzeczy, o których napomykał dorodny młodzieniec. Rzeczy, których jak się później dowiedziała, nauczył się od samej Pani Miasta. Wiedza ta zaspokoila u Elan pewne... ciekawe podejrzenia.

Naprawdę lubiła Jolnira, jednak przechodziły ją ciarki na myśl o tym, że spółkował z demonem, choćby nie wiadomo jak pięknym i pomimo iż młody wojownik nie miał innego wyboru.

Jol spędzał dni na polowaniach lub łowieniu ryb dla mieszkańców miasta, a noce... na dokładaniu najlepszych starań, by zapewnić ciągły rozrost populacji.

Najważniejsze, że każdy, kto miał jakieś cenne umiejętności, czynił z nich użytek.

Elan przestąpiła wejście do reduty i zeszła po wygładzonych schodach do wnętrza obiektu. Stąpała bosymi stopami prawie bezgłośnie.

Oczywiście i tak została dostrzeżona przez gospodarza.

– Witaj, dziecko – pozdrowił ją Merlin rozbawionym tonem. Nadal czerpał wielką przyjemność z wytykania Elan młodego wieku.

Dziewczyna jednak nie pozwoliła mu napawać się swoją reakcją. Przeszła przez wejście i przedsionek, obecnie opustoszałe, wreszcie po raz kolejny podążyła do biblioteki.

– Jeśli łaska – zagadnął Merlin – prosiłbym o zajęcie miejsca przy Stole.

Elan zatrzymała się, przekrzywiając głowę i unosząc brwi. Merlin nieczęsto dopuszczał kogokolwiek do Stołu. Tak naprawdę przedmiot pod żadnym względem nie wyglądał na typowy mebel, choć sama Elanthielle nie potrafiłaby go trafniej opisać.

– W porządku. Mogę wiedzieć dlaczego? – zapytała, zmieniając kierunek.

– Coś się zaczęło – odparł Merlin zagadkowo, a jego projekcja prawie od razu rozplynęła się w powietrzu.

Elan stłumiła drżenie, słysząc te słowa i ton. Nauczyła się już, że gdy prastara istota wypowiada się w ten sposób, nie wróży to nic dobrego maluczkiemu śmiertelnikom.

Ruszyła przez kolejne pomieszczenia, na razie ignorując bibliotekę i archiwa, aż w końcu zawędrowała do centralnej komnaty.

I do Stołu.

Tak naprawdę był to lewitujący dysk. Elan nigdy nie miała szansy przyjrzeć mu się dokładniej. Dla niej wyglądał niczym okrągła płyta rozciągająca się jak okiem sięgnąć, we wszystkich kierunkach, a mimo to istniejąca w ograniczonej przestrzeni mało przestronnego pomieszczenia.

Rozmyślenia o tym zawsze przyprawiały ją o ból głowy.

– Usiądź – poprosił Merlin łagodnie, wskazując miejsce przy Stole naprzeciwko drzwi.

Elan z wahaniem postąpiła naprzód. Jej krzesło... cóż, również nie przypominało krzesła, jakie widziała, zanim znalazła się w domenie Merlina. Nie zostało wykonane z drewna, kamienia czy innego solidnego materiału, wyglądało raczej na zrobione z metalu, a mimo to, gdy się usiadło, wydawało się miękkie jak futro.

Otulona z każdej strony, Elan czuła się niezręcznie, unosząc się nad ziemią. Za każdym razem spodziewała się, że mebel gwałtownie rozpadnie się pod jej ciężarem.

– O co chodzi? – zapytała, kierując swoje myśli w inną stronę.

– O coś, co przerwaliśmy dokładnie rok temu – odparł Merlin. – To coś zaczęło się na nowo.

Elan z sykiem wciągnęła powietrze. Przed zniszczeniem Lemurii nikt tak naprawdę nie wiedział, co zamierzały demony, jednak z pewnością nie wróżyło to nic dobrego.

– Skąd wiesz?

– Skażenie linii mocy tego świata albo, z punktu widzenia demona, magii tej planety... powróciło – oznajmił Merlin z grobową powagą. – Nie wiem, co przyniesie, ale mam złe przeczucia.

– Nie ty jeden. – Elan skrzywiła się, zaciskając pięści.

W swoim życiu wystarczająco napatrzyła się na... nieludzkie zachowanie demonów. Słyszała, do czego są zdolne i czego dokonały. Nikt nie musiał jej przekonywać, że najgorsze dopiero nadejdzie.

– Co możemy zrobić? – zapytała stanowczo.

ROZDZIAŁ 1

ATLANTYDA

Kaleb cieszył się pięknym dniem. Wcześniej pracował na roli, jak zawsze z entuzjazmem. Teraz, o zmierzchu, mógł się odprężyć i nacieszyć spokojem, który udało się zapewnić ludziom na Atlantydzie.

Choć przyznawał to z coraz większym wstydem, młodzieniec wciąż miał ciągoty do walki. Dziwnie czuł się z tą myślą. Próbował sobie przypomnieć, dlaczego tak bardzo palił się do boju, jeszcze zanim los pchnął go ku prawdziwej bitwie.

Stwierdził, że jego wyobrażenia na ten temat okazały się zwykłą ułudą. Mocno osadzona w jego umyśle idea heroicznego zdobywcy, spieszącego wszystkim z pomocą, poważnie ucierpiała w trakcie zeszłorocznych starć z demonami. Teraz Kal wciąż widział potrzebę walki, jednak nie pragnął jej już tak bardzo.

Co nie znaczy, że w ogóle jej nie chciał.

Niejednokrotnie tęsknił za dreszczem emocji, teraz by jednak wolał, żeby wspomnienie o nim przestało go dręczyć. Wolałby skupić się na mniej ryzykownych zajęciach, mimo iż zawsze uważał je za nudne.

To ciekawe, jak bardzo perspektywa rolniczego żywota zmieniła się w jego oczach.

Dorastając, zawsze starał się unikać obowiązków, mimo iż wiedział, jak wiele znaczą. Aby inni mogli jeść, trzeba było uprawiać rolę, polować lub łowić ryby. W końcu żaden wojownik nie wytrzyma zbyt długo z pustym żołądkiem.

Kaleb nabrał przekonania, że gdyby już nigdy nie dane mu było walczyć i gdyby do końca życia miał dostarczać żywność swojej społeczności, mógłby być z siebie zadowolony.

Niestety, wiedział, że demony wciąż gdzieś tam są. Dopóki nie znikną, nie zazna spokoju.

– Witaj, Kalebie! – Z zadumy wyrwał go czyjś głos. – Jak ci się powodzi?

Chłopak uniósł oczy na podchodzącego Brokkr. Przysadzisty mężczyzna wydawał się poruszać niezdarnie, a mimo to szedł bezszelestnie, nawet na nierównym gruncie.

– Brokkr. – Kaleb skinął mu głową.

Nie znał tego niskiego osobnika zbyt dobrze. Brokkr i Sindri przybyli wraz z Elan po jej ostatniej wyprawie w świat. Kaleb wiedział tylko, że dwaj przybysze są zbrojmistrzami, bardziej utalentowanymi niż ktokolwiek inny na Atlantydzie.

Było w nich coś dziwnego. Coś, czego Kaleb nie mógł dokładnie wskazać, ale co od początku go niepokoiło.

– Słyszałem, że hodujesz rośliny – zagaił Brokkr wesoło, rozglądając się z szerokim uśmiechem. – Chyba mamy dobry sezon na uprawy.

Kaleb wzruszył ramionami.

– Nie narzekam. Pogoda dopisuje, a gleba staje się coraz żyzniejsza dzięki wiedzy, którą obdarzył nas Merlin.

Brokkr parsknął.

– Tak, ten zdziwaczały staruch pewnie wie to i owo o uprawie roli. Rzecz jasna, to nie moja specjalność.

– Tak słyszałem. – Kaleb przytaknął. – Co pana tu sprowadza, mości Brokkrze?

– Wystarczy Brokkr, przyjacielu, darujmy sobie tytuły – zaproponował mężczyzna przyjaźnie. – Rozmawiałem z radą i z paroma innymi ludźmi. Ciekawiło mnie, do czego mógłbym się tu przydać. Ponoć zdążyłeś się trochę wprawić w sztuce mordobicia, zanim mój brat i ja zjawiliśmy się tutaj. Mam rację?

– To były... ciekawe czasy – przyznał Kaleb ostrożnie.

– A zatem jesteś jednym z obrońców tej małej społeczności, czy tak? – zapytał Brokkr. – Sindri i ja znamy się na wyrobie broni i uznaliśmy, że mógłbyś wypróbować któryś z naszych towarów, oczywiście jeśli chcesz.

Kaleb przez chwilę milczał, niepewny, co powinien odrzec. Na pewno nie zamierzał odrzucić propozycji uzyskania lepszego oręża. Widział jednak niektóre z wytworów braci w rękach Elan i Jola.

– Zależy, o czym mowa – powiedział w końcu. – Nie wyobrażam sobie, żebym miał machać młotem albo wywijać kijem.

Brokkr zaśmiał się cicho.

– To nie w twoim stylu, co? Myślę, że znajdziemy coś, co będzie ci pasować. Czym uczyłeś się walczyć?

– Mieczem – odparł chłopak. – I to od wczesnej młodości.

Brokkr pokiwał głową, nie przestając się uśmiechać.

– Chłopcze, według mojej rachuby dalej jesteś młodzikiem – odparł. – Ale poradzimy sobie. Masz tu gdzieś swój ulubiony oręż?

Kaleb westchnął, powiódł wzrokiem po polu i uznał, że dość się już napracował.

– Chodźmy do mnie – powiedział. – Pokażę ci, czego używam.

– Wspaniale, chłopcze. Prowadź!

Jolnira obudziły ciepłe promienie słońca wpadające przez okno. Młodzieniec zamrugał, oblizał spierzchnięte wargi i przetoczył się na bok, chcąc skryć głowę w cieniu. Okazało się jednak, że nie jest w łóżku sam.

Mrugnął jeszcze parę razy, wspominając minioną noc i usiłując sobie przypomnieć, kim jest ta dziewczyna, jednak na próżno. W końcu dał za wygraną, wyswobodził się spod ramienia śpiącej i usiadł na łóżku.

Sądząc po umiejscowieniu słońca, było już prawie południe. Znaczyło to, że pora wstać i znaleźć sobie jakieś zajęcie wśród lokalnej wspólnoty.

Jol tak naprawdę nie uważał się za członka tutejszej społeczności, przynajmniej jeszcze nie teraz, choć bardzo chciał się nim czuć. W mieście, w którym dorastał, każdy człowiek mógł w najlepszym razie być niewolnikiem. W najgorszym... Cóż, nawet on wolał o tym nie myśleć.

Wszyscy, których udało się stamtąd uratować, przybyli tutaj, by połączyć się z ocalałymi z innego miasta. Dla ludzi takich jak Jol była to zarówno radość, jak i udręka. Ostatni rok upłynął spokojnie, ale to jedynie drażniło Jolnira.

W okolicy nie brakowało chętnych kobiet, co pozwalało nieco rozładować napięcie, jednak tak czy inaczej, Jol czuł się zagubiony.

W Lemurii miał opinię nierozważnego głupca. Wszyscy wiedzieli, że zabija demony, które weszły mu w drogę, ale dzięki względem,

jakimi darzyła go Pani, nie spotykała go za to żadna kara. Gdyby przypłacił walkę życiem, władczyni raczej by się tym nie przejęła, ale jej... zainteresowanie Jolnirem przynajmniej chroniło go przed pościgiem.

A tutaj? Nie wiedział, co ze sobą zrobić.

Polował, czasami łowił ryby, żeby mieć co położyć na stół i wesprzeć społeczność. Czasami pomagał gdzie tylko się dało. Zawsze znalazło się zajęcie wymagające siły. Mimo to Jol czuł, że tu nie pasuje. Nie było to nowe odczucie, teraz jednak zaczęło mu doskwierać.

Ubrał się. Jego proste odzienie zaczynało cuchnąć. Był to niechybny znak, że zbliża się pora wielkiego prania. Jeszcze zanim choćby zbliżył się do drzwi, przytroczył do pasa młot, jedyną rzecz, która tak naprawdę należała do niego.

Mimo wszystko nigdzie nie ruszał się nieuzbrojony.

Wiedział, że któregoś dnia przyjdzie mu umrzeć. Modlił się tylko, by mógł skonać, trzymając demona za gardło jedną ręką, a w drugiej ściskając młot, którym rozwali czaszkę potwora.

Simone podniosła wzrok, zauważając jakiś ruch. Młody mężczyzna, bodaj Jolnir, wykradł się z domu panny, z którą ostatnio go widziano.

Simone wróciła do przerwanej pracy, skrywając szydery uśmiezek.

Nie było tajemnicą, że młodzieniec skacze z łóżka do łóżka. Cóż, jego sprawa, dopóki nie wejdzie w drogę nieodpowiedniej osobie. Był dość przystojny, choć o parę dekad za młody jak na gust Simone. Kobieta słyszała o jego talencie do walki od kilku uchodźców z Lemurii, wiedziała więc, że dobrze będzie mieć w pobliżu kogoś takiego pomimo wszelkich jego wad.

Sama spędziła ostatni rok, usiłując stworzyć i podtrzymać wspólnotę oraz dbając o jej rozwój, zarówno pod względem siły, jak i liczebności.

Nie był to łatwy rok, ale udało się osiągnąć rzeczy, na które Simone wcześniej nie liczyłaby w najśmielszych snach.

Już dzięki samej pomocy Merlina cuda wydawały się chlebem powszednim, chodziło jednak o coś więcej. Zmiana mentalności najdobitniej świadczyła, że wysiłek się opłacił. Ludzie przeszli od bezradnej walki o przetrwanie do czegoś o wiele trwalszego.

Mieli teraz nadzieję, bez względu na to, ile była warta. I poczucie zwycięstwa, jakkolwiek złudne.

Simone nie była pewna, czy to dobrze. Nadzieja nadawała powietrzu świeży, ożywczy posmak, o którym kobieta zdążyła zapomnieć z biegiem lat. Już wcześniej jednak zdarzało się, że ktoś niweczył lub odbierał jej nadzieję. Simone obawiała się, że nie przeżyje kolejnego takiego rozczarowania.

Na razie pozostawało jej jedynie wypełniać misję do czasu, aż nadejdzie kolejny kryzys, zmieniający oblicze świata.

„Jeśli mi się poszczęści, może kryzys zaczeka, aż odejdę w spokoju, najlepiej we śnie”.

Parsknęła. To by dopiero był prawdziwy cud!

Wewnątrz reduity Elan patrzyła na obraz tego, co według zapewnień Merlina miało być światem pod jej stopami.

Prawdę mówiąc, nie miała pewności, jakim cudem mogłaby stać na kuli. Coś jej w tym nie pasowało, ale Merlin zaręczał, że planeta ma właśnie taki kształt i że jej dół nie jest... na dole, a raczej bliżej środka kuli.

Dla Elanthielle nie miało to żadnego sensu, jednak dziewczyna niechętnie stwierdzała, że przyznawanie się do własnej niewiedzy idzie jej coraz lepiej. Oczywiście nie podobało jej się, że czegoś nie rozumie, jednak musiała się pogodzić z tym, że niektóre sprawy przechodzą jej pojęcie.

Merlin twierdził, że takie pogodzenie się to „pierwszy krok do oświecenia”. Chyba miało to brzmieć zachęcająco.

Jednak w tym momencie uwaga Elan była skupiona nie tyle na świecie, co na energii pod powierzchnią lądów i mórz.

Planetę przecinała siatka linii mocy, czy też linii geomantycznych, jak nazywał je Merlin. Według skanów większość z tych linii tętniła jasną, czystą energią... Większość, ale nie wszystkie.

Z jednego z węzłów rozchodziła się chorobliwa ciemność. Był on jednak tak oddalony od Atlantydy, że Elan musiała zapytać, czy w ogóle ma to jakieś znaczenie. Demony były tak daleko, że w normalnej sytuacji machnęłyby na to ręką.

Oczywiście sprawa nie mogła być aż tak prosta.

Merlin wyjaśnił, że mroczna siła toczy planetę niczym choroba. Sądząc po tonie, mocno upraszczał tę kwestię, bo w końcu tłumaczył ją dziecku. Elan była tym zirytowana, choć odczuwała też odrobinę wdzięczności.

Merlin nie był w stanie dokładnie objaśnić tego zjawiska, mógł jednak wskazać miejsce, z którego pochodziło.

Był to punkt leżący niemal w równej odległości tak od Atlantydy, jak od miasta demonów. Czyli bardzo, ale to bardzo daleko. Wcześniej taki dystans był dla Elan nie do pojęcia, jednak widziała, jak świat przemyka pod jej stopami, gdy mknęła z zawrotną prędkością... A mimo to bez pomocy systemu transportowego reducy droga powrotna zajęłaby niewiarygodnie wiele czasu.

– Zdaję sobie sprawę, że to jakieś niebezpieczeństwo – powiedziała w końcu Elan, marszcząc brwi w zamyśleniu. – Nie jestem jednak pewna, co możemy na to poradzić, ani nawet, czy ma to wpływ na tutejszą ludność.

– Będzie miało ogromny wpływ, jeśli potwierdzą się najgorsze przeczucia – zapewnił Merlin. – Wprawdzie nie byłem w stanie przeanalizować dokładnych intencji stojących za tym zjawiskiem, mogę jednak powiedzieć, że ma ono wiele wspólnego z zakłęciami otwierającymi portale, przez które demony weszły do tego świata. Tyle tylko, że jest o wiele silniejsze... Tak przynajmniej sądzę.

– Czyli będą przyzywać więcej demonów... – westchnęła Elan. – Merlinie, mnie też w ogóle się to nie podoba, ale... czy to ważne? Potwory i tak mają nad nami przewagę liczebną, która nie mieści mi się w głowie. Jeśli przyjdzie ich jeszcze trochę więcej... – Wzruszyła ramionami. – Nie wiem, jak mogłoby to pogorszyć sytuację. Pozwólmy im zużyć całą moc.

Merlin spojrzał na nią karcącym wzrokiem.

– Wojownicy zawsze powinni mieć się na baczności, kiedy nieprzyjaciel robi coś, co pozornie nie ma znaczenia. Jeśli podejmuje

takie działania, z całą pewnością nie chcielibyśmy, aby mu się powiodło.

– Nie mówię, że chcę, żeby demonom się powiodło – zaprotestowała dziewczyna. – Po prostu nie wiem, ile istnień warto będzie poświęcić, aby je powstrzymać, nawet zakładając, że uda nam się zebrać wystarczające siły.

Przez chwilę milczała, po czym dodała ciszej:

– Ostatnim razem straciliśmy tak wielu ludzi...

– I straciecie jeszcze więcej – odparł Merlin beznamiętnie. – Nieważne, jak postąpicie, ludzie będą padać ofiarami demonów, żywiołów, starości... Dziecko, wojownik nie może się bać strat w ludziach.

– Może już nie chcę być wojownikiem – powiedziała, spuszczać wzrok.

Merlin milczał. Tak naprawdę nie mógł nic na to odpowiedzieć. Dziewczyna, którą poznał dawno temu, okazała się urodzoną przywódczynią, ale brakowało jej obycia w świecie. Była dość dobrze przeszkolona, zważywszy na okoliczności, jednak rozlała krew jedynie w kilku bezpośrednich starciach.

Łatwo być wojownikiem w słusznej sprawie, stając przeciwko uporządkowanemu zastępom nieprzyjaciela, złego do szpiku kości. Gorzej, jeśli patrzy się na śmierć tych, którzy zawsze padają ofiarami wojny jako pierwsi. Słabych, dzieci, niewinnych uwięzionych w samym środku „słusznej sprawy”.

W przeszłości taki ból zawrócił niejednego wojownika z obranej ścieżki.

Teraz jednak było inaczej.

– Elanthielle, ludzie w Lemurii byli już straceni. Wszyscy, łącznie z tymi, których udało ci się ocalić. – Merlin zaakcentował ostatnie słowo. – Gdyby nie zginęli teraz, to za rok...

– Ale przeżyliby choć o jeden rok dłużej.

– Rok męczarni i zniewolenia pod jarzmem demonicznych władców. Czy wolałabyś taki los?

Podniosła oczy, w których na nowo rozgorzał płomień.

– Tak! Mieliby jeszcze cały rok, żeby wziąć odwet!

– Ty tak to widzisz. Ale oni? W większości już dawno się poddali.

– Jol się nie poddał.

Merlin uśmiechnął się, gdy jego bezkształtny awatar przybrał postać starca, w jakiej byt lubił się pojawiać.

– Twój przyjaciel, Jolnir... Nie nazwałbym go typowym przedstawicielem rodzaju ludzkiego.

Prychnęła, przewracając oczami.

– O tym nie musisz mnie przekonywać. – Westchnęła. – Ale niektórzy z tamtych ludzi mogli być jak on.

– Może. A może nie. Tego nie wiesz i musisz podejmować decyzje w oparciu o to, co wiesz. Biorąc pod uwagę to, czego się nauczyłaś... czy dziś zachowałabyś się inaczej?

Elan wbiła wzrok w ziemię, rozważając pytanie.

– Tak – odparła w końcu. – Byłam... lekkomyślna. Powinnam zachować większą ostrożność. Częściej korzystać z pomocy, może nie bez przerwy, ale czasami... Sądzę, że pewne rzeczy zrobiłabym inaczej, choć nie wiem dokładnie które.

– Znakomicie. – Merlin skinął głową, zadowolony z odpowiedzi. – Czy jednak odwróciłabyś się od problemów?

– Nie – zapewniła bez wahania. – Zagrożenie było oczywiste, a ludzie zasługiwali na wszelką pomoc, jakiej mogłam udzielić.

Merlin wzruszył lekko ramionami.

– Co do drugiej kwestii mam ambiwalentne odczucia, ale podejrzewam, że mogli zasługiwać na wsparcie. To się jeszcze okaże... Masz jednak rację, jeśli chodzi o zagrożenie. Było oczywiste. Tak samo jak obecne.

Elan westchnęła ciężko, spoglądając na obrazy wyświetlone przez Merlina.

– Portal – rzuciła obojętnie, śledząc skażone kanały geomantyczne.

– Ma tylko podobną sygnaturę – poprawił ją Merlin. – Nie odpowiadają mu żadne precyzyjne dane, które wcześniej przeanalizowałem.

– A zatem nie wiesz, co to takiego.

– Wiadomo mi tylko, że to coś złowieszczonego, co pochodzi z twierdzy demonów i rośnie w siłę.

Elan przytaknęła powoli, spychając na bok własną niepewność i zwątpienie. Merlin nie musiał się wdawać w szczegóły. W jego słowach zawarta była prawda.

Jak zwykle.

– Zgoda – powiedziała Elanthielle. – Zbadam to.

– Sama?

Dziewczyna uśmiechnęła się blado.

– Potrafię uczyć się na błędach. Zapytam Kaleba, Jola, a może i braci, czy nie mają ochoty na wycieczkę.

– Wyśmienicie.

ROZDZIAŁ 2

CYTADELA

Pani Cytadeli lubiła wieżę wzniesioną na węźle mocy, choć budowli brakowało finezji typowej dla ludzkich konstrukcji w utraconym Mieście. Mankament ten był, rzecz jasna, zauważalny dla tych, którzy gustowali w luksusie, jednak w budowlach ludzi było coś, co denerwowało władczynię.

Upłynęło już wiele czasu, odkąd przestała się zaliczać do istot ludzkich. Tak wiele, że nie tylko utraciła wszelkie wspomnienia z tamtych dni, ale i nie pamiętała nawet, który wszechświat zamieszkiwała, zanim został zajęty przez tłumy mieszkańców Pierwszego Wszechświata, którzy przekroczyli granice swego wymiaru.

Demonessa miała niejasne przeświadczenie, że gdy rozpoczęła Przemianę, była jeszcze młoda, nawet jak na człowieka. Większość z tych wczesnych wieków popadła jednak w zapomnienie, zresztą nie bez racji. Możliwe, że Pani spędziła jakąś nikłą część swojego życia jako nieszczęsna małpa, a potem musiała znosić zmiany wywierające niszczycielski wpływ na każdy umysł, którego dotykały.

Zdrowie umysłowe było przypadłością, na którą skazani byli tylko ludzie.

Wieża stanowiła odzwierciedlenie szaleństwa demonicznej władczyni, która czerpała z tego prawdziwą przyjemność.

„Szkoda tylko, że nie zbudowano jej w jakiejś lepszej okolicy”.

Budowlę z każdej strony otaczały pustynie. Wodę widać było wyłącznie na południowym wschodzie, a jedyne urozmaicenie stanowiła zieleń ogromnych lasów, położonych daleko przy zboczach gór okalających zachód.

Pani postanowiła się z tym pogodzić. Gdyby osiedlili się w pięknym miejscu, podległe jej demony z pewnością już dawno by je zbezczeszczyły. Na szczęście nawet ścierwa ich pokroju mogły wyrządzić niewiele krzywd piaskowi i skałom wokół Cytadeli.

Zresztą, poszukując siedliska, demony nie miały zbyt wielkiego wyboru.

Tylko trzy miejsca na świecie zapewniały energię wystarczającą do realizacji jej planów. Ta pustynia, całkowicie bezużyteczne, płytkie morze na wschodzie i teren, na którym niegdyś stała Lemuria.

Ostatnie wielkie miasto ludzi broniło się dłużej niż inne miejsca. Poddało się już po tym, gdy Pani nakazała rozpocząć budowę wieży, więc ta lokalizacja odpadła. Mając do wyboru stawianie wieży albo na pustyni, albo pośrodku morza na północ od jednego z wielkich kontynentów... Cóż, właściwie nie było się nad czym zastanawiać.

– Pani...

– O co chodzi, Shirva? – zapytała władczyni, nie odwracając się do rozmówcy.

– Prace postępują zgodnie z rozkazami. Jesteśmy prawie gotowi.

– To dobrze. Zauważyliście jakieś oznaki... problemów? – Teraz demonessa odwróciła się, by spojrzeć na podwładnego.

Shirva, demon Drugiego Kręgu, przełknął ślinę, zwalczając chęć, by usunąć się Pani sprzed oczu. Pokręcił głową, maskując lęk niefrasobliwą miną.

– Ależ oczywiście, że nie... A powinniśmy się ich spodziewać?

– Zawsze trzeba być na nie gotowym, Shirva – odparła Pani zwodniczo spokojnym tonem. – Wtedy raczej się nie rozczarujesz. Jednak w tym przypadku najbardziej interesuje mnie, czy niedobitki ludzi wykonały jakieś nowe ruchy.

Wbrew powszechnemu przekonaniu po świecie krążyło więcej małopłodów, niż mogłoby się wydawać. Wiele z nich służyło jako niewolnicy lub wasale rozmaitych pomniejszych władców, sprawujących rządy w niewielkich domenach. Ludzi tych tolerowano głównie dlatego, że dostarczali niezłej rozrywki demonom niższego rzędu, które nie potrafiły zapanować nad popędami. Szaleństwo związane z Przemianą nie było w końcu rzeczą dla istot o słabych umysłach, ciałach i sercach.

Na razie ludzie okazywali się przydatni jako siła robocza, źródło pożywienia i zabawki. Bywali jednak frustrujący i potrafili narobić sporego bałaganu jak na tak kruche stworzenia.

– Ludzie? Oni się nie liczą – parsknął Shirva.

– Mrówki też się nie liczą, dopóki nie obleżą cię dziesiątkami tysięcy. – Ton władczyni pozostawał wyważony, choć jednocześnie pełen napięcia. – Widywałam nawet potężne demony ginące za przyczyną takiego robactwa.

Zawiesiła głos, nie precyzując, czy mówiąc o robactwie, miała na myśli mrówki, czy ludzi.

– Może chciałbyś, żebym ci to zademonstrowała? – podjęła w końcu, uśmiechając się uroczo.

Tym razem Shirva cofnęła się mimowolnie, ulegając instynktowi.

– Nie, pani – zapewnił, składając głęboki ukłon. – Dopilnuję, byśmy nie napotkali tego rodzaju problemów.

– Znakomicie. Możesz odejść.

– Tak jest. Dziękuję, Pani!

Władczyni nie zwracała uwagi na sługusa, potykającego się w drodze do wyjścia, i wołała podziwiać widok ze szczytu Cytadeli.

„Ludzie to doprawdy fascynujące stworzenia” – pomyślała. „Są nędzni i obrzydliwi... A przecież to oni stanowią źródło tego wszystkiego”.

STAROŻYTNA REDUTA

Jol zbliżył się dyskretnie do Brokkra i Sindriego, dwóch najbardziej znanych osób w pomieszczeniu.

– O co tu chodzi?

– Wiemy tyle, co i ty – odparł Sindri ze spokojem. – Szkoda tylko, że musieliśmy się oderwać od roboty.

Brokkr jedynie burknął potakująco. Jol powiódł wzrokiem po pozostałych.

Była tam oczywiście Elan, uroczą dzierlatka, żywy dowód na to, że pozory mylą. Jol nadal odczuwał w barku ból na wspomnienie, jak powaliła go w Mieście, choć teraz pamięć o tym wywoływała u niego raczej smętny uśmiech niż poczucie frustracji i poniżenia.

Obok stała Simone, którą można by określić jako starszą wioski na Atlantydzie. Nie była szczególnie posunięta w latach, jednak z pewnością jako jedna z niewielu przetrwała tak długo pod

jarzmem demonów. Upływ czasu nie zdążył jeszcze odebrać jej urody.

Jolnir zauważył też Kaleba, jednak nie zwrócił na niego większej uwagi. Wiedział, że ten mężczyzna, czy właściwie jeszcze chłopiec, cieszy się wśród swoich sławą wojownika, jednak był przekonany, że podołałby mu w walce.

– Mamy kolejny problem – oznajmiła Elan.

– Taki jak poprzednio? – zapytał Kaleb z cieniem goryczy w głosie. Dziewczyna przytaknęła.

– To raczej nawracający kłopot niż coś zupełnie nowego.

– Cudownie – westchnął Kal.

Jol parsknął tylko. Reputacja Kaleba wydała mu się nieco przesadzona, ale to nic. Jolnir przywykł już do samodzielnego załatwiania spraw.

– Gdzie mam się udać? – zapytał wesołym tonem. – I czy będę zabijał demony?

– Odpowiedź na drugie pytanie brzmi „zdecydowanie tak” – powiedział Merlin, pojawiając się znikąd przy projekcji kuli za plecami Elan. Wykonał gest, a glob zawirował i zaczął rosnać, aż w końcu zatrzymał się, ukazując nieznane miejsce. – Jeśli zaś chodzi o pierwsze, musisz udać się tutaj.

Jol patrzył na projekcję nierozumiejącym wzrokiem.

– Ale ja przecież już tutaj jestem...

Merlin przymknął oczy.

– To będzie... irytujące, prawda?

Brokkr zaśmiał się.

– Chłopak może i jest twardy, zwłaszcza jeśli wierzyć tutejszym kobietom, ale trochę tępy. Mów dalej. Wyjaśnimy mu z bratem wszystkie zawiłości.

– Będę zobowiązany – odparł Merlin oschle, nie komentując dwuznacznej wypowiedzi Brokkra. Zauważył jedynie, że poza Sindrim jedyną osobą, która wyłapała żart, była Simone. Ona jednak przewróciła tylko oczami.

„Dzieci. Same dzieci. Po tysiącach lat wojen wszystko wciąż sprowadza się do dzieci”.

Było w tym coś... odrażającego, choć jednocześnie poetyckiego w pewnym ponurym, niepokojącym sensie. Merlin odłożył jednak

na bok wszelkie wątpliwości. Sytuacja była trudna, a jeśli tylko dzieci mogły ocalić świat, cóż, nie szkodziło spróbować.

– W tym miejscu – zaczął, wskazując na projekcję – znajduje się jeden z trzech wielkich punktów konwergencji mocy tego globu. Pierwszy był pod Lemurią i w przeszłości dostarczał energię zarówno miastu i jego ludzkim obrońcom, jak i demonom, gdy te przejęły to miejsce, wiele lat temu. Drugi jest ulokowany pod samą Atlantydą. Początkowo uważany był za bezużyteczny, ponieważ znajduje się w płytkim morzu, bez dostępnych zasobów. To jednak uległo zmianie u schyłku wojny.

– Jak to? – zapytał Jol, nachylając się z zaciekawieniem. Opowieści o ostatniej bitwie ludzkości bezgranicznie go fascynowały.

– Nie mamy teraz czasu na pełne sprawozdanie. Dość powiedzieć, że demony spróbowały wykorzystać moce w nowo odkrytym terenie – wyjaśnił Merlin. – Dowództwo obrony rozkazało ostrzelać naszą pozycję z orbity. W rezultacie cała woda w oceanie na przestrzeni prawie dwudziestu mil wyparowała, a skała pod powierzchnią upłynęła się przez siłę ataku. Woda napłynęła z powrotem, schładzając skały, rozpluwające się we wszystkich kierunkach od centrum uderzenia. Okrągłe pasy lądu, na których wzniesiście miasto zwane przez was Atlantydą, powstały właśnie na skutek tego ataku.

– Cały nasz archipelag powstał, bo dawni ludzie oddali jeden strzał? – zapytała Simone z niedowierzaniem.

– Otóż to.

– Więc jakim cudem przegrali?

Merlin westchnął.

– Nie byli dość liczni. Człowiek może być nieskończenie silniejszy od samotnej mrówki... Zapewniam jednak, że nikt nie chciałby wpaść w sam środek gniazda pewnych gatunków mrówek. Można ich zabić setki tysięcy, lecz koniec końców to one wygrają. Ta walka skończyła się podobnie.

Kobieta odchyliła się, potrząsając głową.

– Nie do wiary – mruknęła.

– Czyli idziemy zabijać demony. – Jol wzruszył ramionami. Był pod wrażeniem opowieści o sile ataku, ale temat ten nie frapował go na tyle, by miał o nim dłużej rozmyślać. – Pójdę po młot.

Sindri pacnął go w potylicę.

– Nie bądź durniem! To jeszcze nie wszystko!

– Zawsze tak mówisz, ale ja tak tego nie widzę. – Jolnir spojrzał gniewnie na Sindriego, rozmasowując głowę. – Gadaniem niczego nie rozwiążemy.

– Gadanie pozwala wymyślić najlepsze rozwiązanie, dzieciaku. Lepiej posłuchaj.

– Sindri ma rację – powiedziała Elan, wyraźnie zmartwiona. – Poprzednim razem działałam na oślep. Co prawda wszyscy mówią, że wyszło mi to na dobre... Ale mogłam zrobić to lepiej. Straciłam ludzi, których mogłam ocalić. Musimy działać, ale w przemyślany sposób, a nie jedynie ufać, że zawsze będziemy mieć słuszość i szczęście.

Większość zebranych przytaknęła, więc Jol jedynie westchnął i przewrócił oczami.

– Niech będzie. Miejmy to już z głowy. Wiemy przynajmniej, w czym problem?

– Właśnie dlatego cię tu wezwałam. – Elan spojrzała na niego z powagą. – Wiesz, co planowały demony w Mieście, jeszcze zanim przybyłam? Wiadomo, że doszło tam, albo miało dojść, do czegoś ważnego...

Mężczyzna przytaknął, marszcząc czoło.

– Tak... Pani chodziło po głowie coś takiego. Niczego mi nie zdradzała, ale sama dostawała rozkazy z góry.

Brokkr warknął, potrząsając głową.

– Od kogoś postawionego jeszcze wyżej? Niedobrze, chłopcze. Na tym świecie jest tylko jedna... no, może dwie osoby stojące ponad Panią Miasta. Pod wieloma względami są jej nawet tylko równe. Polecenia mógł wydawać ktoś spoza tego wymiaru.

Jol obojętnie wzruszył ramionami.

– Wiem tylko, że miało to położyć kres wojnie.

– Jak to? – zaciekawiał się Kaleb. – Przecież wojna skończyła się już... wiele wieków temu.

– Mówię po prostu, co zasłyszałem.

– Co do zasady wojna tak naprawdę nie dobiegła końca – wtrącił się Merlin. – Można rzec, że musi trwać, dopóki istnieją dzieła ludzkości i ludzie gotowi stawić opór.

Na sali zaległa cisza.

– A zatem demony muszą wybić nas wszystkich. Nie wystarczy, że nas zniewolą – stwierdziła Simone ze znużeniem. – Nie wiem, dlaczego mnie to dziwi.

Elan pokiwała głową.

– Nie możemy tego zignorować – powiedziała. – Jednak jeśli nie dowiemy się więcej, ruszanie do walki będzie głupotą. Chciałam zaproponować, żebyśmy wykorzystali sieć transportową reauty, aby dostać się najbliżej jak się da, a potem zbadali sprawę osobiście.

– A pewnie! – uradował się Jol. – I to mi się podoba!

– To ryzykowne – powiedziała Simone. – Ale przynajmniej nie ściągniemy demonów na Atlantyde. Jak blisko możemy podejść?

– Pradawna sieć transportowa nie jest już taka jak dawniej – powiedział Merlin tonem dziwnie zmęczonym jak na pradawną istotę. – Wiele miejsc zostało odciętych, jednak wokół głównych węzłów mocy zawsze były liczne punkty docelowe. Stosunkowo blisko waszego celu istnieje miejsce, z którego otrzymuję odpowiedzi na zapytania telemetryczne. Znajduje się... tutaj.

Awatar obrócił się, ukazując niewielki czerwony punkt, tylko nieznacznie oddalony od czarnych pasm.

– Całkiem blisko – zauważył Jol pogodnie.

– Chłopcze... – westchnął Brokkr. – Zanim zaczniesz wygadywać takie bzdury, spytaj naszą pocziwą inteligencję o skalę projekcji.

– Jaką znowu skalę? – Jolnir był zakłopotany.

– Obawiam się, że czeka was długa droga – powiedział Merlin. Przez chwilę wydawał się rozbawiony, potem jednak spoważniał. – Mówiąc ściślej, stracie kontakt ze mną i tutejszą społecznością. Ktokolwiek się tam uda, będzie zdany na siebie.

Brokkr i Sindri pokiwali głowami bez krzty zdziwienia. Jol pozostał niewzruszony.

– Wchodzę w to – oświadczył zdecydowanie.

– Ja także – powiedziała Elan.

– Elan, nie! – Kaleb pochylił się naprzód. – Dość już zrobiłaś!

– To za mało – odparła, kręcąc głową. – Idę.

Kaleb skrzywił się, ale w końcu przytaknął.

– W porządku. Ja też.

– Ja przygotuję ludzi, na wypadek gdyby trzeba było działać – zaproponowała Simone. – Zresztą wątpię, czy zdołałabym za wami nadążyć.

Elan skinęła głową.

– Dziękuję. Liczyłam, że na to przystaniesz.

– Jeśli o nas chodzi... – Sindri odchylił się, rozmyślając przez chwilę. – Nadal macie tę maszynę, którą zwędziliśmy jaśnie pani, prawda?

– Skoczka? – zapytał Merlin. – Tak, mamy go.

– Jak stoi z poziomem energii?

– Jest w pełni naładowany.

Sindri i Brokkr spojrzeli na siebie.

– Radzilibyśmy go zabrać. Będziemy unikać głównych sił demonów, ale pozostaniemy blisko, na wypadek gdybyście potrzebowali czegoś więcej niż tylko kilku dodatkowych par rąk – powiedział Brokkr.

Merlin zastanawiał się intensywnie, choć nie dał tego po sobie poznać. Sindri i Brokkr tak naprawdę nie byli ludźmi. Niewielu na wyspie o tym wiedziało, a Merlin wolał na razie nie drążyć tematu. Nawet jeśli bracia byli zdrajcami, nie mogli przesłać na zewnątrz żadnych wiadomości. Z tak bliska Merlin był w stanie monitorować wszelkie takie próby. Co innego, jeśli chodzi o wydanie im skoczka. Do tego potrzebna była choć odrobina zaufania.

Sindri i Brokkr mieli jednak rację. Maszyna bojowa, jakkolwiek lekka, zapewniała dodatkową siłę, nie mówiąc już o ułatwieniu szybkiego odwrotu, mogła więc zaważyć na życiu lub śmierci. Sukcesie lub porażce.

Merlin spojrzał znacząco na Elan, wiedząc, że darzy ona braci pewną ufnością. W końcu korzystała z ich pomocy podczas ostatniej bitwy w Mieście, a nawet sprezentowali jej broń, do której dziewczyna z czasem się przywiązała.

Skinęła głową.

– Sądzę, że to dobry pomysł. Ktoś zgłasza sprzeciw?

Nikt się nie odezwał, a Merlin zachował swoje rady dla siebie, skoro sprawa została już przesądzona. Losy tej walki spoczywały w rękach ludzi. Elan wiedziała, skąd wywodzą się Brokkr i Sindri. Jeśli postanowiła im zaufać, Merlin nie zamierzał tego podważyć.

- A zatem postanowione - podsumował. - Zaczynjcie przygotowania.

- Wyruszamy pojutrze - oświadczyła Elan, gdy wszyscy wstali z miejsc. - Zabierzcie wszystko, czego potrzebujecie. Jutro spotkamy się tu ponownie.

ROZDZIAŁ 3

CYTADELA

Pani Cytadeli widziała w życiu wiele wspaniałych rzeczy, choć większość z nich została wymazana z jej pamięci przez czas lub następstwa Przemiany. Czasami czuła się dziwnie ze świadomością, że spora część jej życia przepadła bezpowrotnie.

Tymczasem jednak spędzała kolejny dzień na kuli błota i skał zawieszonych w kosmosie.

Władczyni przeglądała meldunki rozmaitych podwładnych. Musiała to robić o wiele częściej, niżby sobie tego życzyła, głównie dlatego, że jej siły składały się ze stanowczo zbyt wielu poślednich demonów. Gdyby chodziło o istoty wyższego rzędu, Pani kazałaby je stracić za błędy w realizacji procedur.

Przez pewien czas postępowała tak również z pomniejszych sługami, jednak w końcu uznała to za nudną stratę czasu. Demon sprawiał zawód, ginął, a na jego miejsce przychodził kolejny demon... który też od razu zawałał sprawę.

Pierwsze takie przypadki rozniecały gniew władczyni do czerwoności, jednak później podobne incydenty zaczęły nużyć ją tak, że przestała się przejmować.

Obecnie po prostu zlecała zadania demonom, które jeszcze nie zdążyły się znudzić całym tym procesem. Zawsze znaleźli się jacyś względnie użyteczni słudzy, szukający ujścia dla gwałtownych impulsów wywoływanych przez Przemianę.

W tej chwili jednak Pani Cytadeli poważnie rozważała egzekucję Shirvy za jego niekompetencję.

„Jakim cudem zdołał przeoczyć nie jedno, ale kilka powstań tuż obok nas? Nikomu nie przyszło do głowy, że należało o tym przynajmniej wspomnieć?”

Oczywiście znała odpowiedź. Dla demonów, zwłaszcza średniego i niższego poziomu, przemoc stanowiła normę. Potężniejsze istoty, takie jak Pani, były równie brutalne, ale w ich wypadku akty

przemocy zdawały się bardziej... sugestywne w porównaniu z chaotycznymi wybrykami młodzieży.

„Zapewne nawet nie zauważyli, że była to próba rewolty”. Władczyni westchnęła ze znużeniem.

Właściwie nie można było mówić o prawdziwej rewolcie, a jedynie o zwykłych rozruchach zorganizowanych przez garstkę podżegaczy siejących ferment wśród niewolników.

Niewielu ludzi miało jeszcze jakąś nadzieję. Jednak w swoim długim życiu Pani poznała prostą prawdę o nadziei.

„Jest zaraźliwa”.

– Shirva!

DZIELNICA ZEWNĘTRZNA

Drużyna demonów, rechocząc, wyszła z chaty. Teraz w jej wnętrzu jedynym, co poruszało się i wydawało jakikolwiek dźwięk, były płomienie.

Jednak jeszcze chwilę wcześniej było zupełnie inaczej.

– Słyszeliście, jak wrzeszczeli? – roześmiał się jeden z potworów. – Ciągłe mi mało. Widać muszę tego słuchać na okrągło!

– Uspokój się, Poll’ck – burknął większy kolega, rozbawiony, ale bardziej zrównoważony niż pozostali. – Pilnuj, żeby przyjemność nie przesłoniła ci roboty, bo inaczej skończy się zabawa!

– Tak, tak, przecież wiemy. – Poll’ck machnął niefrasobliwie łapą.

Korj, przywódca bandy, pochodził z Trzeciego Kręgu i stał o poziom wyżej nad resztą. Przydzielono mu tę grupę, ponieważ cechował się większym spokojem niż wiele demonów, nawet równych mu rangą, i potrafił kontrolować podkomendnych. Szło mu nawet całkiem nieźle, choć sam pragnął zaspokoić własne żądze.

– Dobrze z was chłopaki – pochwalił drużynę. – Pamiętajcie tylko, zabawa zabawą, ale praca dla Pani jest najważniejsza!

Demony odwarknęły potakująco, nie przerywając marszu. Nikt nie był na tyle szalony, by celowo wzbudzać gniew Pani lub jej przedstawicieli.

Korj spojrział w niebo. Zaczynało już jaśnieć na wschodzie.

– Dobra, panowie, noc już prawie dobiegła końca – oznajmił dowódca. – Może wystarczy nam czasu na jeszcze jeden przystanek. No, chyba że chcecie wracać do koszar.

– Pieprzyć koszary! Poszukajmy nowych zabawek!

Korj popatrzył po swoich żołnierzach. Widząc, że wszyscy się zgadzają, wzruszył ramionami. Nieczęsto mieli do dyspozycji cały dzień i mogli pozwolić sobie na chwilę niezobowiązującej rozrywki.

– Niech będzie. Mamy w czym wybierać. Ktoś ma jakieś specjalne życzenia? – zapytał.

– Mieszka tu taka jedna. Mała, bezczelna suka! – odezwał się jeden z demonów.

Korj spojrzał na niego, marszcząc brwi.

– I mimo to nadal żyje?

Demon, który nie zasłużył sobie jeszcze na prawdziwe imię i był znany jako Pełzak, skulił się, zbity z tropu.

– Miała obrońców.

Drużyna ryknęła śmiechem.

Korj nie był rozbawiony.

– Czy mówiąc o obrońcach... – warknął, wściekły, że musi wyciągać informacje od podwładnego – miałeś na myśli innych ludzi, czy może dziewczyna jest w łaskach u kogoś ważnego?

Śmiechy umilkły, a żołnierze spojrzeli z powagą na nieszczęsnego kolegę. Czy podjudzał ich, żeby nadepnęli na odcisk komuś, kogo za żadne skarby nie wolno drażnić?

– Nie, nie, to sami ludzie, przysięgam! – zapewnił Pełzak.

Korj odetchnął z ulgą. Przynajmniej nie musiał zabijać tego gnojka za próbę ściągnięcia śmierci na całą drużynę. Nie zamierzali podpaść komuś z góry, podbierając mu osobistą zabawkę. Dowódca wrócił do pierwszego pytania.

– Powtarzam... Ona żyje?

– Ci ludzie byli za silni.

Tym razem Korj zawczasu powstrzymał kolejną salwę rechotu. Ta drobna porażka istotnie zasługiwała na wyśmianie, ale nie była to odpowiednia pora.

– Pozwoliłeś, żeby ta twoja bezczelna suka i jej obrońcy pobili cię i uszli z życiem? Gdzie to jest?! – zapytał dowódca, teraz już poważnie rozgniewany.

– Trzeba iść tędy. – Pełzak strachliwie wskazał miejsce.

– Idziemy. Tej nocy połączymy pracę z zabawą.

Drużyna posłusznie ruszyła. Korj chwycił Pełzaka za zdeformowane ucho i wyciągnął go na czoło. Pozostali zanosili się od śmiechu, patrząc, jak silniejszy demon pastwi się nad najsłabszym z nich.

– Spóźniliśmy się, Tur.

Rudowłosa kobieta westchnęła, spoglądając na ciała wśród dymiących ruin. Widok napawał smutkiem, ale tak właśnie wyglądała rzeczywistość w dzielnicach wokół cytadeli.

„Zresztą z tego, co widziałam, tak jest już wszędzie” – pomyślała ponuro.

– Na to wygląda, Sien – stwierdził jej towarzysz, muskularny mężczyzna zwany Turrochem, nie patrząc na zgliszcza.

– Zauważyłeś coś? – zapytała Sien’el, wstając z klęczek przy dogasających szczątkach.

– Być może.

Tur zwykle bywał małomówny. Nie rzucał słów na wiatr, więc gdy mówił, należało słuchać. Sien wiedziała też, że „być może” w jego ustach znaczy „prawdopodobnie”.

Kobieta spojrzała w kierunku, w którym spoglądał Tur, jednak nie dostrzegła niczego niezwykłego. Mniej więcej za godzinę blask świtu miał ponownie zalać okolicę i wypalić przynajmniej część plugastwa pozostałego po wędrówkach demonów. Po długiej nocy smród potworów był prawie nie do zniesienia, mimo że Sien’el już dawno się na niego uodporniła.

– Co zobaczyłeś? – zapytała.

– Nic. Ale coś usłyszałem – odparł mężczyzna, ruszając przed siebie.

Dotrzymywała mu kroku, ufając, że nie powiedzie jej na manowce. Nigdy mu się to nie zdarzyło, choć Sien miała odmienne pojęcie o „manowcach” niż większość ludzi. Wystarczyło jej, że natrafią na walkę i okazję do zabicia paru demonów.

W tych stronach właściwie dobry był każdy kierunek prowadzący do tego celu.

Korj spojrział na cel. Ot, kolejna chata.

Ściany z błota, pochyły dach... Budynek zupełnie nie wyróżniał się spośród reszty chałup w osiedlu, które wyrosło wokół cytadeli. Ludziom trzeba było oddać jedno – lubili budować.

„Szkoda, że kiepsko im to idzie” – pomyślał demon, oceniając najbliższe wytwory ludzkiego budownictwa.

– Jesteś pewien, że to tutaj? – zapytał Pełzaka już po raz trzeci.

Tak naprawdę dowódca nie dbał o to, czy zawędrowali we właściwe miejsce, ale nie chciał tracić czasu i przekładać cenniejszej lekcji na inną okazję.

– Tutaj, szefie. Na pewno! – przytaknął Pełzak, wskazując na domostwo.

Korj skinął głową.

– W porządku, a zatem... pora się przywitać.

Otoczające go demony ryknęły podłym śmiechem, ku zadowoleniu wodza, po czym ruszyły w stronę chaty.

Większość drużyny wciąż była w trakcie Przemiany. Pod względem umysłowym demonom tym bliżej było do dzikich bestii niż do istot rozumnych. Żołnierze wiedzieli jednak, że muszą słuchać dowódcy, bo ten w przeciwnym razie pozabija ich i znajdzie sobie bardziej posłusznych rekrutów. Przemoc wobec przypadkowych ludzi była dopuszczalna, istniały jednak granice, które musiał respektować nawet demon, przynajmniej do czasu, aż uda się wycisnąć z bezradnych naczelnych resztki wartości, jaką sobą prezentowali.

Stając u drzwi, Korj pozwolił „zapukać” innemu członkowi grupy, który parę dni wcześniej zaskarbił sobie jego uznanie dobrą służbą.

– Warkot – zwrócił się do półdzikiego demona, wskazując głową wejście. – Otwieraj.

Warkot zasłużył na swoje miano, bo na tym etapie był to jedyny odgłos, jaki wydobywał się z jego ust. Korj zastanawiał się czasami, czy nieszczęśnik kiedykolwiek odzyska zdolność mowy, czy może

Przemiana odebrała mu ją na dobre. Nie każdy, kto przechodził Przemianę, ewoluował. Wielu utknęło w Dziewiątym Kręgu, nawet jeśli nie zginęli przedwcześnie. Ten, kto nie zdołał wspiąć się wyżej, zwykle padał ofiarą silniejszego, bez względu na to, ile miał lat.

Na razie jednak Warkot sprawował się całkiem nieźle. Rycząc radośnie, przypuścił szarżę na drzwi i uderzył tak mocno, jak pozwalało na to jego przysadziste, umięśnione cielsko.

Rozklekotane drzwi nie miały szans. Wpadły do środka wraz z Warkotem, który zatrzymał się za progiem. Z wnętrza rozległy się przytłumione, lękliwe okrzyki.

– Pełzak – sarknął Korj, cudacznie gestykulując – czekamy na twój występ!

Demon przełknął ślinę i pokiwał głową.

– Tak jest! – pisnął. – Sprawię się jak trzeba, szefie!

Korj obserwował z pewną pogardą, jak potworek... no cóż, pełźnie do izby.

„To żywy dowód na to, że jeśli nie umiesz mówić, nie znaczy to, że jesteś gorszy od kogoś, kto potrafi”.

Warkot był dużo bardziej przydatny niż tchórzliwy Pełzak i wart co najmniej dziesięciu takich nędznych kurdupli.

Korj, a po nim reszta drużyny weszli za Pełzakiem do chaty. Krzyki mieszkańców przybrały na sile.

Sien przystanęła na skraju dachu, rozglądając się. Była pewna, że coś usłyszała.

„Ale co?”

– Też to słyszałeś, Tur? – zapytała.

– Krzyki w nocy – potwierdził.

Sien splunęła.

– Demony się bawią.

Tur nie skomentował oczywistego stwierdzenia. Zamiast tego obrócił się powoli, usiłując odnaleźć źródło odgłosów.

Nie było to łatwe. Osiedle, w którym się znajdowali, bywało dosyć hałaśliwe, nawet nocami. Wielu ludzi mieszkało tu, pomimo niesprzyjających warunków, ponieważ próba ucieczki zakrawała na

samobójstwo. Ci, którym udało się umknąć przed patrolem demonów, skazani byli na śmierć z pragnienia i wycieńczenia na pustyni.

Pani Cytadeli zadbała o to, by idąc w jakimkolwiek kierunku, człowiek przez wiele dni nie mógł liczyć na schronienie i wodę. Była to genialna metoda kontroli ludności. Pracuj lub zdychaj. Chcesz odejść? Cóż, miło, że wybrałaś śmierć.

Władczynie tak naprawdę nie musiała wydawać wyroków śmierci na ludzi, choć oczywiście robiła to od czasu do czasu. Żywioły załatwiały wszystko za nią.

Jakość konstrukcji domów i innych budynków była... nierówna. Sien'el i Tur stali teraz na budowli z suszonej cegły, wzmocnionej innymi materiałami. Solidnej i sprawdzającej się jako punkt obserwacyjny. Jednak wokół widać było najróżniejsze budynki, od rozlatujących się starych szałasów z patyków i budulca, który zdaniem kobiety zupełnie nie nadawał się do tego celu, aż po imponujące piętrowe gmachy.

Większości domów bliżej było jednak do zbitek patyków i słomy.

– Tam – rzucił Tur, wyciągając rękę.

Sien i tym razem nie zauważyła niczego, co mogłoby przyciągnąć wzrok. Nie zamierzała jednak stać beczynnym, więc zdała się na instynkt i zmysły.

– Idziemy – postanowiła. Ściskając w dłoni włócznię, zeskoczyła z dachu, z wysokości jakichś trzech metrów. Kucnęła przy lądowaniu, by rozłożyć siłę uderzenia. Gdy stanęła na nogi, poczuła, jak ziemia drży. To Tur wylądował obok.

– Pójdę pierwszy – powiedział, wyjmując topór i ruszając ulicą.

Przez chwilę patrzyła za nim, szczerząc zęby.

– Jasne. Będę tuż za tobą.

Lubiła, gdy Tur wysuwał się naprzód i przejmował kontrolę. Zwykle wolał po prostu robić to, co zasugerowała Sien. Co, oczywiście, również jej nie przeszkadzało.

„Mają charakterek”.

Korj zareagował rozbawieniem, gdy ludzie spróbowali odeprzeć atak. Walczyli nie najgorzej, więc ostatecznie Pełzak nie wyszedł na kompletną ciamajdę. Mimo to dowódca bez problemu rozbroił napastnika, odbierając mu krótki żelazny sztylet, który nie wiedzieć jak znalazł się w posiadaniu człowieka.

„Dobrze byłoby to zbadać. Nie chcielibyśmy się natknąć na więcej takich niespodzianek”.

Niestety, żelazo nie było rzadkim metalem, więc na czarnym rynku kwitł handel. Przyłapanie z nim niosło ryzyko, jednak ludzie wymieniali ten materiał na broń. Korj nie do końca rozumiał sens tego procederu, wiedział jednak dobrze, że niektóre rodzaje żelaza stanowiły potencjalne zagrożenie, nawet dla demonów na wyższym poziomie.

Obecnie jedynie nieliczni mieli jakiegokolwiek pojęcie o prawidłowym wyrobie broni, więc Korj mógł się obawiać co najwyżej paru drobnych skaleczeń.

Człowiek, który próbował go dźgnąć, zamarkował cios, jednak Korj chwycił napastnika za ramię. Ignorując szamoczącego się nieszczęśnika, rozejrzał się po izbie.

– I gdzie ta twoja nieposłuszna suka, Pełzak? – zapytał.

– O, tam! To ona! – Demon podskakiwał radośnie, wymachując palcem.

Dowódca podszedł do skulonej dziewczyny, wlokąc za sobą mężczyznę. Prychnął pogardliwie.

– Taka malizna? Na co czekasz? Daj jej nauczkę!

Pełzak ożywił się, przeskakując z nogi na nogę, po czym zbliżył się do dziewczyny. Korj bez wysiłku kilkukrotnie uderzył swoim jeńcem o ścianę. Wyglądało na to, że wyrządził tym więcej szkód chacie niż człowiekowi, zdołał jednak go unieszkodliwić, podczas gdy pozostałe demony przytrzymały innych mieszkańców.

Pozwolą Pełzakowi się zabawić, a potem Korj zdecyduje, ilu ludzi przeżyje tę noc.

Postanowił, że przynajmniej niektórzy ujdą z życiem.

Aby nauka nie poszła w las, ktoś musiał o tym wszystkim opowiedzieć. Zasadniczo chodziło o to, by żołnierze rozerwali się po służbie, jednak Korj nie zamierzał zmarnować cennej lekcji... Cennej dla obu stron.

Dziewczyna krzyczała wniebogłosy, gdy Pełzak nachylił się nad nią i chwycił za kawałek materiału, którym się osłaniała. Nawet gdyby miała przy sobie broń, przyniosłoby jej to tyle pożytku co tkanina, teraz już rozdarta. Dziewczyna była zdana na łaskę Pełzaka.

Korj parsknął cicho. Demony rzadko okazywały łaskę, nawet gdy Przemiana dobiegła końca, a ból ustąpił. Uczucie litości wypalało się dużo wcześniej.

– Ładna z ciebie suczka – zanucił Pełzak, napawając się lękiem ofiary i własnym podnieceniem. – Pożałujesz, że nie byłaś dla mnie grzeczniejsza.

Dziewczyna coś krzyczała, jednak jej słowa były zbyt nieskładne i niewyraźne, by Korj zadał sobie trud przetłumaczenia ich w myślach.

Miał ochotę ponaglić Pełzaka, jednak doświadczenie mówiło mu, że w takich sytuacjach czas działa na ich korzyść. Lepiej było najpierw zastraszyć ludzi nieuchronnym losem, niż szybko ich wykończyć.

– Pełzak się z tobą zabawi, suczko, o tak... Pełzak ci pokaże...

Nagle gadaninę demona przerwał krzyk. Tym razem nie dziewczyny, jak początkowo sądził Korj, ale Pełzaka. Dowódca podniósł wzrok i ujrzał ogromną włócznię wystającą z ciała młodego demona. Wówczas zrozumiał, że coś się zmieniło.

– Uważajcie! – zawołał, jednak gdy się odwrócił, zdał sobie sprawę, że już za późno.

Kiedy Warkot obejrzał się z niepokojem, topór o wielkim ostrzu odrąbał mu głowę wraz z ramieniem. Demon upadł bezgłośnie.

Korj błyskawicznie ocenił sytuację. Kozik, którym próbował go ugodzić człowiek, był niegroźny. Za to topór i włócznia miały wystarczające rozmiary, by wyrządzić prawdziwą krzywdę nawet demonowi, i wyglądały na oręż o choć trochę lepszej konstrukcji.

Dowódca odrzucił jeńca na bok i stanął do walki. Zobaczył, jak do chaty wchodzi potężnie zbudowany człowiek, wymachujący toporem.

Wojownik szybko uporał się z kolejnym demonem, rozrąbując jego ciało z niepokojącą łatwością. Ciasnota panująca w izbie niwelowała przewagę drużyny.

Korj ryknął i rozwalił kopniakiem ścianę za sobą.

– Do mnie! – rozkazał ocalałym żołnierzom.

Prawie zamrugał z niedowierzaniem. Wszedł do tego domu z całym oddziałem i prostym zamiarem. Chciał nauczyć moresu paru ludzi, a przy okazji pozwolić podkomendnym rozładować napięcie. Teraz nie byli myśliwymi, a jedynie niedobitkami po zaciekłym ataku, w którym zginęły już trzy demony.

Pozostałe cztery wraz z dowódcą pospiesznie wydostały się z chaty, dobywając broni.

Cienie otaczające dom przez chwilę spowijały go takim mrokiem, że stojąc na ulicy, oświetlonej brzaskiem i kilkoma pochodniami, żołnierze nie widzieli, co się dzieje w izbie.

Wynurzyła się z niej muskularna noga, a potem reszta człowieka dzierżącego topór. Korj mimowolnie poczuł podziw.

„Kawał chłopca”.

Wojownik mierzył ze dwa metry wzrostu i prawie tyle samo w barach. Był splamiony demonią posoką, a na twarzy miał szalony uśmiech. Korj zawahał się. Przestając z demonami, przyswoił sobie prostą prawdę, że nigdy nie należy lekceważyć szaleństwa.

Jego uwagę przyciągnął jakiś bulgot dobiegający z wnętrza chaty. Dowódca spojrział ponownie w cienie, dostrzegając niewyraźny ruch. Po kilku sekundach z domu wyłoniła się szczupła, umięśniona ludzka samica, ściskająca zakrwawioną włócznię.

„Jest ich dwójka. I potrafią walczyć” – Korj analizował sytuację. Wciąż mógł wyjść z tego zwycięsko. Ludzie pozostawali ludźmi, bez względu na zręczność i siłę.

– Przygotować się – polecił pozostałym przy życiu członkom drużyny.

Demony stanęły do boju, rycząc, warcząc i napinając mięśnie. Przeciwnicy odpowiedzieli podobnie.

– Brać ich!

Rozpoczęła się walka.

ROZDZIAŁ 4

REDUTA NA ATLANTYDZIE

Elan weszła do reduty, jak zawsze pełna podziwu dla talentu pradawnych budowniczych. Gładkie podłogi i stropy nieodmiennie ją zachwyciły.

Na wspomnienie pierwszej wizyty w tym miejscu pomyślała o Kaernie. Pozwoliło jej to na chwilę uspokoić emocje. Tajemniczy mężczyzna wciąż wzbudzał u niej mieszane uczucia, zaś pierwszy kontakt Elan ze światem zewnętrznym nie był tak... jednoznaczny, jak oczekiwała, będąc dzieckiem.

Brokkr i Sindri stanowili jeszcze świeższy dowód, że Elan nieprędko zapomni tę lekcję, jednak dziewczyna zdążyła się już trochę oswoić z tą wiedzą.

Elan westchnęła, zarzuciła na ramię torbę i resztę ekwipunku, po czym udała się do zbrojowni. Merlin przygotował tyle starożytnych zbroi, ile zdołał. Wystarczyło ich dla Elan, Kaleba i Jola.

Arsenał również był dość ograniczony. Merlin miał pretensje do Elanthielle, ponieważ podczas poprzedniej misji straciła cały oręż. Teraz jednak broń spoczywała na dnie morza, więc dziewczyna nie bardzo wiedziała, co miałyby na to poradzić.

Gdy dotarła do zbrojowni, Merlin już na nią czekał.

– Jak widzę, wróciłaś po więcej? – zagałł sardonicznie.

– Daj już spokój! – Elan tupnęła. – Tamtą broń straciłam już rok temu, w samym środku walki z całym miastem demonów!

– Wystarczyłoby samo przyznanie, że straciłaś broń – odparła międzywymiarowa inteligencja. – Wymówki niewiele dla mnie znaczą.

– Już ja bym ci pokazała wymówkę, gdybyś nie był widmem – burknęła dziewczyna.

„Czerpanie z czegokolwiek takiej przyjemności powinno być zakazane albo przynajmniej niemoralne” – uznał Merlin.

Elan była tego dnia wyjątkowo drażliwa i rozgoryczona. Dla Merlina stanowiło to coś jak łyk świeżego powietrza. Zwykle dziewczyna emanowała butą, pewna obranej ścieżki i przekonana, że nawet jeśli nie idzie we właściwym kierunku, przynajmniej gdziekolwiek zdąży.

Straty, których doświadczyła, ukształtowały jej charakter, jednak nadal była młoda i miała w sobie płomień, który bez przerwy ją napędzał. Miło było więc widzieć, że od czasu do czasu okazuje nieco pokory.

Utrata broni bocznej nie była wcale drobnostką. Merlin miał niewielkie zapasy i w żaden sposób nie mógł ich uzupełnić. Gdy się wyczerpią, wraz z nimi przepadnie technologia i przewaga, jaką zapewniała.

Na szczęście ta chwila jeszcze nie nadeszła, a jedyną rzeczą gorszą od zgubienia broni byłoby nieużywanie jej wcale.

Dlatego, choćby bardzo chciał, Merlin nie mógł się naprawdę gniewać na Elan za ten incydent.

– Nie wątpię, że dałabyś mi wycisk – odpowiedział na jej groźbę, szczerze rozbawiony. – Tymczasem jednak przygotowałem dla ciebie nową broń. Jest przy twojej zbroi.

Elan westchnęła, wyraźnie tłumiąc chęć, by wyładować irytację.

– Dziękuję, Merlinie – wydusiła dość uprzejmie, choć jej oczy mówiły co innego ku uciechu rozmówcy.

– Ależ nie ma za co, moja droga – zapewnił Merlin, wskazując na przygotowany dla niej pakiet uzbrojenia.

Dostała tę samą zbroję co rok temu, naprawioną i przywróconą do idealnego stanu, z uzupełnionym poziomem energii i materiałów eksploatacyjnych, w tym również tych, których byt nie zdążył przygotować ostatnim razem.

Broń boczna odpowiadała tej, której Elan używała poprzednio, choć oczywiście tym razem był to inny egzemplarz. Niestety, wydobywanie przedmiotów z morskich głębin na razie leżało poza zakresem umiejętności prastarego bytu.

Elan sprawnie zabrała się za uważną kontrolę sprzętu, ku aprobachie Merlina.

Ogólne wyszkolenie dziewczyny pozostawiało, mówiąc delikatnie, sporo do życzenia. Wedle standardów dawnej kultury Elan była dziką bestią, której nie należało powierzać nawet podstawowych narzędzi, nie mówiąc już o broni. Merlin dopilnował jednak, by szkolenie uwzględniało należytą obsługę i konserwację, a także lekcje użytkowania uzbrojenia w terenie, które w przeszłości były normą.

„Może i nie opanowała jeszcze arytmetyki, czy nawet sztuki czytania, jednak z pewnością zna się na swoim sprzęcie”.

Zważywszy na poziom wykształcenia, jakiego zazwyczaj wymagano, zanim dopuszczono kogokolwiek do takich przedmiotów, Merlin był pełen szczerego uznania dla zdolności Elan.

Może i nie miała obszernej wiedzy, ale na pewno umiała się uczyć.

Elan przyjrzała się broni od Merlina, sprawdzając poziom mocy i zabezpieczenia, jeszcze zanim wzięła sprzęt do ręki. Następnie odłączyła rdzeń mocy, by zabezpieczyć oręż na czas kontroli poszczególnych elementów.

Tym wszystkim mógł się zająć Merlin, jednak wszyscy nauczyciele Elan, od jej ojca aż po międzywymiarową inteligencję, podkreślali, że wojownik sam powinien dbać o swoje narzędzia. Owszem, można było zlecić pewne czynności komuś innemu, jeśli brakowało czasu, jednak zawsze należało samodzielnie sprawdzić stan broni przed walką.

Broń była, naturalnie, dobrze utrzymana. Elan byłaby wręcz zdziwiona, gdyby natrafiła na jakąkolwiek nieprawidłowość. Merlin by nie pozwolił, żeby w jej ręce wpadł wadliwy egzemplarz, chyba że doprowadziłaby do tego jakaś wyjątkowo krytyczna sytuacja.

Znając jednak naturę świata, dziewczyna podejrzewała, że taka sytuacja w końcu nastąpi. To tylko kwestia czasu.

„Tak czy inaczej, teraz broń jest gotowa do użycia” – pomyślała, na nowo włączając rdzeń i przechodząc do zbroi. Znała ją aż za dobrze. Przesunęła palcami po lekkich odbarwieniach w miejscach, gdzie

została ranna i gdzie pancierz przyjmował na siebie potężne ciosy, by uratować jej życie.

Pomimo napraw na powierzchni pozostały ślady każdego cięcia i przepalenia. Rozciągając materiał pancerza, można było go wygładzić. Elan przystąpiła do tej czynności z zamyśloną miną.

Po niedługim czasie zbroja była gotowa do wykorzystania w terenie, a dziewczyna zdjęła odzienie i zaczęła się ubierać na akcję.

Kaleb spochmurniał, gdy drzwi przed nim nie otworzyły się na komendę.

– Merlinie? – burknął, rozmasowując twarz w miejscu, którym uderzył w drzwi.

– Tak, mości Kalebie? – zapytał Merlin z nutką jakiejś trudnej do opisanía emocji.

– Zepsuły się czy co?

– Nic podobnego.

Kaleb westchnął.

– To dlaczego się nie otworzyły?

– Bo je zabezpieczyłem.

– I nic mi nie powiedziałaś? – Chłopak zmrużył podejrzliwie oczy. Teraz był już pewien, że Merlin z niego kpi.

– Niezmiernie mi przykro. Nie miałem na to czasu – wyjaśnił byt z rozbawieniem.

– Nie miałeś... Merlinie, przecież mogłeś mi powiedzieć w dowolnej chwili, kiedy tu chodziłem – zaperzył się Kaleb.

– Nie wyraziłem się jasno. Zabezpieczyłem drzwi niecałą sekundę przed tym, jak spróbowałeś je otworzyć.

– Niecałą... – Kaleb przewrócił oczami. – Ale dlaczego miałbyś to robić?

– Ot tak, bez powodu.

Drzwi szcęknęły i otworzyły się powoli. Młodzieniec zerknął na nie nieufnie.

– Właśnie je odbezpieczyłem – oznajmił Merlin.

Kaleb wbił wzrok w miejsce, skąd dochodził głos, zły, że Merlin nie posiada fizycznej postaci, na której można się wyładować. Zresztą chłopak miał teraz inne zmartwienia.

Westchnął i przeszedł do zbrojowni. Elan akurat skończyła mocować zbroję.

– Witaj – powiedziała z uśmiechem. – Cieszę się, że dotarłeś.

Wzruszył ramionami.

– Nie jestem do końca pewien, czy żywot wojownika jest dokładnie taki, jak sobie wyobrażałem, gdy byłem młodszy, ale to poważna sprawa.

Przytaknęła.

– Sama nie mam co do tego pewności, złożyłam jednak przysięgę. Może i demony zwyciężą, lecz nie dbam o to. Ktoś musi z nimi walczyć, a teraz padło chyba na nas.

Kaleb nie mógł się z tym nie zgodzić. Odnalazł zbroję przygotowaną dla niego.

Nie znał się na czarach Merlina tak dobrze jak Elan, jednak oboje ćwiczyli pod kierunkiem tych samych trenerów i Kaleb wiedział, że Simone w najlepszym razie obdarłaby go ze skóry, gdyby zaniedbał kontrolę ekwipunku przed walką.

„Czasami trzeba sobie radzić z tym, co jest pod ręką, ale jeśli ma się czas... trzeba się przyłożyć do roboty”.

Starsza kobieta ujmowała to inaczej, ale sens pozostawał ten sam.

– Sprawdzę wszystko i niedługo do ciebie dołączę – powiedział, gdy Elan zabezpieczyła broń boczną i skierowała się do wyjścia.

Zatrzymała się i obejrzała na niego z uśmiechem.

– Widzimy się na zewnątrz.

Sala transportowa reduty nie wyglądała imponująco. Poza niepokojąco gładką powierzchnią, taką jak w innych podobnych budowlach, nie było właściwie czego oglądać. Jeśli wierzyć Merlinowi, mechanizm sterujący systemem transportowym nie był nawet zlokalizowany w reducie, tylko w zupełnie innym, bezpiecznym miejscu, zawierającym wiele, jak to ujął Merlin, „kopii zapasowych”.

Elan nie była pewna, co to dokładnie znaczy, mimo że znała każde z tych słów. Tak czy inaczej, uważała same sale transportowe za... cóż, zwyczajnie nudne.

Pomieszczenie na Atlantydzie nie różniło się od pierwszego, w którym znalazła się Elan – przestronna sala, a na podłodze niezrozumiałe oznaczenia. Gdy o to zapytała, Merlin powiedział, że inskrypcje napisano w kilku językach. Uwagę przykuwał jedynie fakt, że nigdzie nie było choćby drobin kurzu.

Kaern tłumaczył, dlaczego tak jest, choć Elan wciąż niezupełnie to pojmowała. Z tego, co mówił jej dawny towarzysz, podczas działania pomieszczenie przetwarzało materię, w tym kurz, bezpośrednio w światło. Brak kurzu, brudu, plam i innych zanieczyszczeń stanowił efekt uboczny oświetlenia.

Wydawało się to sprytną sztuczką, niestety, Elanthielle dowiedziała się, że technika ta obecnie przerasta możliwości małej, choć rosnącej ludzkiej społeczności. Wyspiarze musieli więc pozostać przy pochodniach i świecach.

– Gotowe? – Elan rzuciła pytanie w rozrzedzone powietrze.

– Tak – odparł Merlin, materializując się u jej boku. – Uruchomiłem protokoły łączności z obiektem docelowym. Przez pewien czas nie były używane, ale wszystkie systemy główne wydają się nieuszkodzone i gotowe na odbiór.

– Wyślij mnie.

– Inni jeszcze nie dotarli – zaproponował byt.

– Nie idę walczyć – wyjaśniła Elan. – Rozejrzę się tylko po reducie. Wyprawisz ich za mną. A teraz mnie wyślij, Merlinie.

Awatar westchnął ostentacyjnie. Wyglądał na strapionego.

– Niech i tak będzie – zgodził się w końcu. – Przygotuj się.

– Już jestem gotowa.

– Transport rozpoczęty.

Podróż przez sieć transportową Starożytnych napawała dziwną mieszaniną niepokoju i poczucia kompletnej nicości.

Elan dowiedziała się, że z zewnątrz wygląda to jak błysk światła, wyraźny, choć znikający niemal zbyt szybko, by dało się go dostrzec.

Pomiędzy wyruszeniem a dotarciem do celu nie było nic. Zwyczajnie przestała istnieć w jednym miejscu i od razu znalazła się w innym. Chwila niepokoju następowała, gdy mózg próbował przyswoić sobie zmianę lokalizacji. Czasami nie działało się nic szczególnego, zwłaszcza podczas skoku w ciemne miejsce. Mózg reagował, jakby ktoś po prostu zgasił światło, i nie sprawiał większych kłopotów.

Gdy jednak Elan przenosiła się w dobrze oświetlony obszar, przez krótką chwilę miała przyprawiające o mdłości poczucie pozornego ruchu. Zauważyła, że czuje się lepiej, jeśli zamknie oczy, tak też zrobiła i tym razem.

Okazało się, że nie było to konieczne. Gdy otworzyła oczy, świat wciąż był pogrążony w mroku. Najwyraźniej światła w nowej reducie pozostawały wyłączone.

„A to ciekawe...”

– Merlinie? – zawołała. – Słyszysz mnie?

Nie doczekawszy się odpowiedzi, burknęła z niezadowoleniem i ruszyła przez ciemność. Jej oczy powoli przyzwyczajały się do otoczenia... No cóż, „przyzwyczajały się” to za dużo powiedziane. Elan zdała sobie z tego sprawę, dręczona przez kilka chwil fałszywymi obrazami. Wyglądało na to, że nigdzie nie ma światła, do którego miałyby przywyknąć wzrok.

Stęknęła, wychodząc po omacku z pomieszczenia transportowego. Po chwili dotarła do kolejnej części reduty.

Na szczęście Starożytni zbudowali wszystkie te obiekty według jednego schematu, dzięki czemu dziewczyna znalazła drogę... albo przynajmniej drzwi do centrum sterowania.

„Cholera. Są zaryglowane i tu też nie ma mocy. Po prostu cudownie”.

Miała niewielki wybór, choć zdziwiła się, że system nie reaguje. Merlin mówił przecież, że działa jak należy.

Drzwi były pokryte warstwą kurzu. Elan cieszyła się, że jej zbroja posiada filtr, bo podejrzewała, że w powietrzu również unosi się sporo pyłu.

Zebrała się w sobie i uderzyła w drzwi z całą siłą, na jaką pozwalał pancerz. Ku swojej konsternacji odbiła się od nich. Wcześniej była przekonana, że dałaby radę zniszczyć dowolne drzwi w prawie

każdej reducie, którą odwiedziła... Oprócz tej, którą Merlin nazywał Avalonem i która bez wątpienia była obiektem wojskowym.

„Czy to coś podobnego?” – zastanawiała się Elan. „Dlaczego mi nie powiedział?”

Coś było nie w porządku...

– Coś jest nie w porządku...

– Co powiedziałaś, Merlinie? – Kaleb uniósł wzrok.

– Że coś jest nie w porządku – powtórzył byt poirytowanym tonem.

– Co takiego?

– Elan chciała przejść na drugą stronę przed wami – wyjaśnił Merlin. – Przystąpiłem na to, choć niechętnie, i wyprawilem ją w drogę, ale...

– Ale co? – Kaleb wyprostował się, przerywając zmagania ze zbroją. – Nic jej nie jest? Czy może nie dotarła?

– Dotarła, cała i zdrowa – odparł Merlin. – Analiza błędów niczego nie wykazała, ale...

– To o co chodzi?

– Nie mogę jej znaleźć w tamtym obiekcie – przyznał byt.

Kaleb zaklął cicho, po czym zaczął szybciej mocować ekwipunek.

– Też tam pójde. Poślij mnie za nią.

– Nikogo nie będę tam transportował, dopóki się nie dowiem, co zaszło – obruszył się Merlin. – Gdybyś zniknął, i tak niczego zdziałasz. Uspokój się. Rozpracuję to.

Pradawna inteligencja zniknęła, pozostawiając Kaleba, mocującego się z pancerzem i rzucającego przekleństwa w pustkę.

Jol przeciągnął się, wchodząc niespiesznie do budowli Starożytnych. Czuł się prawie jak w domu, bo obiekt przypominał mu budynki w Lemurii. Towarzyszyli mu Brokkr i Sindri. Cała trójka zeszła do obszaru transportowego. Okazało się jednak, że

pomieszczenie główne jest zamknięte. Merlin migał wokół, pospiesznie sprawdzając wszystko, co się dało.

– Ej... Wszystko w porządku? – zapytał Jol, bardziej z ciekawością niż troską.

– To się jeszcze zobaczy. – Jedna z projekcji Merlina pojawiła się przy trzech mężczyznach, a pozostałe nie ustawały w pracy. – Elan postanowiła was wyprzedzić. Co prawda system przesłał potwierdzenie odbioru, ale odkąd wyruszyła, nie mam z nią kontaktu.

– Hmm... – mruknął Brokkr, gładząc brodę. – Rzadki przypadek, ale takie rzeczy się zdarzają. O ile pamiętam, systemy przewidują przekierowanie awaryjne na wypadek problemów, prawda?

– Owszem, ale tym razem nie powinno być problemów – odparł gniewnie Merlin. – Potwierdziłem wszystkie połączenia i sprawdziłem system odbioru. Elan powinna być w wybranym miejscu.

– Nie wątpię, ale jeśli nie jest, dobrze by było potwierdzić połączenia raz jeszcze.

– Już to robię – burknął Merlin. Nie lubił, gdy ktoś go pouczał, nawet jeśli miał rację.

„Drzwi wojskowe czy nie, muszę się tam dostać” – stwierdziła Elan. Wyciągnęła broń i cofnęła się.

Broń boczna miała funkcję noktowizji, która w połączeniu z systemem zbroi zapewniała pełny, choć dziwaczny widok na pomieszczenie. Tak jak podejrzewała Elan, nie różniło się ono od innych sal transportowych, pomijając wszechobecny kurz.

„Od dawna nikt nie korzystał z tego miejsca”.

Mierząc w część drzwi, gdzie jak wiedziała, znajdował się mechanizm ryglujący, Elan skrzywiła się i odwróciła głowę. Następnie nacisnęła spust i oddała pojedynczy strzał.

Spojrzała na efekt. Z zadowoleniem zauważyła, że udało jej się strzelić celnie i przepalić zamek. Wykorzystując pancerz wspomagający siłę mięśni, mogła teraz wyważyć uszkodzone drzwi, choć nie bez wysiłku.

„Zobaczmy, co się tam dzieje...”

W ciemności, nawet z pomocą zbroi, trudno było cokolwiek znaleźć. Urządzenia, takie jak te, które pokazywał jej Merlin, wyglądały na całe, zgodnie z jej oczekiwaniami, jednak żadne nie było włączone.

Elan wypróbowała przyciski obsługujące systemy, ale nie doczekała się reakcji.

Wskazywałyoby to na całkowitą utratę mocy.

„Ciekawe”.

Wcześniej nie sądziła, że to w ogóle możliwe, zwłaszcza że system transportowy był sprawny. Wiedziała jednak, w którym miejscu należy sprawdzić połączenia. Schowała broń i ruszyła dalej.

AVALON

Merlin dosłownie wychodził z siebie, pracując przy kilku systemach jednocześnie i usiłując dociec, jaki los spotkał jego młodą podopieczną.

„Jeśli została przekierowana, to nie przez błąd w protokołach sieci... Pozostaje zatem niewiele opcji”.

Prawdę mówiąc, im bardziej się nad tym zastanawiał, tym bardziej był przekonany, że istnieje jedna sensowna odpowiedź.

System nie przekierował Elan, tylko ją przechwycił.

„Musiała tu zadziałać jakaś inna inteligencja...”

ROZDZIAŁ 5

OSIEDLE POD CYTADELĄ

– Odważni są, co? – szydziła Sien, spoglądając na pięć pozostałych przy życiu demonów. – Prawie nie widać, że się trzęsą.

Tur parsknął, nie spuszczając potworów z oka.

Widział, że przeciwnicy czynią przygotowania do starcia. Niektórzy wyraźnie powstrzymywali się przed atakiem, czekając zapewne na rozkaz od przywódcy. Tur wiedział, że leży to w naturze potworów. Po prostu musiały uderzyć, mimo że ktoś mądrzejszy zastanowiłby się nad odwrotem i lepszym rozeznaniem w sytuacji.

Większy demon warknął, wydając rozkaz do ataku. Turroch tymczasem uniósł topór w oczekiwaniu.

Stojąca obok Sien'el zapała się stopami, wyciągając włócznię przed siebie. Stwór biegnący na nią, zgodnie z oczekiwaniami, nadział się na włócznię, docierając do połowy grotu, zanim powstrzymała go śmierć. Kobieta pozwoliła demonowi bezwładnie zsunąć się dalej, aż grot przebił go na wylot.

Tymczasem Tur zmienił pozycję, by osłaniać towarzyszkę toporem i trzymać wrogów na dystans, pozwalając Sien doprowadzić broń do porządku.

Odrąbanie głowy pierwszemu demonowi, który podbiegł za blisko, było łatwizną. Powstrzymanie drugiego przeciwnika przed atakiem z odsłoniętej flanki okazało się trudniejsze. Tur wymierzył mu kopniaka. Demon cofnął się, skamłąc. Mężczyzna zyskał trochę czasu na przygotowanie broni.

Wówczas Sien osłoniła go z boku, odpędzając potwory włócznią, zaś Tur siekł tych, którzy zdołali się przedrzeć.

Bitwa trwała pewnie kilka sekund, ale wydawała się o wiele dłuższa. Zresztą, bez względu na to, jak ostro ćwiczył, po kilku chwilach prawdziwego boju Tur ociekał potem i czuł się jak po całym dniu wytężonego treningu.

– Został tylko ten duży – powiedziała Sien, zauważając, że oboje brodzą już po kostki we krwi i wnętrznościach ubitych bestii. –

Wygląda na twardziela.

– I dobrze – stęknął siłacz.

Sien'el uśmiechnęła się. Zabijanie potworów było dla nich niemal świętym obowiązkiem. Z biegiem lat oboje nauczyli się jednak czerpać radość z tej przerażającej pracy. W przeszłości Sien pozostawała obojętna na przemoc. Czas ten jednak już dawno przeminął.

Sien i Tur ruszyli wspólnie ku wielkiemu demonowi.

Jakież było ich zdziwienie, gdy wróg obrócił się i zbiegł.

– Hej! – wrzasnęła Sien. – Wracaj tu!

– Zamiast krzyczeć, przebieraj szybciej nogami – warknął Tur, rzucając się w pościg. Sien zakląła i podążyła za mężczyzną, goniąc uciekającego nieprzyjaciela po nierównych i niszczących ulicach osiedla.

O nie. Nic z tego.

Korj nie przetrwałby Przemiany i nie dożyłby takiego wieku, gdyby był durniem. Ludzie stawiający opór demonom? To drobiazg. Ale ludzie, którzy szlachtują demony, gdy te mają nad nimi przewagę liczebną trzech na jednego?

Nic z tego, do cholery!

Za żadne skarby piekieł nie zamierzał rzucać się do samotnej walki z kimś takim.

„Gdzie jest najbliższy szwadron patrolowy?”

Biegnąc, Korj usiłował obmyślić najlepsze miejsce, w które mógłby zwabić napastników, jednak osiedle było spore i w większości niepatrolowane. W Cytadeli nikt nie przejmował się losem mieszkańców chat, czy to ludzi, czy demonów, którzy liczyli się tylko jako siła robocza, dostępna na każde żądanie.

Cała reszta pozostawała w rękach najsilniejszych jednostek, potrafiących najskuteczniej narzucać swoją wolę innym.

Zazwyczaj oznaczało to, że demony rządziły niepodzielnie. W końcu moce piekielne w połączeniu z przewagą fizyczną musiały wygrywać z możliwościami nędznych ludzików.

Mimo to zawsze znalazły się wyjątki.

Korj zawdzięczał życie umiejętności dostrzegania takich wyjątków. Niektórzy ludzie postradali zmysły i bez Przemiany. Był to dla nich naturalny stan.

Demon już dawno nauczył się, że wchodzenie w drogę szalonemu człowiekowi przypominało w najlepszym razie rzut kostką. Teoretycznie wciąż miało się dość przyzwoite szanse na zwycięstwo.

Gorzej, jeśli wyrzuciło się zbyt mało oczek.

Teraz pozostawała jedynie ucieczka.

Korj gnał przez osiedle, nie oglądając się i nie zwracając uwagi na otoczenie. Wypatrywał choćby śladu patroli, które powinny krążyć gdzieś niedaleko.

Nie musiał się oglądać, by wiedzieć, że dwójka ludzi depcze mu po piętach.

– Kieruje się do sfery Cytadeli!

Tur warknął. Demon ewidentnie szukał schronienia. Miał więcej rozumu niż jego pobratymcy. Trzeba go było czym prędzej powstrzymać.

– Przebij go, kiedy tylko będziesz mogła – rzucił do Sien’el.

– Jasne – odparła kobieta, przyspieszając.

Przed nimi majaczył czarny cień Cytadeli. Szanse na dorwanie bestii malały z każdą chwilą. Tur zmusił się do szybszego biegu, pozostawiając nieco w tyle towarzyszkę, która starała się dotrzymać mu kroku.

Wszystko przepadło, gdy tylko Tur zauważył demony czekające przed nimi. Korj wyhamował, a Sien spojrzała na niego z obrzydzeniem.

– Uciekł – stwierdził Tur z irytacją.

Sien spochmurniała. Sięgnęła pod tunikę i wyciągnęła krótki kij, po czym przymocowała go naciętym końcem do drzewca włóczni.

Korj zapłakałby z radości na widok patrolu na służbie, gdyby Przemiana nie pozbawiła go kanalików łzowych, wraz z wieloma

innymi ludzkimi cechami. Tak czy inaczej, zakrzyknął z ulgą, machając rękami, by zwrócić na siebie uwagę.

Nie rozpoznawał grupy ani żadnego z jej członków, teraz jednak nie miało to znaczenia. Wszystkie demony łączyło obrzydzenie do ludzkiej postaci, z której wyewoluowały. Ani Korj, ani żaden z jego ziomków nie roztrząsali przyczyn takiego podejścia, choć teraz taka wiedza mogłaby okazać się pożyteczna.

– Coś ty za jeden? – warknął dowódca szwadronu.

– Ludzie. Groźni – wydyszał Korj, wskazując za siebie. Widać ludzka słabość nie zdążyła jeszcze w pełni opuścić jego ciała.

Dowódca parsknął, ale spojrzał na niego uważniej.

– Groźni ludzie, mówisz? Ty cherlaku!

Korj zwykle by spierał się, jednak w tej chwili nie widział w tym większego sensu. Wciągnął powietrze, chcąc wszystko wyjaśnić. Wtedy jednak wstrząsnął nim przeszywający ból.

Powoli opuścił wzrok, spoglądając z niedowierzaniem na grot wystający mu z piersi.

„A to skąd się tu wzięło?”

Świat wokół niego rozmył się, a Korj nie zauważył nawet zgiełku narastającego wokół.

Sien prychnęła z niesmakiem, chowając kij dający broni większy zasięg.

– Teraz potrzebuję nowej włóczni – stwierdziła. – Chodźmy już.

Tur przytaknęła, a zaraz potem potrzęsła głową. Raz jeszcze sprawdził, gdzie dotarła włócznia, i gwizdnął cicho.

Taki wyczyn był dla niego niemożliwy, nawet gdyby cisnął toporem i miał niewyobrażalne szczęście. Uśmiechnął się z zadowoleniem, gdy jego towarzyszka ruszyła przodem. Wodził wzrokiem po jej ciele, po mięśniach poruszających się pod naznaczoną bliznami skórą. Szybko się jednak opamiętał.

– Niezły strzał – powiedział.

Sien nic nie odpowiedziała, obejrzała się jednak z uśmiechem i kiwnęła głową, jednocześnie dziękując za komplement i przypominając, że następnym razem muszą się bardziej postarać.

Tur nie był pewien, czy kiedykolwiek będzie w stanie miotać broń na takie odległości, jednak w zwarciu potrafił bez problemu siekać demony jak zgniłe mięso.

„Tak czy inaczej, przydałby się dodatkowy zasięg” – pomyślał, zerkając za siebie. „Muszę się nad tym zastanowić”.

Para zanurzyła się w mroku nocy, zostawiając za sobą panikujące demony. Tur chętnie załatwiłby jeszcze kilka, jednak wzięcie drużyny z zaskoczenia i wyrznięcie jej w pień było czymś zupełnie innym od próby ataku na nieprzyjaciela gotowego do walki.

Wiedział zresztą, że po zmroku nie braknie im okazji, żeby się odkuć.

NIEZNANA REDUTA

Elan brodziła w nieprzeniknionej czerni starej reduty, wdzięczna zbroi za ochronę przed tumanami kurzu, które wzbijała, i za oświetlenie pozwalające zobaczyć cokolwiek, mimo że światło miało nietypową barwę i rzucało cienie utrudniające widoczność z większej odległości.

Zazwyczaj dziewczyna nie musiała zapuszczać się tak daleko w podobne obiekty, które odwiedzała w przeszłości. Jeżeli system transportowy działał, cała reszta również powinna funkcjonować bez zarzutu. Elan nie wiedziała, dlaczego ta reduta jest inna, ani nawet czy znalazła się tam, gdzie chciała.

Nie wiedziała zresztą prawie nic, choć musiała przyznać, że to dla niej żadna nowość. Zdążyła już przyzwyczać się do tego stanu.

Zasilanie tych obiektów wciąż stanowiło dla niej tajemnicę rodem z arkanów czarnej magii. Merlin zapewniał, że czarna magia nie istnieje, oświadczył jednak, że nie jest w stanie wyjaśnić jej tego w zrozumiałym sposób bez długotrwałego i żmudnego szkolenia.

Innymi słowy, była to czarna magia.

O ile funkcjonowanie systemów mogły spowijać opary prastarych tajemnic, wymogi dotyczące konserwacji nie były już tak zagadkowe. Elan z łatwością zlokalizowała pomieszczenie z głównym układem sterowania, który jak jej powiedziano,

utrzymywał w ryzach wszelkie osobliwości energetyczne. Zaczęła błądzić po omacku.

„Miałam rację” – pomyślała triumfująco, gdy natrafiła na kilka mniejszych i głównych przełączników. Wszystkie były nieaktywne. Uruchomiła je kolejno, zaczynając od tych małych i zostawiając ostatni, główny przycisk na koniec.

Kiedy go wcisnęła, światła wokół niej rozbłysły w niepokojący, lekko mistyczny sposób, typowy dla oświetlenia w redutach. Nie było tam żadnych lamp, światło po prostu padało zewsząd, zalewając blaskiem całe pomieszczenie i nie pozostawiając ani jednego zacienionego miejsca.

To ostatnie doprowadzało Elan do szału, kiedy zaczynała korzystać z reduct, dopóki nie zidentyfikowała przyczyny niepokoju. Gdy już zrozumiała, w czym rzecz, znosiła to dużo lepiej.

Po włączeniu światel dziewczyna przez chwilę rozważała zdjęcie hełmu, jednak zrezygnowała, widząc wirujące kłęby pyłu, wzlatujące z każdym jej ruchem.

„Od dawna nikogo tu nie było”.

– Proszę, proszę... Kogo my tu mamy?

Elan przykucnęła i obróciła się, odruchowo sięgając do boku i zaciskając palce na cylindrze swojej jedynej broni.

AVALON

Merlin ponownie sprawdził system.

Wszystko wyglądało jak trzeba. Doprowadzało go to do szału. Przecież coś wyraźnie poszło nie tak.

Merlin rzadko bywał aż tak zbity z tropu. Systemy w żaden sposób nie mogły wskazać, gdzie jest Elan ani co się z nią dzieje. Według raportów cała operacja poszła zgodnie z planem.

– Nic? – zapytała Simone z troską.

– Nic – odparł Merlin. – Ciągłe dostaję informację, że system jest w idealnym stanie, przynajmniej jeśli chodzi o ścieżkę, którą podążyła Elan. Ktoś lub coś musiało ją przechwycić, nie zostawiając przy tym żadnych śladów.

– To dziwne... – mruknęła Simone.

– Jeszcze dziwniejsze, niż myślisz, panienko – wtrącił się Brokkr, marszcząc brwi w zamyśleniu. – Merlinie, popraw mnie, jeśli się mylę, ale o ile mi wiadomo, nikt nigdy nie przeniknął w taki sposób do sieci transportowej.

– Masz rację – westchnął Merlin. – Nawet w najbardziej krytycznej sytuacji, kiedy reduty dostały się w niepowołane ręce, nie zagroziło to systemowi. Oczywiście niektóre węzły uległy zniszczeniu, ale nigdy nie doszło do czegoś takiego.

– Skoro atak z zewnątrz odpada – odezwał się Sindri – to może od wewnątrz?

Merlin przytaknął.

– Dopuszczam taką możliwość. Istnieją inne inteligencje. Niektóre mogłyby uzyskać dostęp, ale żadna nie miałaby powodów, by się przede mną kryć. To mnie właśnie martwi.

– Zbuntowana inteligencja? – Brokkr prychnął. – No tak, coś takiego i mnie napędziłoby strachu.

– W ten sposób do niczego nie dojdziemy – utyskiwał Jol. – Czy system działa?

Merlin obrzucił młodzieńca spojrzeniem. Jego awatar wzruszył ramionami.

– Funkcjonuje bez zarzutu, o ile kolejny transport także nie zostanie przechwycony.

– W porządku, więc poślij i mnie – zaproponował Jolnir.

– Czyś ty zwariował? – zaprotestował Sindri. – Ciebie też moglibyśmy stracić!

– Dotrę albo tam, gdzie mieliśmy się znaleźć, albo... – Jol wzruszył ramionami. – Albo tam, gdzie jest Elan. Pomogę jej się z tego wyplątać... Zapewne z użyciem młota. A potem wyruszymy do ustalonego celu. Tak czy siak, osiągniemy więcej, niż jeśli będziemy siedzieć i gadać po próżnicy.

– Jest też trzecia możliwość – sarknął Sindri. – Ten, kto za tym stoi, ciśnie twój nieszczęsny zadek jeszcze gdzie indziej, a my nigdy cię nie odnajdziemy.

– Może być też tak, że ten ktoś w ogóle nie pozwolił dotrzeć Elan na miejsce i rozrzucił jej prochy na cztery wiatry – dodał Brokkr łagodnie, po czym spojrział na Jolnira. – I nie zawaha się zrobić tego samego z tobą.

– Zaryzykuję – postanowił młodzieniec. – Wszyscy mówicie, że to ważne zadanie. Nie mamy chyba większego wyboru?

Pozostali milczeli przez chwilę, rozważając te słowa.

„Muszę przyznać mu rację” – pomyślał Merlin, zmartwiony.

Problem polegał na tym, że Elan była najinteligentniejsza i, choć ciężko to przyznać, najlepiej wykształcona z całej grupy, pomijając dwóch nie ludzi. Merlin nie był przekonany, że nawet ona zdoła wiele zdziałać po drugiej stronie, na pewno jednak miała większe szanse niż pozostali.

Bywając u Merlina, wykazywała zainteresowanie i pragnienie zdobywania wiedzy, więc byt z chęcią uczył ją wszystkiego, czego potrzebowała, choć w drastycznie okrojonej wersji. Merlin nie był zadowolony z tych ograniczeń, ale taka już była rzeczywistość. Czasami robi się to, co trzeba, a nie to, czego się chce.

Monitorowane sygnały z linii mocy przybierały na sile. To przesądzało sprawę.

– Niech będzie – powiedział Merlin, ucinając narastające sprzeczki. – Wyślę cię.

– Że co?! – wybuchł Brokkr. – Zdurniałeś już do reszty?

– Jolnir ma rację. Musimy zdać się na to, co mamy, a mamy akurat jego – powiedział byt. – Jol... chcę, żebyś coś ze sobą zabrał.

– No... dobrze? – odparł młodzieniec niepewnie.

Brokkr i Sindri szybko zrozumieli, w czym rzecz.

– Będziesz go śledził? – zwrócił się Sindri do Merlina.

Ten potwierdził przypuszczenia, przytakując zdecydowanie.

– Jeśli również zostanie przechwycony, zauważymy to i dowiemy się, gdzie trafił.

ROZDZIAŁ 6

NIEZNANA REDUTA

– No, no... – powiedziała widmowa kobieta z cieniem uśmiechu. – Nerwowa jesteś.

Elan cofnęła się, gdy projekcja weszła do pomieszczenia i minęła dziewczynę, by spojrzeć na uruchomione systemy. Istota wydawała się zirytowana. Kręciła głową, a w jej głosie słyhać było zawód.

– Wszystkie wyłączniki przepalone, łącznie z rezerwowymi – utyskiwała. – Działa tylko awaryjny izotopowy system ciepły. To niedostateczne źródło zasilania dla choćby małego fragmentu tego obiektu.

Odwróciła się, omiatając Elan wzrokiem.

– Wyglądasz całkiem elegancko. Ale jesteś jakaś młoda. Jednostkę, rangę i identyfikator poproszę.

– Słucham? – Elan zamruwała, zdezorientowana.

– Numer twojej jednostki, twój stopień i kod identyfikacyjny – wyjaśniła awatarka cierpliwie. – Wolałabym wiedzieć, z kim rozmawiam.

– Nie mam niczego takiego – odparła Elan. – Na imię mi Elanthielle. Powinnam być w węźle transportowym Trzeciej Sfery.

Projekcja wyglądała na skonsternowaną.

– Cóż, jesteś daleko od tego miejsca – stwierdziła po chwili, marszcząc brwi. – Jak to nie masz niczego takiego? Nosisz pancierz i broń Elitarnych Sił Zbrojnych. Nie można ich ot tak sobie zabrać i zacząć używać.

Elan potrząsnęła głową.

– Kim właściwie jesteś? I dlaczego nie jestem u celu? Muszę tam dotrzeć, to bardzo ważne.

– Na razie z pewnością nigdzie nie pójdziesz – odparła zjawa. – Choćby dlatego, że ewidentnie nie masz prawa przebywać w tym obiekcie, więc nie wolno mi cię tak po prostu wypuścić. Jestem inteligencją odpowiedzialną za Drugą Sferę w Sieci Północnej. Możesz mi mówić Nimue.

Elan zmarszczyła czoło, ale przytaknęła z wahaniem.

– Elan. Mów mi Elan.

– W porządku, Elan – odparła Nimue powoli. – A zatem jak się tu znalazłaś?

– Nie wiem – wyznała dziewczyna. – Wyruszyłam przez system transportowy reauty. Podałam ci już swój cel. Powinnam być tam, a nie tutaj, gdziekolwiek...

– Lokalizacja jest tajna – oznajmiła Nimue, oglądając się na układy zasilania. – Musiałaś zostać przekierowana automatycznie. System zapewne wykrył twoją zbroję i broń, przez co oznaczył cię jako elitarnego członka ludzkich sił zbrojnych. Ciekawe...

– Muszę ruszać dalej – upierała się Elan. – Sprawa jest bardzo pilna.

– Chwilowo nie mogę ci w tym pomóc – odpowiedziała Nimue beznamiętnie, przeglądając półki z urządzeniami sterowniczymi. – Obiekt ten nadal działa z minimalnym zasilaniem, mimo że zresetowałaś obwody wyłączników. Nawet gdybyś nie stwarzała zagrożenia dla bezpieczeństwa, obawiam się, że i tak nigdzie stąd nie odejdiesz.

TEREN NA PÓŁNOC OD CYTADELI

Jol pojawił się w rozbłysku światła, przebywszy drogę z jednego miejsca na planecie w inne za pośrednictwem systemu transportowego. Młodzieniec stanął w ogromnym, pustym pomieszczeniu, właściwie identycznym z tym, które dopiero co opuścił.

– Elan! – zawołał. – Elan, jesteś tu?

Nikt nie odpowiedział. Młody siłacz, ściskając młot w dłoniach, ruszył przez obiekt.

– Nie ma jej.

– Niech cię demony! – wrzasnął Jol. Prawie wyskoczył ze skóry. Obrócił się akurat, żeby zobaczyć materializujący się awatar Merlina. – Zwariowałaś? Nie rób tak!

– Wybacz – rzucił Merlin. – Dotarłeś do właściwego celu. Elan powinna być właśnie tutaj... Ale trafiła gdzie indziej.

Jol zrobił zbolaną minę i bezwładnie opuścił młot.

– Do diabła!

– W rzeczy samej. Nie będę ustawał w poszukiwaniach dziewczyny – zapewnił Merlin. – Teraz jednak należałoby się rozejrzeć.

– Rozumiem – odparł Jol z pewnym wahaniem. Wcześniej liczył, że uda się powtórzyć to, co spotkało Elan, i że zdoła ją odnaleźć. – Możesz mi cokolwiek powiedzieć o tym miejscu?

– Teren wokół reduty jest wystarczająco bezpieczny – powiedział Merlin. – Wygląda na pustynię, więc zaopatrz się w wodę i staraj się nie przebywać zbyt długo na słońcu. Choć jest ono bardziej szkodliwe dla demonów niż dla ludzi, może cię zabić bardzo szybko.

Jol skinął głową.

– Będę uważał. Zresztą na razie i tak nie zamierzam zapuszczać się za daleko.

– W porządku. – Byt wskazał głową drogę prowadzącą na zewnątrz. – Wyjście powinno być tam. Kaleb wkrótce do ciebie dołączy. Natomiast braci czeka dłuższa podróż.

– Dzięki – powiedział Jol, kierując się do wyjścia. – Daj znać, jeśli znajdziesz Elan.

– Oczywiście, mości Jolnirze. Niech los ci sprzyja!

OSIEDLE POD CYTADELĄ

– No cóż – powiedziała Sien znużonym tonem. – Narobiliśmy większego smrodu, niż się spodziewaliśmy.

Tur wzruszył ramionami.

– Zabicie tego ostatniego bydlaka tuż przed nosem dowódcy patrolu mogło nie być najlepszym pomysłem.

Kobieta spochmurniała.

– Skąd miałam wiedzieć, że patrolem dowodzi jakiś gnojek, który weźmie to wszystko do siebie?

Od poprzedniej nocy demony z Cytadeli zachowywały się jak pszczoły z przewróconego ula. Tłumnie przeczesywały osiedle w poszukiwaniu osób odpowiedzialnych za śmierć ich pobratymców.

Nie poprawiło to losu ludzkiej społeczności zamieszkującej walące się chaty wokół Cytadeli, już i tak ledwo wiążącej koniec z końcem. Kilkudziesięciu ludzi poniosło śmierć, jeszcze więcej poddano torturom i pozostawiono przy życiu jako ostrzeżenie dla innych.

Sien nienawidziła takich sytuacji, jednak już dawno pogodziła się z nieuchronnymi konsekwencjami swoich czynów. Zresztą demony nie były przyjaznymi sąsiadami również w czasie pokoju, jak dobitnie dowiodła miniona noc.

Istniała jednak granica. Gdy się ją przekroczyło, nie było powrotu. Demony zatarły tę granicę na długo, zanim Sien'el przyszła na świat.

– Znajdziemy więcej rekrutów – burknął Tur. Sien skinęła głową.

Była to jedyna pociecha pośród tej grozy. Im mocniej demony terroryzowały ludzi, tym większy opór rodził się w sercach ofiar. Ludzie co prawda byli osłabieni, jednak nawet najmarniejsi z marnych mieli jakąś granicę, po której nie pozostawało już nic do stracenia.

Sien zdawała sobie sprawę, że to przygnębiający stan rzeczy, ale zabijając coraz więcej ludzi, nieprzyjaciel zasiewał ziarna własnej zagłady. Jej narzędziem zapewne nie będą ludzie. Oni przegrali już dawno i nie mieli szans na odmianę losu, jednak Sien'el była pewna, że nadejdzie ktoś, kto pokona ich wrogów. Tylko ta myśl dawała jej jeszcze siłę.

– Chodźmy. – Tur zerwał się na nogi.

– Dokąd?

– Na północ – warknął. – Musimy ci sprawić nową włócznie.

Sien pokiwała głową i ruszyła wraz z nim wolnym krokiem.

Coraz trudniej było o porządne drewno na włócznie, jednak na północy, nad rzeką, wciąż dało się je znaleźć.

– Tym razem lepiej będzie wykonać kilka włóczni – powiedziała Sien.

– Muszą mieć kamienne groty – ostrzegł Tur. – Nie możemy marnować żelaza, tak jak zeszłej nocy.

– Racja – odparła z ponurą miną.

Wiedziała, że postąpiła głupio, jednak gdy zobaczyła, co demon zamierzał zrobić tamtej rodzinie, nie potrafiła dać za wygraną i działała pod wpływem frustracji. Włócznie z kamiennymi grotami

były łatwe do skonstruowania i dość mocne, by zabijać bestie niższych poziomów. To jednak nie wystarczało.

– Może przydałby mi się miecz? – wydyszała Sien.

– A kto by ci go zrobił? – zapytał Tur. – Nie znam nikogo, komu powierzyłbym takie zadanie. Ci, którzy mogliby wykuć miecz, donieśli by na ciebie za takie pytania.

– Wiem. – Taka była smutna prawda.

– Coś wymyślimy – postanowił Tur, nie przerywając marszu. – Masz rację, trzeba ci czegoś lepszego niż sztylet i włócznia. Chodźmy, mamy przed sobą kawał drogi.

Sien przytaknęła, dotrzymując kroku rosłemu mężczyźnie. Ruszyli na północ, ku części dzielnicy przylegającej bezpośrednio do Cytadeli.

CYTADELA

Pani odchyliła się na tronie, ze znużeniem wysłuchując skarg członków rady nadzorujących obszar wokół Cytadeli.

– Ci ludzie wymykają się spod kontroli!

Demonessa uniosła brew, lekko zaciekawiona tym stwierdzeniem. Pochyliła się, spoglądając na mówcę.

– Doprawdy? – zapytała łagodnie. – Interesujące. Skąd taki wniosek?

Mówca, demon Trzeciego Kręgu, zaczynał już tracić niehumanitarną powierzchowność, w miarę jak Przemiana kształtowała go subtelniej, zamiast brutalnie zmuszać umysł i ciało do ewolucji. Wyglądał na zaskoczony, że przykuł uwagę władczyni. Odwrócił się od grupy, z którą się sprzeczał, i wyjąkał wyjaśnienie:

– P...Pani, przepraszam. Nie sądziłem, że...

– Że was słucham? – zapytała leniwie, uśmiechając się bez krzty ciepła. – Owszem. Nie odpowiedziałeś jednak na moje pytanie.

Demon zadrżał, jednak zachowywał pozory spokoju tak umiejętnie, że Pani była niemal pod wrażeniem. Rzecz jasna, cały efekt psuły narzekania na ludzi nastroczających zbyt wiele problemów.

– Cho...chodzi o to, Pani, że nie dalej jak zeszłej nocy jeden z Trzeciego Kręgu został zamordowany przez tchórzliwego człowieka. I to na moich oczach!

– Ach tak? To rzeczywiście fascynujące. A co stało się z tym człowiekiem?

– My... ekhm... Nie wiemy.

– Czyli daliście mu uciec. Rozumiem... – Kiwnęła głową, mrużąc oczy.

– Ależ nie, Pani! Rzucił włócznie z tak daleka, że nie zdołaliśmy go zauważyć.

Unosząc brwi, władczyni przemówiła oschle:

– Człowiek. Cisnął włócznie. W nocy. Z takiej odległości, że ani ty, ani jak sądzę, reszta drużyny nie potrafiliście go dostrzec? Cóż za zajmująca historia.

– Pani, to prawda! Przysięgam!

Demoniczna kobieta rozparła się na tronie, potrząsając głową.

– To, że pozwoliliście zbiec człowiekowi, wprawia mnie w niezadowolenie, Hormo. Owszem, znam twoje imię.

Horma zakrztusił się, wytrzeszczając oczy.

Tak naprawdę Pani nie miała pojęcia, jak nazywa się jej rozmówca, dopóki nie skupiła się na nim. Skomplikowany system ochronny sali tronowej obejmował również poznanie prawdziwego imienia. Nikt, kto dobrowolnie wchodził do komnaty władczyni, nie mógł ukryć przed nią swojej tożsamości.

Dawało to Pani Cytadeli znaczącą przewagę w kłębowisku zmij, jakim była polityka Kręgów.

Co zaś do Hormy jego historyjka uwypukliła dość istotną kwestię.

– To skandal, że obecny tu Horma puścił wolno człowieka. Czy znamy jakichś ludzi tak biegłych we władaniu włócznie? – zapytała, spoglądając czujnie po zebranych.

– Tak, Pani. Jest ktoś taki – odezwał się doradca u jej boku. – Kobieta. Nie wiemy, jak ma na imię, ale już wcześniej o niej słyszeliśmy.

– Kobieta, powiadasz? Tym bardziej mnie to fascynuje! – Pani uśmiechnęła się lubieżnie, nachylając się i ściągając ramiona, by wyeksponować swoje wdzięki. – Ładna jest?

– Niewielu widziało ją wyraźnie z bliska i wyszło z tego cało. Podróżuje w towarzystwie rosłego mężczyzny, również nieznanego z imienia. Wiadomo, że ona dzierży włóczęgę, on zaś woli topór.

Władczyni zastanawiała się przez chwilę.

– To wszystko, co wiemy?

– Tak, Pani.

– W porządku, a zatem ogłoście nagrodę – poleciła. – Dla wszystkich, bez wyjątku. Ktokolwiek odda w nasze ręce tę kobietę, tego mężczyznę lub też oboje, otrzyma stanowisko w Cytadeli. Oczywiście pod moją kuratelą.

– Ktokolwiek? Pani, przecież w takim razie każdy człowiek mógłby...

– Jeśli tak się stanie, człowiek ten dostąpi zaszczytu i zostanie postawiony ponad większością z was! – warknęła demonessa niespodziewanie groźnym tonem. – Jeśli wam się to nie podoba, znajdźcie ją pierwsi albo przywyknijcie do przyjmowania rozkazów od człowieka, bo jeżeli ktoś taki wywiąże się z zadania, a wy postąpicie wbrew mojemu zarządzeniu, dopilnuję, abyście pożałowali, że Przemiana was nie zabiła. Czy wyraziłam się jasno?

Demony pokiwały lękliwie głowami, odsuwając się, gdy władczyni wyładowywała na nich frustrację i rozdrażnienie.

– I dobrze! A teraz zejźcie mi z oczu i sprowadźcie tę kobietę!

Demony uciekły. Pani pożałowała, że nie może liczyć na choćby odrobinę kompetencji wśród swoich poddanych, taka jednak była cena sprawowania władzy na krańcu ciągle rozszerzających się Kręgów. Z drugiej strony istniały, rzecz jasna, zalety. Swoboda, przyjemność płynąca z podbojów. A także z zaspokajania hedonistycznych żądz.

Jednak większość z podległych jej sił dopiero rozpoczynała Przemianę i nadawała się na niewiele więcej niż karmę dla silniejszych demonów. A pozostali? Byli głównie durniami i tchórzami, posłanymi na rubieże na pewną śmierć przez osoby bardziej wpływowe i potężniejsze niż Pani Cytadeli.

Gdyby nie natura samej Przemiany, powoli przekształcającej wrogów w niewolników, potem w sługi i wreszcie w prawdziwych sojuszników, ekspansja Kręgów zakończyłaby się o wiele szybciej.

Tak się jednak nie stało, a Pani miała pod dostatkiem mięsa, które mogła poświęcić, w przeciwieństwie do nieprzyjaciela. Zwycięstwo mogło nadejść powoli, ale było nieuniknione.

Władczyni wstała z tronu i wyszła na balkon, tym razem wznosząc oczy ku niebu.

Nawet siły Światła, oby na wieki płonęły w Kręgach Piekielnych, znały prawdę.

Istoty zwane aniołami uciekały z jednego wszechświata za drugim, popędzane przez hordy Kręgów, niczym śmieci niesione falą.

„Przyjdzie czas, że nie będą miały dokąd uciec” – pomyślała Pani Cytadeli.

Paradoksem nieskończoności było, że kiedyś nawet aniołom skończą się kryjówki. Wówczas pozostanie już tylko podbój domeny Stwórcy.

Pani wyczekiwała tej chwili z niecierpliwością.

Nie wiedziała, kiedy nadejdzie, była jednak pewna, że pewnego dnia Kręgi przemogą Bramy strzegące tego królestwa. Zaiste, będzie to dzień sądu...

Piasek i kamienie chrzęściły pod stopami Jolnira, gdy wojownik wyszedł na otwartą przestrzeń. Wcześniej spędził kilka godzin, torując sobie drogę z reduity.

Głazy blokujące wejście były przeważnie na tyle duże, by stwarzać problemy, ale przynajmniej dość małe, żeby dało je się przesunąć. Jolnir ociekał potem i dyszał, kiedy wydostał się na zewnątrz. Następnie zrobił, co mógł, by zabezpieczyć oczyszczony tunel.

Rozejrzał się. Słońce wisiało już nisko na niebie, a teren pokrywał głównie piach i porastały zarośla. Odległe góry miały na szczytach białe czapy, a u ich stóp rozciągały się pasma zieleni, choć z tak daleka mogło to być zwykłe złudzenie.

Dużo ciekawiej prezentował się czarny zarys jakiejś wieży, rozcinającej nieboskłon. Patrząc na nią oraz na światła, a zapewne także małe budynki, Jol był przekonany, że udało mu się znaleźć źródło problemów.

„Nie wiedzieć dlaczego, demony ciągle otaczają się ludźmi” – zauważył.

Nigdy szczególnie się nad tym nie zastanawiał. Była to nieodłączna część życia w Mieście. Rozmawiał jednak o tym z Elan i innymi. Okazało się, że to powszechna praktyka. Demony w naturalny sposób gromadziły wokół siebie ludzi i czuły się bardziej komfortowo na ludzkich terenach.

Była to pewna ciekawostka, zważywszy na nienawiść demonów do wszystkiego, co ludzkie, jednak Jol nie miał w zwyczaju rozmyślać nad takimi sprawami. Do jego zwyczajów należało natomiast wynajdywanie okazji do porządnej walki i, jeśli się uda, do ubicia choć kilku demonów.

Młodzieniec sprawdził ekwipunek i upewnił się, że wciąż ma przy sobie młot. Potem wyruszył w stronę czarnej wieży i otaczających ją budowli.

ROZDZIAŁ 7

NIEZNANA REDUTA

– Nie mogę tu tkwić – protestowała Elan. – Nic nie rozumiesz! Tu nie chodzi tylko o mnie. Innym ludziom, a może i wszystkim, grozi niebezpieczeństwo!

Nimue nie odpowiedziała od razu, skupiona na kontroli obiektu, dopóki nie upewniła się, że wszystko zostało albo zabezpieczone, albo całkowicie wyłączone.

– Moja droga, możesz się na mnie złościć ile dusza zapagnie, ale to zupełnie niczego nie zmienia – powiedziała po chwili, nawet nie podnosząc wzroku. – Nie jestem w stanie wyprawić cię w dalszą drogę. Równie dobrze mogłabym próbować unicestwić najeźdźców, pstrykając palcami. Ten obiekt nie jest w pełni sprawny.

– Nie masz palców. Jesteś tylko projekcją – zauważyła Elan oschle.

– Co tym bardziej potwierdza moje słowa – zripostowała Nimue, unosząc kąciki widmowych ust. – O wiele trudniej pstryka się palcami, jeśli się ich nie ma, nieprawdaż?

Elan wydała z siebie westchnienie pełne irytacji. Na chwilę uniosła dłonie z frustracją, potem jednak zacisnęła je w pięści i opuściła, usiłując się uspokoić.

– Niech ci będzie. W takim razie co robisz?

– Próbuję ocenić poziom szkód w obiekcie i odnaleźć ich przyczynę.

– Świetnie. Mogę jakoś pomóc?

Nimue znieruchomiała, spoglądając na dziewczynę z zaciekawieniem.

– Teraz nagle chcesz pomagać? – zapytała rozbawiona. – A co z twoją ucieczką?

Elan przewróciła oczami.

– Jeśli mnie nie okłamujesz, uruchomienie tego miejsca pomoże mi szybciej się stąd wydostać, prawda?

Nimue odchyliła głowę z uśmiechem.

– Niekoniecznie, ale założmy, że rzeczywiście tak będzie... A jeżeli kłamie?

– Wówczas sama wszystko rozpracuję, rozniosę tę redutę na strzepy i pójdę do domu.

Projekcja roześmiała się dobrodusznie.

– Choć nie jestem pewna, skąd przyszłaś, mogę zapewnić, że będziesz musiała się nieźle nachodzić, a prawdopodobnie również popływać.

Elan wbiła w nią spojrzenie, niewzruszona. Nimue westchnęła ze zrezygnowaną miną.

– W porządku. I tak wątpię, czy udałoby mi się wszystko włączyć bez pomocnej dłoni, choć pewnie i ona nie na wiele się zda. – Zmarszczyła brwi. – Sprawdź powiadomienia po tej stronie pomieszczenia i daj mi znać, jeśli któreś z nich wyświetlają się na czerwono. Chwilowo będziemy ignorować żółte komunikaty.

Elan przytaknęła ochoczo i skierowała się we wskazane miejsce, przeszukując gąszcz świateł w poszukiwaniu alarmów.

– A skoro spędzimy tu trochę czasu – zagaiła Nimue z drugiego końca pokoju – może opowiesz mi o sobie?

– Co? Dlaczego? – Elan posłała jej podejrzliwe spojrzenie.

– Bo jestem tego ciekawa – odparła projekcja. – A niby dlaczego?

Elan mogła podać wiele innych powodów, jednak przekazywanie zbyt wielu informacji komuś, kto mógł być jej porywaczem, nie wydawało się dobrym pomysłem.

– Szczerze mówiąc, nie bardzo mam o czym opowiadać – powiedziała po namyśle. – Dorastałam samotnie. Początkowo byłam tylko ja i mama, ojciec dołączył do nas później... Ale nie na długo.

Jej ton musiał wyrażać smutek, ponieważ Nimue skinęła głową ze współczuciem.

– Naprawdę przykro mi to słyszeć.

– To było dawno temu – rzuciła Elan, siłąc się na niefrasobliwość, choć jednocześnie próbowała się uspokoić i powstrzymać grymas bólu na wspomnienie rodziców.

– Bywa, że upływ czasu nic nie znaczy.

– Racja...

Potem przez chwilę pracowały w milczeniu. Elan jedynie od czasu do czasu zgłaszała kody systemów świecące na czerwono, a Nimue

potwierdzała ich przyjęcie.

– Co się stało później? – zapytała nagle projekcja.

– Słucham?

– Co było dalej? – powtórzyła. – Wątpię, że ta zbroja i broń trafiły w twoje ręce przypadkowo. Nie mogłaś też otrzymać ich od rodziców, sądząc po tym, jak ich opisałaś.

Elan uśmiechnęła się niewesoło, ale i ciepło.

– Nie. Ojciec nauczył mnie walki mieczem, a matka... prawie całej reszty – powiedziała. – Polowania, łowienia ryb, przetrwania. Uczyła mnie pływać, choć strumień, nad którym mieszkaliśmy, nie był zbyt głęboki. Gotować, sprzątać, opatrywać rany... Rzeczywiście, pancerz i broń dostałam później.

Nimue przytaknęła, zyskując nieco pełniejszy obraz podlotka w pancerzu Elitarnych Sił Zbrojnych, choć wiedza ta dodawała dziewczynie jeszcze więcej tajemniczości.

– I jedno, i drugie otrzymałam w prezencie – wyjaśniła Elan.

– To naprawdę imponujące dary – stwierdziła Nimue.

Wiedziała, że dziewczyna mówi prawdę. Dane biometryczne, które Nimue już teraz odbierała z pancerza, pozwalały ocenić szczerłość. Jak dotąd Elan nie skłamała ani razu.

„Nawet kiedy mówiła o zagrożeniu dla świata” – pomyślała inteligencja z niepokojem.

– Na pewno były potrzebne – przyznała Elan. – Bez nich zginęłabym, a wraz ze mną setki... nie, tysiące innych. – Westchnęła i skrzywiła się lekko. – A może nie? Podczas ostatniej bitwy więcej było poległych niż ocalonych. Może przyniosłam ludziom więcej śmierci niż życia? Sama nie wiem...

– Często słyszałam podobne słowa od wielu innych, którzy nosili taką zbroję – powiedziała Nimue łagodnie. – Nie sposób nie zwątpić, jeśli ma się czas na przemyślenie swoich działań.

Elan przytaknęła, a potem wyszeptała:

– To prawda.

– Nie pozwól jednak, by wątpliwości powstrzymywały twoje ręce albo sprawiały, że zawahasz się podczas kryzysu – doradzała projekcja, gdy wróciły do pracy. – Niepewność po bitwie nie jest niczym złym. Pozwala zastanowić się, co można było zrobić lepiej, i podsuwa opcje na przyszłość. Jednak przed bitwą i w jej trakcie

zwątpienie jest trucizną, która sprowadzi śmierć na ciebie i wszystkich, na których ci zależy.

Elan rozważyła te słowa.

– Ktoś kiedyś powiedział mi coś podobnego, choć odnosił się chyba do strachu.

– Wszelkie negatywne emocje mogą przynieść korzyści, Elan – powiedziała Nimue. – O ile są na swoim miejscu. Jeżeli to ty panujesz nad nimi, a nie na odwrót, wówczas te zmartwienia, obawy, lęki, czy nawet nienawiść, posłużą ci za narzędzia, z którymi podążysz ku przyszłości i zwycięstwu. Jeśli jednak to one zapanują nad tobą, rezultat może być tylko jeden. Nie warto iść tą ścieżką.

Dziewczyna parsknęła cicho.

– Mam już swoją ścieżkę i muszę na nią wrócić.

Nimue uśmiechnęła się blado, ale nic nie odpowiedziała. Zamiast tego machnęła ręką, uruchamiając kolejne systemy i zbliżając redutę do stanu, który można byłoby uznać za pełną aktywację, zważywszy na obecne ograniczenia.

– Nie potrafię przewidywać przyszłości, to nie moja domena – przyznała. – Jeśli jednak ma się tak stać, jestem pewna, że odnajdziesz swoją ścieżkę, bez względu na przeszkody.

Elan spojrzała na nią.

– Dziwnie brzmią te słowa z ust osoby, która sama stoi mi teraz na przeszkodzie.

– Niewielu nazwałoby mnie osobą – odparła Nimue, nie przestając się uśmiechać.

– Niech ci będzie, jesteś projekcją, wielkie rzeczy – rzuciła Elan beznamiętnie. – Nie ty pierwsza działasz mi na nerwy. Jeśli o mnie chodzi, nie różnisz się od innych osób. Każdy człowiek, którego spotkałam, prędzej czy później postępuje tak samo. Dlaczego z projekcjami miałyby być inaczej?

– Racja. – Nimue zaśmiała się cicho, przez dłuższą chwilę taksując dziewczynę spojrzeniem.

„Ciekawe, z którą z nas miała do czynienia...”

OSIEDLE POD CYTADELĄ

„Co za cholerna dziura!”

Jol wędrował pomiędzy ruderami, rozlatującymi się szalasami i innymi „obiektami”, których przeznaczenie zdradzał dolatujący z nich smród. Miasto demonów było istnym piekłem, ale przynajmniej miało klasę w porównaniu z tym miejscem.

„Co uczyniliśmy, żeby zasłużyć na tak straszny los?” – zastanawiał się, znużony, obserwując dzieci bawiące się w błocie i wspominając własne dzieciństwo spędzone w Mieście.

Wszystko było pięknie, dopóki człowiek nie ściągnął na siebie uwagi demona.

W tych stworzeniach tkwiło coś złowrogiego. Jol wiedział o tym, odkąd sięgał pamięcią, na długo zanim poznał straszną prawdę o tym, że każdy demon był kiedyś człowiekiem, nim został skażony i poddany Przemianie.

Jolnir miał świadomość, że bycie człowiekiem nie czyniło nikogo dobrym. W swoim krótkim życiu spotkał wielu ludzi równie podłych jak demony. Będąc dzieckiem, doświadczył rzeczy, o których wolał nie myśleć, jednak to, co widział wokół, wystarczyło, by przywołać falę wspomnień.

Mieszkańcy osiedla byli ewidentnie przerażeni. Aby to dostrzec, nie trzeba było nawet do nich podchodzić. Gdyby się postarał, wyczułby to już z reduty. Ludzie byli przygnębieni. Większość z nich nie wiedziała nawet, czy będą mieli co jeść. Wszelkie nadzieje w ich sercach dogasały jak węgielek zasypany popiołem.

Mimo to Jolnir w ogóle się nimi nie interesował.

Doświadczenie nauczyło go, że ludzie zazwyczaj nie byli warci troski. Jeśli od razu nie wypatrywali okazji do kradzieży, znaczyło to, że są zbyt słabi, żeby podjąć taką próbę.

Zabijając demony, Jol wyświadczał przysługę, jednak głównie sobie i temu, co zdążył już utracić.

Gdy więc zbliżył się do dzieci, a te uciekły, rzucając mu złężnione spojrzenia, młodzieniec dał malcom spokój. Zajmą się nimi rodzice czy też ktoś inny. A nawet gdyby zostały bez opieki, nie był to jego problem.

Co innego wieża, której ciemna sylwetka rozpoławiała niebo. Jolnir mógł się założyć, że ona nastreczy mu kłopotów.

Urządzenie, które otrzymał od Merlina, pulsowało łagodnie w dłoni siłacza. Jol, rzecz jasna, nie potrafił go odczytywać. Na szczęście wcale nie musiał. Tym zadaniem miał się zająć później Merlin.

Chłopak tak naprawdę nudził się, błędząc po pustkowiu, w którym załęgły się demony. Być może dlatego, słysząc odgłosy walki, nie skręcił w przeciwnym kierunku.

Sien zakłęła pod nosem, zdając sobie sprawę z przewagi liczebnej wroga i z niesprzyjającego rozwoju sytuacji.

Nigdy by nie podejrzewała, że zdradzi ją jeden z jej kontaktów ani tym bardziej, że będą ich ścigać dwie pełne drużyny. Tak się jednak stało, a Sien'el nie widziała żadnego wyjścia z tego piekła.

„Poprawka” – pomyślała z goryczą. „Piekło będzie dopiero, jeśli nas dopadną”.

Tur zabił dwa pomniejszych demony, które usiłowały odciąć im drogę odwrotu. Siekł rozpaczliwie toporem, spryskując ulicę posoką, gdy tymczasem Sien odpędzała trzy inne bestie, wyciągając włócznię najdalej jak mogła.

Tym razem zaopatrzyła się w trzy egzemplarze tej broni. Na plecach miała dwie z kamiennymi grotami i dwie drewniane, a w dłoniach ścisnęła włócznię z żelazną końcówką. Metal przepalał ciała atakujących demonów. Tylko tak dało się je powstrzymać, ponieważ okazały się zbyt sprytne, żeby szarżować na oślep i grzecznie dać się nabić na włócznię.

Zmusiło to Sien'el do nieustannego wymachiwania bronią, aby któryś z przeciwników nie chwycił drzewca. Wówczas jego towarzysze bez trudu dopadliby Sien i Tura, choć kobieta przeczuwała, że walka tak czy inaczej skończy się w podobny sposób.

– Musimy uciekać! – zawołała przez ramię. Tur obrócił się i ocenił sytuację ze swojej pozycji.

– Nie ma wielu dróg ucieczki – warknął, wymachując ostrzem w kierunku jedyne widocznego wyłomu w linii wroga. – I stawiam

sztabę porządnego żelaza, że jeśli tam pobiegniemy, czeka nas śmierć.

Sien przytaknęła ponuro. Pułapka była aż nazbyt oczywista. Problem w tym, że na razie nie widziała innych możliwości.

– A zatem to nasza ostatnia walka? – zapytała niepewnie.

– Nie pozwolimy na to – stęknął Tur, parując kolejny cios. Oboje odpierali atakujące demony, stojąc plecami do siebie. – Zaczniij przesuwać się w tym kierunku...

Sien'el obejrzała się. Mężczyzna wskazywał miejsce naprzeciwko „wyjścia”, z którego chwilowo zrezygnowali.

– Jasne.

Ruszyli powoli, tak by nie dać nic po sobie poznać, jak najdalej od wyłomu. Liczyli, że w razie potrzeby wyrąbią sobie inną drogę ucieczki.

„Proszę, proszę” – pomyślał Jol, przystając i wychylając się zza chaty trochę solidniejszej niż inne. „Tubylcy wiedzą, co to dobra zabawa”.

Zgiełk bitewny mógł ściągnąć każdego demona z odległości paru mil, więc nierozsądnie było zbyt długo marudzić w pobliżu. Ciekawie jednak było zobaczyć innych ludzi podczas walki. W Mieście taki widok stanowił rzadkość. Elan należała do nielicznych, którzy na oczach Jolnira odnieśli zwycięstwo w boju.

Jol nasłuchiwał się pochwał na temat Kaleba i paru innych mieszkańców Atlantydy, jednak nigdy nie widział ich w akcji, a sam był zdecydowanie człowiekiem czynu. Jeśli czegoś nie widział, nie był skłonny przyznać, że to prawda.

Od razu uznał, że dwójka ludzi, których teraz obserwował, zna się na rzeczy.

Miał w związku z tym pewien dylemat. Co do zasady, przyszedł tu na zwiad, a nie, żeby walczyć...

„Z drugiej strony, tych dwoje może nam się przydać. Jeśli mielibyśmy zaskarbić sobie ich wdzięczność, może warto zaryzykować?”

Jol nie zauważył nawet, że w myślach postrzegał już siebie jako jednego z nowo powstałego ludu Atlantydy.

Podjąwszy decyzję, chwycił młot i zaczął okręzać pole walki. Przejrzał zamiary dwójki wojowników.

Nietrudno było do nich podejść. Nikt nie usiłował zabić Jolnira, dzięki czemu mógł się poruszać nieco szybciej. Co jednak zrobi, gdy już dotrze na miejsce?

„Tutejszy władca jest chyba nieźle zawzięty na tych dwoje. Ile tu demonów!”

Patrzył, jak kilka drużyn otacza miejsce walki, by nie dopuścić tam innych, ale przede wszystkim, żeby nie wypuścić mężczyzny i kobiety.

Jol już w młodości nauczył się poruszać bezgłośnie i choć gdy dorósł, miewał kłopoty z pozostaniem niezauważonym, nie utracił pewnych umiejętności. Zakradł się za jednego z najbliższych demonów. Jedynym odgłosem był dźwięk młota gruchoczącego czaszkę.

Jol stwierdził ku własnemu zdziwieniu, że udało mu się nie narobić huków. Gdy demon upadł, młodzieniec przeszedł do kolejnej ofiary.

Robiło się coraz goręcej, a czas naglił. Jol przywykł jednak do pracy pod presją.

Sien i Tur stężeli, zbliżając się do linii obstawionej przez wroga. Spodziewali się zacieklego oporu ze strony demonów. Jak się okazało, natrafili zamiast tego na garstkę przeciwników, równie zdezorientowanych co ludzcy wojownicy.

Tur wzniosł topór i ruszył, zanim demony zdążyły otrząsnąć się z szoku. Załatwił je kilkoma szybkimi ciosami, podczas gdy Sien nadal ubezpieczała tyły.

– Coś mi tu nie gra – rzucił Turroch przez ramię.

– Co takiego?

– Demonów jest za mało!

Kobieta parsknęła śmiechem, nie oglądając się, i przebiła żelaznym grotem demona, który podszedł za blisko.

– To przecież dobrze!

– Powinno być ich więcej – upierał się wojownik. – Ten tutaj jest dowódcą drużyny!

Sien zaryzykowała spojrzenie. Tur rzeczywiście stał na ciele demona noszącego oznaczenia dowódcy z Cytadeli, jednak podkomendnych w pobliżu było zbyt mało, żeby dało się zbierać całą drużynę.

– Może nas zlekceważyli i rozdzielili się na mniejsze grupy?

– Może – burknął Tur bez przekonania.

– A może – odezwał się znienacka nowy, wesoły głos – ktoś postanowił wam pomóc?

Sien zauważyła mężczyznę, czy raczej chłopca. Szcherzył do nich zęby, kucając na pobliskim murze. W rękach miał zakrwawiony młot.

– To twoja sprawka? – zawołała Sien.

– Nie lubię się chwalić, ale... Co ja gadam? Oczywiście, że lubię! Tak, ja tego dokonałem.

Tur warknął.

– Napytałeś sobie biedy, chłopcze.

– Wystarczy zwykłe „dziękuję” – odgryzł się dzieciak, zeskakując. – Ta droga jest już czysta. No, chyba że damy radę wszystkim tym demonom?

Sien spiorunowała go wzrokiem i szturchnęła Tura łokciem, nie dając mu czasu na zastanowienie.

– Nie, zabieramy się stąd – powiedziała.

– Tak jest, pani. – Chłopak znowu się uśmiechnął. – Ruszam w te pędy!

– Mądrała... – burknęła Sien. Cała trójka rzuciła się do ucieczki opuszczoną ulicą osiedla, zmierzając na północ, jak najdalej od Cytadeli i, jak mieli nadzieję, od jej demonicznych sił.

– Uciekli!

Demon Drugiego Kręgu zawarczał z niezadowoleniem. Prawdę mówiąc, słowo „niezadowolenie” nie oddawało w pełni jego odczuć. Był zsiniały, roztrzęsiony i sparaliżowany z wściekłości.

– Ktoś im pomógł, panie. Nie przewidzieliśmy ataku z zewnątrz.

– Wymówki mnie nie interesują – ryknął lord Valmin. – Jaśnie pani nie będzie uradowana.

To przynajmniej wywołało pożądaną reakcję. Słuchające go demony skuliły się z nieskrywanego strachu.

„I tak ma być” – pomyślał Valmin.

Sam wystarczająco obawiał się Pani Cytadeli, choć był Panem Kręgów. Teraz jednak nie miało to większego znaczenia. Liczyło się, że ludzie stawiali opór i nie można było im puścić tego płazem.

Valmin żył już tak długo, że pamiętał ludzi z czasów, zanim upadli pod naporem demonów. Nie chciał, by przyprawiali go o ból głowy w tak późnym stadium cyklu Przemiany. Nadchodziło ostateczne starcie, więc nie można było pozwolić, aby drobne kłopoty nagromadziły się i pokrzyżowały plany demonom.

– Poślijcie za nimi zwiadowców – rozkazał Valmin. – Macie ich wysledzić, nieważne, jak daleko zajdą. Czy znamy rysopis trzeciego człowieka?

– Wiemy o nim niewiele, poza tym, że walczy młotem – oznajmił podwładny.

Valmin wlepił w niego wzrok.

– Naprawdę? Młotem?

– Jak widać, jest dość skuteczny – odparł demon. – W krótkim czasie rozłupał kilka czaszek.

Zabrzmiało to... niepokojąco.

– Pokaż.

– C-co? – wyjąkał sługus, cofając się nieznacznie.

– Te zwłoki! – warknął Valmin, wychodząc naprzód.

– A tak, oczywiście. Tędy, panie.

Valmin podążył za podrzędną bestią. Obrzucił wzrokiem ciała poległych. Obrócił najbliższe z nich, by przyjrzeć się ranie. Patrzył na nią tak, jakby właśnie doznał wielkiej zniewagi.

– To nie był zwykły młot – powiedział. – Niech zwiad nie wszczyna walki z tymi ludźmi. Zlokalizujcie ich, ale tak, by was nie zauważyli.

– Tak, panie. Ale... dlaczego?

– Dlatego że tak rozkazałem!

Nie widząc oznak pościgu, trójka ludzi zwolniła nieco, chcąc zaczerpnąć oddechu. Skręcali na chybił trafił, upewniając się, że demony zostaną w tyle.

Sien skorzystała z okazji, by choć trochę lepiej poznać młodzika, który przyszedł im z pomocą.

– A tak w ogóle to kim jesteś? – zapytała, mierząc go wzrokiem.

Musiała przyznać, że chłopak był dobrze zbudowany. Może nawet wyrośnie na całkiem przystojnego mężczyznę.

– Mam na imię Jol – odpowiedział. – A ty?

– Sien’el, ale mów mi Sien. A to jest Turroch, ale woli, żeby nazywać go Tur.

– Słusznie. Połamałbym sobie język na jego pełnym imieniu. – Jol wyszczerzył zęby. Tur skwitował to ponurym parsknięciem.

– Jakoś wcale mnie to nie dziwi – rzucił pogardliwie.

Jol spowaźniał i zerknął z ukosa na Turrocha. Sien stanęła pomiędzy nimi.

– Uspokójcie się obaj – poleciała. – To nie miejsce na awantury.

Jol wzruszył ramionami, a na jego twarz powrócił uśmiezek.

– Niech będzie.

Tur znowu parsknął, ale już nic nie powiedział.

– Dzięki za pomoc, Jol – rzekła Sien. – Nie słyszeliśmy jednak o tobie, więc czujemy się niepewnie, zwłaszcza że jeden z naszych zaufanych ludzi wystawił nas Cytadeli.

– Cytadeli? – powtórzył Jol, odwracając się ku strzelistej, czarnej budowli. – Tak na nią mówicie? To dobra nazwa.

Sien zmrużyła oczy, rozważając te słowa. Chłopak sprawiał wrażenie, jakby nie pochodził stąd, ani nawet z najbliższej okolicy. Tu wszyscy znali Cytadelę.

– Jestem nietutejszy – wyjaśnił Jol pogodnie, potwierdzając podejrzenia Sien. – Moi przyjaciele poprosili mnie, żebym rozejrzał się i sprawdził, co się tu dzieje. Zobaczyłem, że walcycie z demonami, i pomyślałem, że warto będzie skorzystać z pomocy przewodników.

– Nie jesteśmy twoimi służącymi, dzieciaku. – Tur spojrział na niego gniewnie.

Sien uciszyła go machnięciem ręki. Miała mętlik w głowie. O ile wiedziała, nie sposób było przemierzyć terenu wokół Cytadeli. Jak

okiem sięgnąć, ciągnęły się albo pustynie, albo niezdobyte góry, albo bezkresne morze.

– Nie wiedziałam, że gdzieś jeszcze mieszkają ludzie – powiedziała ostrożnie, czując narastające napięcie, jak przed walką. Kto wie czy chłopak nie był szpiegiem demonów, mającym wydobyć od nich informacje, zanim wciągnie ich w kolejną pułapkę?

– A pewnie – odparł Jol. – Jest ich pewnie więcej, niż mi się wydaje. Ja na przykład dorastałem w mieście zwanym Lemurią.

Sien zamruwała.

– Chyba... Chyba kiedyś o nim słyszałam, ale nie wiem gdzie – przyznała.

– Leżało daleko stąd – powiedział młodzieniec. – Aż dziw, że w ogóle je kojarzysz. Ale demony lubią pewnie plotkować, jak każdy.

„Właśnie” – pomyślała Sien. „Któryś z demonów wspomniał o tym, kiedy je obserwowaliśmy... Mówił o jakimś wypadku”.

– Co się stało w tej Lemurii? – zapytała.

Jol uśmiechnął się szerzej, jednak pod pozorem wesołości kryło się coś jeszcze. Coś o wiele mniej radosnego.

– Przybył do nas ktoś z zewnątrz – wyjaśnił. – Ktoś, kto zniszczył całe miasto. Zatopił je pod falami. – Zrobił niemal tęskną minę. – Nigdy wcześniej nie widziałem, żeby aż tyle demonów zdechło za jednym zamachem. – Spochmurniał jeszcze bardziej. – Szkoda, że wraz z nimi musiało zginąć aż tylu ludzi.

– Ktoś... przybył... z zewnątrz? – zapytała Sien powoli, jakby smakując wypowiedziane słowa.

Dla niej to wszystko brzmiało zbyt dobrze, by mogło być prawdą. Ani chybi, musiała to być pułapka. Spojrzała na Tura, który skinął dyskretnie głową. Z ulgą zauważyła, że mężczyzna myśli podobnie.

Jol również pokiwał głową, niewiele z tego rozumiejąc. Nie przerywając marszu, obejrzał się, wypatrując zagrożeń czających się w osiedlu.

– Dziewczyna, taka drobna – powiedział pogodnym tonem. – Ale cholernie dobrze walczyła i używała dawnej broni. Takiej, o której demony do dziś mówią szeptem... ze strachu.

– Niemożliwe – obruszyła się kobieta. – To tylko bajka.

– Też tak myślałem – zgodził się Jol. – Dopóki nie zobaczyłem tej dziewczyny. Zaufaj mi, na moim miejscu sama byś w to uwierzyła.

„Ufać tobie? Jeszcze czego!” – pomyślała Sien z goryczą. „Ufam tylko Turowi. Nikt inny na to nie zasługuje”.

ROZDZIAŁ 8

NIEZNANA REDUTA

– No – odetchnęła Elan. Mimo udanej pracy wydawała się sfrustrowana. – To chyba wszystko. Sprawdź systemy.

– Rzeczywiście – odpowiedziała Nimue z pewnej odległości. – Upewnij się, czy wszystkie lampki świecą prawidłowo.

– Wszystko stabilne. Nie widzę czerwonych.

– Znakomicie. – Projekcja przepłynęła nad podłogą. – Pozostał nam już tylko ręczny restart systemów.

Elan wstała, otrzepując dłonie.

– A zatem do dzieła!

– Obawiam się, że to nie takie proste – westchnęła Nimue. – Wiele grup przyrządów wymagających reaktywacji jest na zewnątrz reduty.

Elan patrzyła na nią przez chwilę, a potem przewróciła oczami.

– No nie. Nie powiesz mi chyba, że nie możesz mnie wypuścić z tej dziury, bo twoje systemy nie mogą mnie zidentyfikować, a jednocześnie nie możesz aktywować systemów, nie wypuszczając mnie na zewnątrz?

Nimue zaśmiała się cicho.

– Niestety, to by było zbyt banalne. Podlegam dość restrykcyjnym regułom, choć nie jestem tępą maszyną i zdaję sobie sprawę, że niektóre zasady trzeba odłożyć na bok w konfrontacji z rzeczywistością. Problem tkwi raczej w naszej obecnej lokalizacji.

Elan nie podobały się te słowa. Nagle sytuacja wydała się jej jeszcze gorsza, niż wcześniej sądziła... A sądziła, że jest na łasce nieokiełznanego bytu, w pełni kontrolującego środowisko, od którego zależało jej życie.

– Boję się o to spytać, ale... co złego jest na zewnątrz?

– Mówiąc ściśle, nic. Nie znaczy to jednak, że czeka nas tam coś dobrego – westchnęła Nimue. – Chodźmy.

Elan pogderwała chwilę, jednak podążyła za projekcją, prowadzącą ją z pomieszczeń bezpieczeństwa i administracyjnych do bardziej

znajomej, ogólnodostępnej części reduty.

– Obiekty tego typu miały służyć różnym celom – wyjaśniała Nimue po drodze. – Jednym z nich jest transport, ale w wielu przypadkach było to minimum. Kolejną funkcją jest zapewnienie bezpieczeństwa planetarnego, które czasami wymuszało budowę w... niewygodnych lokalizacjach.

– Z góry żałuję, że drążę ten temat, ale... jak bardzo niewygodnych? – zapytała Elan, gdy zbliżyły się do wejścia.

Nimue nie odpowiedziała od razu. Zamiast tego przesunęła dłonią nad panelem kontroli dostępu i otworzyła drzwi wychodzące na pieczarę. Elan, zdezorientowana, podeszła do wyjścia i wyjrzała na zewnątrz.

Prawie od razu zadrżała, odczuwając falę przenikliwego zimna pomimo zbroi. Potem zauważyła gładko ciosaną strukturę jaskini, a także schody prowadzące ku czemuś, co roztaczało niebieskawy blask. Dziewczyna widziała coś takiego po raz pierwszy.

– Czy to... magia? – Zamrugła.

Nimue zareagowała śmiechem.

– Ależ nie, dziecko. Nigdy wcześniej nie widziałaś lodu?

– Lodu? Co to takiego?

– Zamarznięta woda... Zresztą nieważne. – Nimue gestem nakazała jej wrócić do reduty. Zamknęła drzwi, by nie wpuścić zimna do środka. – Rzecz w tym, że cały obiekt został pogrzebany głęboko pod ogromnym lodowcem.

– O tym też nigdy nie słyszałam – sarknęła Elan.

– To woda, dziecko. Woda w stanie stałym. Kiedyś zapewne sięgała na wiele mil. – Projekcja westchnęła. – Ale od dawna topnieje. Może za jakieś tysiąc lat ujrzymy niebo. Jednak na razie systemy zewnętrzne są poza naszym zasięgiem.

Dziewczyna spochmurniała.

– Musi być jakieś rozwiązanie.

– W to nie wątpię, jednak instrukcje obsługi nic na ten temat nie mówią – odparła Nimue, wyraźnie sfrustrowana. – Przeszukiwałam je już wiele razy.

– Kiedy zdążyłaś... – zaczęła Elan, zanim przypomniała sobie, z kim rozmawia. – No tak. Jesteś projekcją. Nie było pytania. A co z ludźmi, którzy wcześniej tu pracowali?

Nimue zamrugęła.

– Oczywiście odeszli już dawno temu. Naprawdę spodziewałaś się tu zastać kogoś jeszcze?

– Nie o to mi chodziło – westchnęła Elan. – Czy ci ludzie coś po sobie zostawili? Na Atlantydzie zawsze, kiedy coś budujemy, dodajemy do tego dwa zestawy uwag. Jeden związany z projektem i drugi pochodzący od ludzi wykonujących robotę. Nigdy nie widziałam, żeby jeden i drugi dokładnie się pokrywały.

Nimue milczała, zamyślona.

– Może i masz rację, choć szanse na to są raczej nikłe – stwierdziła w końcu.

– Mamy jakiś inny wybór? – zapytała Elan kwaśno.

– Nie wydaje mi się – odpowiedziała Nimue ze smutkiem. Westchnęła ciężko. – Chodźmy tędy, dziecko. I... już teraz cię przepraszam.

– Za co? – Elan od razu stała się nieufna.

– Sama zobaczysz...

AVALON

„Jeśli ją przechwycono, znaczyłoby to, że jest jakiś obiekt, który działa, choć nie ma z nim kontaktu” – rozmyślał Merlin, badając dzienniki systemu łączności i transportu.

System połączonej przestrzeni, przesyłający materię przez sieć, został zaprojektowany tak, by podróżujący nie musiał się obawiać o życie. Elan po prostu musiała gdzieś być. To właśnie stanowiło sedno problemu.

Skoro nie zjawiała się w wyznaczonym miejscu, musiała w jakiś sposób ściągnąć na siebie uwagę innego systemu, który wymusił zmianę trasy. Taki skutek mogła wywołać jedynie jej zbroja i broń. Jednak gdy ostatnim razem dziewczyna podróżowała z tym sprzętem, do niczego takiego nie doszło. A zatem chodziło o jakąś unikalną cechę ścieżki, którą podążyła.

„Być może tym razem w sieci są jakieś instalacje, których nie było na poprzedniej trasie?”

Merlin wywołał listę. Powoli przeglądał nazwy i numery. Gdy natrafił na jeden z nich, znieruchomiał.

„A niech to...”

To istotnie mógł być problem.

NIEZNANA REDUTA

Elan zmartwiała, zaglądając do pokoju. Wewnątrz leżały zasuszone szczątki, niegdyś będące ludźmi. Z biegiem czasu skóra wokół martwych ust rozciągnęła je w przerażających uśmiechach. Dziewczyna ostrożnie weszła między ciała.

Po raz pierwszy napotkała zwłoki wewnątrz reduty. Zwykle obiekty te były nieskazitelnie czyste. Elan zastanawiała się, czy to dlatego, że ludzie uciekli stamtąd, czy może zostali przetworzeni w światło przez maszyny, środki ochronne, które jak mówił Merlin, były połączone z żyjącymi... Nie z umarłymi.

Dziewczyna na chwilę odsunęła tę myśl i zaczęła uważnie przeglądać książki i inne przedmioty porzucane po podłodze.

Co prawda matka uczyła ją czytać, jednak Elan odkryła, że Starożytni władali wieloma językami i mieli wiele słów na określenie rzeczy, o których nie miała pojęcia. Nauki u Merlina pomogły jej lepiej opanować sztukę czytania, jednak pewne sprawy wciąż rozumiała dość wybiórczo.

Była obeznana z językami technicznymi, zwłaszcza związanymi z bronią czy pancerzem. Gorzej, gdy chodziło o to, czego poszukiwała właśnie teraz. Choć nie była z tego zadowolona, Elan wiedziała, że będzie musiała zdać się na projekcję, jeśli ma cokolwiek z tego rozszyfrować.

– To są... a raczej byli – poprawiła się Nimue – ludzie z zespołu techniczno-konserwacyjnego.

Elan spojrzała na ciała ułożone w pozycjach wyglądających na prawie... wygodne.

– Co się stało? – zapytała. Nie mogła się powstrzymać, mimo że wszystko mówiło jej, że wcale nie chce znać odpowiedzi.

– Obiekt ten polecono zapieczętować tuż po lokalnym naruszeniu granicy wymiarowej – wyjaśniła Nimue. – Inwazja i wykorzystana

wówczas broń biologiczna nie wyrządziły nam krzywdy, jednak ponieważ nie dostaliśmy kolejnych rozkazów, w pierwszej kolejności skończyła się żywność. Ludzie mogli albo naruszyć zabezpieczenia, albo umrzeć. Trzy tygodnie po tym, jak skończyło się jedzenie, zespół medyczny rozdał silne środki uspokajające, wystarczające, by pozbawić życia kilka osób. Obiekt pozostał bezpieczny.

Elan wytrzeszczyła oczy. Podczas rozmów z ludźmi, którzy od dawna walczyli z demonami, i w trakcie lekcji u Merlina słyszała o najróżniejszych przejawach szaleństwa, ale... Ci ludzie mogli po prostu odejść!

– Dlaczego? – wyjąkała. – Czy na zewnątrz naprawdę byłoby im gorzej?

Nimue przez chwilę patrzyła na nią bez słowa.

– Obiekt pozostał bezpieczny – powtórzyła.

Elan potrząsnęła głową. Słowa projekcji brzmiały bezsensownie, jednak równie bezsensowne było sprzeczenie się o to. Teraz miała na głowie ważniejsze zadania.

– Niech ci będzie – powiedziała. Zebrała zeszyty, grube instrukcje w twardych oprawkach oraz niewielkie, przenośne urządzenia, które Merlin pokazywał jej podczas zajęć. – Może uda nam się coś z tego wykorzystać.

– Może... – zgodziła się Nimue, wpatrując się w umarłych.

– No chodź. – Elan zamarkowała klepięcie w widmowe ramię. Projekcja spojrzała na nią zaskoczona. – Wynośmy się stąd.

– Tak... Oczywiście.

Opuściły kwatery konserwatorów i wróciły do głównej części obiektu.

Po niedługim czasie Nimue musiała przyznać Elan rację co do instrukcji.

– Te notatki bardzo się różnią od oficjalnych zapisów – stwierdziła.

– Na razie nie widzę jednak niczego, co miałyby nam pomóc.

– Szukamy więc dalej – odparła Elan, marszcząc brwi i wertując jeden z tomów. – To... To nie jest instrukcja konserwacji.

Nimue zerknęła na książkę. Otworzyła szeroko niematerialne oczy.

– To powinno być w koszarach.

– Hmm... – mruknęła Elan, wodząc palcem po tytule. – To księga mocy. Widziałam już taką. I czytałam. Ale tej nie jestem w stanie.

– Czytałaś już coś podobnego? – Nimue spojrzała na nią surowo.

– „Ein Taki’amin Kine” – szepnęła dziewczyna, czując, jak powietrze drży od mocy skrytej w tych słowach. – „Droga rycerza”.

– Nikt nie powinien umieć przeczytać tych ksiąg – oznajmiła Nimue stanowczo. – Tobie jednak się udało. Kim więc... Nie, raczej czym właściwie jesteś?

– Nie mogę ci powiedzieć. – Elan wzruszyła ramionami. – Sądzę, że jestem tylko człowiekiem, ale przez ostatnie lata sprawy dziwnie się układały. Widziałam wiele rzeczy, które kazały mi zastanowić się, czy ktokolwiek jest tym, kim się wydaje. A ty, Nimue? Kim jesteś?

Projekcja popatrzyła na nią z namysłem, zanim odpowiedziała:

– Jestem międzywymiarową inteligencją. Jestem Nimue, Pani Wód tego świata.

Elan była pod wrażeniem. Tytuł wpadał w ucho, choć nie mogła powiedzieć, żeby w pełni go rozumiała.

– A ja jestem Elanthielle z Atlantydy – odrzekła. – Rycerz i Obrońca.

Nimue przytaknęła powoli, bacznie przyglądając się dziewczynie.

– To dobry tytuł.

– Też tak sądzę...

TEREN NA PÓŁNOC OD CYTADELI

Troje ludzi kilkukrotnie sprawdzało szlak, jednak za każdym razem okazywało się, że nikt ich nie ściga. To prawie wystarczyło, żeby się nieco uspokoili.

Prawie...

Sien wciąż nieufnie spoglądała na Jola, choć on wydawał się tym niezrażony. Właściwie sprawiał wrażenie, jakby w ogóle tego nie zauważał. Znaleźli miejsce, gdzie mogli schronić się na noc i poczynić plany na kolejny dzień.

Gdy już się rozsiedli, to Jol przełamał ciszę.

– Dużo wiecie o Cytadeli? – zapytał.

Tur zerknął na niego, zanim odgryzł kęs suszonej strawy, którą wyjął z torby.

– Pewnie tyle co większość ludzi. Czemu pytasz?

– Była taka jedna... – Jol zawahał się. Spoważniał, a w jego głosie zabrzmiał sardoniczny ton. – Jaśnie Pani Miasta. Uciekła, kiedy Lemuria legła w gruzach. Myślałem, że może wiecie, czy dotarła tutaj.

Sien i Tur popatrzyli na niego podejrzliwie. Kobieta odezwała się jako pierwsza:

– Chodzi ci o kobietę-demona?

Jol przytaknął ponuro.

– A co ci do tego?

– Muszę to wiedzieć i tyle.

Para wojowników spojrzęła po sobie. Błyskawicznie porozumieli się bez słów.

– Kiedy to się stało?

– Cały cykl pór roku temu – odparł Jolnir. – Mniej więcej.

Turroch westchnął i zadumał się, zanim wypowiedział swoje myśli na głos.

– Może – stwierdził. Sien'el spojrzęła na niego zaskoczona.

– Wiesz coś o niej? – spytała.

Tur wzruszył ramionami.

– Nie jestem pewien. Jednak w tamtym czasie rozgrywały się jakieś podejrzane sprawy. Wydarzyło się coś... poważnego.

Jol prychnął.

– Zniszczenie miasta demonów? Owszem, moi drodzy, to kwalifikowałoby się jako poważna sprawa.

– To nie wszystko. – Turroch potrząsnął głową. – Chodzi o coś więcej niż porażkę demonów, czy nawet upadek wielkiego miasta. Coś, co zmieniło ich plany...

Sien otworzyła szeroko oczy.

– Niech to diabli, masz rację! Już sobie przypominam. Każdy demon na osiedlu siedział cicho, jakby bał się, że ktoś po niego idzie.

Obrzuciła Jolnira lekko pogardliwym spojrzeniem.

– Myślisz pewnie, że potwory bały się ciebie albo tej twojej panny z zewnątrz?

– Byłoby miło. – Przez twarz Jola przemknął uśmiech, jednak potem chłopak znowu się zamyślił. – Ale nie masz racji. Znając demony, obawiały się raczej, że ktoś z góry zejdzie i wyrznie wszystkich za to, że jej nie powstrzymali.

– A kimże jest ta wspaniała „ona”, siejąca taki zamęt pośród demonów? – naigrywała się Sien.

– To Elanthielle z Atlantydy – oznajmił Jol, rozpromieniając się. – Wielka siła w zadziwiająco małym opakowaniu... Choć przyznam, że przez ostatni rok całkiem ładnie wyrosła.

Sien’el parsknęła i przewróciła oczami.

– Ech, mężczyźni...

REDUTA NA PÓŁNOC OD CYTADELI

Kaleb rozejrzał się, wychodząc z reduty. Na południu dostrzegł czarny zarys wieży.

Z doświadczenia wiedział, że wieża oznacza kłopoty. Budowle takie zamieszkiwały wyłącznie demony, a ludzie z ich otoczenia nie należeli do najlepszych przedstawicieli swojego gatunku. Jednak widok wieży nie był dla Kaleba zaskoczeniem. Prawdę mówiąc, spodziewał się ją zobaczyć. W końcu jego drużyna poszukiwała wielkiego, podłego dzieła demonów. Natrafienie na dużą grupę bestii pośrodku całego tego zamieszania było wręcz oczywistością.

Merlin nadal nie miał wieści o Elan. Kaleb bardzo się tym martwił, jednak byt wydawał się przekonany, że dziewczyna wciąż żyje, albo przynajmniej przetrwała to coś, przez co zabłądziła. Niestety, młodzieniec nie mógł pomóc w poszukiwaniach, postanowił więc podążyć za Jolnirem i zbadać sprawę, na której pierwotnie koncentrowała się wyprawa.

Cokolwiek knuły demony, Elan i Merlin byli pewni, że może to zagrozić Atlantydzie. Nie chodziło jedynie o szkody uboczne, jakich można się było spodziewać. W końcu wszystko, czego pragnęły demony, musiało prędzej czy później wyrządzić krzywdę ludziom.

Nie, tym razem wisiało nad nimi poważniejsze, bezpośrednie niebezpieczeństwo, z którym należało szybko się rozprawić.

Elan i Merlin mówili o tym z takim przekonaniem, że Kaleb uznał, że trzeba coś zrobić. W przeszłości takie przeczucia zwykle okazywały się uzasadnione.

Simone napotykała pewne trudności z zarządzaniem osadą, ale w tym również nie było nic dziwnego. Na populację Atlantydy składali się uchodźcy, w większości zdumieni, że udało im się przeżyć. Nie chcieli kusić losu i nie sposób było mieć do nich o to pretensji.

Historia nie była przychylna dla tych, którzy rzucali wyzwanie demonom.

Tacy śmiałkowie albo ginęli... albo też żyli na tyle długo, by paść ofiarą zepsucia i upodobnić się do swoich wrogów.

Kaleb wybrałby śmierć, wiedział jednak, że niejeden nieszczęśnik, który zasilił szeregi demonów, wcześniej zaręczał to samo.

Demony były przebiegłe i nie wolno było ich lekceważyć.

Chłopak rozejrzał się po jałowym pustkowiu i westchnął.

„Jol, oczywiście, zdążył już pobiec beze mnie”. Potrząsnął głową, zupełnie niezaskoczony, a mimo to zirytowany.

Podejrzewał, że Jolnir udał się na południe, zwłaszcza że nigdzie indziej nie widać było niczego, co mogłoby przykuć wzrok. Pozostawała więc decyzja, czy pobiec śladem tego durnia, czy też zostać przy reducie i poczekać na niego.

„Dlaczego to robi? Przecież wie, że razem działamy więcej”.

ROZDZIAŁ 9

NIEZNANA REDUTA

– Obiecujące... – stwierdziła Nimue, przeglądając zeskanowane notatki techniczne.

– Co tam masz? – zapytała Elan znad nieczytelnej książki.

Projekcja spojrzała na nią ze zdziwieniem.

– Myślałam, że nie potrafisz tego odczytać?

– No właśnie... Nie wiem. – Elan uniosła tom. – To dziwne, ale niektóre fragmenty stają się dla mnie czytelne, jeśli wystarczająco długo na nie patrzę. Nie umiem tego wyjaśnić.

Nimue milczała chwilę, przetrawiając tę informację.

– Te tomy, tak jak i inne, o których wspominałaś, są wiekowe – powiedziała. – Starsze nawet ode mnie, a to już coś. Nigdy nie udało się odszyfrować języka, w którym powstały, i nawet w szczytowej fazie cywilizacji podejrzewano, że te książki mogą być zwykłym żartem. Nikt nie był w stanie ich zrozumieć.

Elan spojrzała na strony, zbita z tropu.

– Przecież to nie takie trudne...

– Dziecko, to, że potrafisz coś zrobić, nie oznacza od razu, że to łatwe. Każdy ma inne umiejętności – napomniała ją Nimue. – Wrócimy do tego później. Teraz musimy uporać się z innymi problemami.

– Racja.

Elan nie zamierzała się sprzeczać. Zamknęła księgę i przyjrzała się dokumentom badanym przez Nimue.

– Co znalazłaś?

Nimue pogładziła notatki niematerialnymi palcami.

– Główny konserwator prowadził szczegółowe zapisy dotyczące instalacji i serwisowania poszczególnych elementów. Wygląda na to, że można je ponownie uruchomić, będąc we wnętrzu obiektu... Choć, z oczywistych przyczyn, nikt nigdy tego nie robił.

– Świetnie – odparła Elan, wstając. – Powiedz tylko, co mam zrobić.

– Dziecko, nawet gdybym dokładnie to wiedziała, nie jestem pewna, czy zdołałabym ci to wyjaśnić – odparła projekcja z nutką frustracji w głosie.

– Trzeba spróbować.

Nimue westchnęła.

– Niech i tak będzie.

OSIEDLE NA PÓŁNOC OD CYTADELI

Jol, Sien i Tur schronili się na noc w gruzowisku, które kiedyś było zapewne budynkiem. To wystarczyło, by skryć się przed kimkolwiek, kto mógłby się pojawić. Oprócz tego mieli wystarczająco wiele dróg ucieczki, by nie dać się zapędzić w kozi róg.

Gdy przeczekiwali noc, Jol nie mógł zasnąć. Nie znał dwójki nowych towarzyszy na tyle, aby powierzyć im własne bezpieczeństwo na terytorium wroga, czy choćby ufać, że nie spróbują go okraść. Na swojej drodze napotkał wielu złych ludzi walczących z demonami, chyba nawet więcej niż takich, których określiliby jako dobrych.

Trudne doświadczenia nauczyły go, że wróg demonów nie musi być od razu jego przyjacielem.

Trójka wojowników czekała w milczeniu, dopóki nie nastał świt. Dopiero wówczas Jolnir zaryzykował wyjście, by rozejrzeć się po okolicy, korzystając z lepszej widoczności. Miejscowe warunki nie sprzyjały demonom, choć dla ludzi również nie były przyjazne.

Gorące promienie słońca bez wątplenia mogły spalić demony, jednak nieostrożnego człowieka po kilku dniach czekałby podobny los.

Jol powrócił na miejsce, gdzie wcześniej odpoczywał. Przysiadając, poczuł na sobie spojrzenie dwóch par oczu, śledzących bacznie każdy jego ruch.

– Wygląda na to, że jest czysto – stwierdził. – Potwory pewnie się pochowały, o ile w ogóle nie dały sobie z nami spokoju.

Tur parsknął.

– Wątpię. To dla nich bezprecedensowy przypadek. Demony nie narażałyby się tak tylko po to, żeby w końcu się poddać.

– Racja, tym razem wkurzyliśmy je nie na żarty – przyznała Sien ponuro. – Wrócą tu.

– Cóż – odparł Jol – lepiej, żeby nas nie zastały. Potrzebujecie kryjówek na dłużej?

– A co? Znasz taką? – zapytał Turroch sarkastycznie. – Nie mówiłeś przypadkiem, że jesteś nietutejszy?

– Mówiłem. I znam. – Jol zerwał się na nogi. – Chodźcie.

Gdy wyszedł spośród ruin, Sien i Tur patrzyli za nim przez chwilę, on jednak się nie oglądał. Uznał, że najwyższy czas przekonać się, czy nowi znajomi są zainteresowani współpracą.

Para wojowników wymieniła znaczące spojrzenia. Potem oboje skinęli głowami i wstali, by ruszyć za młodzieńcem. Nie wiedzieli, co zamierza, jednak robiło się już za gorąco, więc równie dobrze mogli poszukać lepszego schronienia.

AVALON

Merlin badał sieć. Nie podobało mu się to, co widział. Uszkodzenia doprowadziły do powstania nietypowego wzorca ruchu, którego Merlin nie wziął pod uwagę, a który niemal na pewno był przyczyną obecnego problemu.

Elan powinna udać się na zachód, ścieżką wiodącą bezpośrednio od punktu początkowego do celu. Zakłócenia zmusiły jednak system do automatycznego przekierowania transportu w nieuszkodzone obszary sieci.

Dlatego Elan trafiła na północ, bardzo daleką północ, na wyspę pokrytą lodowcem.

To samo w sobie zwykle oznaczałoby zaledwie kilka milisekund opóźnienia w dotarciu na miejsce. Sprawę komplikował fakt, że obiekt, z którego należałoby przekierować sygnał, wyglądał na nieaktywny.

Nie stanowiło to jeszcze prawdziwego problemu, ponieważ połączenia transportowe działały jak należy.

Tajemniczy obiekt nie był jednak zwyczajnym węzłem transportowym, a raczej miejscem podobnym do Avalonu. Posiadał zbliżone ograniczenia dostępu, których Elan raczej nie mogła przełamać, zważywszy na to, skąd pochodziła. Sam Merlin zdołał ją wpuścić wyłącznie dzięki lukom we własnych ograniczeniach. A także dzięki zgodności genetycznej. Jeden z przodków dziewczyny był dowódcą bazy.

Jeżeli rzeczywiście utknęła w obiekcie północnym, mało prawdopodobne było, aby zdołała się stamtąd wydostać... A Merlin nie mógł zupełnie nic na to poradzić.

Pomimo najlepszych chęci i starań Elan przepadła.

Merlin nie wiedział, co ma powiedzieć pozostałym. Młoda wojowniczką dokonała wielkich czynów i doprowadziła do dwóch doniosłych zwycięstw lokalnej społeczności. Był nie miał pewności, jak zareagują na to ludzie, ale nie widział też innego wyjścia.

„Do diabła z tym wszystkim!”

NIEZNANA REDUTA

Elan odkaszlnęła. Kurz dostawał się wszędzie, bez względu na to, jak bardzo starała się przed nim ochronić. Nie pomagało, że aktualnie czołgała się przez ciasne przejście o zdecydowanie ograniczonym użytku, a zbroja, cóż, z pewnością nie czyniła dziewczyny lżejszą. Elan zastanawiała się nad porzuceniem sprzętu, jednak na razie nie była pewna, czy może zaufać Nimue. Gdyby kurz stał się nie do zniesienia, wojowniczką zamierzała użyć substancji czyszczących.

– Chyba mam – powiedziała między jednym kasznięciem a drugim. Wyciągnęła przy tym zmatowiały kryształowy odłamek pomiędzy szeregu podobnych przedmiotów, a na to miejsce wstawiła lśniący kryształ, który inteligencja znalazła w magazynie.

– Rzeczywiście – potwierdziła Nimue. Jej głos rozchodził się echem i wzbijał kolejne tumany kurzu. – Systemy zaczęły odpowiadać na zapytania. Rozpaczynam pełny restart.

Elan rozejrzała się w oczekiwaniu, jednak nic się nie zmieniło.

– Już? – zapytała po chwili. – Zrobione?

– Dziecko, restart wymaga czasu – wyjaśniła Nimue. – Ale możesz stamtąd wyjść.

Elan jęknęła i zakłęła pod nosem, wycofując się przez szyb konserwacyjny. Wiła się z trudem w ciasnym korytarzu, aż w końcu wydostała się do pomieszczenia głównego.

Przez chwilę leżała, biorąc głębokie oddechy, wciągając powietrze wolne od kurzu i przyglądając się nierównościom na suficie.

Nimue zjawiała się obok, gdy dziewczyna usiłowała rozstrzygnąć, czy strop wygląda teraz na czystszy, czy to wszystko zasługa nowego oświetlenia.

„Pewnie jedno i drugie”.

– Skanery bezpieczeństwa uruchomiły się ponownie – zakomunikowała Nimue. – Nie podoba im się, że masz na sobie wspomagany pancerz klasy X i nosisz broń boczną Elitarnych Sił Zbrojnych.

Elan przekręciła nieco głowę, obrzucając projekcję oschłym spojrzeniem.

– Lepiej się z tym pogódź. Nie będę się przed tobą rozbierać, nawet jeśli ładnie poprosisz i zaproponujesz mi kolację.

– Hmm... – mruknęła Nimue. – Na szczęście obecnie jesteś wewnątrz obiektów, poza zasięgiem kontroli skanerów, więc nie powinno być problemów. Co innego, jeśli chodzi o bezpieczeństwo wewnętrzne.

Elan zmrużyła oczy.

– Czy to znaczy, że pomogłam ci uruchomić broń, którą teraz spróbujesz mnie zabić?

– Spróbuję? – powtórzyła Nimue z chłodnym rozbawieniem w głosie. – Jesteś pewna siebie, co, mała?

– Przeżyłam ataki dwóch hord demonów, zdrajców i jednej demonessy wyższego rzędu, która... – Elan urwała, marszcząc czoło. – Prawdę mówiąc, nie do końca wiem, co próbowała zrobić. Chciała mnie zabić, ale wyglądało to na coś jeszcze poważniejszego. Dziwna sprawa.

Nimue przyjrzała się jej uważniej.

„Jak na kogoś tak młodego, stoczyła wiele walk. Ale, rzecz jasna, od złotego wieku cywilizacji wiele się zmieniło”.

– To wszystko bez wątpienia imponujące dokonania – powiedziała.
– Co zaś do systemu bezpieczeństwa wewnętrznego, podlega on bezpośrednio mnie, ponieważ zakłada, że osoby wpuszczone do obiektu zostały skontrolowane, przynajmniej w pewnym stopniu. W mojej bazie nie będzie żadnych strzelanin. Czy wyraziłam się jasno, młoda damo?

Elan prychnęła, podnosząc się do siadu i otrzepując z kurzu.

– Pewnie, czemu nie?

Nimue już miała skarcić ją za mało entuzjastyczną odpowiedź, gdy nadeszło powiadomienie z innego systemu.

– Znakomicie. Skanery zewnętrzne już działają i wykonują diagnostykę.

– Czyli co? Widzisz teraz cały ten lód? – zapytała Elan niepewnym tonem.

– Moje główne skanery mają dość mocy, by przeniknąć tak cienką barierę... A skoro o nich mowa, właśnie przesyłają raporty. Hmm... Lodowce zaczęły topnieć i usuwać się z tego obszaru. Jeszcze tylko parę tysięcy lat i odzyskamy dostęp do otwartej przestrzeni. Oj... A może i nie?

– Co jest?

– Wydaje mi się, że właściwie nic – odparła Nimue smętnie. – Lodowiec wymył kilkaset metrów ziemi wokół bazy. Gdy już całkiem się cofnie, obiekt zanurzy się prawdopodobnie w nowo powstałym słodkowodnym jeziorze. Przyznam, że będzie to nieco uciążliwe.

Elan potrząsnęła głową. Perspektywa pogrzebienia pod lodem i wodą była dla niej więcej niż „uciążliwa”, zdążyła jednak zauważyć, że projekcje postrzegają pewne rzeczy inaczej niż ludzie.

Nimue tymczasem przyswajała kolejne informacje napływające z systemów powoli odzyskujących sprawność.

– Chwileczkę... A co to takiego? – zapytała ostro. Potem nieoczekiwanie zniknęła, pozostawiając Elan samą w komnacie.

– Ale o co chodzi? Halo? Halo! – wołała Elan. W końcu, zrezygnowana, skierowała się do głównego centrum dowodzenia.

„Głupie projekcje”.

„To na nic. Wszystko na nic”.

Nimue biedziła się nad maszyną wypluwającą dane z zawrotną prędkością, gdy Elan dotarła do centrum dowodzenia, rozgniewana nagłym zniknięciem inteligencji.

– Co się dzieje? – zapytała dziewczyna. Przysunęła sobie fotel i zatonała w nim z ulgą.

Projekcja ledwie zaszczyciła ją spojrzeniem.

– Monitoruję częstotliwość rezonansu planetarnych linii geomantycznych... Taką, która zdecydowanie nie powinna występować.

– Wiadomo. – Elan przytaknęła. – Sama chciałam to sprawdzić. Częstotliwość powinna być dopasowana do obiektu, ku któremu zmierzałam.

Nimue zamruwała, a potem szybko przejrzała dane o przechwyconym transporcie, który sprowadził nieoczekiwanego gościa do jej siedziby. Następnie zestawiała lokalizację z falą rezonansową, którą skanowała, wraz z jej prawdopodobnymi punktami centralnymi.

Jedno pasowało do drugiego.

„Punkt dla niej” – pomyślała Nimue, choć nie miała pojęcia, co ten podłotek zamierzał osiągnąć przez takie działanie. Cokolwiek wywołało falę o takiej mocy, przekraczało możliwości wspomaganego pancerza i pistoletu, nawet stanowiących wyposażenie Elitarnych Sił Zbrojnych.

– Co za przeklęty głupiec wyprawił cię w taką misję bez należytego ekwipunku? – zapytała projekcja, do głębi rozdrażniona całą tą sytuacją.

Elan odchyliła się, zaskoczona nagłym wybuchem gniewu.

– Nie bardzo mamy w czym wybierać – broniła się, niepewna, ile powinna wyjawic kłopotliwej inteligencji. – Poza tym na razie chcemy przede wszystkim wy badać, co się dzieje. Wiemy zbyt mało.

Nimue parsknęła.

– Mogę ci od razu wyjaśnić parę spraw, o których nie masz pojęcia. Tutaj widzimy kształt fali kolapsu wymiarowego. – Machnęła ręką, widząc zdezorientowaną minę Elan. – Bez obaw, nie oczekuję, że to zrozumiesz. W dużym uproszczeniu ktoś... najpewniej demony, bo któż by inny... stworzył wewnątrz Ziemi pewien wzorzec. Gdy

wzorzec ten zsynchronizuje się z drganiami bariery wymiarowej oddzielającej ten świat od planu, który jest celem demonów, bariera runie.

Elan gapiała się na nią.

– Poważnie? – zapytała po chwili milczenia. – Ładne mi uproszczenie.

Nimue westchnęła, kręcąc głową.

– Naczelne, też mi coś... W porządku, dziecko. Mówiąc najprościej, demony zamierzają wyważyć drzwi między naszym światem a jednym z własnych światów... A potem sprowadzić armie, jakich jeszcze nie widzieliśmy.

Elan pobladła, rozważając te słowa.

– Ale... – zaczęła powoli – przecież już i tak wybiły prawie wszystkich ludzi. Po co miałyby ściągać tu armię?

– A co się robi, kiedy wypłeni się już wszystkie szkodniki? – zapytała Nimue z goryczą. – Wtedy pozostaje tylko się wprowadzić.

– Aha... – szepnęła Elan.

Sama myśl o tym paraliżowała ją strachem. Przez chwilę, która wydawała się wiecznością, nie była w stanie objąć tego rozumem. W końcu jednak zerwała się z miejsca.

– Musimy je powstrzymać!

– Ale jak, dziecino? Twoja broń nic nie zdziała przeciwko fali harmoniczej, która zresztą już dotarła do linii mocy – warknęła Nimue. – Nie wydaje mi się, byśmy posiadali jakąkolwiek fizyczną broń, która mogłaby to zatrzymać. A nawet gdybyśmy ją mieli, broń zdolna to uczynić odcisnęłaby piętno na tym świecie.

Elan wpadła w gniew.

– Musi być jakieś wyjście! Muszę wrócić albo dostać się tam, gdzie zmierzałam!

Odwróciła się, sztyletując wzrokiem projekcję.

– Odeślij mnie! – zażądała.

Nimue odwzajemniła spojrzenie.

– Nie.

ROZDZIAŁ 10

REDUTA NA PÓŁNOC OD CYTADELI

– Lepiej dla tego błazna, żeby się tam nie obijał – burknął Kaleb, wzbijając pył kopniakiem i obserwując horyzont na południu.

Czekał już ponad dzień, licząc, że Jol powróci, by mogli skoordynować działania, jednak nie zanosilo się na to. Kal zaczynał nawet trochę martwić się o kolegę, jakkolwiek Jol irytował go ciągłym flirtowaniem z wieloma kobietami znanymi Kalebowi.

Merlin niewiele mógł pomóc, ponieważ reduta nie była w stanie wykrywać osób tak precyzyjnie jak on. Mimo iż Kaleb i Jolnir zabrali ze sobą urządzenia namierzające, ich zasięg był dość ograniczony.

Kalebowi pozostało więc wystawanie pod redutą w oczekiwaniu na powrót Jola oraz wykonywanie drobnych napraw zleconych przez Merlina. Chłopak sądził, albo przynajmniej żywił nadzieję, że to ważna praca, nie chciał jednak tkwić przy niej, skoro poza prastarą redutą działy się o wiele ważniejsze rzeczy.

Chwilowo jednak musiał zacisnąć zęby i skupić się na naprawach. Pomiedzy jednym zadaniem a drugim wspinał się na szczyt budowli, żeby się rozejrzeć.

Nic się jednak nie zmieniało.

Właśnie miał zejść, gdy dostrzegł na horyzoncie jakiś ruch. Od razu przyklęknął na jedno kolano i skrył się przy wejściu do reduty, usiłując ustalić, co właściwie zobaczył.

Wkrótce okazało się, że trzy postacie zmierzają, jak się zdawało, prosto w jego kierunku. Kaleb zaniepokoił się. W końcu Jol wyruszył w pojedynkę.

„Może bracia już dotarli?” – zastanawiał się Kal. „Ale jeśli tak, to gdzie ukryli tę latającą maszynę?”

Brokkr i Sindri mieli przybyć skoczkiem trochę później, gdy Kaleb, Jol i Elan dotrą już na miejsce i, jeśli im się poszczęści, dowiedzą się czegoś o aktualnej sytuacji. Ponieważ jednak plan trochę się skomplikował, chłopak nie był pewien, czy bracia w ogóle byliby w stanie przylecieć.

Odsunął te rozmyślania, gdy postacie zbliżyły się i mógł już ocenić ich wzrost. Tylko jedna z tych osób była dość niska, by można ją było uznać za któregoś z braci. Kaleb wątpił więc, by mieli to być oni. Rzadko widział, by Brokkr lub Sindri działali w pojedynkę.

Chłopak postanowił zacząć się z bronią w pogotowiu. Jeśli będzie miał do czynienia z kimś, kto nie miał czego szukać w reducie, dopilnuje, by ten ktoś nie wszedł do starożytnej bazy.

Jeśli będzie inaczej... Cóż, podejmie decyzję, gdy dowie się więcej.

– Tędy. – Jol wskazał głową kierunek przed sobą, prowadząc parę wojowników przez pustynię.

Słońce przypiekało, a zapas wody już się skończył, więc Jolnir z ulgą zauważył znajomą okolicę. Reduta była niedaleko. Chłopak nie był pewien, czy w bazie znajdą wodę, wiedział jednak, że w razie konieczności Merlin dostarczy ją z Avalonu.

– Lepiej, żebyś mówił prawdę – ostrzegła Sien, gdy cała trójka brnęła przez pustkowie. – Jeśli będę musiała wlec się z powrotem do osiedla, obiecuję, że przedtem ugaszę pragnienie twoją krwią!

– Obiecanki cacanki, droga pani – parsknął Jol.

Kobieta zrobiła zrezygnowaną minę, z kolei Tur warknął z irytacją i obrzucił młodzieńca gniewnym spojrzeniem.

– Tak czy inaczej, teraz wystarczy iść pod górę – oznajmił Jolnir. – Musimy jednak uważać, bo inni mogą...

Usłyszeli z boku huk. Przypadli do ziemi, zasypywani pyłem i odłamkami skał.

– Nie zbliżajcie się! – rozległ się okrzyk.

Jol odruchowo przetoczył się w poszukiwaniu schronienia. Po chwili uniósł głowę i spojrzał z niedowierzaniem na napastnika.

– Kaleb! To ty, pomyłeńcu?

– Jol?

– A kto inny miałby tak sobie chodzić po pustkowiu pełnym demonów, półgłówku?

– Kto z tobą jest? To nie bracia!

– Dwójka miejscowych. Byli bliscy śmierci z rąk bandy demonów, więc ich uratowałem.

- Nieprawda! – zaprotestowała Sien.
- Poważnie? – Jol obejrzał się na nią.
- Bez obaw, już ja go znam – zawołał Kaleb, wychodząc z ukrycia.
- Mam dość rozumu, żeby nie dawać wiary jego opowieściom.
- Jestem Sien’el – przedstawiła się kobieta, unosząc dłonie. – Mów mi Sien.
- Kaleb – odparł chłopak. – Chodźcie śmiało. Obiecuję, że nie będzie więcej ataków.

Sien i Tur spojrzeli po sobie. Nie mieli innego wyjścia, więc wstali i podążyli za Jolem w stronę Kaleba.

– Trzeba było poczekać – warknął chłopak do Jolnira. – Siedziałem tu cały dzień i nie wiedziałem, czy mam ruszać sam, czy czekać, aż wrócisz. Tak się nie robi. Jeśli się nie dogadamy, niczego nie osiągniemy.

– Nie mamy czasu na pogaduszki – odgryzł się Jol. – Teraz jest czas, żeby działać.

– Jasne. Ale jak? I gdzie?

Jol zawahał się. Kaleb westchnął z politowaniem.

– No właśnie. – Spojrzał na kompanów Jolnira. – Wybaczcie. Mój przyjaciel...

– Nie jesteśmy przyjaciółmi – przerwał Jol.

– Mój nadąsany przyjaciel – sprecyzował Kaleb – bywa denerwujący, ale przydaje się w walce... Bo czy nam się to podoba, czy nie, czeka nas ciężki bój. A przynajmniej wszystko na to wskazuje.

Sien i Tur przez sekundę patrzyli po sobie ponuro, co wystarczyło im zamiast wielu godzin rozmów.

– O jakim boju mowa? – zapytał Tur.

Kaleb obrzucił go spojrzeniem.

– Ktoś ty?

– Turroch – odparł mężczyzna, wypowiadając końcówkę imienia z gardłowym chrząknięciem. – Możesz mi mówić Tur.

– A zatem, Tur – odparł Kaleb – sęk w tym, że jeszcze nie wiemy. Wiemy natomiast, że demony mają jakiś wielki plan. Właśnie dlatego wszyscy tu przybyliśmy. No... Prawie wszyscy.

Spochmurniał, potrząsając głową.

– Dalej nie wiadomo, co się z nią stało? – zapytał Jol cicho.

– Nie wiadomo. Nawet Merlin nie ma pojęcia – odparł Kaleb. – Po prostu zniknęła.

– O kim mówicie? – zapytała Sien, gdy jej ciekawość przewyciężyła ostrożność.

– O Elan – wyjaśnił Kaleb. – Wyruszyła pierwsza. Miała dotrzeć tutaj i zorientować się w sytuacji. Ale nie zjawiała się tam, gdzie powinna.

Sien'el była pewna, że czegoś jej brakuje w tym wyjaśnieniu.

– Czy po drodze wpadła w zasadzkę? – zapytała po namyśle.

– Nie, to byłaby łatwizna. – Kaleb uśmiechnął się słabo, po czym znowu posmutniał. – Postawiłbym sztabę złota, że wyszłaby z tego, zostawiając za sobą ścierwa napastników.

– A ja wolałbym się z tobą nie zakładać – zaśmiał się Jol. – Niewielu ludzi potrafiłoby stawić czoła władcy czy w tym wypadku władczyni demonów i zremisować w walce.

– Dokonywała i tego, i wielu innych rzeczy – przyznał Kaleb. – Ale tym razem, cokolwiek się stało, nie miała szansy na odparcie ataku. Zniknęła. Merlin twierdzi, że pozostała przy życiu. Możliwe, że dowie się, gdzie trafiła.

– To dobrze – powiedział Jol. – Powiedz mu, żeby mnie tam posłał, a ja sprowadzę dziewczynę z powrotem.

Kaleb zmierzył go beznamiętnym spojrzeniem.

– Naprawdę? Myślisz, że sami na to nie wpadliśmy? To miejsce jest odosobnione i nie ma z nim żadnej łączności. Elan nie wróciła samodzielnie, więc można założyć, że tamtejszy system transportowy z jakiejś przyczyny nie działa. Nie możemy po nią pójść, a ona najwyraźniej nie może stamtąd uciec.

– Nie wierzę w to – zaproponował Jolnir. – Jeśli żyje, na pewno możemy ją uratować. Musi istnieć jakiś sposób!

– Dopóki nie dowiemy się, dlaczego nie powróciła, nie będziemy mogli wysłać nikogo. Inni również mogliby wpaść w pułapkę. Na razie musimy działać bez niej – oznajmił Kaleb tonem nieznoszącym sprzeciwu, uciszając Jola groźnym spojrzeniem.

Jolnir był niezadowolony, nie wiedział jednak, co powiedzieć, więc kopnął tylko kamyk, po czym przysiadł ciężko na pobliskim głazie.

– Nie podoba mi się to – oświadczył z wyrzutem.

– Nikomu się to nie podoba. Po prostu... – Kaleb zawiesił głos, odwrócił się do dwójki przybyłych i westchnął. – Przepraszam. Zaginięcie Elan wytrąciło nas obu z równowagi. Wejdźcie do środka. Czekają tam jedzenie i woda.

Tur i Sien ponownie porozumieli się bez słów, spoglądając na siebie pokrzepiająco. Następnie udali się za Kalebem do wejścia do jaskini. Jol ubezpieczał tyły. Po chwili cała czwórka zanurzyła się w cieniu.

Naturalny urok jaskini po pewnym czasie ustąpił idealnie równym ścianom, podłodze i stropowi. Po drodze Sien przesuwiała dłonią po ścianie, zdumiona jej niespotykane gładką, chłodną powierzchnią.

– Jaki klan zbudował to miejsce? – dopytywała.

– Klan? – Kaleb przystanął, oglądając się przez ramię.

– Klan demonów. Tylko one stawiają podobne budowle.

Kaleb zaśmiał się cicho.

– Demony niczego nie budują. Jedynie kradną i udają, że to, co zwędziły, jest ich dziełem. To miejsce zbudowali ludzie bardzo dawno temu.

– To niemożliwe – zaprotestowała Sien, rozglądając się na wszystkie strony, gdy weszli do przestronnej komnaty.

– Taka jest prawda – rzucił Jol. – Pani Miasta lubowała się w dręczeniu ludzi opowieściami o tym, do czego dawniej był zdolny człowiek. To, co tu widzicie, to zaledwie przedsmak. Możecie mi wierzyć.

– Skoro ludzie stworzyli takie cuda, to dlaczego przegraliśmy? – zapytał Tur ponuro.

– To długa, tragiczna historia – odezwał się z nienacka nowy głos.

– Merlinie. – Kaleb odwrócił się do projekcji. – Jakież wieści o Elan?

– Niestety nie, młody Kalebie. Córka marnotrawna wciąż nie wróciła.

– Co to ma być?! – Sien wyciągnęła przed siebie włóczę, trzymając się na dystans od Merlina. Tur chwycił topór, gotowy do walki. – Jakaś zasadzka?

– *Pax*. – Merlin uniósł dłonie. – Przepraszam, że pojawiłem się tak nieoczekiwanie. Nie zdawałem sobie sprawy, że nie wiecie jeszcze wszystkiego. Jestem Merlin, międzywymiarowa inteligencja stworzona przez waszych przodków. Witajcie.

Sien powiodła wzrokiem po pomieszczeniu, wypatrując wszelkich ruchów, by upewnić się, że nikt nie próbuje im odciąć drogi ucieczki. Tur trzymał się z lewej. Obrócił się, przyjmując postawę obronną.

– Mamy ci ślepo uwierzyć? – zapytała kobieta.

– Ależ nie – odparł Merlin. Wydawał się wręcz urażony tym pytaniem. – Nie pokładajcie wiary we mnie ani w nikim innym. Osądzajcie mnie, tak jak każdego, po czynach, nie słowach.

– Ha... – zaśmiał się Turroch. – Mądra rada. Żaden demon, jakiego poznałem, nie mówiłby w ten sposób.

Sien przytaknęła powoli. Zwolniła nieco chwyt na włócznie, choć wciąż trzymała ją w gotowości.

– Masz rację – zwróciła się po chwili do widma. – Bądź jednak łaskaw dać nam czas.

– Naturalnie, pod warunkiem że wystarczy nam czasu – odpowiedział Merlin. Następnie odwrócił się do Kaleba. – Fala harmoniczna narasta. Jeśli wszystko rozwinie się zgodnie z prognozami, za trzy dni lokalna czasoprzestrzeń dozna poważnych szkód.

– Lokalna... co? – wtrąciła się Sien'el.

Merlin zerknął na nią przelotnie, zanim skupił się ponownie na Kalebie.

– Nie jestem w stanie oszacować skutków naruszenia bariery.

– Rozumiem – zełgał Kaleb przez zaciśnięte zęby, choć uznał, że pojmuje wystarczająco dużo. Sytuacja była zła, mieli trzy dni, a jeśli im się nie uda, zrobi się paskudnie.

– A ja ni cholery nic z tego nie rozumiem – utyskiwała Sien. – Co to za brednie o czasie i przestrzeni?

Merlin westchnął, zwracając się w jej stronę.

– Coś, co skupia się w wieży na południu, rośnie w siłę. Jeśli nikt nad tym nie zapanuje, w... obszarze wokół wieży dojdzie do poważnych zniszczeń.

– Niech i tak będzie – zaperzyła się kobieta. – Cała Cytadela może runąć, na pohybel tym piekielnym bękartom!

– Nie rozumiesz skali, którą operuję – odrzekł Merlin ozięble. – „Lokalna” nie oznacza przestrzeni w okolicy... Cytadeli? Mam na myśli całą planetę, po której stąpamy.

– To znaczy... – Sien była zdezorientowana.

– To znaczy świat – westchnął Kaleb. – Cały świat. I wszystkich jego mieszkańców.

Merlin był tak naprawdę cierpliwą istotą.

Nie był to zwykły wymóg, ale nieodłączna część jego jestestwa. Jednakże nieskończoność to pojęcie matematyczne, niesprawdzające się w prawdziwym świecie... A cierpliwość Merlina również nie była nieskończona.

Współpraca z Atlantydami okazała się wystarczająco kłopotliwa, jednak byt miał przynajmniej trochę czasu, by przeszkolić choć garstkę ludzi i pozyskać ich zaufanie. Co innego, jeśli chodzi o dwójkę nowych nieznajomych.

– Nie mamy na to czasu – oznajmił grobowym głosem, od którego zadrzało powietrze. – Jeśli nie podejmiemy działań, konsekwencje bez wątpienia będą katastrofalne.

– Dlaczego?

Merlin spojrzał ze znużeniem na wielkoluda, który przedstawił się jako Tur.

– Czy naprawdę muszę sięgać po matematykę wielowymiarową, żeby dowieść...

– Nie – burknął Turroch. – Jeśli to demony za tym stoją, dlaczego miałyby dążyć do zniszczenia świata?

Merlin był lekko zaskoczony.

– Dobre pytanie – przyznał. – Nie jestem w stanie udzielić na nie wyczerpującej odpowiedzi, powinienem jednak rozjaśnić kwestię zagłady świata. Nie uważam, by skutki osiągnęły aż taką skalę. Zniszczenia? Owszem. Całkowite unicestwienie? To mało prawdopodobne.

– Pozostaje pytanie, dlaczego demony to robią – dumiał Kaleb.

– Po prostu lubią wszystko niszczyć – rzucił Jol.

– Wszystko, ale... chyba nie świat, w którym żyją? – Kal rozejrzał się po zebranych. – Prawda?

Jego towarzysze, którzy mieli bliższy kontakt z demonami, byli widocznie skrępowani. Nie chcieli odpowiadać na to pytanie, bo sami nie byli tego tacy pewni.

Milczenie wyrażało więcej niż słowa. Kaleb pogrążył się w rozmyślaniach.

– Oj... – jęknął po chwili.

– No właśnie, „oj” – powiedział Jolnir. – Posłuchaj, nie wiem, czy demony są aż tak szalone. Niektóre na pewno, ale raczej nie te z samej góry. Są jednak dość pomyłone, żeby wybić nas wszystkich, nawet przy okazji czegoś innego. Nie możemy ich lekceważyć.

– Racja – wtrącił się Merlin. – Aktualnie prawdziwym problemem jest jednak ustalenie źródła.

Jol skinął głową.

– Jak mamy to zrobić?

ROZDZIAŁ 11

NIEZNANA REDUTA

Elan i Nimue spoglądały na siebie z dwóch końców pomieszczenia. Żadna nie chciała ustąpić, nawet w ciszy narastającej pomiędzy nimi jak sopel lodu ściekający powoli z sufitu.

– Dlaczego nie? – zapytała wreszcie Elanthielle tonem pełnym złości.

– Bo nawet gdybym mogła cię wypuścić, nie byłabyś w stanie nic zrobić – odparła projekcja. – A ja nie mam w zwyczaju posyłać dzieci na pewną śmierć.

– Nie wiem, za kogo się uważasz – odcięła się Elan – ale ja nie jestem dzieckiem i od dwóch lat walczę z demonami. Jeśli muszę ryzykować życie, niech tak będzie!

– Ryzyko to jedna sprawa, czy mi się to podoba, czy nie – powiedziała Nimue. – Gdybyś miała choć cień szansy na zwycięstwo, mogłabym zmienić zdanie, jednak to przekracza twoje możliwości.

– Co więc zamierzasz?

– W tej sprawie jestem bezsilna – syknęła Nimue. – Czyżbyś mnie w ogóle nie słuchała?

– A zatem ja nie mogę, a ty nie chcesz nic zrobić – podsumowała Elan, ignorując obruszenie Nimue na słowa „nie chcesz”. – A jeśli ktoś wyważy te drzwi między wymiarami? Czy potem będziemy żyć długo i szczęśliwie?

Nimue wlepiała spojrzenie w dziewczynę. Wiedziała, do czego zmierza Elan, i dobijało ją, że nie ma rozsądnej odpowiedzi na kolejne pytanie, które musiało w końcu paść.

– Nie – wydusiła Nimue. – Zginiemy.

Elan uśmiechnęła się paskudnie.

– Więc jeśli i tak pisana jest mi śmierć, chcę polec, działając – warknęła przez zaciśnięte zęby. – Nie wyświadczysz mi łaski, pozwalając skonać w tej dziurze tylko po to, żebym mogła pożyć trochę dłużej.

Gdyby Nimue miała fizyczną postać, zacisnęłaby dłonie w pięści. Niestety, tego typu gesty przynosiły znikomą satysfakcję widmowej projekcji.

Nie mogła celnie zripostować natchnionej przemowy dziewczyny, choć starała się wpaść na cokolwiek, co odwiodłoby Elan od jej samobójczych zapędów. Skoro śmierć i tak miała nadejść, nie miało znaczenia, czy przyjdzie za kilka dni, miesięcy, lat, czy nawet dekad. Wszelka nadzieja dla niej i jej potencjalnych potomków i tak już przepadła.

Nie znaczyło to, że była gotowa wypuścić dziecko na świat prawie bez żadnej ochrony.

„Jedna broń boczna i pancerz wspomagający? Trzeba być kretynem...”

Nimue przeszła Elan spojrzeniem.

– Merlin.

– Słucham? – Elan wzdrygnęła się, zaskoczona.

– Dostałaś ekwipunek od tego zidiociałego starucha – prychnęła Nimue. – Od Merlina! Jestem pewna, że tylko on wyprawiliby cię w tak nieprzyjazny świat z tak marnymi środkami obrony. Inteligencja wojskowa zapewniłaby ci przynajmniej pancerz projekcyjny, dodatkowo do wspomagającego, i uzbroiła cię tak, że sama bym się bała cię zatrzymywać!

Elan mimowolnie uznała, że brzmi to całkiem nieźle. Dobrze by było dotrzeć do takiej „inteligencji wojskowej”.

– A tak w ogóle do jakiego zadania zamierzał cię wysłać ten zgrzybiały półgłówek? – zapytała Nimue.

Elan wzruszyła ramionami.

– Tego nie wiedział. Znał tylko ogólną lokalizację i miał świadomość, że coś jest nie tak. Miałam przewodzić grupie zwiadowczej.

Nimue westchnęła cicho.

– Cóż, przynajmniej nie postradał jeszcze wszystkich anionów...

Elan nie miała pojęcia, co to znaczy, a projekcja nie miała zamiaru tego objaśniać.

– Mogę oszczędzić ci zachodu i po prostu o wszystkim opowiedzieć. – Nimue przekrzywiła głowę. – Prawdę mówiąc, już to zrobiłam. Zwiad jest niepotrzebny.

– Nie, teraz trzeba zaplanować atak!

Nimue powstrzymała drzenie. W uśmiechu tego dziecka było coś dziwnego. Może nie dzikiego, ale wystarczająco podobnego do szaleństwa, by projekcja zauważyła u siebie pierwotne instynkty, o których wcześniej nie wiedziała.

Tak czy inaczej, musiała przemówić dziewczynie do rozumu.

– Elan... – Westchnęła ciężko. – Nie ma czego atakować. Tu chodzi o wzorzec geomantyczny. Atak na coś takiego byłby równie rozsądny jak wyruszanie do walki ze światem, o ile coś takiego jest w ogóle możliwe.

– Na pewno da się coś zrobić – upierała się Elan. – Sama powiedziałaś, że w przeciwnym razie czeka nas koniec. Trzeba spróbować!

– Oczywiście, że należy podjąć jakieś kroki, nieznośna dziewczucho – warknęła Nimue. Nawet jej projekcja nie mogła ukryć napięcia, jakie odczuwała. – Problem w tym, że my nie możemy nic zrobić.

Odwróciła się, spoglądając w milion mil pustki za ścianą. Wyraźnie się uspokoiła.

– Dziecko, z twoimi obecnymi zasobami nic się nie poradzi – powiedziała zmęczonym tonem.

– A co byś zrobiła, gdybyś miała wszystko, co trzeba? – naciskała Elan.

Nimue przewróciła oczami i odwróciła się, zirytowana, choć jednocześnie chętna do gry. Było to przynajmniej lepsze od przekrzykiwania się.

– To proste. Przeanalizowałabym wzorzec i wprowadziła falę neutralizującą do linii mocy. Dwie przeciwne fale powstrzymają jedna drugą – wyjaśniła. – Nie mamy jednak sprzętu pozwalającego należycie obliczyć taką falę ani wprowadzić ją do linii geomantycznej. Nie dysponujemy również zasobami koniecznymi do zabezpieczenia się przed odwetem. Gdybyśmy spróbowały czegoś takiego, zostałybyśmy namierzone i w ciągu godziny rozpoczęłoby się oblężenie. – Ponownie się odwróciła. – Widziałam już wcześniej coś podobnego.

AVALON

„Jest tylko jedna baza, do której mogła trafić Elan” – uświadomił sobie Merlin, jednocześnie z trwogą i nadzieją. „Dlaczego ze wszystkich inteligencji badawczych musiała trafić akurat na nią?”

On i Nimue jakoś nigdy się nie dogadywali, przynajmniej gdy byli skazani na swoje towarzystwo. Merlin podziwiał Nimue, jeśli nie za osobowość, to za umiejętności, nie potrafił jednak stworzyć z nią zgranego duetu.

Jej stacja badawcza na Płaskowyżu Północnym była jedynym obiektem leżącym na trasie, którą jak zdołał ustalić byt, udała się Elan. A w każdym razie jedynym pasującym do ogólnego profilu, z którym pracował Merlin. Uszkodzenia, brak łączności, dość wysoki poziom zabezpieczeń i kilka innych czynników zawężyły listę do jednej pozycji.

Problem w tym, że miejsce to należało właśnie do Nimue...

Istota ta była bezsprzecznie genialna, Merlin nie śmiałby temu zaprzeczyć, nie był jednak przekonany co do użyteczności Nimue, która miała tendencje do wyklócania się o drobiazgi, aż w końcu było już za późno na działanie, choćby z niekompletnymi informacjami.

Niestety, bez względu na to, czy mogła się na coś przydać, Merlin musiał sprawdzić, czy jest aktywna. Niechętnie nadał więc prosty sygnał do namierzonego obiektu. Potem pozostało już tylko czekać...

CYTADELA

Pani Cytadeli rzadko zapuszczała się na niższe poziomy wieży. Jeśli chciała czegokolwiek z dołu, dużo łatwiej było zażądać, by jej to dostarczono. W niektórych sytuacjach wołała jednak złożyć wizytę. Zazwyczaj nie dlatego, że ktoś nie mógł się do niej pofatygować, ale ponieważ nie życzyła sobie, by niektórzy kalali swoją obecnością jej osobistą rezydencję.

To był właśnie jeden z takich przypadków.

Prawdę mówiąc, czuła smutek, schodząc z parteru do rozbudowanych podziemi.

Przestąpiła zabezpieczone, ryglowane żelazem drzwi i westchnęła, spoglądając na przyczynę swej wizyty.

– Witaj... siostrze – usłyszała.

– Ser’Goth – rzuciła ponuro Pani, spoglądając na drugą demonessę, spętaną żelaznymi łańcuchami, które pozostawiły na jej ciele okropne blizny. – Widzę, że wciąż próbujesz uciec. Kto jak kto, ale ty powinnaś wiedzieć, że nie zdołasz umknąć przed karą za porażkę.

– Leży to w naszej naturze. – Ser’Goth uśmiechnęła się. – Ty wiesz o tym najlepiej, nieprawdaż, Ser’Lis?

Lis westchnęła ciężko. Tak naprawdę wcale nie cieszył jej widok Ser’Goth w takim stanie, mimo że sama nakazała ją uwięzić po klęsce w Mieście. Pani Cytadeli usiadła naprzeciwko Goth i przyglądała jej się w milczeniu dłuższą chwilę.

– Zawiodłaś, a ja nic na to nie poradzę – powiedziała w końcu. – Jednak twoja sytuacja jest nie mniej przykra dla mnie niż dla ciebie.

– Nie wydaje mi się, droga siostrzyczko – odparła Goth z porozumiewawczym uśmiechem, który nie zdołał zamaskować bólu w jej oczach. – Ale miło, że wpadłaś.

Lis powoli przytaknęła.

– Myślę, że ucieszy cię wieść, iż pomimo opóźnień wszystko idzie zgodnie z planem... Muszę jednak dowiedzieć się więcej o tym, co zaszło w Mieście.

– Dlaczego? – zapytała Goth, nachylając się.

– Bo tak powiedziałam!

BAZA NA PŁASKOWYŻU PÓŁNOCNYM

Nimue wzdrygnęła się lekko, gdy odebrała pojedynczy sygnał z Avalonu. Zignorowała go jednak, skupiona na rozmowie z dzieckiem, które Merlin tak bezmyślnie przysłał do jej bazy.

– W porządku – mówiła Elan. – Czyli można to powstrzymać, ale brakuje nam zasobów, żeby rozwiązać problem zgodnie z regułami.

– Otóż to, dlate...

Dziewczyna przerwała jej w pół słowa machnięciem ręki.

– To znaczy, że musimy wymyślić jakiś nowy sposób! – oznajmiła, jakby była to najprostsza rzecz pod słońcem.

Nimue westchnęła ze zrezygnowaniem.

– Dziecko, sądzę, że nie masz bladego pojęcia o złożoności tego problemu. Już samo wyliczenie pozaosiowego kształtu fali stanowi ogromne wyzwanie, na które nie mamy wystarczających cykli obliczeniowych.

Elan ponuro kiwnęła głową.

– Wierzę ci na słowo. Dlaczego więc musimy to robić?

Nimue zamrugwała, po czym potrząsnęła głową.

– Ale... co robić?

– Wyliczać tę całą falę pozaosiową, czy cokolwiek to było – wyjaśniła Elan. – Po co nam to?

Cała ta rozmowa zaczynała męczyć Nimue.

„Nie wytrzymam z tym bachorem!”

– Aby prawidłowo zbudować przeciwny kształt fali, musimy wyprowadzić kształt fali pierwotnej z wektora, który zamierzamy wprowadzić do kształtu przeciwnego – tłumaczyła powoli, starając się jak najbardziej uprościć sprawę. – W przeciwnym razie neutralizacja się nie powiedzie.

– Nie mamy już przypadkiem zapisu tej fali? Nie dałoby się jej, no nie wiem... obrócić? Odwrócić? – zapytała Elanthielle niepewnie.

– Mamy skan fali z punktu początkowego – odpowiedziała Nimue.

– To mogłoby wystarczyć, ale tylko gdybyśmy miały wprowadzić falę przeciwną w tym samym miejscu.

Elan przytaknęła powoli.

– Dobrze. Tak właśnie zrobimy.

Nimue przez chwilę gapiła się na nią bez słowa.

– Dziecko... – odezwała się w końcu tonem oschłym jak piaski pustyni. – W tej lokalizacji niemal na pewno będzie roiło się od demonów wyższego rzędu, a także od zastępów ostatnich potworów.

– Wiem – zapewniła Elan. – Ale skoro tak trzeba, musimy to zrobić!

– Wykluczone – zaprotestowała Nimue. – To prawie pewna droga do samobójstwa!

– No właśnie, tylko prawie pewna – odparła dziewczyna. – Ale lepsze to niż pewna śmierć, jeśli pozwolimy ludziom działać bez twoich informacji i będziemy siedzieć beczynn timer. Masz lepszy plan? Nie? Więc zabierajmy się do dzieła już teraz!

Nimue patrzyła skołowana, jak podłotek zrywa się na nogi i wychodzi, zmierzając do pomieszczenia transportowego.

– A ty dokąd?! – zawołała za nią projekcja, kompletnie zbita z tropu. Nie podejrzewała, że sprawy potoczą się w ten sposób.

– Wracam na Avalon! – odkrzyknęła Elan.

Nimue pojawiła się obok dziarsko kroczącej dziewczyny.

– A jak zamierzasz się tam dostać?

– Ty mnie tam wyślesz.

– Już ci mówiłam, że tego nie zrobię!

– Powiedziałaś, że nie pošlesz dziecka na pewną śmierć – zaoponowała Elan. – Jeżeli mnie nie odeślesz, Kaleb i Jol będą błąkać się w poszukiwaniu informacji, których już nie potrzebujemy. Obaj są mniej więcej w moim wieku. Chcesz, żeby zginęli?

Nimue znieruchomiała, porażona tym pytaniem. Po chwili doszła do siebie i podążyła za Elanthielle.

– Mam już kontakt z Merlinem. Mogę mu przekazać informacje – zauważyła.

– I skazać nas wszystkich na śmierć przez własną bierność? – obruszyła się Elan.

Cierpliwość Nimue naprawdę zaczynała się wyczerpywać. Dziewczyna nie zamierzała jednak zostawić projekcji w spokoju.

– Mamy już jakieś zaczątki planu, więc możemy rozpocząć przygotowania – powiedziała. – Muszę wrócić i zwołać ludzi na Atlantydzie. Ty i Merlin będziecie tymczasem pracować nad planem. Jeżeli uda wam się wymyślić coś lepszego, zanim wyruszymy, będzie wspaniale. W przeciwnym razie, jeśli pozostanie mi do wyboru pewna śmierć i prawie pewna śmierć, nie będę musiała się namyślać.

Po dotarciu na platformę transportową Elan odwróciła się do Nimue.

– To jak będzie? – zapytała. – Odeślesz mnie... czy mam zacząć niszczyć twój sprzęt?

ROZDZIAŁ 12

AVALON

– Jakież wieści, Merlinie?

Simone odczuwała zmęczenie, czy wręcz wycieńczenie, zmierzając przez odosobnioną bazę do miejsca, gdzie jak wiedziała, znajdzie projekcję.

– Przykro mi, ale wciąż wiem niewiele – odparł Merlin, nadal pogrążony w pracy. – Sądzę, że udało mi się dociec, jaki los spotkał Elan, jednak niezbyt nam to pomoże, ponieważ obiekt, do którego prawdopodobnie trafiła, nie potwierdził przyjęcia sygnału.

– Niedobrze – stwierdziła ponuro Simone. – Nikomu jeszcze nie mówiłam o jej zniknięciu. Uda mi się utrzymać to w tajemnicy jeszcze przez pewien czas... Ale ta dziewczyna nie zdaje sobie nawet sprawy, ile znaczy dla miasta.

– Wiem o tym – odrzekł Merlin. – W bardzo krótkim czasie wywarła wpływ na wielu ludzi.

Simone musiała się z tym zgodzić. Gdy Kaern przedstawił jej Elan, nie podejrzewała, że ta niepozorna dziewczyna stanie się tak ważna. Miała w sobie coś, co nigdy nie pozwalało pogrzebać nadziei. Nawet jeśli wszyscy uważali, że wszelka nadzieja umarła na długo, zanim Elanthielle przyszła na świat.

– Kiedy wszystko się wyda, trudno będzie podtrzymać morale – ostrzegła Simone. – Kaleb jest co prawda popularny, chyba nawet cieszy się większym zaufaniem, ale Elan to symbol.

– Rozumiem – zapewnił Merlin. – Choć muszę przyznać, że w tej chwili... może to nie mieć znaczenia.

– Co przez to rozumiesz? – Simone nie spodobały się te słowa.

– Odczyty, które skłoniły mnie do wysłania Elan na misję, wciąż nabierają mocy. Teraz jestem niemal pewien, że wyrządzą poważne szkody strukturze czasu i przestrzeni, choć nie wiem, czy będzie to celowe działanie. Tak czy inaczej, gdy poziom szkód osiągnie określony pułap, czeka nas awaria kaskadowa.

Simone potrząsnęła głową.

– Nie mam pojęcia, co to oznacza.

– Oznacza po prostu koniec – odparł Merlin. – Nie ma sensu bardziej się w to zagłębiać. Będzie to koniec nas wszystkich.

Simone syknęła, pocierając twarz w zamyśleniu.

– Jest aż tak źle?

– Tak, ja...

Merlin urwał, zerkając uważnie w bok.

– O co chodzi? – Simone pochyliła się z zaciekawieniem.

– Mechanizm transportowy... Właśnie się uruchomił. Zmierza do nas jakiś podróżnik – oznajmił byt.

– Czy to chło...

– Nie. Musieliby poprosić o pozwolenie – wyjaśnił Merlin.

Kilka sekund później Simone wpadła do sali transportowej. Merlin oczywiście ją ubiegł, teleportując się błyskawicznie na miejsce. Simone zignorowała projekcję, skupiając się na osobie pośrodku obszaru transportowego.

– Elan! Bogom niech będą dzięki! – zawołała, biegnąc dziewczynie na spotkanie. Uściskała ją, nie bacząc na zbroję. – Jesteś cała?

– Cała i zdrowa. – Elan zmusiła się do uśmiechu, niezdarnie odwzajemniając uścisk. – Ale mimo to mamy problem.

– To prawda – zgodził się Merlin. – Czy Nimue miała dostęp do skanerów?

– Skąd wiesz... Mniejsza z tym. – Elan potrząsnęła głową.

– Odpowiedź brzmi... – w pomieszczeniu rozległ się nowy głos. Simone odsunęła się od Elan i była bliska sięgnięcia po broń. – Tak. Nimue z całą pewnością miała dostęp.

Merlin odwrócił się do projekcji, kłaniając się zdawkowo.

– Witamy w Avalonie, pani Nimue.

– Dziękuję za przyjęcie, mistrzu Merlinie. – Żeńska projekcja skłoniła się jeszcze oszczędniej. – Wygląda na to, że mamy kłopot, a ta twoja głupia podopieczna bardzo pragnie się w to mieszać.

Merlin wzruszył ramionami.

– To jej świat, a poza tym jest jednym z ostatnich ludzi zdolnych o niego zawalczyć.

Nimue nie wyglądała na zadowoloną, mimo to przytaknęła z wahaniem.

– Rozumiem. Przejdźmy zatem do bezpośredniego problemu.

– Właśnie. Awaria kaskadowa...

Druga projekcja przerwała mu machnięciem ręki.

– To nie żadna awaria kaskadowa. Wróg celowo tworzy falę harmoniczną, która przeniknie przez bariery międzywymiarowe już za trzy dni.

Merlin prawie pacnął się w czoło, mimo że był tylko widmem.

– Doprawdy, jestem starym głupcem – jęknął. – Nawet o tym nie pomyślałem, a przecież to wszystko wyjaśnia. Jesteś tego pewna?

– Wystarczająco. – Nimue przytaknęła.

– To... wiele zmienia – stwierdził Merlin, marszcząc czoło. – Nie mamy sprzętu ani zaso...

Tym razem to Elan się wtrącała.

– Tę zabawę akurat znam – oznajmiła, idąc przez pomieszczenie. – Nie mamy niczego, co pozwoliłoby rozwiązać problem tak, jak robili to Starożytni. Szkoda, ale znaczy to, że musimy znaleźć własny sposób.

Merlin i Nimue spojrzeli po sobie, on ze znużoną rezygnacją, ona natomiast z ciekawością zmieszaną z lękiem.

– Mogę zadać pytanie? – Nimue wciąż wpatrywała się w Merlina, ten jednak pokręcił głową.

– Zostawcie to mnie – parsknęła Simone. – Jaki masz plan, dziewczyno?

– Czy inni już wyruszyli? – spytała Elan.

– Tak. Mam kontakt z Kalebem, Jolem, a także dwójką miejscowych sojuszników, których najwyraźniej odnalazł Jolnir – poinformował Merlin. – Nadal nie mam jednak łączności z braćmi.

– Sprowadź tu Kaleba – poleciła Elan. – Potrzebuję go. Jol i reszta też mogą wrócić... albo zostać. Wszystko jedno. – Odwróciła się do Simone. – Będzie trzeba pomówić ze wszystkimi.

Simone skinęła głową.

– Roześlę wici.

– A ja skontaktuję się z chłopcami – dodał Merlin.

Kiedy zajął się zadaniem, a Simone skierowała się do wyjścia, Elan została na chwilę sam na sam z Nimue.

– No – powiedziała wesoło. – Krok pierwszy już mamy za sobą.

– Tak, teraz pozostał nam tylko milion kolejnych, dużo większych – sarknęła Nimue.

– Lepiej nic już nie mów...

CYTADELA

Ser'Lis czuła, że coś jest nie w porządku.

Miała taki talent, który pielęgnowała przez stulecia Przemiany – niesłuchanie przydatny, choć chwilami skrajnie nieprecyzyjny. Właśnie to było przyczyną komplikacji.

Instynkt ostrzegał ją przed kłopotami, a przecież wszystko, co widziała, sugerowało, że nie ma się czym martwić.

Strojenie fali harmoniczej przebiegało bez przeszkód i choć rytuał nieustannie wyczerpywał zasoby, sytuacja wydawała się jak najbardziej pozytywna. Demoniczni arcymagowie, którym Lis poleciła dostarczyć moc na potrzeby obrzędu, zapewne mieli przypłacić to życiem, ale nie należało się tym przejmować. Niektórzy z nich wykazywali, powiedzmy, nieco niezdrową ambicję. Właśnie dlatego powierzono im to zadanie.

W końcu martwi durnie byli mniejszym utrapieniem niż żywi, zwłaszcza jeśli dopadło się ich, zanim ktokolwiek inny zorientował się, kim są.

„Jeżeli problem nie wynika z rytuału, musi pochodzić z zewnątrz”.

Spojrzała z balkonu okalającego mury Cytadeli na rudery wokół enklawy demonów. Można by uznać za dziwne, że ludzie gromadzili się w pobliżu demonów, nawet jeśli mieli przez to spaść do roli podrzędnych sługusów, na samym dole hierarchii.

Zważywszy na ogrom świata, Ser'Lis spodziewałaby się raczej, że spora grupa ludzi wyruszy na pustkowia w poszukiwaniu lepszego życia.

Możliwe, że wielu tego próbowało, jednak władczynie nie dbała o to. Tłumy ludzi godziły się na zniewolenie, jeżeli oznaczało ono łatwiejszy dostęp do pożywienia, wody i tym podobnych zasobów. Poza tym jałowe ziemie na planecie ledwie zdołały odżyć kilkadziesiąt lat po atakach, które wzbily w powietrze popiół i pył, nadal widoczny podczas każdego wschodu i zachodu słońca.

Nie było sensu tego roztrząsać. I dla ludzi wokół Cytadeli, i dla tych mieszkających samotnie na pustyni nadejdzie koniec, gdy

rozbrzmiała harmoniczna pieśń. Wówczas ludzie zginą lub ulegną Przemianie. Każda z tych możliwości odpowiadała Ser'Lis.

Martwiła ją natomiast sprawa, która skłoniła ją do odwiedzin u zniesławionej „siostry”, Ser'Goth.

Lis musiała dowiedzieć się, co się stało. Nie podczas samej klęski Miasta. Tamte wydarzenia były już dobrze znane. Niewiele demonów przetrwało zatopienie Lemurii, jednak ocalało wystarczająco dużo, by wieści się rozeszły. Chodziło raczej o wydarzenia, które doprowadziły do tej katastrofy.

„A przede wszystkim o to, czy ta historia się powtarza”.

Choć sama nie chciała w to wierzyć, ludzie otaczający Cytadelę stanowili teraz zagrożenie, przynajmniej potencjalne. Ser'Lis wspomniała niedawne raporty o zabójstwie demona średniego szczebla dokonanym na oczach całej drużyny.

Nie wiedziała, czym ofiara zasłużyła na swój los, przekaz był jednak czytelny. Ktoś rozmyślnie sprowokował demony, zabijając jednego z nich w obecności innego, potężniejszego i bardziej wpływowego.

Należało zareagować. Czegoś takiego nie wolno było zbyć, jak w przypadku ledwie przemienionych ścierw na tyle głupich, żeby narazić się na śmierć z ludzkiej ręki. Taka sytuacja budziła rozbawienie, teraz jednak nikomu nie było do śmiechu.

Lis poleciła więc przeszukać osiedle, znaleźć sprawców i przypomnieć ludziom, gdzie ich miejsce. Niestety, i tym razem plan spalił na panewce. Jej podwładni, jak się zdaje, natrafili nie na dwójkę wichrzycieli, ale na całą grupę, zorganizowaną na tyle, żeby pomóc przestępcom uniknąć kary, a potem jeszcze ich ukryć. Jeżeli tych dwoje nie postanowiło zupełnie zbiec z osiedla, można było zacząć się martwić.

„Jeśli ludzie zwracają się przeciwko nam, pozostaje tylko jedno rozwiązanie”.

Odepchnęła się od balustrady i wróciła do swoich komnat.

– Wicekrólu?

– Tak, Pani?

Wicekról był wysoką postacią. Jego nieludzkie mutacje w większości złagodniały i zanikły na przestrzeni tysiącleci. Teraz

były widoczne głównie w jego oczach. Z daleka wydawał się nawet przystojny.

– Powiadom strażników, że mają wszyscy zebrać się pod Cytadelą – rozkazała Ser'Lis.

– Wszyscy, Pani?

– Właśnie tak. W ostatnim czasie ludzie zanadto... zadzierają nosa – odparła z nie do końca ludzkim uśmiechem. – Zwykle uznałabym to za okazję do zabawy i pozwoliła im działać. Gdyby strażnicy nie dali rady paru ludziom, cóż, dostaliby to, na co zasługują.

– Jak najbardziej, Pani. Skąd więc ta zmiana?

– Fala harmoniczna jest już gotowa, więc nie mogę pozwolić, by cokolwiek nam przeszkadzało. Nie chcemy opóźnień, jak ostatnio – powiedziała. – Zwołaj straż i upewnij się, że wszyscy mają pochodnie. Zwalczymy szkodniki płomieniami!

– Doskonała decyzja, Pani – zgodził się wicekról z uśmiechem. – Tak też się stanie.

W najgłębszych czeluściach Cytadeli, pod powierzchnią ziemi, rozległ się kobiecy śmiech...

SKOCZEK ZBLIŻAJĄCY SIĘ DO CYTADELI

Bracia zerknęli na siebie na widok czarnej linii na niebie. Obaj odczuwali emanującą stamtąd złowieszczą energię.

– Chcemy czy nie – odezwał się Sindri – cała ta awantura kręci się wokół tego miejsca.

– O tak – przyznał Brokkr. – Wolałbym nie ryzykować. Może i jestem naiwniakiem, ale nawet ja mam swoje granice.

– Jakoś nie zauważyłem – zaśmiał się Sindri. – Ale kto wie?

Brokkr wyszczerzył zęby, obmyślając plan podejścia.

– Zdaje mi się, że niedobrze byłoby podlecieć za blisko i zostać na widoku – stwierdził, rozglądając się dookoła. Po chwili znalazł to, czego szukał. – Ta rzeka zmierza w odpowiednim kierunku. Co ty na to?

– Lot może się pogmatwać. Na pewno dasz radę? – zapytał Sindri pół żartem, pół serio.

– Popatrz tylko!

Brokkr od lat nie siedział za sterami, poza kilkoma przelotami machiną, w której siedzieli teraz i którą wydobyli ze skarbcza Pani Miasta.

„Szkoda, że nie zwędziliśmy więcej. Jaśnie pani gustowała w świetnych zabawkach” – pomyślał Brokkr z pewnym rozbawieniem. Stwierdził, że musi kiedyś wykorzystać ten fakt, by dopiec Jolowi, który w końcu sam należał do takich zabawek.

Chłopak zapewne będzie czerwienił się jak burak, zwłaszcza jeśli Brokkr wspomni o tym przy Elan czy innej urodziwej dziewczynie... Pogrążony w tych rozmyślaniach, Brokkr zniżył lot, prowadząc skoczka tuż nad powierzchnią wody w stronę delty.

Rzeka była spora, a jej fale wzbierały w miejscu, gdzie łączyła się z zatoką, potem jednak uspokajała się, nabierając szerokości i głębokości. Im dalej w ląd, tym wyżej wznosiły się jej brzegi.

– Zlokalizowałeś tę bazę, którą upatrzył sobie Merlin? – zapytał Brokkr, wciąż skupiony na pilotowaniu.

– Taa. Jest w głębi lądu, kawał drogi stąd. Leć nisko. Dam ci znak, kiedy będzie trzeba się zwijać.

– Ma się rozumieć.

ROZDZIAŁ 13

ATLANTYDA

Kaleb prowadził grupę ludzi przez osłonięte wyjście z reduty położonej blisko osady. Wspinali się po kamiennych stopniach, aż w końcu znaleźli się nad poziomem wody i mogli zobaczyć miasto.

Merlin twierdził, że Atlantyda powstała na pradawnej geologicznej osobliwości – trzech koncentrycznych pierścieniach lądu, połączonych przez niewielkie, płytkie kanały. Pośrodku kręgów leżały spore połacie ziemi, które już teraz wypełniały się lśniącymi, białymi budynkami. Miejscowi rybacy wyprawiali się małymi łodziami przez kanały na otwartą, morską płytczynę.

Kaleb usłyszał zdumione westchnienia Sien'el i Turrocha. Po raz kolejny byli zszokowani tym, co zobaczyli. Kal uznał jednak, że jeśli przeżyli podróż do Avalonu, a potem do reduty, raczej nic im nie będzie.

Zapomniał, że dwa pozostałe kursy odbyli z jednego wnętrza budowli do kolejnego, niemal identycznego i nie mieli przy tym wrażenia ruchu. Tym razem dwoje ludzi z osiedla pod Cytadelą po raz pierwszy przekonało się o prawdziwości słów Kaleba i Jolnira. To doświadczenie wyraźnie nimi wstrząsnęło.

Kaleb stwierdził po namyśle, że nie żałuje swojej decyzji. Nie żeby darzył nowych członków grupy niechęcią. Po prostu ledwie ich znał, zresztą teraz jego myśli zaprzętał ktoś zupełnie inny.

– Poszukam Elan – zwrócił się do Jola. – Przypilnujesz ich?

Jol skinął głową.

– Leć, kochasiu! Ja tymczasem pobawię się w niańkę.

Kaleb chyba nawet nie obraził się za tego „kochasia”, ale może dlatego, że ruszył przed siebie, zanim Jolnir zdążył otworzyć usta. Siłacz przewrócił tylko oczami i odwrócił się do pary nowych znajomych.

– Wszystko w porządku? – zapytał z lekką troską w głosie, widząc, że są roztrzęsieni.

– Tylko demony wyczyniają takie czary – odparła Sien, z trudem panując nad drżeniem w głosie i spoglądając podejrzliwie na Jola.

Chłopak zareagował wzruszeniem ramion.

– Wszyscy powtarzają, że to nie czary, ale czy w ogóle ma to jakieś znaczenie? Nie wiem i niezbyt mnie to obchodzi. Liczy się to, że żyją tu dobrzy ludzie. Spróbujcie ich skrzywdzić, a wykończę was oboje. Pasuje?

Tur utkwiał w nim groźne spojrzenie. Jolnir odwzajemnił się tym samym. Bywał już zastraszany przez lepszych, o wiele groźniejszych osobników. Zerkanie spode łba nie robiło na nim większego wrażenia.

Po krótkim pojedynku na spojrzenia Tur uśmiechnął się i parsknął z rozbawieniem. Wówczas Jol zachichotał cicho i już po kilku sekundach obaj zaśmiewali się do rozpuku. Sien przyglądała im się, szczerze ubawiona, choć usiłowała maskować to udawaną irytacją.

– Mężczyźni... – prychnęła, przewracając oczami. Potem minęła ich i podążyła śladem Kaleba. On przynajmniej wydawał się bardziej ułożony.

Na rynku Atlantydy zbierali się już ludzie. Elan nakazała ich zwołać, a Simone dopilnowała, by przybyli. Było ich kilkudziesięciu, ale to właśnie oni robili najwięcej dla miasta na wyspie.

– O co chodzi? – zapytał gburowaty mężczyzna. Był już niemłody, ale dobrze się trzymał, pomimo wielu lat spędzonych na walkach w Lemurii.

– Mamy problem – oznajmiła Simone, spoglądając po zebranych.

Ciągle docierali kolejni, kobieta wiedziała jednak, że musi przekonać najbardziej wpływowych członków społeczności. Pozostali podążą za ich przykładem.

– Zawsze jest jakiś problem – zaśmiał się ktoś inny. – Przejdź do rzeczy.

Tłum zaszemrał z aprobatą.

– Demony znowu działają – powiedziała Simone surowym tonem, spoglądając na pozostałych. Wiedziała, że to ich uciszy.

Nie pomyliła się.

Przez chwilę wszyscy milczeli. W końcu odezwał się ponury starzec. Kiwał przy tym głową, najwyraźniej niezaskoczony.

– Nie powiem, żeby była to jakaś niespodzianka. Kiedy tu będą?

– Nie mamy pewności – odparła Simone, marszcząc brwi. – Tym razem wyspa nie jest bezpośrednio zagrożona.

– A zatem to nie nasz problem!

– Właśnie! Dobrze mówi! – rozległy się zewsząd okrzyki. Simone szybko straciła kontrolę nad tłumem.

– Wyspa nie była też w niebezpieczeństwie rok temu, gdy udałam się do miasta demonów. – Elan wystąpiła naprzód, ponownie uciszając ludzi. – Gdybym jednak tam nie wyruszyła, wszyscy, którzy tu stoją, już dawno byliby martwi. Demony nie są zagrożeniem, które wolno nam ignorować tylko dlatego, że nie idą prosto na nas.

Nikt nie odpowiedział. Wielu było wyraźnie zawstydzonych.

– Mów więc. – Starszy mężczyzna skłonił się z szacunkiem. – Zasłużyłaś, żeby cię wysłuchano.

Powiódł wzrokiem po zebranych. Kolejni ludzie skłonili głowy, onieśmieleni.

– Demony... – Elan zawahała się.

Tłum z niecierpliwością czekał na jej przemowę. Wzięła oddech, a słowa napłynęły same.

– Demony zwyciężyły – zaczęła lakonicznie. Słuchacze zaszemrali niepewnie, zaskoczeni, że mówi to dziewczyna, która nie raz pokonywała wroga wbrew wszelkim przeciwnościom. – Tak, zwyciężyły. Zniszczyły naszą kulturę, nie ugięły się przed naszą bronią i pogrzebały wszelkie doniosłe dzieła ludzkości pod piaskami pustyni... Ale jeszcze nas nie zabiły. I to był ich błąd.

Stała pośrodku tłumu, obserwowana z każdej strony.

– Przybyły tu, traktując nasz świat jak nowe mieszkanie, a ludzi jak szkodniki, których najpierw należało się pozbyć. Teraz sądzą, że już nas wykurzyły i że mogą się śmiało wprowadzać.

Dziewczyna rozejrzała się, sprawdzając, czy wszyscy słuchają.

– Popełniły jednak błąd. Gdy odniosły zwycięstwo, założyły, że nie trzeba unicestwiać wszystkich ludzi i wystarczy tylko wybić większość. Ta pomyłka będzie je drogo kosztować.

Ostatnie zdanie wypowiedziała ciszej, skłaniając słuchaczy, by nachylili się ku niej.

– Teraz zamierzają otworzyć drzwi i sprowadzić wszystkie demony ze swojego świata, aby zapełnić nasz ich zgniłym ścierwem!
– krzyknęła niespodziewanie. – Myślą, że jesteśmy za słabi, za głupi, zbyt zatroskani o dziś i o jutro, by martwić się, co będzie za rok czy pięć lat. Uważam, że są w błędzie!

W tłumie rozległy się syki i pomruki pełne niepokoju i gniewu. Nikt już nie był rozbawiony ani zniechęcony.

– Ale co można zrobić? – zawołał ktoś. – Potwory są zbyt silne! I jest ich za dużo!

Elan skinęła głową.

– Zgadza się. Nie możemy wygrać wojny. Ludzkość już wystarczająco się o tym przekonała... Przynajmniej dopóki walczymy według zasad demonów.

– Masz jakiś plan? – zapytał starzec podejrzliwie.

Elan parsknęła.

– „Plan” to za duże słowo, obmyśliliśmy jednak działania, które należy podjąć. – Wzięła głęboki oddech. – W tej chwili demony szykują się do otwarcia wrót do ich świata ojczystego. Nie leży to w naszym interesie, brak nam jednak ludzi i oręża, żeby stawić czoła wrogowi w wyrównanej walce i wygrać. Lecz mamy pewną szansę...

Obróciła się powoli, spoglądając na tyłu słuchaczy, na ilu się dało.

– Jedną... małą... szansę.

Zapanowała cisza. Każdy słuchał uważnie, nie chcąc choćby mrugnąć czy odwrócić wzroku od dziewczyny, która zdążyła się wsławić niewiarygodnymi czynami. Czy jednak mogła dokonać ich ponownie?

Elan nie pozwoliła nikomu zadać pytania i od razu udzieliła odpowiedzi, na którą wszyscy czekali.

– Możemy obrócić knowania demonów przeciwko nim, jeżeli dopilnujemy, by odpowiedni ludzie znaleźli się w odpowiednim miejscu i czasie – wyjaśniła. – Nie będzie to łatwe.

– Nikt z nas nie miał łatwo w życiu, dziecko. Wyratowałaś nas z Lemurii – oznajmił starzec. – Pójdę za tobą wszędzie!

– Ja także!

– I ja!

Elan przełknęła ślinę. Oczy błyszczały jej, gdy wszyscy wokół podchodzili i poklepywali ją po ramionach.

– Wszyscy jesteśmy z tobą, Elan – powiedziała ciepło Simone.
– Pewnie, cholera, że tak! – w tłumie rozbrzmiał głos Kaleba. Elan uśmiechnęła się, gdy zdołała go wypatrzeć.
– Kaleb! Dobrze się bawiłeś na drugim końcu świata? – zapytała.
– Powinienem zapytać o to samo, ale jeszcze nie wiem, gdzie się podziewałaś – odparł.
– Opowiem ci później – obiecała. – Teraz wszyscy musimy zacząć przygotowania.
Kaleb przytaknął, po czym zwrócił się do tłumu, by zmanifestować swoje poparcie:
– Chwyćcie za broń, zwołajcie wszystkich zdolnych do walki i przekazcie im wieści. Ludzkość nie zginie w mroku bez walki! Jeśli ktoś boi się ciemności... niech podpali demona, żeby oświetlał mu drogę!

– Cóż – stwierdziła Sien beznamiętnie – nie można im odmówić entuzjazmu.
Tur burknął niezrozumiale, choć szeroki uśmiech zdradzał jego prawdziwe odczucia.
– Widywałem już wielu, którzy próbowali osiągnąć to, co ona – powiedział powoli. – Prawie nikomu się nie udało. Ludzie się boją. Nie chcą położyć na szali tego, co mają, żeby zadzierać z demonami. Ich zdaniem ta walka już została przegrana.
– Taka jest prawda. – Jol wzruszył ramionami. – Elan sama to powiedziała. Demony wygrały. Ale popełniły przy tym jeden błąd.
– Niby jaki? – parsknęła Sien.
– Nie dociągnęły roboty do końca – odparł Jol z uśmiechem.
Potem spojrział na wciąż gromadzących się ludzi, żywo dyskutujących o nadchodzących wydarzeniach.
– Pozostawiły przy życiu tych wszystkich ludzi – powiedział. – A także ludzi takich jak ona... ja... i wy.
Turroch przytaknął powoli.
– Tak... Sam wcześniej nie potrafiłem ująć tego w słowa. Demony nie skończyły roboty. Odwracanie się plecami do wroga, który jeszcze dycha, to szczyt arogancji.

– Jeśli ten wróg „jeszcze dycha”, zapewne umrze, zanim zdąży cokolwiek zrobić – zauważyła Sien cierpko.

– Racja – zgodził się Jolnir. – Może tak właśnie się stanie... Ale jeśli leżysz i z trudem łapiesz oddech, a przeciwnik odwraca się od ciebie, co wtedy robisz?

Sien nie musiała odpowiadać. Zamiast tego wymownie wbiła drzewce włóczni w ziemię.

– Otóż to – stwierdził Jol. – Chodźcie, przedstawię was.

Elan oderwała się od rozmowy z grupą mieszkańców miasta i Simone, widząc Jola prowadzącego dwójkę nieznanym. Uśmiechnęła się na powitanie.

– Jol! Dobrze, że wróciłeś. Musisz mi opowiedzieć, co widziałeś.

– Ta parka powie ci więcej niż ja – odparł Jol, wskazując na kompanów. – To jest Sien, a ten wielkolud nazywa się Tur. Znalazłem ich, gdy wpadli w zasadzkę. Ktoś w Cytadeli demonów tak bardzo pragnął ich śmierci, że nasłał na nich ze trzy drużyny.

Elan zmierzyła wojowników wzrokiem i przytaknęła powoli.

– Nadadzą się – uznała. – Jesteście gotowi pomóc?

Sien i Tur wahali się tylko przez chwilę.

– Wchodzimy w to – powiedział Turroch stanowczo. – Jeśli chcesz zabijać demony, mój topór jest na twoje usługi!

– Zabijanie demonów nie jest naszym celem. – Elan potrząsnęła głową. – To tylko miły dodatek.

– Co innego miałyby być równie ważne? – Sien zmarszczyła brwi.

– Powstrzymanie ich przed otwarciem bram piekielnych i sproszaniem tu wszystkich potworów. – Elan wskazała na rysunek, który wykonała kijem na ziemi. – Ten okrąg to nasz świat. Znajdujemy się gdzieś tutaj...

Wykopała dołek mniej więcej pośrodku okręgu, a potem następny, blisko krawędzi.

– Gdybyście nie wiedzieli, nasz świat jest kulą – mówiła dalej. – Ta... Cytadela demonów, jak ją nazywacie, wznosi się około jednej trzeciej drogi wokół świata stąd, w dolnej części tego obszaru. Trzy

lata temu demony usiłowały stworzyć przejście do piekła w trzech punktach. Te miejsca to Cytadela, Lemuria i obszar niedaleko nas.

Gdy o tym opowiadała, wskazywała poszczególne miejsca na okręgu. Co jakiś czas rozglądała się, chcąc mieć pewność, że wszyscy za nią nadążają.

– Powstrzymaliśmy je – podjęła po chwili. – Kaleb wraz z Atlantydami uderzył na hordę demonów, zanim zdążyła dokończyć dzieło. Jol, ja i jeszcze paru wojowników z Miasta zdołaliśmy zatopić całe to miejsce pod falami. Udało się unieszkodliwić dwa z trzech punktów, więc sądziliśmy, że pokonaliśmy potwory... Jednak tylko je spowolniliśmy.

– Ech – westchnął Tur. – Pani Cytadeli jest uparta. Nie podda się tak łatwo.

– No tak – zgodziła się Elan. – Niestety, z tego, co udało nam się dowiedzieć, jeśli nie zmusimy jej do kapitulacji, nie będzie dla nas żadnej przyszłości.

Zebrani milczeli przez chwilę, rozważając te słowa ze smutkiem.

– Macie plan? – odezwała się w końcu Sien.

Elan uśmiechnęła się krzywo.

– Jak już mówiłam, mamy pomysł na działanie, który wciąż dopracowujemy. Problem w tym, że nie mamy czasu, żeby stworzyć doskonały, czy choćby dobry plan. Musimy działać w oparciu o to, co już wiemy. Jeśli później uzyskamy lepsze informacje... Cóż, miejmy nadzieję, że nie będzie za późno, by je wykorzystać. Jeszcze jakieś pytania?

– Mam ich aż zanadto, ale podejrzewam, że ty nie masz odpowiedzi – odrzekła Sien z rezygnacją. – Zdążyłam jednak do tego przywyknąć.

– Aż za bardzo – potwierdził Tur.

– Prawda? – zapytała Sien'el retorycznie, potem jednak otrząsnęła się z przygnębienia. – W porządku. Macie moją włóczęgę. Co mi tam? I tak wszyscy umrzemy... prędzej czy później.

– Dziękuję – odparła Elan zupełnie szczerze. – Musimy jak najszybciej zebrać siły i wyprawić jak najwięcej ludzi do reduty w pobliżu Cytadeli. Jol, czy bracia odzywali się, zanim wróciłeś?

Jol potrząsnął głową.

– Ani słowem. Ale jestem pewien, że sobie poradzą.

Elan parsknęła.

– O nich się nie martwię. Obawiam się tylko, że bez nadzoru rozpętają awanturę.

– Całkiem słusznie – odparł Jolnir, szczerząc zęby. – Cóż, grunt, żeby utrudnili życie tylko demonom.

– Racja.

OBSZAR NA PÓŁNOC OD CYTADELI

– Wciągnąłeś nas w nie byle jaką awanturę – utyskiwał Sindri, kucając z nadzieją, że pozostanie niezauważony.

– Nie zwalaj wszystkiego na mnie, niedomyty kudłaczu! Sam wpadłeś na błyskotliwy pomysł, żeby wylądować i rozejrzeć się po okolicy.

Bracia ukrywali się za starą chatą z suszonej cegły. Budynek miał najlepsze lata zdecydowanie za sobą. Starali się nie ściągać na siebie uwagi, gdy dym unosił się nad nimi, a wokół rozlegały się odgłosy pożarów, krzyki i zgiełk bitwy.

– Skąd miałem wiedzieć, że wszystkim w tej zapadłej dziurze kompletnie odbije? – zaperzył się Sindri, przylegając plecami do kopca ziemi i oglądając się na piekielną scenę rozgrywającą się za nimi.

Bracia nie mieli pojęcia, co było jej przyczyną, bez wątpienia patrzyli jednak na czystkę, urządzoną przez demony z wieży. Czegoś takiego nie widzieli od wieków, a przynajmniej od czasów tuż po tym, jak ludzie przegrali wojnę i gdy przynajmniej niektórzy z nich wciąż byli skorzy do walki.

W Mieście od dawna nie dochodziło do wydarzeń o takiej skali, dopóki Elan nie zjawiała się, by wywrócić całe to miejsce do góry nogami, dosłownie i w przenośni. Sądząc po zachowaniu tubylców, Sindri podejrzewał, że oni również nie przywykli do takich scen.

– Coś musiało rozsierdzić tutejszego włodarza – rzucił.

– Aleś ty domyślny! – odgryzł się Brokkr. – Co z tym zrobimy?

– A co, u licha, moglibyśmy zrobić? – zapytał Sindri znużonym tonem. – Z tego, co widzę, jest tu cała armia demonów z każdego Kręgu. To koniec!

Brokkkr warknął. On i jego brat nie byli do końca ludźmi. Tak naprawdę, w ludzkim języku nie było nazwy określającej ich rasę, zaś w ich mowie ojczystej, cóż... Byli po prostu ludźmi. Czy raczej ludem. Takie tłumaczenie było bardziej trafne. W porównaniu z ludźmi, przynajmniej tutejszymi, przedstawiciele ludu byli praktycznie nieśmiertelni. Chodzili po Ziemi od tak dawna, że w ich umysłach i kulturze zatarły się wspomnienia o ich pochodzeniu.

Mimo to Brokkkr, Sindri i każdy z pobratymców, z jakim mieli do czynienia, zgadzali się co do jednego. Demony były skazą wszechświata.

Brokkkra dręczyła myśl, że musi im odpuścić, nawet jeśli nie miał innego wyjścia.

– Musimy dotrzeć do bazy – odezwał się Sindri. – Ostrzec Merlina i pozostałych, co się tu dzieje. Może oni coś wymyślą.

– Bracie, tu są ludzie, którzy nie zdołają się obronić. Dzieci! Zginą, jeśli odejdziemy!

– Jeśli zostaniemy, też czeka ich śmierć – odparł Sindri. – Nasza dwójka przeciwko całej tej hordzie? To już nawet nie samobójstwo, bracie. To czyste szaleństwo!

Brokkkr pokiwał głową. Wiedział, że to zapewne prawda, jednak z jakiegoś powodu wciąż się wahał.

Nie wiedział, jak to wyjaśnić, dopóki nie otworzył ust. Słowa popłynęły jakby niezależnie od niego.

– Ona by coś poradziła.

– Że co? – Sindri obrzucił brata zdziwionym spojrzeniem.

– Elan – wyjaśnił Brokkkr. – Znalazłaby sposób, żeby ocalić... przynajmniej niektórych.

Sindri gapił się na niego, nie wiedząc, jak na to zareagować. Dziewczyna na pewno podjęłaby próbę. Jej dokonania w Mieście dobitnie świadczyły, że dosłownie nie wiedziała, kiedy się poddać, nawet mając śmiesznie małe szanse na zwycięstwo. Sindri nie był jednak taki pewien, czy byłaby w stanie cokolwiek zaradzić na cały ten chaos.

Osunął się, zmęczony i bliski mdłości na widok masakry.

– W skoczku jest broń – podsunął Brokkkr.

– Jeśli polecimy nim do walki, magia demonów strąci nas z nieba przy pierwszym przelocie. – Sindri potrząsnął głową. – I to tylko

zakładając, że potwory będą zbyt wstrząśnięte, że te relikty wciąż latają, żeby od razu przypomnieć sobie, jak się je zestrzeliwuje.

– Racja. – Brokkr skrzywił się ponuro.

Technologia starożytnych ludzi była bez wątpienia imponująca, jednak demony już dawno nauczyły się niszczyć ją w walce. Najlepszym osiągnięciem ludzkich sił było tak naprawdę przekształcenie walki w zacieklą, wzajemną anihilację. Taktyka ta okazała się korzystna dla demonów, które nie dbały o to, ile z nich pozostanie przy życiu.

– A co z reductą? – zapytał nagle Sindri.

– A co ma być? – Brokkr zmarszczył brwi. – Nie możemy tam doprowadzić demonów, zwłaszcza teraz. Jeśli bestie zajmą bazę, ściągniemy na wszystkich śmierć!

– Wiem, po prostu... – Sindri pokręcił głową. – Masz rację. Nie możemy uratować innych ani walczyć...

– Musi być jakieś wyjście! – Brokkr grzmotnął pięścią o ziemię.

– Przychodzi mi do głowy albo odwrót, albo zwrócenie na siebie uwagi przynajmniej części hordy, aby umożliwić miejscowym ucieczkę – przyznał Sindri. – Wszystko inne zakrawa w najlepszym razie na wariactwo.

Brokkr pokiwał głową w zamyśleniu.

– Mam pomysł.

– Dobry?

Niski mężczyzna parsknął.

– A czy w takim bajzlu możliwe są dobre pomysły?

Sindri wzruszył ramionami.

– Musisz jak najszybciej dotrzeć do reducty – polecił Brokkr, przyklękając na kolano i obserwując teren. – Skontaktuj się z innymi i powiedz im o wszystkim.

Sindri spojrzał na niego z niedowierzaniem.

– Nawet jeszcze nie usłyszałem, co ty zamierzasz w tym czasie robić, ale już mi się to nie podoba.

– Poradzę sobie. – Brokkr wstał i wyciągnął miecz. – Idź już.

– Bracie, co ty najlepszego...

Brokkr nawet się nie obejrzał. Zerwał się do biegu.

– Leć! – wrzasnął jeszcze przez ramię.

ROZDZIAŁ 14

REDUTA PÓŁNOCNA

Nimue była do głębi niezadowolona, choć jak przypomniał jej pewien durny staruch, w obecnej sytuacji nie istniały najmniejsze powody do zadowolenia.

Pewnie miał rację. Patrząc realistycznie, przyszłość nie rysowała się zbyt różowo. Demony miały przewagę, planeta była właściwie skazana na zgubę, a jedyny opór stawiała garstka upadłych naczelnych, potomkowie ludzi, których świetność już dawno przeminęła.

Biorąc to wszystko pod uwagę, projekcja uznała, że podjęcie jakichkolwiek działań i tak będzie lepsze niż pogodzenie się z losem i pewna śmierć.

Żałowała tylko, że włączyła się w tę poronioną akcję.

„Co ja sobie myślałam?”

Ponieważ jednak sama się na to zgodziła, nie zamierzała stać beczynną. Zobowiązała się pomóc, więc pomoże, w imię wszelkiego dobra w nieskończonym wszechświecie...

„Tylko jak?”

Jej czujniki, choć wciąż blokowane przez górę lodu zakrywającą redutę, były już w pełni sprawne, więc Nimue mogła przynajmniej pracować z pełniejszymi informacjami. Dokładnie analizowała poczynania demonów i im więcej się dowiadywała, tym mniej jej się to podobało.

Dla Starożytnych przełamanie bariery międzywymiarowej nie było niczym niesłychanym, choć traktowano je bardziej jak koncepcję niż pretekst do poważnych eksperymentów.

Nimue mogła śmiało założyć, że kultura demonów funkcjonowała inaczej niż ludzka, jednak efekty były zbliżone, jeśli nie identyczne. Dawało to pewien punkt wyjścia do dalszej analizy.

Co do zasady, wygenerowanie przeciwnej fali harmoniczej, zdolnej zneutralizować pierwotną, nie stanowiło szczególnie trudnego wyzwania. Nimue nie była jednak pewna, jak należałoby

ją wzbudzić. Drgań wymiarowych nie dało się zmienić, wrzeszcząc na nie, a harmonicznosc pozostawała poza zasięgiem zmysłów człowieka... czy właściwie każdej żywej istoty.

„Jakim cudem demonom się to udaje?”

Odpowiedzią była zapewne magia, jednak zdaniem Nimue słowo to oznaczało w gruncie rzeczy metodę, której na razie nikt nie znał lub nie rozumiał. Projekcja posiadała dane na ten temat, ponieważ nie był on zupełnie nieznanym ludziom, nawet w czasach przed inwazji.

Koniec końców, większość tych informacji sprowadzała się jednak do tego, że istota rozumna może zmienić wszechświat, jeżeli zmieni sposób, w jaki go postrzega.

Co, rzecz jasna, nie miało żadnego sensu.

Było to jak stawianie skutku przed przyczyną, a mimo to wydawało się działać. Nimue musiała też przyznać, że znane jej są pewne ezoteryczne dowody matematyczne na to, że w pewnych okolicznościach skutek może w istocie poprzedzać przyczynę.

„Może więc i my moglibyśmy korzystać z magii... Choć bez wyszkolonych ludzi będzie to raczej niemożliwe”.

Pełna frustracji, Nimue zagłębiła się w nieliczne traktaty o magii z epoki przed inwazją, a także w informacje wywiadowcze zebrane na początku walk.

Musiał tam być coś użytecznego!

AVALON

– Już wróciłaś?

Elan skinęła głową, zmierzając do biblioteki.

– Inni mogą sami dokończyć przygotowania. Ja muszę... poczytać.

Merlin uniósł widmową brew, ale nie zaprotestował i podążył za dziewczyną do archiwów.

Gdy tam dotarł, przez chwilę obserwował Elan. Dziewczyna przeszukiwała katalog, wyciągając książki i pliki danych, a nawet bardzo stare zwoje spisane na organicznym materiale, o którym Merlin wolał zbytnio nie rozmyślać.

– Szukasz czegoś konkretnego? – zapytał w końcu Merlin po jakiejś godzinie.

– Magii – odparła Elan.

– Powiadają, że magia jest w oku patrzącego. – Awatar zaśmiał się łagodnie.

Elan nie wyglądała na rozbawioną, pogrążona w lekturze. Merlin westchnął.

– Magia to bardzo obszerna dziedzina – powiedział. – Być może warto ją... zawęzić.

– Chcę to zrozumieć. – Elan podniosła wzrok. – Chcę wiedzieć, co robią demony i jak tego dokonują.

– Ach tak...

Merlin pokiwał głową w zamyśleniu. Oczywiście nie był zaskoczony. Ciekawość Elan dorównywała jej inteligencji, a nawet ją przerastała. Obiecująca kombinacja, wiedział jednak, że bywa zwodnicza. Tacy ludzie, pozostawieni sami sobie, łatwo mogli wpaść w błędne koło. Próbując zaspokoić ciekawość, napotykali coraz więcej pytań.

– To trudne – powiedział po chwili Merlin. – Nasza wiedza o zdolnościach magicznych demonów i wykorzystywanych przez nie procesach jest ograniczona. Nie sądzę, abyś znalazła tutaj dokładnie to, czego szukasz.

Taka była smutna prawda, choć chciał, by było inaczej. Gdyby potrzebne informacje znajdowały się w archiwach, przodkowie Elan znaleźliby je i wykorzystali. Szaleństwem byłoby sądzić, że samotna, niewykształcona dziewczyna, choćby nie wiadomo jak ciekawska i inteligentna, odnajdzie coś, czego nie udało się odkryć wielu pokoleniom lepiej wyedukowanych ludzi.

– Wiem o tym – odparła Elan.

Był zareagował szczerym zaskoczeniem, co rzadko mu się zdarzało. Owszem, ludzie często zbijali go z tropu, ale zwykle przez swoją ignorancję lub też zdolność wręcz umyślnego nierozumienia danej sytuacji.

Tym razem było jednak inaczej. Tak przynajmniej uważał.

– Wybacz... – zaczął, przekrzywiając głowę – nie bardzo rozumiem. Skoro nie spodziewasz się znaleźć tego, czego szukasz... to dlaczego w ogóle szukasz?

Elan milczała przez chwilę. Potem zamknęła księgę i spojrzała na Merlina. Międzywymiarowa inteligencja nagle poczuła się zawstydzona. Było to doprawdy... osobliwe uczucie.

– Opowiedz mi o tym.

„To nie była prośba” – pomyślał z pewną dumą. Elan stała się kimś więcej niż dziewczynką, której postanowił pomóc w samobójczej misji.

– Nie ma zbytnio o czym opowiadać – odparł, zauważając ponury grymas na twarzy Elan. – Odczytanie tych tekstów było niemożliwe dla mnie i dla wszystkich, których znałem.

– Dopóki nie pojawiłam się ja.

– Racja.

– A co z innymi?

„Ach, więc o to chodzi. Oczywiście. Wiedziałem, że Nimue będzie miała jedną z pozostałych...”

– Księga ta jest częścią zbioru podobnych tomów – przyznał. – Twoi przodkowie odnaleźli je dawno temu. Przez wieki sądzili, że ich przodkowie spisali te księgi i w jakiś sposób je zaszyfrowali. Tekst jest bez wątpienia sformułowany w jakimś języku. Wiem to, nawet nie rozumiejąc...

– Niby skąd? – przerwała mu Elan. – Skoro nie rozumiesz, skąd wiesz, że to nie jakiś bełkot?

– Poznaję to po wzorcach, składni... Gdyby był to oszukańczy nonsens, wzorce wyglądałyby inaczej. To zdecydowanie język. Kolejnym problemem były ilustracje. Przedstawiały rośliny, które, wedle mojej najlepszej wiedzy, nie istniały nigdzie na tej planecie, najrozmaitsze rytuały... Wszystko to miało jakieś znaczenie, którego nie dało się odszyfrować.

Elan przytaknęła powoli.

– Myślę, że te księgi są ważniejsze, niż można podejrzewać.

Merlin wzruszył ramionami.

– Sam doszedłem do tego wniosku, gdy tylko okazało się, że potrafisz to odczytać. Jeżeli jakiś język jest czytelny dla oczu tylko wybranych czytelników, teksty te są czymś więcej niż tylko ciekawostką historyczną.

– „Ein Taki’amin Kine” – powiedziała Elan cicho, gładząc okładkę księgi. – „Ścieżka rycerza”, czy może „Droga rycerza”? Nie wiem, jak

dokładnie to przetłumaczyć, ale gdy czytam te słowa... – Zawiesiła głos, wpatrując się w tom, po czym uderzyła się w pierś. – Rozpoznaję je tutaj. W sercu, nie w głowie.

– Rozumiem...

„Pojmowanie czegoś instynktem to w rzeczy samej magia. Szkoda, że nie zgłębiliśmy tego tematu przed inwazją. To zdumiewające”.

– O czym w ogóle jest ta księga? – zapytał Merlin.

– To podręcznik – wyjaśniła Elan. – Do walki. Ja... wcześniej o tym nie wiedziałam, ale czytając go, mam wrażenie, że szkolłam się w tym stylu od... lat?

Słyszając bezradny, pytający ton, metafizyczny byt odczuł niemal fizyczny ból. Myśl o tym, że jakaś książka mogłaby przeniknąć do psychiki czytelnika i... przepisać na nowo jakieś części jego umysłu, choćby poprzez naukę i ćwiczenia, napawała go niepokojem.

Jeśli ta księga była do tego zdolna, z pewnością potrafiła o wiele więcej.

„Może już tego dokonała?”

Merlin nie sądził, by lektura odmieniła Elan. Obserwował dziewczynę od ich pierwszego spotkania. Oczywiście zmieniała się, jednak w życiu borykała się z trudnościami i sięgała do granic, których osiągnięcie wymagało zmiany nastawienia.

Byt nie zauważył natomiast zmian, które nie pasowałyby do tego, co wiedział o osobowości Elan i do doświadczeń, na jakie została wystawiona.

„Mimo to będę musiał ją baczniej obserwować”.

– To bardziej imponujące, niż się spodziewałem – powiedział. – Co znalazłaś w księdze w posiadaniu Nimue?

– Początkowo nie byłam pewna – przyznała Elan. – Tamta była inna. Czytając „Drogę”, rozumiałam ją prawie instynktownie. Jej księga się od niej różni... Wymagała czasu. I wielu prób, które podjęłam tylko dlatego, że jestem uparta.

Merlin zaśmiał się cicho. Bogate doświadczenie mówiło mu, że nazywanie tej dziewczyny „upartą” stanowiło pewne niedopowiedzenie.

– Co więc się zmieniło? – zapytał.

– Słowa nabrały sensu – wyjaśniła Elan. – To wszystko, co jestem w stanie powiedzieć. Nie było to tak oczywiste. Po prostu... nagle

pojęłam znaczenie jakiegoś słowa, nawet jeśli bez reszty zdania brzmiało bezsensownie. To wystarczyło, abym próbowała dalej.

W umyśle Merlina zapaliła się lampka ostrzegawcza, jednak byt przytaknął niefrasobliwie.

„Księga przykuła jej uwagę, przekazując jej wiedzę w kawałkach, aby nie dała za wygraną. Programowanie? Czy może inteligencja?”

Inteligentne obiekty nie były dla niego niczym nowym. Sam Merlin zdawał sobie sprawę, że mógłby zostać uznany za tego rodzaju przedmiot. Jednak obiekty takie w większości okazywały się pułapkami zastawionymi przez demony jeszcze przed najazdem na świat ludzi.

Te przeklęte przedmioty zalały świat grozą rodem z najgorszych koszmarów. Nawet Merlin nie chciał, by cokolwiek przypominało mu tamte czasy.

– Myślę... że powinnaś zaprzestać czytania tych ksiąg – powiedział łagodnie. – Przed wojną demony wykorzystywały takie przedmioty przeciwko nam...

– Nie.

– Elan, to poważna sprawa.

– Tego nie stworzyły demony – upierała się dziewczyna. – Pamiętasz, jak opowiedziałam ci o swoim śnie? Jeszcze zanim wyruszyłam do Miasta?

Merlin przytaknął z wahaniem. Oczywiście, że pamiętał. Martwił go opis przedstawiony przez Elan, jednak to, o czym mówiła, nie pochodziło od demonów. Okręgi wirujące w okręgach, niemożliwe kąty i inne wizje kojarzyły się raczej z wyważonym i postępowym umysłem, stojącym za takimi projektami.

Demony były przerażająco organiczne, chaotyczne i niszczycielskie. Natomiast opisana przez Elan ezoteryczna, niemal metafizyczna maszyna pod wieloma względami stanowiła antytezę wszystkiego, co wiedział o potworach.

– Myślę, że ktoś zesłał mi ten sen... – ciągnęła Elan. – Kto jest przeciwieństwem demonów?

– Może bogowie? – Merlin wzruszył ramionami.

– Nie... – odparła niepewnie, pogrążona w rozmyśleniach. – To nie bogowie. Więc może ich słudzy? Uciekali przed demonami, jak gdyby po przegranej walce i... – Westchnęła, potrząsając głową. – Nie

wiem. Chodzi o coś ważnego, czego nie jestem w stanie sobie przypomnieć.

– Tak to już jest ze snami.

– Nie mamy czasu na moje kłopoty z pamięcią!

OSIEDLE POD CYTADEŁĄ

„Na pewno robiłem już głupsze rzeczy” – myślał Brokkr, wbijając miecz w demona, a potem częstując go kopniakiem, żeby wydobyć ostrze z brzucha potwora. „Szkoda tylko, że za własną nieśmiertelną duszę nie mogę sobie przypomnieć jakie”.

– Uciekajcie, jeśli wam życie miłe! – warknął do oszołomionych ludzi, których właśnie ratował. – Na północ!

Gapili się na niego dłużej, niż był to w stanie znieść.

– Tam! – wrzasnął, wskazując kierunek i tupiąc gniewnie. Ocaleni w końcu puścili się biegiem ku północy.

„Mam nadzieję, że wśród tej hałastry znajdzie się choć paru twardzieli. W przeciwnym razie cały ten heroiczny ratunek okaże się najdurniejszą rzeczą, na jaką kiedykolwiek się porwałem”.

Demony były w nastroju na całkowitą masakrę. Ryczały i śmiały się, czasami jednocześnie, wyrąbując sobie drogę przez pole walki. Nie były wybredne i zabijały każdego, kto im się nawinął. Wywlekały ludzi z domów i pędziły ich przed hordą.

Nie dało się ocalić wszystkich. Brokkr wątpił, czy zdoła uratować choćby najsilniejszych. Ci prawdopodobnie ginęli jako pierwsi, dając pozostałym czas na ucieczkę. Mimo to Brokkr postanowił, że zrobi, co w jego mocy.

Czuł wzburzoną adrenalinę, podsycającą gniew będący odpowiedzią na złość demonów, choć utrzymywany w ryzach przez uczucie satysfakcji, jakiej Brokkr nie doświadczał już od bardzo dawna.

„Tak samo jak ludzie, tak i my zbyt długo dawaliśmy sobą pomiatać. Wybraliśmy przetrwanie zamiast życia. Zapomniałem już, jakie to uczucie”.

Wymachiwał ostrzem, poczerniałym od krwi, nie dbając o styl czy pokaz umiejętności i skupiając się na tym, by miecz powalał demony

niczym kosa ścinająca zboża. Widział, że potwory są żądne krwi, i nie sądził, by którykolwiek z nich był w stanie w ogóle myśleć, nie mówiąc już o wykorzystywaniu szkolenia bojowego w praktyce.

Miecz Brokkra został wykuty z żelaza, a talent zbrojmistrza nadał mu możliwości nieosiągalne dla zwykłego metalu. Po raz pierwszy od dawna ostrze posmakowało krwi.

Oreż nie był wykonany ze specjalnych surowców, w przeciwieństwie do broni Elan i Kaleba, czy nawet młota Jolnira, ale na razie sprawdzał się wystarczająco dobrze.

Brokkr miał tylko nadzieję, że Sindri zdąży ostrzec pozostałych. Plany obmyślane przez ludzi na wyspie nie przetrwałyby konfrontacji z tą rzezią.

Sindri z trudem łapał oddech. Nie przywykł do tak szybkiego biegu. Odbił się od ściany reduty i podążył do wnętrza.

– Merlinie! – wydyszał. – Merlinie, słyszysz mnie?

Gdy po chwili pojawiła się projekcja, Sindri prawie przewrócił się z ulgi.

– Co się dzieje? – zapytała inteligencja, taksując Sindriego spojrzeniem pełnym troski. – Jesteś cały?

– Tak, tylko się... zmachałem. Demony z wieży rozpoczęły czystkę. Zabijają wszystkich!

Merlin wpatrywał się w niego przez chwilę, po czym spochmurniał.

– Do licha. Czyli nici z dywersji. – Rozejrzał się powoli. – A gdzie twój brat?

– Nie wiem. Uparł się, że ocali tylu, ilu zdoła – odparł Sindri. – Nieszczęsny idiota. Ludzie będą uciekać przed demonami i tak naprawdę mogą udać się tylko na północ.

– W pobliże reduty... – Merlin pokiwał głową. – Myślę, że jakoś sobie z tym poradzimy. Dam znać reszcie.

– Dobrze. A ja w tym czasie trochę sobie... poleżę – postanowił Sindri, osuwając się. – A potem pójdę szukać Brokkra.

– Wstrzymaj się z tym – rzekł Merlin. – Przyślę pomoc.

– Dziękuję.

REDUTA PÓŁNOCNA

Nimue podniosła gwałtownie wzrok, gdy przez nowo aktywowane obwody łącznościowe dobiegł alarm. Otworzyła kanał, zafrapowana.

– O co chodzi? – zapytała.

– Mamy kłopoty u celu – odezwał się Merlin. – Zaczniemy wysyłać ludzi już teraz.

– Co takiego? Nie! Nie jestem gotowa!

– Demony wybrały czas i miejsce za nas. Przygotuj się!

Po zakończeniu rozmowy Nimue miała ochotę skląć starego głupca, wiedziała jednak, że to on ma rację. Nikt nie atakował zgodnie z grafiką i nie czekał, aż druga strona zdąży się przygotować. Była to fundamentalna reguła rządząca wojną.

Projekcja zamknęła gniewnie większość swoich badań, odkładając je na bezużyteczną stertę i skupiając się na najbardziej obiecujących odkryciach.

Pewien badacz wysnuł teorię, że dzięki właściwym drganiom kwantowym możliwe będzie otwarcie tuneli czasoprzestrzennych. To, co działo się w Cytadeli demonów, było podobnym, choć niestety nie identycznym zjawiskiem.

Zgodnie z opisem tunel powinien być w stanie, przynajmniej teoretycznie, łączyć się z dowolnym punktem w przestrzeni lub czasie, pomijając pewne wyjątki, którymi Nimue nie zaprzętała sobie na razie głowy. Demony natomiast próbowały nawiązać łączność z punktem leżącym poza czasem i przestrzenią.

Z innym wszechświatem.

Wymagało to obliczeń na dużo wyższym poziomie, niż pozwalały dane w archiwach. Nimue była do głębi przerażona na myśl o tym.

Wiedziała, że nie jest wojowniczką. Była uczoną i czerpała z tego dumę. Odkrycia tego rodzaju wzbudzały u niej zarówno ekscytację, jak i strach, ponieważ choć wiedziała zbyt mało, by dokładnie zrozumieć ten mechanizm, wiedziała też wystarczająco dużo, by zdawać sobie sprawę z ekstremalnego zagrożenia.

„Musimy je powstrzymać”.

ROZDZIAŁ 15

CYTADELA

Ser'Lis stała na szczycie wielkiej wieży, obserwując dym i płomienie rozchodzące się po ludzkim osiedlu.

Ludzie często zaskakiwali ją tym, jak wiele byli w stanie przetrwać za parę ochłapów i „pozwolenie” na wykorzystywanie lokalnych gruntów według swoich potrzeb. Nieważne, że większość ich upraw i dorobku padała później ofiarą kradzieży, a pewna część populacji była skazana na śmierć lub na dostarczanie rozrywki demonom zamieszkującym wieżę.

Niełatwo jednak przetrwać na pustkowiu, a ludzie ponad wszystko cenili sobie wygodę.

Pod pewnymi względami było to zdumiewające, władczyni stwierdziła jednak, że jeśli o to chodzi, ludzie nie różnią się tak bardzo od demonów. Z jej stanowiska łatwo było patrzeć z góry na ludzi i krzywdy, jakie pozwalali sobie wyrządzić. Mimo to Lis wciąż pamiętała, przez co musiała przejść, wspinając się w hierarchii Kręgów.

To było jednak co innego. Ona miała wytyczony cel, dzięki któremu cała ta brutalność, upokorzenie i niezbyt przyjemne „usługi”, które zmuszana była wyświadczać, miały się opłacić.

Chciała dotrzeć na szczyt. Podejmować decyzje, przyjmować przysługi od innych. I właśnie to osiągnęła.

A ludzie? Nie mieli innych celów poza przeżyciem kolejnej ponurej nocy, roku lub dekady. Co za różnica, czy zdechną teraz, za dziesięć, czy choćby sto lat? Lis żyła dłużej, niż sięgała jej pamięć. Wieki i tysiąclecia przeminęły, a miały ją czekać kolejne, oczywiście o ile przetrwa.

Gdyby teraz umarła, straciłaby szansę na życie wieczne! Cóż więc znaczyło parę marnych lat? Z perspektywy wszechświata ludzie byli ledwie zauważalnymi insektami.

„Ciekawe, czego się spodziewali?” – zastanawiała się Lis, spoglądając na pożogę. Była zbyt wysoko, by słyszeć walkę i krzyki,

jednak czuła ciepło na myśl, że to wszystko dzieje się naprawdę. „Wydawało im się, że będą wyjątkiem? Czy może wiedzieli, że ten dzień i tak nadejdzie, i postanowili, że do tego czasu będą żyli jak gdyby nigdy nic?”

Właściwie mogłaby darzyć szacunkiem kogoś kierującego się tym drugim motywem. Może i byłby insektem, ale przynajmniej nie głupim. Zdaniem Lis, zrozumienie zagrożenia i podjęcie wykalkulowanego ryzyka zasługiwało na uznanie. Natomiast głupcy przekonani, że ominie ich to, co spotyka innych, zasługiwali jedynie na pogardę.

– Pani...

Lis odwróciła się do nadchodzącego wicekróla.

– Tak? O co chodzi, Serg?

Serg'in, wicekról i obserwator wydarzeń na tej ziemi, skłonił się, zanim odpowiedział:

– Mamy meldunki z miasta. Wygląda na to, że garstka ludzi zorganizowała nie całkiem nierozsądną obronę.

Lis wzruszyła ramionami.

– Dopuszczałam taką możliwość. Zwróć uwagę na demony walczące z tą grupą. Ci, którzy przeżyją, zasłużą sobie na awans.

– W rzeczy samej – odrzekł wolno Serg z zamyśloną miną.

– Wyduś to z siebie – poleciła władczyni. – Widzę, że coś cię gryzie.

– Tylko to, że nieoczekiwany opór umożliwił wielu ludziom ucieczkę z sektora – odpowiedział. – I wywiera coraz szerszy wpływ.

Ser'Lis musiała przyznać, że brzmi to odrobinę bardziej niepokojąco.

– Rozumiem – powiedziała po namyśle. – Ogłoś, że zwycięzców czeka awans, ale ci, którzy pozwolą ludziom umknąć, zostaną zdegradowani.

– Tak, Pani – odparł Serg z uśmiechem. – Sądzę, że dla naszych żołnierzy powinna to być wystarczająca motywacja.

Lis przytaknęła z roztargnieniem, odwracając się ponownie ku płomieniom.

„Powinna” – powtórzyła w myślach.

W jej siłach istniała tylko jedna forma „degradacji”. Jeżeli ktoś okazał się zbyt głupi, by pełnić aktualne obowiązki, Lis nie zamierzała mu powierzać innych zadań, nawet mniejszej wagi. Nie

brakowało ambitniejszych demonów gotowych wypełnić pustkę. Pozostawianie przy życiu niezadowolonych, rozgniewanych i potencjalnie mściwych demonów po prostu miało się z celem.

OSIEDLE POD CYTADEŁĄ

Brokkkr przypadł do ziemi i wykonał ślizg, unikając kolejnego ataku. Gdy demon skoczył i znalazł się nad nim, mężczyzna wbił miecz w tułów potwora.

Czarna krew opryskała Brokkra, choć próbował się uchylić, i zanieczyściła ziemię, gdy przeciwnik wił się w powolnej agonii.

Brokkkr wykończyłby go, gdyby miał choć kilka sekund więcej. Nie dlatego, że demon wzbudził w nim cień litości, ale raczej z obawy, że potwór przeżyje i dojdzie do siebie zbyt szybko.

Teraz jednak brakowało na to czasu, więc wojownik podparł się kolanem, zanim jeszcze zakończył ślizg, i zerwał się na równe nogi. Potem od razu rzucił się do biegu, słysząc za sobą rozdzierający krzyk konającego demona.

W okolicy było jeszcze kilkoro obrońców. Brokkkr szybko skierował się w ich stronę, widząc, jak odpierają atak niewielkiej drużyny pomniejszych demonów.

Łatwo było rozpoznać, na jakim poziomie rozwoju są potwory, ponieważ ich ewolucja przebiegała według ściśle określonego wzorca. Brokkkr, Sindri i im podobni żyli dość długo, by nauczyć się to dostrzegać.

Początkowo ktoś przeciągnięty na stronę piekła zmieniał się nieznacznie, a przy tym niewiele korzystał na tym procesie. Zamiast tego doświadczał fizycznego bólu, który w połączeniu ze stresem doprowadzał go niemal do szaleństwa.

Z czasem mutacje stawały się bardziej widoczne i losowe, jak w wymuszonym procesie ewolucji, który aż za często kończył się źle. Ci, którzy go przetrwali, zyskiwali jednak potęgę i przewagę fizyczną, różniącą się w zależności od poszczególnych demonów, tak samo jak umiejętność posługiwania się piekielną magią.

Im bardziej rośli w siłę, tym szybciej wracali do pierwotnej postaci. Najpotężniejsze demony tak naprawdę przypominały ludzi.

Jeśli wierzyć legendom, najsilniejsze z nich były nawet dość urodziwe.

Tak przewidywalny proces wiązał się z wyraźnymi cechami fizycznymi, na których teraz skupiał się Brokkr i które mówiły mu wiele o sile, jakiej mógł się spodziewać po przeciwnikach.

Mężczyzna dołączył do obrońców, osłaniających uciekający tłum niezdolnych do walki mężczyzn, kobiet i dzieci.

– Biegnijcie na północ! – zawołał do nich przez ramię, przekrzykując szcęk żelaza i broni demonów. – Pomoc już nadchodzi!

Potem jednak musiał zostawić uchodźców ich losowi i puścić w ruch swoje ostrze. Stał do walki ze zdeformowaną bestią o zębach chyba większych od łba i zakrzywionych, ostrych szponach, dość mocnych, by kruszyć kamienie rozrzucone po polu walki, pozostałe po zniszczonych domostwach.

Brokkr podbiegł bliżej i wbił ostrze w tułów demona. Potwór runął na ziemię. Z jego wnętrzości chlustała krew, a rana zaogniła się z sykiem po kontakcie z żelazem. Brokkr minął umierającego wroga i zwrócił się do najbliższych stojących ludzi:

– Nie zatrzymamy ich! Zaczekajcie jeszcze, aż mieszkańcy się stąd wydostaną, a potem szykujcie się do odwrotu!

Wojownicy pokiwali jedynie głowami w ponurym milczeniu. Brokkr wcale im się nie dziwił. Nikt nie miał teraz czasu na nic oprócz zabijania.

Walczyli więc z hordą demonów, ramię w ramię, napierając i chroniąc ulicę niczym wał przeciwpowodziowy. Nie mogli stawiać oporu w nieskończoność... Przy odrobinie szczęścia mogli jednak wytrzymać wystarczająco długo.

Brokkr zacisnął zęby, blokując kolejny atak.

„Wytrzymamy”.

AVALON

Elan sprawdziła sprzęt. Nie była zadowolona, że zabrakło jej czasu na dokładniejsze zbadanie sytuacji, wiedziała jednak, że nie może sobie pozwolić na taki luksus. Jej zbroja i broń nadal były

w idealnym stanie, naładowane do pełna. Elan przypięła do biodra składany kij, dar od braci, zarzuciła na ramię torbę z wodą i lekarstwami, wzięła oddech i podążyła na platformę transportową.

– Jak sytuacja? – zapytała Merlina.

– Kaleb i pozostali już się zbierają – oznajmiła projekcja. – Wyruszą tak szybko, jak będzie to możliwe. Nimue wciąż prowadzi badania, a Sindri czeka na pomoc. Nie mamy kontaktu z Brokkrem, nie wiemy też, jak rozwinęły się walki wokół Cytadeli.

Dziewczyna skinęła głową. Prawdę mówiąc, nie oczekiwała niczego więcej.

– Wyślij mnie.

– Rozpoczynam transport.

Świat zadrżał przez krótką chwilę, a potem Elan zniknęła.

REDUTA NA PÓŁNOC OD CYTADELI

Elan pojawiła się w pomieszczeniu niemal identycznym jak to, z którego wyruszyła, z tą różnicą, że tym razem zastała w komnacie niskiego mężczyznę.

– Sama jesteś, dziewczyno? – zapytał Sindri z niepokojem.

– Tak. Byłam w Avalonie, kiedy Merlin zameldował mi o wszystkim – odpowiedziała, idąc naprzód. – Kaleb zbiera pozostałych w reducie na Atlantydzie, ale zorganizowanie takiej grupy wymaga czasu.

– No tak, rozumiem. – Sindri spochmurniał. – Ale nie mogę już dłużej czekać!

– Wiem – zapewniła Elan. Przez zdenerwowanie Sindri zaczął mówić z jakimś akcentem, który z czymś jej się kojarzył, ale nie była pewna, z czym. – Chodźmy.

– Poważnie? – zdumiał się mężczyzna.

– Kaleb poprowadzi resztę – powiedziała Elanthielle z przekonaniem. – Zasięgnijmy informacji. Przydadzą się, kiedy dotrą tu inni.

– Dobrze mówisz – przytaknął Sindri. – Tędy proszę.

PUSTKOWIA

Wychodząc z cienia rzucanego przez redutę, Elan znalazła się w gorącym, zapyłonym miejscu, które przypominało jej dom. Sporo piachu, pyłu, skał i bardzo niewiele wody i roślin. Rozglądała się przez kilka sekund, jednak nie zauważyła niczego szczególnego poza górami na zachodzie... I Cytadelą na południu.

„Jeszcze jedna wieża demonów”.

Tym razem przynajmniej miała do czynienia z jedną wieżą, a nie z całym miastem. Nie znaczyło to bynajmniej, że czeka ją łatwe zadanie. Demony miały powód, by się tam zgromadzić. Jednak nawet pomimo przewagi liczebnej i imponującej broni czekała je ciężka walka.

– Ruszajmy – poleciła, wskazując głową na południe. – Zakładam, że idziemy do wieży?

– Żebyś wiedziała. – Sindri skinął głową, zaciskając dłoń na trzonku małego młota bojowego, podobnego trochę do tego, którym posługiwał się Jol. – Brokkr zajął się obroną, żeby dać ludziom czas na ucieczkę, nie wiem jednak, jak długo wytrzyma.

– A zatem trzeba ich uratować.

– Powinniśmy pójść po skoczek? – zapytał Sindri.

– Nie. – Elan pokręciła głową. – Merlin mówił, że demony potrafiłyby go zniszczyć. Moglibyśmy je zaskoczyć, ale potem wszystko by się posypało.

– Racja – westchnął niski mężczyzna.

Wyruszyli przez jałowe ziemie, nie spuszczać z oczu wieży i kłębow dymu. Choć bardzo im się spieszyło, szli tak, by się nie zmęczyć. Jednak ponieważ Elan miała na sobie pancerz wspomagający, a Sindri wywodził się z bliżej nieokreślonej rasy, jedynie przypominającej ludzi, tak naprawdę mknęli dość szybko.

Już wkrótce napotkali pierwszą grupę uciekinierów spod wieży.

– Przyjaciele! – zawołała Elan, wychodząc naprzód. – Nie zamierzamy was skrzywdzić!

W oczach ludzi widać było ulgę, choć przyćmioną lękiem i wyczerpaniem.

– Dlaczego idziecie w tę stronę? – zapytała dziewczyna, oglądając się. – Na pustkowiach jest niebezpiecznie!

– A gdzie niby teraz jest bezpiecznie? – parsknął jakiś starzec. – Demony prześladowały nas, odkąd pamiętam, ale teraz wycinają wszystkich w pień! Nie mamy się gdzie schronić!

– Chwyćcie więc za broń – warknął Sindri.

Uciekinierzy zaszemrali. Niektórzy wyglądali na zawstydzonych, większość była zwyczajnie przerażona.

– Próbowaliśmy. Ale ja jestem za stary, a oni za młodzi. – Starszy mężczyzna westchnął, wskazując dzieci, o połowę młodsze od Elan. – Zresztą wszyscy jesteśmy za słabi.

Elan potrząsnęła głową i machnęła ręką za siebie.

– Idźcie po naszych śladach. Dotrzecie do jaskini. Tam zaczekajcie na pomoc. Ktoś jest ranny?

– Ranni uciekali za wolno...

Elan spochmurniała i bez słowa minęła grupę, ruszając w dalszą drogę.

– Czeka! Nie możesz tam iść! Zginiesz! – krzyknął za nią starzec.

– Lepiej umrzeć w walce, niż żyć beczynnym. Powiedźcie tym, którzy przyjdą po mnie, że Elanthielle ruszyła do ataku na demony. Będą wiedzieli, co robić.

Podjęła marsz, nie zważając na pełne niepokoju okrzyki. Nie było ich zresztą wiele, bo większość ludzi za bardzo się bała, zbyt zatracona we własnym bólu, by martwić się cudzym.

Większość, ale nie wszyscy.

Elan i Sindri uszli niedaleko, gdy usłyszeli odgłos biegnących stóp. Oboje odruchowo sięgnęli po broń. Gdy się odwrócili, zobaczyli nadciągającą ku nim garstkę ludzi, młodszych i starszych.

– Powinniście iść z pozostałymi – powiedziała Elan. – Nie jesteście gotowi na to, co was czeka.

Przywódca grupy pokręcił głową.

– Nie. Miałaś rację. Jeśli demony chcą nas zabić, lepiej będzie nam zginąć tutaj, w boju, niż szczerząc z głodu na pustyni.

– Nie obawiajcie się – odparła Elan. – Wkrótce pojawią się ludzie z żywnością i wodą. Wyprowadzą was stąd. Jest jeszcze nadzieja, przysięgam!

– A zatem tym bardziej powinniśmy walczyć i ocalić tylu, ilu się da!

Elan i Sindri wymienili uśmiechy.

– Jesteście więc mile widziani – zapewnił Sindri. – My biegniemy walczyć. Jeśli nie nadążycie, zaczekajcie na innych i dołączcie do ich grupy. Będą posuwać się wolniej, ale w większej sile. My jesteśmy szybkimi zwiadowcami, oni sprowadzą armię.

Ludzie spojrzeli po sobie niepewnie. Niektórzy westchnęli, kiwając głowami.

– Pozostaje nam poczekać – powiedział starszy mężczyzna. – Wątpię, czy mógłbym was dogonić, a potem jeszcze walczyć. Czy naprawdę będzie was więcej?

– Masz moje słowo – odparła Elan stanowczo.

– Połączymy się więc z innymi i pomaszerujemy, żeby was wesprzeć.

– Będziemy was wypatrywać na polu bitwy – rzekł Sindri. – Czas nam w drogę.

Kilku młodzieńców mimo wszystko wyłamało się z grupy, by towarzyszyć wojownikom z Atlantydy. Sindri i Elan zwolnili, by słabsi i gorzej wyposażeni ludzie mogli dotrzymać im kroku. W trakcie marszu Elan obejrzała uzbrojenie nowych kompanów.

Większość niosła drewniane pałki, włócznie z kamiennymi grotami i tym podobny oręż. Zauważyła kilka połyskujących, krótkich ostrzy, zapewne sztyletów i kolców, które można było szybko wykuć i ukryć nawet przed czujnym okiem demona, nie była to jednak broń, której warto zawierzyć swój los.

– Sindri – zapytała cicho – mógłbyś na szybko popracować nad ich uzbrojeniem?

– Na szybko? – zaperzył się niski mężczyzna. – Pewnie tak, ale nie będzie to nic wartego mojego talentu.

– Ale coś lepszego od połamanych gałązek z przywiązanyimi kamieniami? – zapytała oschle.

– Taa... – Sindri pokiwał smętnie głową.

– Zarządź więc postój – zdecydowała Elanthielle. – Ja pójdę na zwiad, a ty sprawdź, co da się zrobić.

Sindri skrzywił się, ale nie protestował. Wiedział, że idealnie byłoby jak najszybciej rozpocząć bój, z drugiej strony walka bez przygotowania nie była dobrym pomysłem.

„I tak nie będzie to solidna robota” – pomyślał ponuro. „Cóż, pozostaje mi zrobić, co się da”.

– Niech będzie – powiedział.

REDUTA NA PÓŁNOC OD CYTADELI

Z jaskini wyłonił się Kaleb, a tuż za nim Simone, Jol, Tur i Sien. Pozostali żołnierze Atlantydy wciąż napływali z reduty na wyspie.

– Zgrupujemy się tutaj – oznajmił Kaleb. – Nikt się stąd nie rusza, dopóki nie będziemy gotowi. Sien, Tur, można na słowo?

Trójka wojowników odeszła na stronę. Tymczasem Simone i Jolnir zajęli się nowo przybyłymi Atlantydami.

– O co chodzi? – zapytała Sien, taksując wzrokiem młodzieńca, który wydawał rozkazy, jakby miał nad nimi jakąkolwiek władzę.

– Jakie jest to wasze miasto? – zapytał Kal, spoglądając na południe, gdzie na tle nieba wciąż majaczyła sylwetka wieży.

– To ruina, ale tam się wychowaliśmy. – Sien’el wzruszyła ramionami. – Jest chyba... normalne?

Tur burknął coś pod nosem, ale nie zaprzeczył.

– Chodzi mi raczej o opór, jaki możemy napotkać – sprecyzował Kaleb. – Zakładam, że tamtejsze demony są potężne?

– Nie mamy żadnego porównania – odrzekł wolno Turroch. – Prawie wszyscy byliśmy ich poddanymi przez całe życie. Dopiero parę lat temu dowiedziałem się, że w ogóle można je zabić.

Kal zauważył, że Sien w milczeniu ścisnęła dłoń siłacza, jednak tego nie skomentował.

– Są silne – powiedziała kobieta. – Rządy sprawuje tam Pani Cytadeli, ale widywaliśmy ją bardzo rzadko, a nigdy z bliska.

– Dwie wieże, każda z kobietą-demonem u władzy. – Kaleb zaśmiał się wymuszenie. – Tam gdzie dorastałem, rządził męski demon. Już nie żyje. To oznacza zapewne, że panie są bardziej zabójcze?

Sien uśmiechnęła się krzywo, ale Tur nie mógł powstrzymać rozbawionego parsknięcia.

– Możliwe – powiedziała Sien’el, gdy już się uciszyli. – Ale na pewno nie są niezniszczalne.

– To akurat wiem – potwierdził Kaleb. – Musimy założyć, że obstawiły obrońcami ten obszar, przynajmniej samą wieżę,

a prawdopodobnie i całe miasto, jeśli nie brakuje im sprytu. Mieliście do czynienia z ich specjalistami od runów.

– Ru... Przepraszam, od czego?

– No tak, nic wam to nie mówi – westchnął Kaleb. – Chodzi o demony, pozornie słabsze, ale traktowane uprzejmie przez swoich groźniejszych ziomków. Jakby wiedziały coś, czego nie wie nikt inny.

Tur mruknął w zadumie, po czym powoli przytaknął i spojrzał na Sien.

– Pamiętasz tamten pożar po Dniu Odrodzenia?

Sien'el zamyśliła się na chwilę.

– Właśnie. Tamten demon wyglądał na chuchro. Nie miałam pojęcia, dlaczego inne po prostu go nie zabiły.

– Ponieważ sami przypłaciliby to życiem – powiedział Kaleb ponuro. – Uznam to za potwierdzenie moich przypuszczeń. Trudno będzie zająć wieżę.

– Wolnego! – Sien uniosła rękę. – Kto tu mówi o zdobywaniu Cytadeli?! To szaleństwo!

– Racja – zgodził się Turroch.

– Jeśli Elan i Merlin się nie mylą, i tak będzie trzeba to zrobić – odparł Kaleb. – Teraz musimy odnaleźć braci i może sprawić wam...

– Kalebie!

Chłopak odwrócił się, słysząc Simone.

– Tak?

– Mamy towarzystwo!

Kaleb zaklął i zostawił parę wojowników, podchodząc do Simone. Spojrzał na południe i zamrugał, widząc jakiś ruch na pustyni.

– Demony? – zapytał głosem pełnym napięcia.

– Nie sądzę.

Kal i Simone obejrżeli się na Sien, która szybko do nich dołączyła.

– A więc kto? – spytał chłopak.

– Ludzie... Sami ludzie – odparła wojowniczką, wytrzeszczając oczy z niedowierzaniem.

– To uchodźcy. Uciekają przed czystką, o której nam powiedziano – stwierdziła Simone.

– Ale dlaczego uciekają tutaj? Skąd mogli wie... No tak, bracia! – Kaleb miał ochotę pacnąć się czoło. – W porządku, Simone, przyprowadź tu najpierw medyków i ludzi z jedzeniem i piciem,

a potem całą resztę. Trzeba wyprowadzić naszych, żeby móc kogokolwiek odesłać.

– Odesłać? Kaleb, czy proponujesz... – Simone zawiesiła głos.

– Przetransportować chorych, rannych i osłabionych na Atlantyde. Ludzie zdolni do walki będą mogli do nas dołączyć albo poczekać, aż skończymy – powiedział młodzieniec. – Nikt nie wróci na wyspę z bronią w ręku, choćby był na skraju śmierci, ale nie możemy też biernie przyglądać się, jak inni giną.

– Zgoda. – Simone przytaknęła. – Zajmę się tym.

Kaleb zwrócił się do Sien i Tura.

– Chodźcie. Powitajmy ich.

ROZDZIAŁ 16

REDUTA PÓŁNOCNA

Nimue chodziłaby nerwowo z kąta w kąt, gdyby była człowiekiem. Potrafiła jednak skupić się na zadaniu pomimo napięcia, które zdawało się rosnać z każdą chwilą. Ludzie podjęli próżny trud, ale rzucili się na to zadanie jak opiłki żelaza na magnes. Taka postawa zawsze ją frapowała.

Tak było również przed inwazją i w jej trakcie. Ludzie byli doprawdy dziwnymi stworzeniami. Czasami sprawiali wrażenie, jakby brakowało im instynktu przetrwania.

Każda rozsądna istota dążyłaby do uniknięcia konfliktu. Gdyby przywódcy ludzkości mieli więcej oleju w głowie, opuściliby planetę w większej liczbie już wiele lat temu, gdy nadarzyła się okazja. Nimue po trosze żałowała, że nie miała możliwości odejść wraz z tamtymi, jednak podejrzewała, że ją również dotknęła jakaś osobliwa forma szaleństwa.

Ktoś musiał czuwać nad systemami, na wypadek gdyby jakimś cudem ludzie wygrali wojnę. Gdyby reduta pozostała bez nadzoru... Cóż, niedobrze byłoby wygrać wojnę tylko po to, żeby paść ofiarą...

„Nie będę teraz o tym rozmyślać. Poza tym, kto wie czy demony nie są jedynymi istotami we wszechświecie, które w pełni zasłużyły na to, co ma je spotkać?”

Ludzie w większości palili się do walki. Pomimo beznadziejności swojej sprawy podążali za dowódcami, szarża za szarżą, i zabijali miliardy wrogów, sami ponosząc przy tym podobne straty.

„Demony pożerają umarłych, więc nie pozostały nawet mogiły ku czci poległych. Tyle istnień, tyle historii... Wszystko przepadło. Nikt już o tym nie usłyszy”.

Nimue była istotą, dla której historie były niemal równie ważne jak osoby. Utraciła jednak to wszystko i nie było prawie nikogo, komu mogłaby o tym opowiedzieć i kto mógłby to zrozumieć, nawet gdyby miała dostęp do wszystkich opowieści.

„Barbarzyńcy”.

Śmierć poległych mogła jeszcze wybaczyć. Rozumiała, że wojna to koszmar, ale i nieodłączny element życia. Jednak zniszczenie historii i wiedzy było dla niej aktem najgorszej podłości. Nimue zrobiłaby, co w jej mocy, by powstrzymać kolejne straty, zarówno w ludziach, jak i w cennej wiedzy, jednak niewiele mogła zdziałać.

Zamiast tego postanowiła więc wspomóc walczących.

Dzięki łączności z Merlinem, która miała swoje zalety, ale i wady, Nimue uzyskała dostęp do umieszczonych w pancerzach i sprzęcie zdalnych czujników, które przekazała Elan i Kalebowi oraz wielu innym. Niestety, nie dało się wyposażyć każdego. Taka już była wojenna rzeczywistość.

Nimue dzieliła więc uwagę pomiędzy ezoteryczne badania, w których zagłębiła się w nadziei na rozpracowanie podłych knowań demonów, oraz śledzenie Elan i jej kompanów zbliżających się do Cytadeli.

To, co widziała dziewczyna, niosło ze sobą zarówno grozę, jak i pewne... olśnienie.

OSIEDLE NA PÓŁNOC OD CYTADELI

W powietrzu unosił się gęsty dym, pachnący i smakujący palonym drewnem, śmieciami i mięsem. Dla Elan nie było to nic nowego, jednak nawet w Lemurii nie widziała aż tyle dymu.

– Słyszę przed nami odgłosy walki, a od pewnego czasu nie napotkaliśmy kolejnych uciekinierów – powiedział Sindri, gdy zwolnili do szybkiego marszu, by odzyskać oddech i siły.

– Wiem – odparła Elan. – Mam nadzieję, że to dlatego, że większość zdążyła już uciec.

Sindri parsknął cicho, ale nic nie powiedział, nie chcąc rozczarować dziewczyny. Choć zapewne ona sama zdawała sobie sprawę, jak płonne są jej nadzieje.

Elan przeczuwała, że nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach zaledwie garstka mieszkańców zdołałaby ujść z miasta najechanego przez demoniczną hordę. Nie znaczyło to jednak, że nie mogła mieć nadziei ani wzbudzać jej u innych.

Dotarli już do obrzeży zrujnowanego miasta. Płomieni było tam niewiele. Dym pochodził głównie z głębi osiedla. Elan poczuła, że śledzą ją czyjeś oczy.

Powoli sięgnęła po broń boczną, Sindri jednak chwycił ją za nadgarstek.

– To nie demony – powiedział – tylko nieszczęśnicy, zbyt głupi albo po prostu za słabi, żeby uciec.

Dziewczyna wzdrygnęła się, ale skinęła głową, choć nie wypuściła broni z ręki.

– Musimy podejść bliżej – postanowiła. – Na pewno znajdziemy Brokka na polu walki.

– Taa... – Sindri zaśmiał się gorzko i raczej bez humoru. – Czy nam się to podoba, czy nie, wplątał się w największą bijatykę. Przez całe wieki ukrywaliśmy się praktycznie na widoku i unikaliśmy walki, bo nie widzieliśmy w niej sensu. Nie mogę mieć do niego pretensji. Nadzieja to zabójcza trucizna, dziewczyno.

– Co takiego? – zapytała Elan machinalnie. Nigdy nie słyszała, by ktoś mówił w ten sposób o nadziei.

– Ogłupia i dodaje odwagi nawet, kiedy zwycięstwo jest niemożliwe – wyjaśnił Sindri. – Nadzieja sprowadziła śmierć na więcej porządnym ludzi niż wszystkie demony i inne złe stworzenia, jakie kiedykolwiek istniały lub będą istnieć.

– Nigdy tak o tym nie myślałam – przyznała Elan. – Czasami mam wrażenie, że już tylko nadzieja utrzymuje nas przy życiu.

– Bywa i tak – zgodził się Sindri. – To, że jest trucizną, nie znaczy, że do niczego się nie przydaje. Zdziwiłabyś się, ile trucizn wykorzystujemy na co dzień... I ilu z nich potrzebujemy, żeby przeżyć. Choćby powietrze, którym oddychasz. Zawiera kilka trujących substancji, które mogłyby cię zabić, gdyby zmienić ich ilość. A jeśli wypijesz zbyt szybko zbyt wiele wody, praktycznie utopisz się od środka. Z nadzieją jest podobnie. Chciałaby cię zabić, ale jeśli będziesz ją dawkować mądrze i z umiarem, doda ci sił nawet w obliczu pewnej zagłady. Dlatego właśnie jest taka złowieszcza.

Elan nie skomentowała tego. Nie miała zresztą czasu na filozoficzne rozważania, a nawet gdyby miała, nie byłaby pewna, czy to odpowiedni moment, aby kwestionować rolę nadziei.

Sindri podniósł rękę, gdy wkroczyli na dość szeroką ulicę, poznaczoną koleinami zostawionymi przez jakieś wozy. Zgiełk bitewny przybierał na sile. Sindri zerknął na Elan.

– Gotowa, dziewczyno? Tym razem nie będzie jak w Mieście – oznajmił. – Wejdziemy i zaczniemy zabijać. Nie mamy czasu na podchody.

– Wiem. – Elan dobyła broni bocznej. – Jestem gotowa.

– Właśnie widzę. No dobra – powiedział trochę głośniejszym głosem, oglądając się na pozostałych.

Wcześniej gdy odpoczywali, poświęcił chwilę, by wyrysować drobne runiczne oznaczenia na broni ludzi z osiedla. Nic szczególnie trwałego, ale Sindri wątpił, by tego potrzebowali. Zanim jego runy zawiodą, walka tak czy inaczej dobiegnie końca.

– Szykujcie się – rozkazał Sindri grupce mężczyzn. Większość wyglądała na wyczerpanych. – Nie będzie przyjemnie.

– Jesteś tu po raz pierwszy, co? – zapytał oschle przywódca ludzi. – Życie w tej zapadłej dziurze nigdy nie było przyjemne.

Sindri uśmiechnął się blado.

– A zatem ruszajmy!

Elan poszła przodem. Ściskając broń, skręciła za róg i przyjrzała się scenie rozgrywającej się przed nią.

Zobaczyła hordę demonów. W przeciwieństwie do bestii, które Elan napotkała wcześniej, te walczyły wspólnie, jako zgrana grupa. Był to problem, jednak dziewczyna nie miała czasu na rozmyślanie.

Nieznani jej ludzcy obrońcy ustawili się w szeregu, blokując drogę i na próżno odpierając atak demonów. Wróg nacierał z taką siłą, że Elan dziwiła się, dlaczego obrona jeszcze nie padła.

Widok ludzi wyciągających swoich pobratymców z budynków na ulicę za linią obrony stanowił uzasadnienie motywacji walczących.

Elan schowała broń boczną. Aby oddać śmiertelny strzał, musiałaby znaleźć wyłom pomiędzy ludźmi. Zerwała się do biegu, nie zważając na krzyki kompanów. Wszyscy poza Sindrim byli zaskoczeni jej posunięciem.

Sindri również krzyczał, ale głównie po to, by powstrzymać innych, chcących podążyć za Elan. I dobrze, bo nie byłiby w stanie jej pomóc.

Przechodząc do sprintu z pełną prędkością, Elan skoczyła w bok, wylądowała na pobliskim parapecie, wybiła się wyżej, pobiegła wzdłuż ściany dymiącego budynku, a potem znowu skoczyła, by nie wchodzić w drogę obrońcom.

Jeszcze w powietrzu dobyła broni, określiła miejsce lądowania i rozpoczęła ostrzał.

Demony były niewrażliwe na wiele powszechnych urazów. Po upadku z wysokości stawały się co najwyżej rozdrażnione, a ostrze wykonane z czegokolwiek innego niż stosunkowo czyste żelazo zadawało im jedynie powierzchowne rany, chyba że włożyło się w cios wiele siły. Nic natomiast nie mogło oprzeć się broni sił specjalnych, podarowanej Elan przez Merlina.

Dziewczyna nie знаła się na mechanice tego urządzenia. Wiedziała tylko, że wszystko, w co trafiła, znikало w rozbłysku białego światła, a broń przesyłała krótki sygnał za pośrednictwem zbroi.

Wejście Elanthielle okazało się tak spektakularne, że przyciągnęło uwagę licznych demonów. Oczywiście nie mogły oprzeć się pokusie wciągnięcia Elan na listę swoich ofiar.

Dając chwilę wytchnienia obrońcom, spora grupa napastników zwróciła swój gniew przeciwko nowemu przeciwnikowi.

Elan opadła na obie stopy, ugięła kolana i przetoczyła się w stronę niedobitków z pierwszego ataku, ignorując zbroję wykrzykującą jakieś ostrzeżenia o promieniowaniu. Wyhamowała i przyklękła na kolano, celując w największego demona.

– No chodź! Tutaj jestem! – warknęła, otwierając ogień.

Broń sił specjalnych mogła być najbardziej zabójczym i niszczycielskim orężem, jaki kiedykolwiek miała w rękach, choć nie najbardziej destrukcyjną rzeczą, jaką kiedykolwiek władała. Pod jej ostrzałem chmara demonów po prostu się ulatniała, a w szeregach wroga pojawiały się coraz większe wyrwy.

Elan nie przestawała strzelać, jednak już po kilku sekundach stało się jasne, że napastnicy zajmą jej pozycję. Próba walki w zwarciu z demonami świadczyłaby o braku instynktu przetrwania

i oznaczała niemal pewną śmierć. Jeśli trzeba, napastnicy po prostu tratowaliby swoich poległych i nic nie mogłoby ich zatrzymać.

„Prawie nic” – pomyślała Elan ponuro, zauważając, że broń się przegrzewa.

Mając niewiele czasu, zakręciła nią młynka i wsunęła do kabury. Jednocześnie wyciągnęła niewielki cylinder, podarowany jej przez braci.

Wystarczyła jedna myśl, by krótki czerwonozłoty przedmiot otworzył się i przemienił w metalowy oręż, wyższy od samej Elan. Ściskając w dłoni pozornie stałą masę, dziewczyna cofnęła się o krok, w oczekiwaniu na atakującego nieprzyjaciela.

– Ona tam zginie!

– Całkiem możliwe – zgodził się Sindri, patrząc, jak Elan ląduje po drugiej stronie linii obrony. – Jeśli tak, będziemy musieli dopilnować, żeby jej śmierć nie poszła na marne. Zaczynicie wyciągać ludzi z budynków i wspomóżcie obrońców! Dziewczyna zyskała dla nas trochę czasu, wy niewdzięczne łachudry! Dobrze go spożytkujcie!

To powiedziawszy, wzniosł młot i sam popędził do boju.

Popisy Elan nie zdołały odwrócić uwagi wszystkich demonów. Sindri podejrzewał, że niektóre bestie nawet nie widziały jej efektownego wejścia, jednak wystarczyło ono, by osłabić nieco wroga.

– Odpierajcie ich! Dajcie ludziom czas na ucieczkę! – krzyczał Sindri na całe gardło. Gdy tylko dotarł na pole bitwy, od razu opuścił młot i roztrzaskał czaszkę demona próbującego zagryźć jakiegoś nieszczęśnika. – Jeśli chcą naszej śmierci, to niech za nią zapłacą!

Odpowiedziały mu okrzyki innych walczących, szczęk żelaza i szponów, odgłosy ciała oddzieranego od kości. Do nozdrzy Sindriego dolatywał odór walki.

„Minęło już sporo czasu” – pomyślał mężczyzna, czując wzbierające podniecenie.

Wielu jego ziomków uciekło już dawno temu. Sindri, jego brat oraz Wędrowiec okazali się na to zbyt uparci i zwyczajnie zbyt głupi,

więc pozostali na tym świecie, wśród ludu, z którym zdążyli się zżyć. Sądzi, że mimo wszystko uda im się odeprzeć inwazję. Ludzie byli tak zaawansowani, że porażka wydawała się nie do pomyślenia.

„Koniec końców wyszło jednak na to, że choćby nie wiem co, jasnie suka i tak dopadnie”.

Sindri otrząsnął się z tych rozmyślań. Wymachiwał młotem, roztaczając wokół siebie zabójcze pole siłowe i brnąc ku oblężonym obrońcom.

– Przygotujcie się do odwrotu! – polecił. – Będziemy was osłaniać!

– Nie możemy! Jeśli przepuścimy wroga, zginie zbyt wielu naszych!

– I tak zginą, jeżeli tu polegniecie – krzyknął Sindri, rozwalając łeb kolejnego demona. Gdy wróg padł, mężczyzna przestąpił nad nim i podszedł bliżej. – Pomoc już nadchodzi. Nie ma sensu ginąć nadaremnie. Na mój znak przełamcie szyk i kierujcie się na północ.

Nie chciał czekać na potwierdzenie. Starał się jak mógł, a miał do zrobienia dużo więcej.

Zdał sobie jednak sprawę, że aby wszystko poszło jak należy, trzeba będzie ściągnąć na siebie uwagę.

Przesłał moc do młota. Na całej długości broni rozjarzyły się błyskawice. Demony zatrzymały się i spojrzały w kierunku wojownika, niemalże wbrew własnej woli. Widok zafascynował potwory tak bardzo, że ludziom udało się wykorzystać okazję i powalić paru napastników.

– *Jolgar!* – krzyknął Sindri, wznosząc młot. Grom z jasnego nieba uderzył w jego pozycję, podpalając potwory i wszystko inne w okolicy.

Nawet ślepy nie mógłby tego nie zauważyć.

Sindri był przekonany, że zobaczyły go także demony z Cytadeli i ludzcy obrońcy.

Huk gromu wstrząsnął okolicą. Brokkr odwrócił się gwałtownie, by spojrzeć na błyskawicę na bezchmurnym niebie.

– Co to było? – zapytał jeden z ludzi.

– Mój brat powrócił. – Brokkr uśmiechnął się drapieżnie, przekazując ostrzu energię, wyzwoloną po raz pierwszy od niepamiętnych lat. Potem przypuścił atak, dzierżąc płonąca broń. – Dalej, nędzne bydlaki, posmakujcie mojego ognia!

Skierował piekielną energię miecza na szereg demonów i jednym ruchem spalił je na czarny popiół. Zyskał więcej wolnej przestrzeni, gdy pozostałe potwory wycofywały się, nie spuszczając go z oczu.

– Co z ciebie za jeden? – wydyszał któryś z obrońców, nie mogąc powstrzymać ciekawości, gdy wokół zaległa cisza.

– Wojownik, który o wiele za długo stał na uboczu. – Brokkr nie przestawał się uśmiechać i zasilać ostrza.

– Dlaczego wcześniej tego nie zrobiłeś?

– Dlatego. – Wojownik wycelował miecz przed siebie. Pozostali w milczeniu spojrzeli w tamtym kierunku.

Demony także się nie odzywały, jednak praktycznie drżały od rozsadzającej je energii, wpatrzone w mężczyznę z płonąca mieczem, jakby zobaczyły jedzenie po kilku tygodniach głodówki.

Ludzie cofnęli się instynktownie. Widzieli, że pomimo nagłej śmierci wielu demonów sytuacja wcale się nie poprawiła, choć uległa zmianie.

Nie byli w stanie tylko stwierdzić, na czym polegała ta zmiana i co im przyniesie.

Ale to nic. Brokkr sam tego nie wiedział.

CYTADELA

Ser'Lis stała nieruchomo, zszokowana, wpatrzona w płomień i błyskawice.

Tego uczucia nie dało się pomylić z żadnym innym.

„Niektórzy z nich przez cały czas byli tuż obok? To niemożliwe”.

Energia stanowiła pożywkę dla demonów, choć niebezpiecznie było tak myśleć. Przyciągała potwory jak płomień ćmę. Światło i ciepło kusiły nieodparcie... Ale przynosiły ćmie zgubę.

Ser'Lis wiedziała, że podczas tych ataków zginą całe tłumy demonów, ale to niczego nie zmieniało. Miała dość ciem, by zgasić płomień i poradzić sobie z paroma zdrajcami.

Odwróciła się do Serg'ina, również obserwującego wydarzenia z niepokojącą uwagą.

– Wicekrólu! – warknęła, wyrywając go z transu.

– Przepraszam – powiedział Serg. – Od dawna nie czułem smaku aż takiej mocy...

– Wiem, ale to musi poczekać – odparła stanowczo. – Poślij do walki wszystkie demony z niższych i średnich Kręgów. Wszystkie! Tych dwóch ma zginąć albo trafić do mojego lochu.

– Z przyjemnością, Pani.

Gdy wicekról wyszedł, władczyni ponownie skupiła się na podniecającym doznaniu, odczuwalnym nawet z tak daleka.

„Aż dwóch. Nie do wiary” – rozmyślała. Nie przypuszczała, że ktoś taki ostał się jeszcze na tym marnym świecie czy w ogóle w tym wymiarze.

Większość tych tchórzy uciekła, gdy tylko otworzyły się portale. Garstka pozostałych zginęła w kolejnych latach, w bitwach, za sprawą działań bardziej oddanych sług Ser'Lis lub też z jej własnej ręki.

Pani Cytadeli uśmiechnęła się lubieżnie, oblizując wargi.

„Zapowiada się prawdziwa uczta”.

ROZDZIAŁ 17

OSIEDLE POD CYTADEŁĄ

Elan zamachnęła się i ciężki metal rozwalił szczękę demona, który podszedł za blisko. Gdy krew potwora rozprysnęła się w powietrzu, dziewczyna zakręciła bronią i uderzyła z góry, by dobić przeciwnika. Przystąpiła martwe cielsko i spróbowała rozeznaczyć się w sytuacji.

Już sam atak Sindriego był dla niej czymś niewiarygodnym, jednak jeszcze bardziej fascynujące okazały się jego następstwa.

Demony niemalże obsesyjnie skupiły się na dopadnięciu niskiego mężczyzny, pomimo zniszczenia, jakie siał swym młotem. Elan i inni, którzy dołączyli do niej po uderzeniu pioruna, zostali właściwie sami, kiedy potwory rzuciły się w stronę Sindriego.

Korzystając z okazji, ludzie przetrzebiali szeregi nieprzyjaciela, by ułatwić walkę Sindriemu, demonów jednak nie ubywało. Elan nie podejrzewała, że może ich być aż tyle, mimo że sama pogrążyła w morzu całe miasto pełne potworów.

Oparła kij na zgięciu lewej ręki i wykonała gwałtowny obrót, tłukąc po pyskach kolejne trzy demony, które próbowały ją minąć. Jednocześnie sięgnęła po broń boczną.

Zaawansowane urządzenie zdążyło wystygnać, a przy tym pozyskać więcej energii z głównego systemu zasilania, było więc w pełni gotowe do walki, gdy Elan wycelowała w zgraję demonów, ustawivszy maksymalną moc i jak najszerszy zasięg.

Gdy nacisnęła spust, dziesiątki wrogów padły od razu. Zbroja ponownie wszczęła szaleńczy alarm, jednak dziewczyna nie zwróciła na to większej uwagi.

Sindri wykazał się większym rozsądkiem.

– Dziewczyno, do licha ciężkiego, uważaj! – zawołał. Prawą ręką sparował uderzenie szpona, a następnie zmiażdżył ramię przeciwnika młotem.

– Pilnowałam, żeby nikt z naszych nie oberwał! – broniła się Elan.

– Mam to gdzieś! – ryknął Sindri, biorąc zamach młotem, akurat w porę, by pogruchotać szczękę kolejnemu demonowi, który usiłował skoczyć wojownikowi do gardła. – Kiedy obracasz te bydlaki w pył, wyzwalasz promieniowanie, które zwykłemu człowiekowi może zadać śmierć powolną, ale nieuchronną.

„Aha” – pomyślała Elan, nieco zbita z tropu. „Pewnie o to chodziło z tymi alarmami. Muszę przypomnieć Merlinowi, żeby powiedział mi coś więcej o tej broni”.

– Ty masz pancerz – ciągnął Sindri, przedzierając się przez kotłowaninę ledwo żywych, ale żądnych krwi demonów. – Ale inni nie.

– Zrozumiałam – potwierdziła Elan, chowając broń boczną i chwytając kij w obie dłonie.

Sindri stanął przy niej, zataczając łuki młotem. Elan zdołała tymczasem na chwilę oczyścić teren wokół nich.

– Po prostu nie strzelaj za blisko nas, jeśli możesz – poradził mężczyzna. – To wysokoenergetyczna broń krótkodystansowa. Rozpad połowiczny trwa parę milisekund, więc pocisk spala się prawie od razu.

– I tak wolę kij – stwierdziła Elan z uśmiechem.

Sindri zarechotał, gdy oboje walczyli ramię przy ramieniu.

– Wcale mnie to nie dziwi. To prawdziwe arcydzieło, nie żebym się przechwalał. Powstał z cennego materiału, ale działa lepiej od żelaza i wykorzystuje magiczny run, nie spalając jego energii.

– Cokolwiek to jest, podoba mi się.

Czerwonozłoty metal nie przypominał niczego, co Elan kiedykolwiek widziała. Dodatkowo, pomimo sporej wagi, broń składała się tak, że można ją było przypasać do biodra.

– To oryszalk, dziewczyno – wyjaśnił Sindri. – Cenniejszego metalu nie znajdziesz. Traktuj go należycie.

Elan cofnęła się, gdy demon przypuścił na nią szarżę. Machnęła kijem i rozplątała czaszkę napastnika, po czym odrzuciła potwora kopniakiem.

– Należycie, czyli jak? – zapytała, lekko stropiona na myśl, że skalala coś tak wartościowego krwią i kośćmi potworów.

Sindri jednak tylko się roześmiał.

– Wystarczy go poić krwią demonów. Nie zapomnij też wyczyścić broni po walce. I tyle. Wytrzyma prawie wszystko.

– Brzmi to jak wyzwanie. – Elan posłała Sindriemu krzywy uśmiezek, gdy wojownik wybił zęby i zmiądzzył gardło ogromnej bestii, usiłującej go pożreć.

– O nie, dziewczyno – zaśmiał się Sindri, używając siły błyskawic, by usmażyć demona od środka. – Merlin mówił, jak traktujesz swój sprzęt. Nie waz się traktować tego jako wyzwanie!

Elan również nie mogła powstrzymać śmiechu. Gdy odpierali atak potwornego roju, nie zdawała sobie sprawy, że kilkoro ludzi przygląda im się ze zdumieniem.

– Oni się... śmieją! Jak to...

– Zamknij się, durniu, i walcz, zanim wszyscy zginiemy!

– Ale popatrz tylko! To nie w porządku! Skąd mają tę broń? I skąd ta błyskawica?

– Czy to ważne? Grunt, że zabijają demony. Zostaw biadolenie na później!

Ludzie broniący osiedla otaczającego Cytadelę nigdy wcześniej nie widzieli, by ktoś inny poza demonami korzystał z takiego oręża, a przynajmniej by dokonywał za jego pomocą takich zniszczeń. Większość potworów nie korzystała z dodatkowej broni. Wolały kły i pazury, pozwalające czerpać większą przyjemność z wyrządzania krzywdy.

Widok ludzi atakujących demony z taką mocą wydawał się przeczyć naturalnemu porządkowi świata. Jednak w tamtej chwili, w obliczu śmierci, ludziom pozostawało jedynie rzucić do walki wszystkie siły, bez względu na wątpliwości co do natury sojuszników.

Dla obrońców było to nowe i raczej nieprzyjemne doświadczenie, jednak w świecie, w którym przyszło im żyć, nikt nie przejmował się ich uczuciami.

Wicekról wyszedł na udeptaną ziemię wokół Cytadeli. Pamiętał jak przez mgłę, że dawniej teren ten był należycie zabudowany i wyłożony kamiennymi lub cementowymi płytami. Wówczas stało tam więcej budynków, nie tylko Cytadela, jednak upływ czasu skruszył mniejsze wieże, a ich gruzy posłużyły za budulec dla ludzkich siedzib.

Demony nie dbały o krajobraz, pozostawiając to zadanie gorszym od siebie. Jedynie najpotężniejsze potwory, takie jak Serg, ceniły sobie wygodę... I potrafiły ją sobie zapewnić, bez względu na wszystko.

Mieszkanie w Cytadeli miało początkowo wymiar symboliczny. Z biegiem dekad i wieków przekształciło się raczej w połączenie tradycji z samozadowoleniem. Niewiele demonów w ogóle pamiętało, że kiedyś w tym miejscu stało miasto, zaś ludzie, z oczywistych przyczyn, nie mogli tego pamiętać.

Serg'in parsknął na myśl, że nawet ludzkie legendy o tamtych czasach odeszły już w niepamięć.

Teraz jednak musiał skupić się na znacznie ważniejszych kwestiach.

– Wicekrólu!

– Dowódco szturmowy. – Serg zwrócił się uprzejmie do niżej postawionego demona. – Przynoszę rozkazy od jaśnie pani.

– Żyjemy, aby służyć!

– Oczywiście. – Władca uśmiechnął się blado, spoglądając na osiedle. – Czy widziałeś i odczułeś płomienie i błyskawice?

Było to pytanie retoryczne. Gdyby demony niczego nie zauważyły, wicekról kazałby je stracić, jako bezwartościowe. Nawet ślepiec zauważyłby taką moc.

– Oczywiście. – Dowódca szturmowy spojrział tęsknie w dal, błyskając kłami, z których ciekły strużki śliny. – Moi żołnierze prawie przełamali szyk i pobiegli w tamto miejsce, ale przywołałem ich do porządku.

„Imponujące” – przyznał w duchu Serg'in, omiatając wzrokiem siły trzymane w rezerwie. Szczerze mówiąc, spodziewał się, że więcej demonów ulegnie pokusie, nie bacząc na śmierć grożącą im z ręki dowódcy.

– Znakomicie. – Skinął głową. – A teraz każ żołnierzom odnaleźć tę dwójkę.

– Jak to? – Niższy demon wyglądał na zakłopotanego.

– Dobrze słyszałeś. Pani chce ich dostać, żywcem, jeśli będzie to możliwe. Jeśli nie, wystarczą ich ścierwa. Dorwijcie ich.

– Tak jest, wicekrólu!

Wyjął jak dzikie bestie, którymi zresztą w większości były, demony ruszyły przez zapyłone pustkowie ku płonącym chatom. Serg patrzył, jak niektórzy podwładni przeskakują nad budynkami, a inni po prostu je omijają. Kilka mniej inteligentnych, ale z pewnością silniejszych demonów z niższych kręgów wolało po prostu staranować płonące zgliszcza.

„Jest tu dwóch zdrajców, więc poniesiemy o wiele większe straty, niż podejrzewaliśmy. Ci dwaj nie dadzą jednak rady takiej hordzie, choćby mieli poświęcić życie”.

Odwrócił się i wrócił do Cytadeli, zachowując pozory spokoju. Miał wrażenie, że wszystkie wydarzenia zmierzają do wręcz epickiego finału.

„Czeka nas ostatnie wyzwanie, zanim na zawsze przypieczętujemy los tego świata”.

Ze szczytu Cytadeli Ser’Lis obserwowała hordę, zalewającą ludzkie miasto i zmierzającą tam, gdzie ostatnio widziano ogień i błyskawicę. Jeśli Lis się nie myliła, wkrótce zobaczą kolejne eksplozje mocy. Wtedy trzeba będzie działać.

„Ale najpierw...”

Władczyni odwróciła się. Musiała poświęcić uwagę kilku innym kwestiom.

Po pomyślnym zakończeniu początkowej inwazji większość ziemi stała się właściwie bezużyteczna. Choć epoka lodowcowa trwała w najlepsze, planeta była zaskakująco sucha. Ulegało to zmianie, w miarę jak świat wyłaniał się z okresu ochłodzenia, będącego skutkiem ostatniej, desperackiej próby obrony ze strony ludzi. Lód ustępował, a deszcze padały częściej i obficiej.

Z czasem planeta ta stanie się kolejnym źródłem chleba dla demonów. Oczywiście nie dosłownie, nie będą przecież produkować pieczywa. Prawdę mówiąc, siły złożone z wszystkożernych kanibali były dobrym pomysłem. Zawsze można wyhodować kolejnych żołnierzy, zaś słabsze jednostki... Cóż, dzięki nim żołnierze przynajmniej nie chodzili głodni.

Pani Cytadeli wyszła ze swojej siedziby, wchodząc na najwyższy poziom wieży – po schodach, gdyż windy już dawno przestały działać. Zresztą prawdziwie potężne demony i tak ich nie potrzebowały. Latanie przychodziło im z łatwością.

Z samego szczytu wieży widać było zachód słońca, zalewający niebo światłem. Lis nie zwróciła uwagi na piękny widok i skupiła się na demonach, które na nią czekały.

– Melduj – rozkazała.

Słabowity demon skulił się, wystraszony, i cofnął o kilka chwiejnych kroków.

– Pani – zaczął, kłaniając się nisko – wszystko przebiega zgodnie z planem.

– Wyśmienicie – odparła, obchodząc mandalę wyrytą na dachu Cytadeli.

Nie bez przyczyny wybrała to miejsce na swoją siedzibę. Również jej siostra miała powody, by objąć rządy w Mieście.

Głęboko pod nimi przebiegała sieć krzyżujących się kanałów geomantycznych o niewyobrażalnej mocy. Właśnie w tym miejscu zbiegało się osiem potężnych linii. Lokalizacja ta była więc bezcenna dla kogoś, kto chciał wykorzystać moc zdolną zmieniać świat.

Mając do dyspozycji aż osiem kanałów, Ser'Lis mogła przesłać w każde miejsce na planecie cokolwiek chciała, z prędkością, która byłaby zazwyczaj nieosiągalna.

Przyglądając się rycinom, Lis stwierdziła, że mistrzowie runów, których przygotowywała na ten właśnie dzień, dobrze się spisali.

W centrum mandali znajdowały się kanały główne, wielki krąg oparty na wewnętrznej konstrukcji... W tym przypadku na zawikłanej płątanie, która nieustannie dostarczała moc sama sobie, by potem przekazać ją do kręgu zewnętrznego, a stamtąd do czterech narożników wieży.

Następnie moc wpływała do fundamentów wieży, a później do podziemi, by zasilać i przekształcać sieć geomantyczną.

Z tego miejsca, mając właściwe narzędzia i pomoc, można było zmienić oblicze planety.

Właśnie to zamierzała uczynić Ser'Lis.

ROZDZIAŁ 18

OSIEDLE POD CYTADELĄ

Elan podniosła wzrok, najpierw zdziwiona, a potem zaniepokojona, słysząc z oddali narastające wycie.

– Zapowiadają się kłopoty – ostrzegł Sindri, zupełnie bez potrzeby.

Cokolwiek wydawało takie odgłosy, musiało zwiastować kłopoty.

Otoczające ich demony zdawały się wyczuwać zmianę. Potwory cofnęły się nieco, dając więcej przestrzeni Elan, Sindriemu i kilku innym ludziom, którzy jeszcze trzymali się na nogach.

Elan złożyła kij w krótki cylinder, który przytroczyła do pasa. Sięgnęła po broń boczną i tym razem poświęciła trochę czasu na jej skontrolowanie.

„Naładowana i wystarczająco chłodna” – zauważyła z ulgą.

– Wróg nasłał na nas sporą bandę – rzucił Sindri nonszalancko, stając obok niej.

– Nie wiedziałam, że przedstawiamy aż taką wartość – przyznała Elan.

Sindri zaśmiał się cierpko.

– Ty nie, dziewczyno. A przynajmniej nie sądzę, żeby wiedzieli, ile znaczysz. Chodzi im o mnie i mojego brata.

Elan spojrzała na niego zdumiona.

– Tyle zachodu o was dwóch?

– Gdyby to było możliwe, demonów byłoby jeszcze więcej – oznajmił. Przez pozornie niefrasobliwy ton przebijała pewna duma.

– Co z was za jedni? – zapytała Elanthielle, potrząsając głową. – Wiem, że jesteście tacy jak Kaern, ale kim on właściwie był? Jesteście demonami?

Sindri wzruszył ramionami.

– Odpowiedź byłaby... długa i skomplikowana, zresztą i tak nie jesteś w stanie tego pojąć. Ale nie, nie jesteśmy demonami.

– Ale na pewno czymś więcej niż ludźmi?

– Też nie – zaprzeczył. – Pomyśl o nas jako o Pradawnych. To wystarczy.

– Nic mi to nie mówi – odparła z niesmakiem, zerkając na niego kątem oka, skupiona głównie na zmieniającym się szyku demonów.

– Właśnie. Nic, a zarazem wszystko – zaśmiał się Sindri. – Podoba mi się to.

– Mówisz cholernymi zagadkami. – Elan uśmiechnęła się krzywo.

– Owszem, i jestem z tego dumny. Szykuj się, dziewczyno, nowi goście chyba już tu są. – Sindri skinął głową.

Elan odwróciła się w tamtą stronę i pobladła na widok czarnych sylwetek demonów wyłaniających się z dymu. Niektóre szły ulicami, inne pełzły po dachach. Jeden z budynków zadygotał i runął, gdy któryś z potworów przebił się przez ściany, niszcząc konstrukcję nośną.

– Całe stado demonów – stwierdziła Elan z trwogą.

– A przyjdzie jeszcze więcej, dziewczyno – powiedział Sindri.

Elan miała wielką ochotę zakląć, jednak nie potrafiła ująć w słowa tej chwili.

Elgor był demonem Czwartego Kręgu, silnym i inteligentnym, przynajmniej w porównaniu z pobratymcami. Właśnie dzięki temu przez większość Przemiany pozostawał na szczycie hierarchii, a w końcu dosłużył się stanowiska dowódcy. Brał udział w wielu bitwach i widział upadające miasta tego świata. Był pewien, że również przed Przemianą był świadkiem upadku niejednego miasta, jednak niewiele pamiętał z tamtych czasów.

Miał także do czynienia ze zwierzyną, na którą teraz polował. Z kimś, kogo demony na szczytach władzy mogły określić jedynie jako zdrajcę.

Nie wiedział wiele o tych istotach poza tym, że możnowładcy mieli je w głębokiej pogardzie. Pamiętał jednak chwilę, gdy był świadkiem śmierci zdrajcy.

Była to niesłychana, niezapomniana rzeź. Setki demonów poległy przed zdrajcą... A kolejne tysiące wkrótce po nim.

Elgor był jednym z ocalałych i nie zapomniał, jakiej mocy wówczas doświadczył.

Moc ta przemieniła go o wiele szybciej. To dzięki niej osiągnął obecną pozycję, stając się mądrzejszy, silniejszy i szybszy niż inni.

Teraz miał przeżyć to wszystko powtórnie.

– Popędzić ich – rozkazał, wiedząc, że z tą grupą nie ma sensu próbować skomplikowanych manewrów. Większość jego podkomendnych stanowiły zdziczałe bestie, zniewolone przez własne zmysły. Żaden rozkaz nie uchroniłby ich przed wabiącym poczuciem mocy, coraz silniejszym, w miarę jak się zbliżali, mimo że zdrajca chwilowo nie używał swoich zdolności.

Mimo to proste polecenie przyniosło idealny skutek.

Ulice zapełniły się tłumami ryczących demonów, zmierzających do celu. Kątem oka Elgor zauważył, jak inni dowódcy wydają ten sam rozkaz i czekają, tak jak on. Oczywiście znalazło się kilku nadętych głupców, którym żądza krwi przesłoniła zdrowy rozsądek. Ruszyli oni do ataku na czele żołnierzy, zapewne marząc już o nagrodach, jakimi obdarzy ich Pani po zwycięstwie.

„Durnie”.

Elgor nie łudził się, że zwycięstwo przyjdzie łatwo, wiedział też, w jakim stanie będzie jego wojsko, gdy wszystko się skończy. Demonów jednak nie brakowało. Dowódca musiał jedynie ująć z życiem i dopilnować wygranej.

Nachylił się ciekawie, obserwując szarżę, skupiony na źródle apetycznej energii wypełniającej okolicę.

Prawie nie zwrócił uwagi na ruch z zupełnie innego miejsca.

„Za dużo ich” – myślała Elan nieprzytomnie, widząc pierwszą falę demonów.

Dłonie dziewczyny poruszały się prawie bez udziału mózgu. Dobyła broni bocznej z szybkością, którą zawdzięczała jedynie treningowi i praktycznemu doświadczeniu, zbieranemu przez ostatnie lata. Nie musiała nawet namierzać celu. Nikt z tłumu napastników nie wykonywał uników ani się nie osłaniał.

Raz jeszcze ustawiła broń na najwyższą moc i najszerszy zasięg. W tej sytuacji było to optymalne rozwiązanie. Oddała strzał w sam środek grupy i patrzyła, jak jej atak unicestwienia stwory na przedzie,

oczywiście przy akompaniamencie alarmów o promieniowaniu, rozchodzących się po pancerzu. Elan postanowiła je zignorować. Lepsza okazja mogła się nie nadarzyć.

Nie przestawała strzelać, celując nieco dokładniej, w gęstsze skupiska potworów. Przestała dopiero, gdy broń ostrzegła o nagromadzonym ciepłe, a horda prawie dotarła na miejsce.

– Czy to się nigdy nie skończy?

Elan nawet się nie rozejrzała, więc nie miała pojęcia, kto zadał rozpaczliwe pytanie.

– Koniec nastąpi tylko wtedy, gdy polegniemy lub zwyciężymy! – zawołała, wyciągając i rozkładając kij. Bardziej poczuła, niż zobaczyła, że Sindri stanął u jej boku, a to za sprawą znajomego zapachu, który rozszedł się w powietrzu, gdy wojownik ponownie przyzwał błyskawicę.

Elgor był... oszołomiony? Tak chyba należałoby to opisać.

Oszołomił go ogrom zniszczenia z zupełnie nieoczekiwanego źródła. Przez chwilę sądził, że demony obrały niewłaściwy cel, a zdrajcą jest dziewczyna, nie zaś towarzyszący jej mężczyzna. Jednak uspokoił się, gdy skupił się na nowo i przepuścił cząstkę energii przez tarczę umysłową.

Krew zaczęła żywiej krążyć, a Elgor obnażył zęby, usiłując zapanować nad sobą i nie rzucić się do walki wraz z resztą podległych mu głupich słabeuszy. To jednak wystarczyło, by upewnić się, że źródłem mocy rzeczywiście jest mężczyzna.

„Ciekawe, kim jest ta druga”.

Elgor przypominał sobie niszczycielską broń ludzi. Dziewczyna wyrządzała podobne szkody.

„Jest zatem tylko człowiekiem i używa starych sztuczek”.

Znaczyło to, że chwilowo nie należało się nią przejmować. Liczył się jedynie miotacz błyskawic. Cała reszta wrogów mogła zginąć lub uciec. Wszystko jedno.

– Załatwić go! – rozkazał Elgor, przekrzykując wycie i wrzaski. – Kto go dopadnie, otrzyma nagrodę od Pani!

Wiedział, że nie będzie musiał dotrzymać tej obietnicy, w przeciwnym razie w ogóle by jej nie składał. Każdy, kto będzie miał dość szczęścia, by wyeliminować cel, wkrótce będzie miał nieszczęście przekonać się, że życzenia bywają niebezpieczne.

Ktoś mógłby je przecież spełnić.

Elan zakłęła, widząc, że wróg naciera zbyt ostro, by mogła utrzymać pozycję. Bez względu na to, ile zabiła, demony nie zwalniały tempa.

Było to szaleństwo, tak jednak wyglądało życie Elanthielle, odkąd pewien zdrajca zabił jej rodziców, a ją samą zostawił na śmierć w żarze pustyni.

Sindri, przyzywający moc błyskawic, przypominał legendarną postać z opowieści, którymi karmiła Elan matka, a potem ojciec. Obecnie dziewczyna dawała tym historiom mniejszą wiarę niż w młodości. Potężne moce, rzecz jasna, istniały, ale Elan nauczyła się, że mają również swoją cenę.

Ciekawiło ją, jaką cenę przyjdzie im zapłacić tym razem.

„Jak gdyby szamotanina z setkami demonów nie była wystarczającym utrapieniem...”

Cofnęła się, by zyskać choć trochę więcej przestrzeni, i wyciągnęła przed siebie kij rozłożony na pełną długość. Czerwonozłoty metal świstał przy każdym wymachu, raniąc i niszcząc ciało i kości potworów.

Mimo to tym razem nie było szans na odparcie wrogów. Było ich zbyt wielu.

„Jeśli się nie wycofamy, wszyscy zginiemy za kilka minut”.

Elan otworzyła usta, by krzyknąć do Sindriego i zorganizować odwrót. Powstrzymała się jednak, zauważając nadbiegający tłum ludzi, wznoszących bojowy okrzyk, który wstrząsał powietrzem i zagłuszał potępieńcze wycie demonów.

Kaleb spojrzął przed siebie, gdy jego ludzie weszli w osiedle. Po większości budynków pozostały zgliszcza, a domy, które jakimś cudem nie spłonęły, i tak wyglądały na zniszczone. Młodzieniec skrzywił się, widząc szczątki rozprysnięte na ziemi. Miał nadzieję, że to krew i wnętrzności demona, choć domyślał się prawdy.

Wyrzucił z głowy tę myśl, skupiając się na zadaniu.

– Bądźcie w gotowości! – zawołał.

Większość idących za nim stanowili Atlantydzi, nowsi i starsi. Do maszerujących sił dołączyli teraz także miejscowi, pokierowani przez Elan. Kaleb zdumiewał się, że dziewczyna zdołała zwerbować nowych żołnierzy z łatwością, o której on mógł jedynie pomarzyć.

Wcześniej wiódł już ludzi do walki i wiedział, że Simone i pozostali mieszkańcy Atlantydy podążyliby za nim bez oporów... Potrzebował chwili, by oswoić się z tą myślą po ostatnim starciu ze specjalistą od runów. Nigdy jednak nie wiedział, co powinien mówić nieznanemu. Elan natomiast przekonywała ludzi do siebie prostym, a jednocześnie czysto praktycznym dążeniem do osiągnięcia wspólnego celu, nawet jeśli nie każdy był go w stanie pojąć.

– Przed nami trwa walka – zauważyła Simone.

Kaleb przytaknął, słysząc potworne wrzaski. Choć brał już udział w kilku bitwach, nigdy wcześniej nie słyszał czegoś podobnego.

– Demony? – zapytał, nie kryjąc niepewności.

– Z całą pewnością – potwierdziła Sien, stojąca obok niego. – Nigdy jednak nie słyszałam, żeby tak się wydzierały.

Tur jedynie burknął, Simone skinęła głową, a Jol milczał ze stoickim spokojem.

– Mniejsza o to. – Kaleb ponaglił gestem pozostałych. – Idźcie naprzód, ale bądźcie czujni!

Ruszyli kolumną przez niegdysiejszą ulicę, po której została pusta przestrzeń pomiędzy dwoma zrujnowanymi budynkami. Nie zwracali większej uwagi na okolicę, ponieważ ich celem nie było ludzkie osiedle.

Była nim ponura wieża widoczna w oddali. Kaleb w ogóle w to nie wątpił. Gdy się zbliżali, czuł moc emanującą z gmachu, niepodobną do czegokolwiek, z czym miał wcześniej do czynienia.

„Trochę za dużo tych nowości” – pomyślał kwaśno. Nie był zadowolony z tak wielu niewiadomych, teraz jednak mógł tylko iść przed siebie.

Żołnierze dotarli do pozostałości po jakimś skrzyżowaniu. Kaleb na wszelki wypadek rozejrzał się w dwóch kierunkach, choć wiedział, gdzie należy się udać.

Zgiełk dochodził z lewej, tam też skręcili, gdy Kal upewnił się, że nikt nie uderzy z prawej flanki i nie zabije tych spośród jego podkomendnych, którzy nie byli jeszcze gotowi do boju.

Usiłował nie myśleć o tym zbyt intensywnie. Wiedział, że straty w ludziach są nieuniknione. Mimo to bardzo chciał zignorować ten fakt, zakładając, że informacje zebrane przez Elan nie kłamały... Kaleb nauczył się z góry ufać dziewczynie.

Błyskawica ponownie rozświetliła niebo. Kaleb czuł narastające napięcie. Widział czekającą go bitwę, pomimo dymu atakującego nozdrza i osłabiającego widoczność.

– Włócnicy, naprzód! – rozkazał.

Atlantydzi przeformowali szyk jako pierwsi. Oczywiście ćwiczyli ten manewr po ostatniej bitwie, w której bronili miasta na wyspie. Dziesiątki mężczyzn i kobiet pomaszerowały przodem, wyciągając przed siebie długie włócznie.

Kaleb kluczył między nimi, uważając, by nie nadziać się na grot. Zauważył, że uzbrojeni we włócznie tubylcy dołączali do szyku najszybciej jak umieli, choć i tak za wolno. Kal nie zamierzał jednak na nich krzyczeć. Mieli odważne serca i jeśli było to wszystko, co mogli z siebie dać, niech i tak będzie.

Pole bitwy okazało się nieorganizowane, walczący zdołali jednak utrzymać pozycje. Być może dlatego, że demony przeniosły się z atakiem w inne miejsce.

„Elan!”

Kaleb rozpoznał dziewczynę tuż przed tym, jak przesłoniła ją horda zajmująca jej pozycję. Ścisnęło go w gardle tak, że przez chwilę nie mógł oddychać.

– Atlantydzi! – zawołał, przekrzykując wycie demonów. – Naprzód!

Kobiety i mężczyźni z głośnym rykiem rzucili się do ataku. Zaskoczeni obrońcy usunęli się na bok, gdy linia ich frontu ustąpiła

przed lasem włóczni.

ROZDZIAŁ 19

AVALON

Merlin przerwał sprawdzanie najnowszych odczytów, gdy jego uwagę przykuł automatyczny alarm, relacjonujący wydarzenia w pobliżu wieży demonów zwanej Cytadelą oczami ludzi, którzy otrzymali odpowiedni sprzęt.

Niestety, zapasy na Avalonie nie były niewyczerpane. Nie wystarczały nawet do wyposażenia zwykłych atlantydzkich sił reagowania. Zwłaszcza że użytkowanie wielu urządzeń wymagało zaawansowanego szkolenia. Merlin wahał się jak nigdy, wydając broń i pancerze.

Na szczęście Elan, Kaleb i garstka innych ludzi nie tylko potrzebowali tego sprzętu, ale potrafili się nim również posługiwać.

Teraz gdy Kaleb prowadził żołnierzy do walki, Merlin obserwował wszystko z oddali.

„Demonów jest znacznie więcej, niż podejrzewaliśmy” – zauważył nieprzytomnie, wykonując w myślach obliczenia.

Stanowiło to potencjalnie duży problem, ponieważ taka chmara przeciwników mogła po prostu zalać ludzi i przytłoczyć ich samym ciężarem i liczebnością.

Merlin aż za dobrze znał różnorodne strategie wykorzystywane przez demony. To była pierwsza z nich. Często bywała ona niedoceniana. Starożytni uważali zmasowany atak za równoznaczny z masowym samobójstwem, jeśli był on wymierzony w ich śmiercionośny system obronny.

Nie mylili się, choć, z drugiej strony, nie do końca mieli rację.

Demony nie wiedziały, kiedy przestać. Parły przed siebie, tratując zwłoki swoich poległych, dopóki w broni przeciwników nie wyczerpała się amunicja lub nie dało się oddać strzału, by przy okazji nie zabić towarzyszy broni, gdy demony przebiły się przez stosy ciał na polu bitwy i podeszły za blisko.

Gdy mierzyło się z wrogiem o praktycznie nieskończonej sile, odparcie najprostszego zmasowanego ataku okazywało się

niemożliwością.

Chyba że wezwało się ostrzał, który przy okazji niszczył pozycję obrońców.

Zanim ludzie zdążyli się przekonać do tego rozwiązania, demony dowiodły, że nieobca im jest bardziej skomplikowana strategia i taktyka.

Merlin przekonał się, że stosowana przez nie taktyka zależała w dużej mierze od rodzaju demonów na polu walki, czyli ogólnie rzecz biorąc, od Kręgu, do którego wyewoluowały.

Teraz widział, że w bitwie biorą udział liczne oddziały uderzeniowe, ale dowódców było niewiele.

„To nietypowe...”

Zwykle dowódcy brali udział w takich manewrach z równym entuzjazmem jak ich żołnierze.

Merlin zaczął intensywnie przeglądać dane wywiadowcze, próbując ustalić przyczynę tej zmiany taktyki nieprzyjaciela. Nie przepadał za zmianami, zwłaszcza podczas kluczowej operacji, w której wszystko musiało pójść zgodnie z planem.

„Dlaczego dowódcy zostali z tyłu? Widzę jednego gdzieś w tle, chyba że się poważnie pomyliłem” – zauważył Merlin, zbity z tropu. „Nigdy nie unikali szarży, nawet na nasze najpotężniejsze bazy. Co się zmieniło?”

Możliwe, że demony uczyły się nowych rzeczy. Już samo to było wystarczająco złą wiadomością. Merlin wolałby, żeby potwory nie zdobywały żadnej nowej wiedzy, choć o tym mógł jedynie pomarzyć. Gorzej, jeżeli w grę wchodził jakiś czynnik, którego nie był w stanie dostrzec.

– Nimue. – Merlin połączył się z Redutą Północną. – Potrzebuję twojej analizy. Przesłałem ci dane na konsolę.

– Odebrałam – potwierdziła druga inteligencja. – Daj mi chwilę.

REDUTA PÓŁNOCNA

Nimue nie podobało się, że ktoś przeszkadza jej w badaniach, rozumiała jednak, że taktyka wroga jest ważniejszą sprawą, zwłaszcza w samym środku bitwy.

Wraz z transmisją Merlin nadesłał własne adnotacje, wiedział więc, czego szuka. Po chwili Pani Wód również to dostrzegła.

„Ciekawe. To nie w ich stylu” – pomyślała. „Coś tu jednak wyraźnie odbiega od normy. Skąd ta błyskawica?”

Pobrała transmisję ze zbroi Elan i cofnęła się do momentu sprzed alarmu, skupiając się na osobniku zwanym Sindri.

„To z pewnością nie człowiek”.

Znała te istoty, tak samo zresztą, jak i Merlin. Przed inwazją, a także w jej trakcie, inteligencje otrzymywały informacje o nieludziach. Większość z nich po prostu zniknęła bez śladu wkrótce po ataku demonów.

Nimue podejrzewała, że wie już, co stało się przynajmniej z niektórymi.

„To wyładowanie energetyczne działa na demony jak flara. Wszystkie skupiły się tylko na nim”.

Była to interesująca, potencjalnie przydatna wiadomość, jednak potem zrobiło się jeszcze ciekawiej.

Horda, która pojawiła się tak szybko, bez wątpienia w odpowiedzi na błyskawicę przyzwaną przez Sindriego, przerażała rozmiarem i siłą. Demony zafiksowały się na jednym celu i nic nie mogło stanąć im na drodze.

„Może poza tą dziewczyną” – pomyślała Nimue rozbawiona, gdy Elan w kilka sekund wybiła setki wrogów, zanim utraciła pozycję. Wówczas musiała zmienić broń i wycofać się, by uniknąć zmiżdżenia przez siły nieprzyjaciela.

Demonów wciąż przybywało.

„Jest w tym coś...”

Nimue przesłała odpowiedź Merlinowi, zgłaszając swoje spostrzeżenia z poprzedniego nagrania i prosząc o ich analizę. Potem od razu wróciła do przerwanych badań, skupiona głównie na tym, co odkryła.

„Wiem, że gdzieś już widziałam ten wzorzec energetyczny... Może w raportach, które przeglądałam?”

Nimue była zdeterminowana, by znaleźć źródło męczącego ją wrażenia, że to wszystko wygląda znajomo. Utrzymywała przy tym podzielną uwagę, śledząc transmisje od Merlina.

OSIEDLE POD CYTADELĄ

– Formować szereg!

Rozkaz Simone rozbrzmiał w bitewnym chaosie. Wystarczył, by wyszkoleni Atlantydzi wiedzieli, co robić. Włócznie na przedzie utworzyły kolczastą, śmiercionośną zaporę, którą wiele demonów i tak postanowiło przekroczyć. Nadziewały się na groty niemal przypadkowo, spychane przez towarzyszy broni, wciąż ścigających Sindriego. Simone była zdumiona.

– Kalebie! – zawołała. – Im chodzi o Sindriego!

– Widzę! – odparł młodzieniec, przeskakując nad zwłokami demona i wyciągając miecz. Czerwonozłote ostrze zaśniło, odbijając blask pożarów i zachodzącego słońca.

Simone patrzyła, jak wyrąbywał sobie drogę, by stanąć u boku niskiego mężczyzny i Elan, którzy, o dziwo, prawie samodzielnie stawiali czoło większości napastników.

Elan zawsze była nad wiek dojrzała. Od chwili gdy się poznały, Simone wiedziała, że dziewczyna jest kimś wyjątkowym... Nie podejrzewała jednak, że potrafi być maszyną do zabijania! Simone nie była w Lemurii, ponieważ walczyła wraz z Kalebem w pobliżu osady ludzi na wyspie. Jeśli jednak mieszkańcy Miasta widzieli to, co ona, rozumiała, dlaczego postanowili zaufać Elan, wbrew wszelkim przeciwnościom.

„Ale jak to możliwe?”

Simone nie znajdowała odpowiedzi na dręczące ją pytanie. Odkąd Kaern powierzył jej Elanthielle, by rozpoczęła trening, dziewczyna nabyła fenomenalnych zdolności... Nie wyglądało to na naturalny proces.

Coś się z nią stało. Coś, co jak podejrzewała Simone, miało wiele wspólnego z wielką niewiadomą.

„Merlin. Ten stwór na pewno maczał w tym palce” – pomyślała z niepokojem.

Z jednej strony wydawał się stać po stronie ludzi. Doprowadził ich na Atlantyde i zapewnił wsparcie, którego rozpaczliwie potrzebowali, a które Simone uważała za niemożliwe... Ale dlaczego? Za jej czasów niczego nie oddawało się za darmo.

Nawet opieka nad Elan była przysługą dla Kaerna, choć Simone musiała przyznać, że wciąż ma dług u tego irytującego osobnika. Być może jeszcze większy niż wcześniej.

Wiedziała, że Elan uznała Kaerna za zmarłego, Simone miała jednak co do tego wątpliwości. Podejrzewała, że któregoś dnia zjawi się ponownie. Ten dzień miał jednak dopiero nadejść, tymczasem trzeba było stoczyć bitwę.

– Nacierać! – rozkazała. – Miecze naprzód!

Przeformowując szyk, Atlantydzi uderzyli na wroga, siekąc kości ostrzami, nie prosząc o litość ani jej nie oferując. Simone wiedziała w głębi serca, że tylko jedna strona może ujść z życiem z tej bitwy. Tyle tylko, że według jej wiedzy nie było jeszcze bitwy o takim rozmiarze, która zakończyłaby się przetrwaniem ludzi.

– Żadnej litości!

Usłyszała okrzyk Elan wznoszący się nad wszystkim innym. Otworzyła szeroko oczy, wstrząśnięta zmianą nastrojów. Ludzie wokół niej odpowiedzieli głośnym wrzaskiem. Simone ze zdziwieniem zauważyła, że sama przyłączyła się do nich jako jedna z pierwszych. Potem, wraz z pozostałymi, ruszyła na demony, wyzwalając długo tłumioną furję.

Elan opuściła broń, upojona reakcją Atlantydów, spieszących do walki u jej boku, odpierających chmarę demonów samą siłą zacieklego ataku.

– Nie wytrzymamy zbyt długo, dziecko – ostrzegł Sindri. – Przyszły po mnie. Nie przeszkadzaj im. Ty masz ważniejsze zadanie.

Elan skorzystała z chwili spokoju, by spojrzeć na niego z niedowierzaniem.

– Zginiesz! – zaprotestowała.

– Dziewczyno, jeśli mnie ubiją, zaręczam ci, że nie wyjdzie im to na dobre – powiedział Sindri, szczerząc zęby. – Poza tym jedno życie to niewielka cena. – Uniósł wzrok w stronę wieży. – Sama wiesz, że musisz się tam dostać.

Elan spochmurniała. Wiedziała, że Sindri ma rację, i wcale jej się to nie podobało.

– Kaleb! – zwróciła się do przyjaciela. – Znajdź Jola i jego nowych znajomych. Potrzebujemy przewodników.

– Chyba żartujesz – zaperzył się chłopak. – Nie możemy teraz odejść.

– W tej walce nie chodzi o zabijanie demonów! – odparła gniewnie. – Możemy wybić je wszystkie, co do jednego, ale to na nic, jeśli nie zniweczymy ich planów. Wołaj resztę! Idziemy do Cytadeli.

Kaleb wlepił w nią wzrok, przełknął ślinę, po czym przytaknął szybko i pobiegł.

– Masz głos jak dzwon, dziewczyno – pochwalił ją Sindri. – Pamiętaj, że lepiej podjąć decyzję, jakąkolwiek, niż nie robić nic, nawet jeśli wybierze się złą ścieżkę.

– Lepiej, żeby ta nie była zła – odparła Elan, zręcznie wymachując kijem. Złożyła go i przypasała do biodra. – Nie zgiń tutaj, Sindri.

– Nie martw się o mnie, dziewczyno. Idź już, a ja zabawię się z tymi bydlakami. – Sindri wypowiedział te słowa złowieszczym tonem, zwracając się ku demonom i niefrasobliwie podrzucając młot. – Weź ze sobą pozostałych. Nie powinno tu być żadnych ludzi.

Elan przez chwilę patrzyła na niego ponuro, potem skinęła głową i wycofała się. Poczowała, jak kolejna błyskawica elektryzuje otoczenie, przepełniając powietrze specyficznym zapachem. Dziewczyna zerwała się do biegu, gdy kolejny piorun uderzył w pole bitwy za jej plecami.

– Kaleb, Jol – oznajmiła, pozdrawiając skinieniem głowy młodzieńców, a także Sien i Tura. – Idziemy do wieży!

– W piątkę? – zapytała Sien z niedowierzaniem.

– Nie. – Elan skrzywiła się, po raz ostatni spoglądając na Sindriego. Potem pomachała do Simone i pozostałych. – Ruszamy na Cytadelę!

Okrzyki, które usłyszała w odpowiedzi, zaskoczyły ją, jednak już po chwili Atlantydzi ruszyli naprzód, a za nimi podążali tubylcy, bardziej skonsternowani niż podekscytowani.

Huk gromu wstrząsnął całym światem, a przynajmniej takie wrażenie odniosła Elan, prowadząc żołnierzy naokoło demonów ścigających Sindriego, gdy ten starał się odciągnąć je jak najdalej od ludzi, zmierzając ku płomieniom w oddali.

– Powodzenia – szepnęła Elanthielle, potem jednak skupiła się na sytuacji. – Sien, Tur. – Machnęła na nich, nie przerywając marszu. –

Co wiecie o Cytadeli?

– Niewiele. Nigdy nie byliśmy w środku – przyznała Sien. – Parter jest zwykle obstawiony strażą, a nieliczni ludzie, którzy tam weszli i wyszli żywi, mówili, że to istna forteca.

Elan przygryzła wargę.

– Miejmy nadzieję, że bracia wywabili stamtąd większość sił wroga, musimy jednak założyć, że wieża i tak będzie dobrze chroniona.

– Poradzimy sobie – zapewniła Simone.

– Wiem.

CYTADELA

Pioruny i płomienie rozświetlające niebo i ziemię wokół Cytadeli stanowiły przykład mocy zdolnej złamać wolę nawet najpotężniejszych i najbardziej opanowanych demonów. Wicekról trwał jednak niewzruszenie, spoglądając na miasto przez strzaskane szklane drzwi.

Pani podjęła oczywiście słuszną decyzję, posyłając dość sił, by zmiążyć zdrajców, jednak w głębi serca wicekról pragnął, by zamiast tego powierzyła zadanie elitarnym siłom pod jego dowództwem.

Każdy błysk pioruna na bezchmurnym niebie, ciemniejącym o zmierzchu, podsycił to pragnienie. Demon postanowił je jednak zignorować. Odwrócił się nawet od drzwi i wrócił do środka. Zatrzymał się na krótką chwilę, zerkając na jednego z towarzyszących mu elitarnych żołnierzy.

– Zamelduj mi, kiedy walka się skończy. Muszę dopilnować, by plan jaśnie pani został wykonany.

– Tak jest.

Serg'in opuścił otwarty hol na parterze. Zrezygnował ze schodów i wybrał niedziałającą windę.

Drzwi do wind na każdym piętrze już dawno wyrwano z zawiasów. Ludzkie pojęcie o bezpieczeństwie było zabawne, jednak demony stawiały na prostotę.

Jeżeli ktoś był zbyt głupi, by zadbać o bezpieczeństwo, ponosząc śmierć, wyświadczał wszystkim przysługę.

Oczywiście dla istot pokroju Serga upadek, nawet ze szczytu wieży, nie wystarczał, by pozbawić je życia. Tak czy inaczej, była to dobra zasada.

Demon wszedł do szybu, odwracając się. Przez chwilę spadał, by potem zamigotać, zniknąć i pojawić się kilka pięter wyżej, u wejścia na najwyższą kondygnację.

OSIEDLE POD CYTADELĄ

Elan uniosła dłoń, zatrzymując marsz, gdy jej armia dotarła do granicy biednego ludzkiego miasta. Żołnierze zaczęli szemrać, widząc, co mają przed sobą.

Z daleka wieża była złowrogą czarną linią, rozcinającą niebo na dwoje, jednak z bliska okazała się prawie tak samo zaniedbana jak otaczające ją chaty.

„Demony nie umieją budować, ani nawet naprawiać” – pomyślała Elan.

Miało to znaczenie, przede wszystkim dla niej, ale i dla innych. Najsilniejsza broń ludzi mogła stwarzać zbyt wielkie zagrożenie. Dziewczyna była niemal pewna, że mogłaby z miejsca rozwalić wieżę strzałem z broni bocznej.

Niestety, wiedziała też, że to nic nie da. Aby zatrzymać proces, który który rozpoczął demony, i ocalić wszystkich ludzi, należało zlokalizować źródło.

– Merlinie – powiedziała cicho – jestem przy Cytadeli.

– Nimue i ja obserwujemy was – odpowiedział byt z Avalonu. – Moje skany wskazują, że jesteście blisko centrum zakłóceń.

Była to dobra wiadomość, ale niezbyt szczegółowa.

– Gdzie mam szukać? – dopytywała Elan. – Ta wieża jest ogromna!

– Spróbuj w podziemiach – poradziła Nimue. – Moc skupiła się zapewne pod wieżą i wszystko wskazuje na to, że aby przeprowadzić rytuał, demony będą musiały czerpać bezpośrednio z tego źródła.

– W porządku – odparła Elan. – Życzcie nam powodzenia.

- Powodzenie nie... – zaczął Merlin.
 - Powodzenia! – Nimue nie dała mu dokończyć.
- Elan machnęła ręką.
- Naprzód!

CYTADELA

- Coś się dzieje – powiedział Burra.

Kodra uniósł głowę, zaskoczony. Nudził się niemiłosiernie i wkurzał, że jego i jego towarzyszy ominęła zabawa na zewnątrz, więc każde zdarzenie było jakimś pocieszeniem. Burra może i nie był najbystrzejszym kompanem, rzadko jednak otwierał gębę bez powodu, co czyniło go stosunkowo miłym w obejściu.

- Co masz na myśli? – zapytał Kodra, wstając od stołu.

- Ludzi. – Burra wskazał głową otwór w ścianie, gdzie kiedyś znajdowały się drzwi, wychodzący na zewnętrzny plac.

Kodra zamrugał zaskoczony.

Rzeczywiście zbliżali się ludzie.

„I to ilu!”

Czegoś takiego nie widział od dawna.

„Jednak trochę się zabawimy” – pomyślał, szczerząc zęby w uśmiechu.

Prasnął Burrę w ramię i zawołał do pozostałych:

- Wygląda na to, że żarcie przyszło samo! Budźcie się, bo wam przepadnie!

Ruszył przed siebie, niezrażony liczebnością ludzi. W przeciwieństwie do mięsa armatniego posłanego do walki Kodra był już w Trzecim Kręgu. Przetrwał piekło Przemiany i wyszedł z niego silniejszy, stając ponad żalonymi nieszczęśnikami zamieszkującymi teren wokół Cytadeli. Wiedział, że żadna ludzka broń, nawet śmiechu warte żelazne sztylety i groty, nie wyrządzi mu krzywdy.

Uśmiech nie zszedł z jego twarzy nawet chwilę później, na kilka milisekund przed tym, jak rozpadł się na atomy, pędzące we wszystkich kierunkach z prędkością światła.

ROZDZIAŁ 20

HOL CYTADELI

Elan schowała broń do kabury, gdy ogromny demon padł bezgłośnie. Machnęła na pozostałych ludzi, biegnących do wyrwy w murze Cytadeli.

Wewnątrz zastali siły obronne. Elan widziała, że tym razem nie mają do czynienia ze słabymi demonami, jednak bez wahania wyciągnęła kij i rozłożyła go na pełną szerokość, nie przerywając marszu.

Po jednej stronie miała Kaleba, po drugiej Jola. Sien i Tur podążali za nimi. Cała piątka w kilka sekund przełamała pierwszą linię obrony demonów, pozostawiając po nich dymiące wnętrzości i płyny ustrojowe. Do wieży wciąż napływali ludzcy żołnierze.

– Musimy znaleźć zejście – powiedziała Elan, rozglądając się czujnie i przypominając sobie Miasto.

Szybko znalazła windy, ale stanęła jak wryta, widząc wyłamane drzwi, za którymi ziały puste szyby. Zdobyła się na odwagę i spojrzała w dół, zobaczyła jednak tylko smolistą ciemność, w którą na pewno nie zamierzała wskakiwać.

– Powinny tam być schody – zapewnił głos Merlina. – Poszukajcie ich.

Elan skinęła głową, dając znak wszystkim, którzy nie byli zbyt zajęci walką z demonami.

– Znajdźcie schody!

Potem sama rzuciła się do walki. Kij migotał w świetle zmierzchu, gdy podcięła nogi demona, by po chwili zmiażdżyć mu czaszkę, zanim zdołał się dźwignąć.

Niedaleko od niej Kaleb rozorał mieczem wnętrzości jednego potwora, a potem zajął się następnym. Za nimi ludzie stłoczeni w holu ścierali się ze wszystkim, co się ruszało i nie było człowiekiem. Radzili sobie sprawnie z zaskoczonymi obrońcami, pomimo sporadycznej, istotnej różnicy sił, która wymagała współdziałania wielu atakujących lub po prostu pomocy członków

grupy posiadających uzbrojenie i umiejętności niedostępne zwykłym śmiertelnikom.

– Schody są tam! – zawołała Simone.

– Kaleb, Jol, idziecie ze mną – poleciła Elan.

– My też – dodała Sien za siebie i Turrocha.

– Jak chcecie. – Elan nie miała ochoty na sprzeczki. Dotarła do schodów i spojrzała w górę i w dół. Gdy nie zauważyła żadnego ruchu, odwróciła się do Simone. – Dasz radę zabezpieczyć wyjście?

– Utrzymamy je. Obiecuję. – Kobieta przytaknęła ze zdecydowaniem.

– W porządku. Powodzenia.

Wymieniły uścisk dłoni. Simone uśmiechnęła się złowieszczo.

– Nawzajem. Zakończcie to!

Elan skinęła głową i odwróciła się w stronę schodów. Przeskoczyła barierkę, zapewne chroniącą ludzi przed upadkiem, i zwinnie wylądowała na niższym poziomie, amortyzując skok kolanami i zbroją.

Za sobą słyszała tupot zbiegających nóg. Zajrzała za zakręt, a gdy nie dostrzegła celów, ruszyła przed siebie.

OSIEDLE POD CYTADELĄ

Sindri biegł.

Mógł zapewne zostać na miejscu i czekać na demony, teraz jednak lepiej było zostawić w tyle tłum spragnionych krwi bestii. Dawało im to zajęcie, a przy tym pozwalało Sindriemu zrobić to, co zamierzał, odkąd wrócił do tego piekła.

Odnaleźć brata.

Brokkr nie mógł być daleko. Płomieni, którymi władał, nie dało się pomylić z niczym innym. Ułatwiało to Sindriemu obranie właściwego kierunku, choć po drodze musiał pokonać wiele przeszkód, jak choćby budynki lub to, co z nich zostało. Bardziej irytujący był jednak fakt, że choć Brokkr wciąż się poruszał, nie zmierzał w stronę brata.

„Drań nie przepuści okazji, żeby utrudnić mi życie”.

Sindri stanął i okręcił się akurat na czas, żeby uderzyć szarżującego demona młotem w głowę. Czaszka, mimo że twardsza od stali, pękła jak skorupka jajka. Sindri ruszył pędem, porzucając nieruchome zwłoki.

Biegł tak przez pewien czas, zostawiając za sobą ciała pokonanych wrogów. Nie zależało mu na ubiciu jak największej liczby demonów, bo miał teraz inny cel.

„Byłoby mi łatwiej, gdyby Brokkrowi nie zebrało się akurat teraz na zabawę w chowanego!”

Brokkr dyszał, zakrywając dłonią ranę w boku. Jeden z demonów zdołał go dopaść podczas walki. Brokkr potrzebował czasu, by odzyskać oddech. Nie wątpił, że szybko się wyleczy, jeśli zdoła uciec przed pościgiem, jednak chmara bezmyślnych demonów nie zamierzała dać mu tego luksusu.

Wojownik czuł drgania w powietrzu, wiedział więc przynajmniej, że Sindri jeszcze żyje i, jak go znał, zamierza odnaleźć brata i przy okazji kopnąć go w zad.

Krew przeciekająca przez palce przypomniła Brokkrowi, że musi ruszać, bo inaczej zrobi się paskudnie.

Powarkiwania i ryki przybierały na sile w miarę, jak zachodziło słońce. Brokkr uznał, że czeka go całkiem ciekawe wyzwanie. Nie żeby za dnia demony słabły, czuły się jednak mniej pewnie w promieniach słońca.

Po zapadnięciu zmierzchu ruiny miasta staną się terenem polowań. Na nieszczęście demonów, noc od zawsze sprzyjała także Brokkrowi.

„Gdybym tylko zdołał zaleczyć tę cholerną ranę...”

CYTADELA

Ser'Lis z zaciekawieniem spoglądała na zacienione ruiny miasta. Coś się zmieniło, nie była jednak pewna co. Podniecające uczucie mocy wciąż przesycalo powietrze. To było najważniejsze, władczyni

nie mogła jednak oprzeć się wrażeniu, że nastąpiła jakaś inna, znacząca zmiana.

Odgłosy zniszczenia wyraźnie osłabły. Mogło to mieć coś wspólnego z rozmyślaniami Pani Cytadeli.

„Ludzie zapewne zostali już wypędzeni lub wybici” – uznała Lis.

Płomienie przygasały w zachodzącym słońcu. Zapach dymu wznoszącego się ze zgliszcz był wyczuwalny nawet ze szczytu wieży.

Władczyni odwróciła się, by spojrzeć na mistrzów runów pogrążonych w pracy.

Wprowadzenie ogólnoświatowego wzorca w planetarną sieć geomantyczną nie należało do najłatwiejszych zadań, zwłaszcza gdy do dyspozycji miało się tylko jeden punkt początkowy. Jednak w Kręgach od dawna udoskonalano ten proces. Ser’Lis była pewna, że powodzenie jest jedynie kwestią czasu. Odczuła przy tym ulgę, bo bez wątplenia już teraz wisiała nad nią kara za opóźnienie. Powinna wprowadzić ten świat do domeny Kręgów już przeszło rok wcześniej.

Demony zmitrężyły sporo czasu, kiedy siostra Ser’Lis utraciła Miasto. Wydarzenie to nie przestawało zadręczać Pani Cytadeli. Jak to możliwe, że ogromne miasto, obsadzone najpotężniejszymi demonami i całymi zastępami pomniejszych potworów, ugięło się pod naporem ludzkich buntowników?

„Przynajmniej ci zidiociali ludzie też zginęli pod falami. Nikt nie będzie po nich płakał”.

Dzieło wielu pokoleń było już prawie ukończone. Pozostawało jedynie czekać i napawać się chwilą.

Na samym dole klatki schodowej było ciemno. Żaden z zapowiadanych przez Merlina systemów oświetlenia nie działał. Na szczęście zbroje Elan i Kaleba zapewniały ulepszoną widoczność.

Jol, jak zwykle, zrezygnował z pancerza, ale mógł się za to poszczycić latami współpracy z braćmi i obyciem z ich rzemiosłem, więc nie odstawał zbyt od reszty.

Pozostała dwójka musiała jednak trzymać się blisko, gdy wszyscy przemierzali pogrążone w półmroku korytarze, rozglądając się za

rytuałem, który ich tu sprowadził.

– Nic nie widzę – burknął Kal z frustracją.

– No to witaj w klubie – sarknęła Sien’el.

– Rytuał musi odbywać się gdzieś tutaj – powiedziała Elan zmęczonym tonem. – To miejsce jest jego źródłem. Jestem pewna, że to tu.

Nadal pozostało im kilka niesprawdzonych miejsc, jednak na całym poziomie panowała grobowa cisza.

W końcu coś ją zakłóciło.

– Słyszeliście? – zapytał Turroch z niepokojem i zdziwieniem.

– Tak – odparł Jol. – Brzmi jakoś... znajomo.

– Ktoś się... śmieje? – Kaleb potrząsnął głową, rozglądając się za źródłem dźwięku.

– Odgłos dochodzi stamtąd – powiedziała Elan, lepiej zaznajomiona z nowoczesnym sprzętem. – Nie odchodźcie daleko.

Skręcili w ciemny korytarz. Po obu stronach widzieli wiele drzwi, wszystkie jednak wydawały się prowadzić jedynie do ciemnych, pustych pomieszczeń. Wszystkie poza jednymi.

– Zamknięte – stwierdził Kaleb ze złością, sprawdzivszy drzwi.

– To je wyważ – poradził Tur.

Kaleb spojrział po pozostałych. Gdy nikt nie zaprotestował, cofnął się i kopnął z siłą, która wystarczyła, żeby wygiąć, a nawet rozerwać metal. Drzwi zazgrzytały, wyrwały się z zawiasów i wpadły do pomieszczenia z głośnym łoskotem.

W środku, w ciemności, znajdowała się spętana postać.

– Więzień? – Kaleb zamrugał zaskoczony. – Czekaj, wydostaniemy cię!

Przestąpił próg, zbliżając się do skutego łańcuchami nieszczęśnika, który milczał podczas otwierania celi. Nagle poczuł, jak ktoś szarpie go za ramię.

– Elan! Co jest?!

– Poznają ją. Jol, widzisz?

– Całkiem wyraźnie.

Elanthielle zazwyczaj zgromiłaby siłacza wzrokiem za taki ton, w tej chwili jednak rozumiała, skąd w jego głosie taki chłód.

Mieli przed sobą Panią Miasta w żelaznych łańcuchach.

Elan musiała przyznać, że nie spodziewała się, iż władczynię spotka taki los. Gdy odleciała po ich ostatniej walce, Elan wyobrażała sobie... właściwie sama nie wiedziała co, ale na pewno nie coś takiego.

– Jolnirze... – Demonessa uśmiechnęła się. – Mój ty twardzielu, jak, na wszystkie Kręgi, zdołałeś uciec tak daleko od Miasta? Myślałem, że zginąłeś z całą resztą ludzkiego bydła.

– Przeżyło nas wię... – zaczął.

– Jol! Nic jej nie mów! – przerwała mu Elan.

Młodzieniec skrzywił się, ale skinął głową i cofnął się o krok.

– Widzę, że tych dwoje coś łączyło – zauważył Tur zgryźliwie. – Jednak nie czas na to.

– Racja – zgodziła się Elan, sięgając po broń.

Najoczywistszym posunięciem byłoby zabicie demonessy, jednak dziewczyna nie mogła się zdobyć na egzekucję z zimną krwią. Każda logicznie myśląca część jej mózgu usiłowała ją przekonać, ona jednak nie mogła zignorować głosu serca. Opuściła rękę i odstąpiła, kręcąc głową.

– Zostawcie ją – poleciała. – W łańcuchach jest niegroźna, a my mamy ważniejsze sprawy do załatwienia.

– Ważniejsze od spotkania ze starą znajomą? – przekomarzała się Ser'Goth. – Zraniłaś mnie do żywego. Ale cóż, skoro nie przyszliście po mnie... Domyślam się, że chodzi wam o rytuał, prawda, dziewczuszko?

Elan zmroziła demonessę spojrzeniem.

– Cóż za niesssspodzianka – syknęła Goth. – Ciebie też poznaję. Myślałam, że zginęłaś, kiedy runęła wieża. Jak ci się udało ujść z życiem?

Elan nie odpowiedziała, nie chcąc przekazywać demonowi więcej informacji, niż było to konieczne.

– Nic mi nie powiesz? – Goth nadąsała się, choć jej oczy błyszczały w ciemności z rozbawienia.

– Co wiesz o rytuale? – zapytała Elan, nie bacząc na prowokację.

– Wszystko. Sama za niego odpowiadałam, zanim przyszłaś i wszystko zepsułaś. – Demonessa westchnęła teatralnie. – Czy jeden dodatkowy rok był wart takiego zachodu? Dużo łatwiej by było,

gdybyś pogodziła się z losem i dołączyła do zwycięzców. Po długim czasie sama stałabyś się zapewne budzącą postrach panią demonów.

Elan zadrżała na samą myśl, ale nie dała się zbić z tropu.

– Gdzie odbywa się rytuał? – zapytała. – No gdzie?!

Ser'Goth uśmiechnęła się z przekąsem.

– Dlaczego miałabym ci powiedzieć?

– Twoi ziomkowie skuli cię łańcuchami – mruknął Jol. – Wrzucili cię tu, żebyś gniła w celi. Czemu chcesz ich chronić?

Goth spojrzała na niego z błyskiem w oku.

– A kto mówi, że chcę kogokolwiek chronić? – Westchnęła głęboko, grzechocząc łańcuchami. – Poza tym zachowali się nader życzliwie.

Wojownicy popatrzyli na nią, zauważyli oparzenia od żelaza na jej skórze. Pomimo mroku Ser'Goth dostrzegła zwątpienie na ich twarzach.

– Mówię poważnie. Po porażce, jaką przez was poniosłam, powinnam zostać stracona – wyjaśniła. Sprawiała wrażenie szczerzej. Wzruszyła ramionami i syknęła cicho, gdy jej skóra zaskwierczała w kontakcie z łańcuchami. – Moja umiłowana siostra nie przebolełaby, gdybym umarła. Tyle razem przeszliśmy...

– Pani tej wieży jest twoją siostrą? – Elan pochyliła się z zaciekawieniem.

– Może nie dosłownie, bo nie łączą nas więzy krwi... Chociaż kto wie? – przyznała demonessa. – Jednak obie zostałyśmy przyjęte do rodu Ser, gdy byłyśmy bardzo młode i wątłe. – Spojrzała na Elan z prowokującym uśmiechem. – Gdybyś chciała, załatwię ci miejsce w tym rodzie.

– Nie!

Goth roześmiała się, słysząc oziębłą odpowiedź dziewczyny. Właśnie tego się spodziewała.

– Wiem, wiem... – powiedziała, nadal rechocząc. – To oczywiste dla kogoś, kto jeszcze nie przeszedł Przemiany. Jeśli ją przetrwasz, w końcu zmądrzejesz.

– Prędzej umrę.

– Na razie nikt tu nie umrze – wtrącił się Kaleb, patrząc gniewnie po zebranych. – Ten demon próbuje wam namieszać w głowach. Nie dajcie sobą pogrywać!

– Kalebie, musimy dowiedzieć się czegoś o rytuale – odparła Elan.
– A w tej chwili tylko ona cokolwiek o nim wie.

– Nazywa się go Rytuałem Bramy – powiedziała Goth tonem tak spokojnym i niefrasobliwym, jakby wypoczywała w luksusowej komnacie, a nie siedziała spętana w lochu. – Można powiedzieć, że to zwieńczenie całej inwazji. Taniec zwycięstwa. Gdy obrzęd zostanie dopełniony, cały ten wymiar stanie się częścią Kręgow. Na wieczność.

– To bez sensu. – Kaleb potrząsnął głową. – Po co tyle czekać? Jeśli jesteście do tego zdolni, mogliście już parę wieków temu wchłonąć cały świat i pozabijać nas wszystkich.

– Prawie wszystkich – przyznała kobieta demon, przechylając głowę i spoglądając na rozmówców. – Założę się, że wy znaleźlibyście się wśród ocalałych, poddanych Przemianie.

– To bez znaczenia. Dlaczego czekaliście?

Goth przewróciła oczami.

– Dla powodzenia rytuału konieczne jest zwycięstwo. Trzeba mieć w posiadaniu przestrzeń, w której ma się dokonać. Nie mógł się udać, dopóki sługusy Sił Wyższych nie porzuciły tego wymiaru. Rok temu oficjalnie uznały swoją stratę i zostawiły was. Wszystkich.

„Rok temu...”

Elan przypomniała sobie sen. O dziwnych istotach, bardziej... mechanicznych niż cielesnych, jednak nieprzypominających żadnych ludzkich konstrukcji, które widziała, nawet w pradawnych księgach.

„Okręgi w okręgach. Jakby nie trzymały się zasad, które obowiązują innych”.

Wcześniej nie miała pojęcia, jak powinna odczytać te wizje. Wiedziała, że są czymś więcej niż sennymi widziadłami, ale nie miała na to żadnego dowodu.

Teraz gdy usłyszała demonessę opowiadającą o wydarzeniach sprzed roku, wizja powróciła, jeszcze wyraźniejsza niż za pierwszym razem. Była tak silna, że Elan miała wręcz wrażenie, iż zawędrowała za daleko i natrafiła na Nadświadomość, łączącą umysły wszystkich istnień. Owca

Byt ten powiedział Elan, że odchodzi. Że oni odchodzą.

– Te twoje... sługusy – zaczęła dziewczyna – jak wyglądają?

Ser'Goth popatrzyła na nią z zaciekawieniem.

– Po co ci ta wiedza?

– Odpowiadaj, demonie!

Goth uśmiechnęła się, niezrażona, jakby cierpliwie rozwiązywała jakiś uporczywy, ale drobny dylemat.

– Skoro muszę... – Westchnęła ciężko i ostentacyjnie. – Wyglądają tak... jak chcą wyglądać. Rzecz jasna, posiadają naturalną postać, ludzie jednak nie są w stanie jej dostrzec tak, by przy okazji nie postradać zmysłów.

– Dość tych uników. Jacy są w naturalnej postaci? – naciskała Elan.

Tym razem udało jej się wzbudzić szczere zainteresowanie Ser'Goth. Demonessa przesunęła się, by lepiej przyjrzeć się dziewczynie, i przy okazji znowu oparzyła się żelaznymi okowami.

– Są częścią Niebiańskiej Machiny – powiedziała w końcu. – Przez większość czasu przybierają więc taką właśnie formę. Kół i przekładni, poruszających się samodzielnie, splatających się i przenikających w sposób niepojęty dla umysłu śmiertelnika... i...

Urwała, gwałtownie nachylając się w stronę Elan, nie bacząc na palące ją żelazo.

– Widziałaś ich – powiedziała, nie kryjąc zdumienia. – Fascynujące z ciebie stworzenie.

– To nie twoja sprawa – burknęła Elan, cofając się. W głowie miała mętlik od nadmiaru informacji.

„Dlaczego odwrotność demonów, ta cała... Niebiańska Machina... miałyby przychodzić akurat do mnie? I powiedzieć właśnie mnie, że odchodzi?”

Czas, w którym to nastąpiło, odpowiadał wcześniejszym odczytom Merlina i opowieści demonessy, jednak cała reszta wydawała się nie mieć sensu. Dlaczego świat został porzucony? Czyżby demony okazały się zbyt trudnym przeciwnikiem?

Ser'Goth tymczasem mówiła dalej, nie zważając na kryzys egzystencjalny dziewczyny.

– Skoro do ciebie przyszli – ciągnęła – mieli ku temu powody. Tacy jak oni nigdy nie działają bez powodu, ani z dobroci serca, ani też w odpowiedzi na najohydniejsze zbrodnie. Nie mają skrupułów, nie wykonają też najmniejszego ruchu, jeśli nie przysłuży się to

realizacji ich planów. Uważaj, dziecko. Uwikłanie w machinacje tych stworów jest gorsze nawet od Przemiany.

– Czym w ogóle są? – zapytał Kaleb, mrużąc oczy. – Bo chyba nie demonami?

– Rzeczywiście – zaśmiała się Goth. – Są okrutniejsi niż którykolwiek z nas. Demon zabije ciebie, twoją rodzinę i pożywi się waszymi szczątkami. A oni? Nałożą na ciebie obowiązki, zmuszą rodzinę do niewolniczego wykonywania ich planów i będą pociągać za sznurki nawet tysiąc lat po tym, jak wszyscy umrzecie i obrócicie się w proch. Jeśli cenicie sobie wolność, trzymajcie się od nich z daleka!

– Jesteś demonem. Nie możemy ufać w ani jedno twoje słowo – rzuciła ostro Sien, po czym spojrzała na pozostałych. – Musimy iść. Zabijcie ją albo zostawcie tutaj, wszystko jedno.

– Jeszcze nie – zaprotestowała Elan. – Ona ma informacje, których potrzebujemy.

– Mąci ci w głowie! – warknęła Sien’el. – Gdy raz dopuścisz ją do swoich myśli, nigdy się nie odczepi!

– Wypraszam sobie, aż tak podła nie jestem. – Ser’Goth zaśmiała się cicho. – Dziękuję jednak za tak serdeczny komplement.

– Czym tak naprawdę są te... maszyny? – zapytała Elan, tym razem ciszej.

Ser’Goth potrząsnęła głową, zanim odpowiedziała z nutką życzliwości w głosie:

– Dziecko, nie jesteś gotowa na taką wiedzę.

– Muszę to wiedzieć.

Demonessa chciała zapewne zbyć ją szybką odpowiedzią, wzięła jednak oddech i zastanowiła się.

– Są sługami Stwórcy – oznajmiła w końcu.

– Stwórcy czego? – spytał gniewnie Kaleb.

– Wszystkiego. Tego świata, wszechświata, was, całej ludzkości... – Goth na chwilę zawiesiła głos. – A także mnie. Demonów. Wszystkiego.

Elan zadrżała.

– Kto mógłby to zrobić? Kto byłby w stanie stworzyć...

– Mnie? – Ser’Goth uśmiechnęła się drapieżnie. – Oto jest pytanie! Powiadają, że Stwórca jest wszechwiedzący, a jego miłość nie zna

granic. Osobiście uważam, że to parszywy tyran, gorszy od najgorszego demona. Choć, oczywiście, nie jestem obiektywna.

Elan pokręciła głową. Nic z tego nie wydawało się mieć żadnego sensu, teraz jednak nie miała czasu na rozterki.

– Straciliśmy już zbyt wiele czasu. – Sien wyraziła na głos myśli Elan. – Czas ruszać.

– Jeszcze jedno – powiedziała Elan z mocą, podchodząc do spętanego demona. – Gdzie odbywa się rytuał?

Ser’Goth powoli oblizwała wargi i demonstracyjnie wciągnęła powietrze.

– Pachniesz pożarem, dziecino – powiedziała gardłowym głosem. – Prawie tak cudownie jak młody Jolnir...

– Odpowiadaj!

– Niby dlaczego? – dopytywała Goth.

– Trafiłaś do celi zakuta w żelazo – wtrącił się Kaleb. – Mało ci? Nie chcesz się odegrać?

Demonessa zaśmiała się niefrasobliwie, potrząsając łańcuchami.

– To dla mnie jedynie drobna zniewaga, szczeniaczku. Nie darzę miłością demonów, ale was z całą pewnością również nie. Zamilcz więc i pozwól lepszym od siebie omówić ważne sprawy.

– Czego chcesz? – zapytał Jol.

– A cóż masz do zaoferowania, Jolnirze? – szepnęła Goth, uśmiechając się szerzej.

Młodzieniec poczerwieniał i stropił się, ale nie odpowiedział.

– Może odrobinę zabawy i coś na ząb, jak za dawnych czasów? – dopytywała demonessa.

– Pieprzyłeś się z tym czymś? – parsknęła Sien, odsuwając się od Jolnira.

– Był doprawdy wspaniałą zabaweczką – potwierdziła Goth, nie przestając się uśmiechać. – Sprawiał się tak dobrze, że przymykałam oko, kiedy zabijał inne demony. To niewielka cena za chwilę przyjemności.

– Dość tego – przerwała Elan. – Zadał ci pytanie. Czego chcesz?

Goth spojrzała na nią, prychnąwszy z niezadowoleniem.

– Ale jesteś sztywna. Niech ci będzie. Choć, prawdę mówiąc, nie wiem, czemu tak ci na tym zależy. Rytuał już się rozpoczął. Jeśli teraz go zatrzymacie, opóźnicie tylko nieuniknione, i to nieznacznie.

Lepiej byłoby dla was uciec. Być może znaleźlibyście sobie kryjówkę, w której demony was nie dopadną, gdy piekło już pochłonie wasz świat i zanim zacznie się wasza Przemiana.

– Nie masz więc powodu, aby nie odpowiedzieć, prawda?

– Możliwe. Jaki miałabym jednak powód, aby odpowiedzieć?

– Właśnie dlatego zapytaliśmy, czego oczekujesz. – Tym razem to Elan uśmiechnęła się szyderczo. – Myślenie nie idzie ci dzisiaj zbyt dobrze, co?

W oczach Goth pojawił się gniewny błysk, gdy demonessa z trudem powstrzymywała kąśliwą ripostę.

– Racja – wycedziła przez zęby. – A co mi tam? Rytuał trwa na szczycie wieży. Poszliście w złym kierunku.

– Nie, to bez sensu. – Elan spochmurniała. – Trzeba go odprawić blisko linii geomantycznych.

– Proszę, proszę. – Goth się ożywiła. – Ktoś tu odrobił lekcje. Ciekawe, skąd wiesz o takich rzeczach... – Nie doczekawszy się odpowiedzi, wzruszyła ramionami. – Nic nie mówisz? Trudno. Zazwyczaj miałabyś rację. Jeśli jednak ma się solidną wieżę, osadzoną na głębokich fundamentach, nie trzeba schodzić pod ziemię. Wystarczy przesłać moc przez budynek.

Elan wzięła głęboki oddech, wznosząc oczy, jak gdyby chciała przeniknąć wzrokiem liczne kondygnacje. Tak naprawdę słuchała jednak szeptów Merlina i Nimue.

– To prawda – powiedziała chwilę później. – Niepotrzebnie tu schodziliśmy.

Rzadko korciło ją, żeby zakląć. To była jedna z takich chwil. Rytuał trwał w najlepsze, a oni nie dość, że stracili cenne minuty na rozmowę z demonem, to jeszcze znajdowali się w niewłaściwym miejscu.

– Nie ma wind, więc trzeba wejść schodami – stwierdził Jol. Wiedział co nieco o windach i pamiętał, że życie w Mieście było bez nich jeszcze gorszą udręką. – Pora ruszać.

– Zaczekajcie – poprosiła Goth, gdy grupa już zmierzała do wyjścia.

Jol zatrzymał się i obejrzał na nią.

– Niby na co?

– Wypuście mnie.

– Chyba oszalałaś – zdumiał się młodzieniec. – I tak masz wielkie szczęście, że cię nie zabiliśmy! Głupio robimy, zostawiając cię żywą, nawet w łańcuchach.

Zerknął przepaszająco na Elan, która jedynie wzruszyła ramionami.

Prawdę mówiąc, mogła mu przyznać rację. Nie potrafiła jednak bez wahania odebrać życia obojętnej demonessie, ani nawet wydać rozkazu egzekucji. Istniały granice, których nie należało przekraczać, jeśli chciało się zachować resztki człowieczeństwa.

– Proszę... Może przez wzgląd na dawne czasy? – Goth puściła oko do Jolnira, który zadrżał z obrzydzeniem. – Nie? A jeśli zdradzę wam tajemnicę?

– Jaką?

– Powiem wam, jak możecie szybciej dotrzeć na szczyt i co tam zastaniecie.

Elan podeszła do niej ze spojrzeniem zimnym jak lód.

– Jeżeli mnie okłamiesz, rozwłóczę twoje ścierwo po tej celi!

ROZDZIAŁ 21

OŚRODEK BADAWCZY W REDUCIE PÓŁNOCNEJ

Nimue miała ochotę krzyknąć, widząc wydarzenia rozgrywające się po drugiej stronie świata. Chętnie zaprotestowałaby przeciwko decyzjom ludzi, wiedziała jednak, że niedobrze jest krytykować kogoś, kto działa w terenie, jeśli samemu siedzi się daleko od zagrożenia.

Nigdy jednak nie uważała układów z demonami za dobry pomysł i nie mogła ścierpieć, że ludzie zgodzili się zawrzeć taki układ, nawet jeśli zaoferowali stosunkowo prostą przysługę w zamian za kluczowe informacje.

Milczała więc i nasłuchiwała, gdy żeński demon opowiadał o sytuacji na dachu wieży, wtajemniczając wojowników w arkana rytuałów. Elan usiłowała przyłapać demonessę na kłamstwie, ta jednak, ku bezbrzeżnemu zdziwieniu Nimue, wydawała się mówić prawdę.

„Albo też kłamie zbyt przebiegle, żebym mogła to zauważyć” – pomyślała projekcja z goryczą.

Odsunąwszy ego na bok, miała świadomość zbyt wielu niewiadomych, przez które mogłaby uwierzyć w kompletną bzdurę. Chwilowo jednak nie mogła nic z tym zrobić, więc wróciła do badań ze zdwojoną siłą, wykorzystując nowe informacje, by uzupełnić braki.

„Jeśli mówi prawdę, zostało nam najwyżej kilka godzin” – pomyślała, wyrzucając fragmenty badań niepasujące do świeżych danych i formułując nowe pomysły. „Gdy proces osiągnie punkt kulminacyjny, nie zdołamy go w żaden sposób powstrzymać”.

Prawdę mówiąc, im lepiej poznawała teorię i rzeczywistość obecnych wydarzeń, tym większą odczuwała fascynację. Możliwość zredefiniowania wszechświata według własnego uznania była

czymś zdumiewającym, choć rytuał przepełniała niewyobrażalna groza.

Najbardziej przerażające było to, że umiejętność taką posiadli wrogowie ludzkości.

Teoria o podporządkowywaniu podstawowych praw natury własnym pragnieniom wyłącznie poprzez zdyscyplinowane wykorzystanie woli wywróciła do góry nogami wiele przekonań Nimue co do natury wszechświata. Inteligencja знаła wielu ludzi o świątłych umysłach, którzy z miejsca zanegowaliby taką koncepcję, uznając ją za nierealną.

Jak się okazało, była ona jak najbardziej realna.

„Jeśli demony coś takiego potrafią, to my również” – stwierdziła Nimue z determinacją. Wszystko zależało od inteligentnego i rozsądnego wykorzystania właściwych sił.

Najpierw jednak garstka ludzi musiałaby ująć z życiem po tym wydarzeniu... A obecnie wyglądało to na coraz mniej prawdopodobne.

Zamiast więc wyrzucać Elan pertraktowanie z uwięzionym demonem, Nimue pogodziła się z tym aktem desperacji. Trzeba postawić wszystko na jedną kartę. Ukrywanie czegokolwiek było bezcelowe.

Mimo frustracji i złych przeczuć Nimue zdawała sobie sprawę, w jak beznadziejnej sytuacji są ludzie i jak wiele ryzykują wszyscy biorący udział w tych wydarzeniach...

Bo przecież była z nimi i podejmowała to samo ryzyko.

Teraz ważyły się losy wszystkich stworzeń na planecie.

CYTADELA

Ser'Lis czuła, jak pulsuje w niej energia, gdy rytuał nabierał rozpędu. Moc wracała falami do mistrzów runów, by odbić się i trafić z powrotem do samego jądra planety.

Już wkrótce ten świat miał stać się częścią Kręgów i przyczółkiem, z którego demony wyruszą na podbój wszechświata.

Gdzieś w oddali huknął piorun, jednak tym razem Lis wolała go zignorować. To, co wcześniej ją ciekawiło, teraz było irytujące.

„Nie mogliby już zdechnąć?” – pomyślała, znużona.

Wysłała do boju wszystkie pozostałe demony. Powinno to wystarczyć, żeby pogrzebać dwóch zdrajców pomimo ich imponujących, wrodzonych zdolności magicznych. Ci jednak, jak na złość, nie chcieli zginąć.

Pozostawali jednak w mieście i najwyraźniej męczyli się z hordą demonów. Nie powinni zatem zakłócać rytuału, choć Pani Cytadeli wątpiła, czy w tej chwili w ogóle mogliby go powstrzymać.

Było to prawie niemożliwe, jednak jeśli ktoś miałby znaleźć sposób, na pewno byłby to któryś spośród zdrajców.

Kątem oka zauważyła jakiś ruch. Wicekról pojawił się na skraju dachu i wszedł po kilku ostatnich schodach prowadzących na szczyt wieży.

– Pani. – Skłonił się. – Widzę, że wszystko idzie jak należy.

– W rzeczy samej. Jesteśmy już blisko osiągnięcia celu – odpowiedziała Ser’Lis. – Jak sytuacja na dole?

– Horda walczyła, ale zdrajcy, o ile się orientuję, wybrali odwrót – zameldował Serg’in.

Ser’Lis wydało się to... dziwne.

– Dlaczego? – zastanawiała się na głos. – Jeśli dobrze pamiętam, zwykle nie postępują w ten sposób po zdemaskowaniu.

– Racja. Zdrajcy zazwyczaj udają ludzi – odparł wicekról. – Jeżeli zrzucają maskę, to zwykle po to, by uciec przed walką.

– Teraz jest inaczej? – zapytała władczyni.

– Na to wygląda. Gdyby chcieli zbiec, mieli już wiele okazji.

Lis mruknęła pod nosem, rozważając ten dylemat.

– Skoro więc nie chcą uciekać... powinni stanąć do walki, prawda?

– Zwykle tak by było – zgodził się wicekról.

– Dlaczego więc biegną, ale nie uciekają, walczą, ale nie ścierają się z demonami?

– Obawiam się, że nie znam odpowiedzi.

Pani Cytadeli potrząsnęła głową. Przeszła na bok, by spojrzeć na teren u stóp wieży.

Było już ciemno i nawet jej oczy nie mogły dojrzeć wszystkich szczegółów. Widziała tłące się zgłiszczą po pożarach. Niektóre z nich musiały być również dziełem płomieni zdrajców, lub też ich błyskawic.

Poza tym widziała głównie ruch w ciemności. Z pewnością była to horda ścigająca dwójkę wrogów.

„Co wy knujecie?”

Sindri wypadł z wąskiej alejki. Tuż za sobą miał grupkę demonicznymyśliwych. Musieli wywodzić się najwyżej z Drugiego Kręgu, byli jednak nieugięci. Nie zarzucili pościgu pomimo licznych prób usmażenia ich piorunami. Sindri byłby pod wrażeniem, gdyby nie był tak cholernie wkurzony.

„Gdzie, u licha, podziewa się Brokkr?”

Sindri wyhamował w opustoszałym fragmencie osiedla i zawirował z młotem, akurat kiedy jeden z myśliwych rzucił się na niego. Demon cofnął się do zezwierzęconej postaci, chodzącej raczej na czterech łapach niż na dwóch. Z każdej kończyny wyrastały cztery ostre jak brzytwa szpony, przypominające małe miecze.

Sindri uchylił się przed atakiem i uderzył potwora w tułów, gruchocząc mu mostek i powalając wyjącego z bólu przeciwnika. Gdyby był to pies albo inne zwierzę, Sindri mógłby mu nawet współczuć, wiedział jednak, z czym walczy, i nie mógł pozwolić sobie na sentymenty.

Inne demony już na niego szarżowały. Były zbyt blisko, więc nie mogąc ich uniknąć, Sindri stanął do walki, trzymając w dłoniach młot skwierczący od energii elektrycznej.

– No chodźcie, sukinsyny! Zobaczymy, jak radzicie sobie w prawdziwej bijatyce!

Brokkr wpadł na ścianę i oparł się o nią na chwilę, raz jeszcze sprawdzając ranę w boku.

„Już prawie się zagoiła”.

Zapomniał już, w jaki szal wpadają demony w kontakcie z mocą Niebios. Jak wygłodniałe psy, jeśli pomachać przed nimi smakowitym kawałem mięsa.

Brokkr znalazł chwilę oddechu, kryjąc się na kilka sekund przed pościgiem. Nie mógł zwlekać, ale i tak nie potrzebował wiele czasu.

Miał tylko nadzieję, że jego brat i inni są cali.

Jakby w odpowiedzi na tę myśl, zaskoczył go grzmot i jasna błyskawica. Brokkr uśmiechnął się. Przynajmniej Sindri jeszcze dychał.

Rozglądając się, Brokkr zauważył piorun spadający z nocnego nieba na ziemię niedaleko jego kryjówki. Wojownik odepchnął się od ściany i ruszył przed siebie.

„Już niedługo”.

CYTADELA

„Już niedługo”.

Simone, jednocześnie wyczerpana i podenerwowana, kończyła organizowanie obrony. Miała nadzieję, że Elan i pozostali jak najszybciej znajdą to, czego szukali, bo gdy demony zrozumieją, co się święci, ludzie nie zdołają utrzymać pozycji wystarczająco długo.

Po zajęciu parteru zabili większość strażników, Simone była jednak pewna, że przynajmniej kilka demonów uszło z życiem, by zawiadomić innych. Kiedy wiadomość się rozejdzie, wszystko będzie zależeć od tego, jak bardzo demony zapragną odzyskać kontrolę nad wieżą. Mogły to zrobić bez większego wysiłku.

„Byłoby łatwiej, gdyby dało się szczelniej zablokować te wyrwy”.

Nie wiedziała, co wcześniej znajdowało się w tych miejscach. Otwory były za wielkie na jakiegokolwiek zwykłe drzwi. Cokolwiek jednak tam było, zniknęło już dawno temu i teraz w wieży ziały ogromne dziury, wychodzące na dziedziniec.

– Przenieście tam więcej rzeczy – poleciła kobieta. – Zabarykadujmy się najlepiej jak możemy!

Mężczyźni i kobiety zastawiali wyrwy wszystkim, co znaleźli, jednak demony prawie zupełnie ogołociły wieżę i nie było czym zapełnić pustki.

„Jeśli się nie uda, będzie nam potrzebny plan awaryjny”.

AVALON

Merlina frustrowała stosunkowo mała ilość informacji o walce. Transmisje przekazywała jedynie garstka wojowników. Nie dało się obdzielić wszystkich sprzętem, choć systemy produkcyjne pracowały na zwiększonych obrotach.

Istniało zbyt wiele spraw priorytetowych, wymagających uwagi. Rzeczy, które w wielu przypadkach decydowały o życiu i śmierci lub po prostu wydawały się istotniejsze. Teraz Merlin przeklinał niektóre ze swoich decyzji. Parę dronów zwiadowczych mogłoby dać mu o wiele lepszy ogląd sytuacji. Był nie miał jednak pewności, czy jakiegokolwiek jego dzieło wpłynęłoby na bieg wydarzeń.

„Nie mogę nie zauważyć pewnej ironii” – myślał ponuro, obserwując otoczenie oczami Elan.

Tocząc przez wieki walki zmieniające kształt świata, ludzie posługiwali się najbardziej zaawansowanymi i niszczycielskimi rodzajami broni. Tylko po to, by w ostatniej bitwie ta niegdyś wspaniała rasa zeszła do poziomu bezmyślnych dzikusów, uzbrojonych głównie w zaostrzone patyki.

Merlin sam nie wiedział, co o tym myśleć.

Oczywiście utrata tak wielkiej wiedzy i potencjału była tragedią, nie do zniesienia nawet dla niemal boskiej inteligencji. Mimo to nawet taka chwila potrafiła dostarczyć inspiracji.

Ciekawe, czy po tym wszystkim ostanie się ktokolwiek, kto dałby się zainspirować.

Merlin pospieszał w myślach Elan i jej drużynę, wspinających się w górę wieży zgodnie ze wskazówkami demona. Czasu było niewiele.

Nowa transmisja ukazywała strukturę harmoniczną fali wprowadzonej do sieci geomantycznej. Merlin widział, że zbliża się koniec.

Koniec wojny? Czy też koniec ludzkości?

ROZDZIAŁ 22

CYTADELA

– Tędy. – Goth uśmiechnęła się, wskazując kierunek.

– Idź przodem – poleciała Elan z ręką na kolbie.

– Wedle życzenia – odparła usłużnie Ser’Goth.

Elan i Kaleb spojrzeli na siebie, gdy demonessa odwróciła się i ruszyła na czele grupy. W ogóle im się to nie podobało, nie mieli jednak wyboru. Potrzebowali informacji, a ryzyko było zbyt wielkie, by dopuszczać do głosu skrupuły.

– Jesteś pewna, że wiesz, co robisz? – zapytała Sien z napięciem w głosie.

– Gdybym miała taką pewność, lepiej byłoby mnie zabić – odrzekła Elan. – Znaczyłoby to, że doszczętnie zgłupiałam.

– Wiecie, że wszystko słyszę, prawda? – Ser’Goth odwróciła się, unosząc brwi.

– Wiemy.

Kobieta-demon potrząsnęła głową, wzdychając ciężko.

– Nie ma już zaufania na tym świecie.

Szyderczy uśmieszek, z jakim wypowiedziała te słowa, bynajmniej nie utwierdzał Elan w przekonaniu co do słuszności podjętej decyzji.

– To tutaj – oznajmiła Goth, gdy dotarli do drzwi wbudowanych w ścianę.

– Co to takiego? – zapytał podejrzliwie Jol, przeciskając się, żeby lepiej widzieć, a jednocześnie nie podchodzić zbyt blisko demona.

– Kiedyś nazywano to windą towarową. – Goth wzruszyła ramionami. – Nie podam wam wszystkich szczegółów, ale z tego, co słyszałam w Lemurii, często używa się takich urządzeń, aby transportować większe przedmioty bez zakłócania mieszkańcom i pracownikom codziennych zajęć. Dlatego windy umieszczono w ustronnych miejscach. Lis zakazała demonom korzystać z tego konkretnego egzemplarza, kiedy zniszczono główne dźwigi, jednak zachowała go, choć wcale nie jest jej potrzebny.

– Lis? – Jolnir nie mógł zapanować nad ciekawością.

– Moja siostra – wyjaśniła Goth z niemal życzliwym uśmiechem. – To z nią będziecie musieli się zmierzyć na szczycie wieży, jeśli chcecie mieć nadzieje, jakkolwiek złudne, na osiągnięcie swojego celu.

Przesunęła dłoń nad płaskim kwadratem, który się rozjaśnił wraz z szeregiem innych lampek. Rozpoczęło się szybkie odliczanie i już po paru sekundach drzwi zniknęły, tak samo jak robiły to w kilku innych starożytnych konstrukcjach.

– Tutaj się rozstajemy – powiedział Goth. – Wjedźcie windą na samą górę. Stamtąd dotrzecie na dach schodami. Radzę jednak uważać. Najwyższe piętro należy do Lis. Nie lubi, kiedy ktoś narusza jej prywatność.

Odsunęła się na bok, wciąż zwrócona twarzą do grupy ludzi.

– Dlaczego miałibyśmy ci zaufać? – burknął Tur.

– Wcale nie musicie. Wjedźcie windą lub wejdźcie po schodach – odparła, posyłając mu złośliwy uśmiech. – Ostrzegam jednak, że wieża jest bardzo wysoka.

Elan spochmurniała. Dobrze wiedziała, że demon nie żartuje. Nie zdołała zliczyć wszystkich kondygnacji, jednak jej pancerz i transmisje przesyłane Merlinowi dawały jasno do zrozumienia, że wysokość wieży przekracza wyobrażenia dziewczyny, oparte na wiedzy o budownictwie wyniesionej z Atlantydy.

Z zasobami dostępnymi na wyspie wznoszenie podobnych budowli pozostawało niemożliwe bez pomocy cudownej technologii Starożytnych. Gdyby drużyna Elan podjęła wspinaczkę, nawet z pomocą pancerzy, po dotarciu na szczyt zapewne nie byłaby w stanie walczyć. Co gorsza, zajęłoby to kilka godzin.

– Wchodzimy do windy – zdecydowała, przestępując wejście.

Obejrzała się, unosząc brwi. Inni wahali się przez chwilę. Kaleb jako pierwszy stanął przy Elan, a reszta poszła za jego przykładem. Elanthielle raz jeszcze popatrzyła na uśmiechniętą demonessę.

– Do zobaczenia, gołąbeczki! – Goth pomachała im wesoło.

– Jeśli znów się zobaczymy, nie oczekuj, że skończy się tak samo – ostrzegła Elan. Potem dotknęła przycisku uruchamiającego windę.

– Na to właśnie liczę, drogie zwierzaczki – zdążyła jeszcze rzucić Ser’Goth.

Gdy drzwi się zamknęły, winda pomknęła do góry, wciskając w podłogę piątkę wojowników.

– Nie podoba mi się, że puściliśmy ją żywcem – powiedziała Sien z irytacją.

– Nikomu się to nie podoba – odparła Elan. – Ale czas nas goni i mamy inne priorytety.

– Nie mówię, że nie mamy – odburknęła kobieta. – Po prostu mi się to nie podoba.

Liczyby oznaczające poszczególne piętra migąły im przed oczami. Elan ledwie mogła je policzyć. Pierwsze dziesięć było jeszcze widocznych, jednak winda z każdą chwilą nabierała prędkości.

Dziesięć zmieniło się w dwadzieścia, dwadzieścia w pięćdziesiąt. Minęli już sto pięter i nadal nie zwalniali. Przy dwusetnym Elan zaczęła się denerwować.

Wreszcie, tuż nad dwieście pięćdziesiątą kondygnacją, dziewczyna poczuła, że unosi się lekko nad podłogą. Winda zaczęła stopniowo zwalniać, aż w końcu dojechali do piętra numer dwieście dziewięćdziesiąt dziewięć.

Rozległ się brzęczyk i drzwi stanęły otworem przy akompaniamencie strzelających bębenków w uszach. Nagła zmiana ciśnienia zaskoczyła wojowników. Wyjrzeli z niepokojem na skromny korytarz.

– Nie wygląda to na kwaterę Pani tej wieży – stwierdził Jol ostrożnym tonem.

– Lis mówiła, że przewozi się tędy rzeczy tak, by nie przeszkadzać innym – przypomniała Elan. Wyszła z windy z dłonią nad kaburą i rozejrzała się po korytarzu. – To pewnie dlatego.

– Chyba tak. – Jol ścisnął nerwowo młot. – Którędy teraz?

– Nie wiem – przyznała Elan. – Może wybierzemy na chybił trafił i będziemy liczyć na łut szczęścia?

– Przestańcie gadać i ruszcie się – ponaglił ich Tur, mijając ich i ruszając w prawo.

Sien poszła za nim. Pozostali popatrzyli po sobie, wzruszyli ramionami i po chwili dołączyli do pary wojowników.

– Wicekrólu!

Lis i Serg odwrócili się, zaskoczeni, gdy na dach wpadł jakiś demon. Wyglądał, jakby ktoś go gonił, co wydawało się dość absurdałne. Nigdzie nie było bezpieczniej niż na szczycie wieży.

– Co się dzieje? – warknął wicekról z irytacją.

– Ludzie zajęli Cytadelę!

Władcy wlepili w niego zdumiony wzrok, potem spojrzeli po sobie, by w końcu zwrócić się ponownie do posłańca.

– Powtórz to – rozkazał Serg'in. – Przecież przed chwilą byłem na parterze i wówczas w pobliżu Cytadeli nie było żadnych ludzi!

– Nie wiemy, skąd przyszli. W każdym razie ludzkie siły przejęły cały parter i przepędziły broniące go demony.

– Jakież to demony trzymałeś w rezerwie, wicekrólu? – zapytała Ser'Lis głosem ociekającym sarkazmem. – Mięso armatnie miało ścigać zdrajców, a nie bronić Cytadeli.

– Zostawiłem na straży wyłącznie demony od Piątego Kręgu wzwyż – bronił się wicekról. – W tym kilka z Trzeciego, a nawet żołnierza z Drugiego.

– Zginął od razu – odparł posłaniec.

– Co się tam wyprawia, na wszystkie Kręgi? – wybuchła Ser'Lis.

– Sam się z nimi policzę – warknął Serg.

– Nie bądź idiotą! – oburzyła się Lis. – Jeśli posłaniec nie kłamie, ci ludzie załatwili demona Drugiego Kręgu w mgnieniu oka.

– Ten tutaj jest imbecylem i zapewne tchórzem – powiedział wicekról, celując szponem w demona, który nagle zapragnął znaleźć się jak najdalej od tej kłótni.

– Całkiem możliwe, ale nie ma sensu ryzykować – zaproponowała Lis. – Możesz iść, przedtem jednak zbierz siły, żeby odeprzeć atak. Broń mojej Cytadeli, wicekrólu!

– Tak... Pani – wychrypiał dostojnik. Potem obrócił się na pięcie i podszedł do krawędzi dachu, by jak najszybciej dostać się na dół.

Lis patrzyła na niego, gdy zeskakiwał. Po chwili zwróciła się gniewnie w stronę posłańca.

– No? Na co jeszcze czekasz? Zbiegnij na dół i zacznij zabijać ludzi!

Demon pokiwał gorączkowo głową, po czym rzucił się do schodów. Władczyni przewróciła oczami.

„Otaczają mnie sami kretyni”.

Korytarz otwierał się na szeroką przestrzeń, wypełnioną luksusowymi przedmiotami. Jol pokiwał głową.

– No, to rzeczywiście wygląda jak rezydencja władcy – stwierdził.

– Zdajesz się sporo wiedzieć na ten temat – szydziła Sien. – Powiesz nam, jak wygląda jej sypialnia?

– Na pewno lepiej niż twój barłóg – odparł cierpko młodzieniec. Włóczniczka parsknęła z oburzeniem.

– Nie muszę wysłuchiwać chłoptasia jakiegoś demona – odcięła się.

– Sama zaczęłaś. Jeśli chcesz, żebym się zamknął, zrób to pierwsza.

– Przestańcie oboje! – warknęła Elan. – Mamy zadanie do wykonania, a dogryzając sobie nawzajem, na pewno nie pomożecie. Kaleb, sprawdź tę stronę, od schodów. Jol, idź w przeciwnym kierunku.

– Jasne. – Kaleb bez protestów przystąpił do pracy. Jol również, choć mniej ochoczo.

Elanthielle patrzyła przez chwilę na Sien i Tura.

– Nie znam żadnego z was, ale Jolnir twierdzi, że umiecie walczyć. Poręczył za was jako jedyny – oznajmiła. – Powinniście o tym pamiętać. Żaden z ludzi walczących na dole nic mi o was nie mówił, a znaczą oni dla mnie więcej niż wasza dwójka. Jeśli chcecie wszczynać konflikty, zaczekajcie do końca obecnej wojny. Zrozumiano?

– Tak – mruknął Tur, kładąc dłoń na ramieniu Sien.

Ta stężała na chwilę, jednak zmusiła się do uspokojenia i przytaknęła.

– Jasne – powiedziała. – Będę nad sobą panować.

Elan skinęła głową, wiedząc, że nie może liczyć na nic lepszego.

– To dobrze – powiedziała. – Rozejrzyjcie się teraz za schodami albo innymi rzeczami, które mogłyby nas zainteresować.

– A ty co będziesz robiła?

Elan spojrzała na ścianę wypełnioną książkami. Niektóre z nich wyglądały... znajomo.

– Muszę sprawdzić coś innego – rzuciła. – Jeśli cokolwiek znajdziecie, będę tu czekać.

Simone uniosła wzrok, słysząc głośny huk. Zdawał się dochodzić z zewnątrz, ale nie z tak daleka, jak pioruny i zgiełk walk w głębi osiedla.

– Bor – zawołała – sprawdź, co to było.

– Już się robi – odpowiedział. Odepchnął się od ściany, o którą się opierał, i chwycił buławę.

Był postawnym mężczyzną, a przy tym dość zręcznym wojownikiem, który od dawna służył u boku Simone. Kobieta machnęła jednak na kilku innych, by udali się z Borem. Nie mogła zakładać, że któremukolwiek z jej zaufanych ludzi nie stanie się krzywda, gdy zagrożenia czyhały na każdym kroku.

Dotknęła komunikatora od Merlina, patrząc, jak jej podkomendni zbliżają się do zabarykadowanego wejścia.

– Słucham? – odezwał się byt z Avalonu.

– Wiemy, co dzieje się z pozostałymi? – zapytała Simone, nerwowo zaciskając dłoń na głowicy miecza.

– Cała piątka przeniosła się na najwyższe piętro Cytadeli – poinformował ją Merlin. – Według nowych informacji to tam nieprzyjaciel odprawia rytuał.

– Myślałam, że podziemia lepiej się do tego nadadzą.

– Zazwyczaj tak by było, teraz jednak znajdujecie się w monolitycznej wieży – wyjaśnił Merlin. – Zbudowano ją z miejscowej skały, utwardzonej i wzmocnionej za pomocą specjalnych technik. Podczas rytuału można przesłać moc do fundamentów praktycznie z dowolnego miejsca w konstrukcji.

– Po prostu wspaniale – parsknęła kobieta. – Jak się o tym dowiedzieli?

Merlin zawahał się. Simone zauważyła to i nie czuła się z tym dobrze.

– Merlinie... – warknęła złowrogo.

– Informacje przekazał im demon – odparł byt niewesołym tonem.

– Elanthielle ma się na baczności, jednak jak dotąd wszystko

potwierdza prawdziwość tych danych.

– „Jak dotąd”. Dobrze powiedziane. – Simone potrząsnęła głową. Czowała frustrację, ale nie zamierzała dać się ponieść złości. – Niech będzie. Utrzymamy tę pozycję tak długo, by zdążyła sprawdzić, czy się nie pomyliła.

– Dziękuję – odparł Merlin.

– Mnie nie musisz dziękować. Wszyscy chcemy to zakończyć, tu i teraz – powiedziała Simone. – Nie podoba mi się tylko, że musimy trzymać za słowo demona.

– Sądzę, że każdy by się z tym zgodził.

Simone już miała odpowiedzieć, gdy jej uwagę przyciągnął krzyk, a potem nagłe poruszenie i hałasy przy wejściu.

– Muszę kończyć – rzuciła i pobiegła zbadać sprawę.

Bor zmarszczył brwi, podchodząc do barykady skleconej pospiesznie w głównym wejściu. Zastanawiał się, co było źródłem hałasu. Możliwości było niewiele. Mogły to być, rzecz jasna, demony, albo równie dobrze odpadające fragmenty kiepsko utrzymanej wieży.

Mężczyzna widział jednak, że w przeszłości Cytadela była imponującą budowlą. Znał się na stawianiu budynków, choć oczywiście w mniejszej skali, wystarczająco dobrze, by wyobrazić sobie, jak wieża wyglądała w czasach świetności. Zdumiewały go gładkie podłogi i ściany, a także przestronne wnętrza.

Niestety, demony dokonały zbrodni na tym miejscu, niszcząc wszystko bezpowrotnie, gdyż były zbyt leniwe, czy po prostu obojętne, by choć w najmniejszym stopniu zadbać o ocalenie przeszłości.

Postępowały tak ze wszystkim. Myśl o tym złościła Bora wręcz wyjątkowo. Wystarczyłaby odrobina pracy, ale potwory nie zechciały nawet zagonić do niej najpodlejszych sługusów.

„To obrzydliwe”.

Ponaglił machnięciem grupę przyjaciół, wyglądając przez szczeliny w barykadzie.

– Nie zapuszczajcie się za daleko, żebyśmy mogli was osłaniać, ale postarajcie się znaleźć źródło tego łomotu.

– Jasne, Bor.

Nic nie wskazywało, by coś się uszkodziło lub obłuzowało. Bor pozostawał jednak czujny. Wiedział, że tylko barykada oddziela ludzi od demonów, które mogą wrócić w każdej chwili.

Gdy już miał kończyć obserwację, usłyszał wołanie jednego z przyjaciół:

– Hej! Chyba coś tam widzę!

– Co takiego? – spytał Bor.

– Sporo pyłu. Wygląda, jakby coś uderzyło o ziemię.

Bor chciał odpowiedzieć, uprzedził go jednak inny głos dobiegający z bliska. Głos mrozący krew w żyłach.

– Gratuluję spostrzegawczości – odezwał się ktoś sykliwie. – Tym czymś byłem ja.

– Co... – Rwane pytanie zwiadowcy przerodziło się w krzyk, gdy z mroku nocy wyłonił się cień, który otoczył mężczyznę, by potem nagle zniknąć.

Bor rzucił się do sprintu, wyciągając buławę.

– Odsunąć się od barykady! – krzyknął. – Na zewnątrz jest demon!

– Chyba go widzę! Jest...

Kolejny człowiek krzyknął, gdy cień poruszył się ponownie, tym razem przybierając wyraźniejszą formę. Postać o skórzastych skrzydłach rzuciła się na zwiadowcę i wgniotła go w ziemię.

Bor dotarł już na miejsce i nie zawahał się ani przez chwilę. Wziął jak największy zamach, nie zwalniając biegu. Uderzył buławą w twarz potwora, wkładając w to całą siłę. Żelazna głowica rozszarpała ciało demona z mokrym, satysfakcjonującym chrupnięciem. Bor zatrzymał się i zamarkował kolejny cios.

– Bolało... – zasyczał demon, osłaniając się ręką. – Ale to zaboli jeszcze bardziej!

Bor ledwo zdążył zauważyć atak, gdy przeciwnik wyciągnął szpony, uderzył od dołu, przebił się do wnętrza i przekręcił rękę. Mężczyzna stęknął, unoszony nad ziemię nie przez siłę ataku, ale przez niewiarygodną moc ramienia napastnika.

Obrońca nie wypuszczał buławy, tłukąc nią zapamiętałe w demona. Zdołał jednak zaledwie posiniaczyć dłoń potwora

i połamać mu kilka palców.

– Tylko na tyle cię stać? – Potwór przewrócił oczami. – Pora trochę przetrzebić siły obronne!

Bor próbował przekląć demona, jednak nie był w stanie sformułować choćby jednego słowa, postanowił więc splunąć. Potwór spojrzał na niego z oziębłym niedowierzaniem, a potem skrzył szpony jeszcze mocniej.

– Zdychaj, demonie!

Włócznia Simone śmignęła obok Bora, wbiła się w klatkę piersiową demona i posłała go w tył dzięki sile, jaką kobieta włożyła w rzut, ślizgając się na błotnistym podłożu.

Demon zakrztusił się własną krwią, jednak mimo to wydawał się nieporuszony. Rzucił Bora na ziemię i chwycił włócznię. Rosły mężczyzna upadł. Z jego brzucha buchała krew.

Nadbiegali kolejni ludzie. Najpierw włócznicy, ciskający bronią w demona. Ponad połowa włóczni odbiła się od twardej skóry, reszta z trudem ją przebiła. Mimo to każde trafienie zmuszało wroga do cofnięcia o parę kroków.

– Przepędźcie go! – zawołała Simone, napierając na włócznię.

Demon zacharczał i odłamał drzewce w miejscu, gdzie broń przebiła jego ciało. Simone zachwiała się i prawie wpadła w szpony bestii.

– Robactwo! – warknął demon, wciąż cofając się przed atakiem, wolną ręką odbijając bełty i strzały z szyderczą łatwością.

Potem tak szybko, że prawie niezauważalnie rozplynął się w cieniu.

Simone z trudem chwytiała oddech, podnosząc się z ziemi i spoglądając wokół. Wzdrygnęła się, widząc leżącego Bora. Podpełzła do niego, gdy przetoczył się, by usiąść i oprzeć się o ścianę.

– Chyba już wiemy, że tu jesteśmy – zażartował, uśmiechając się słabo.

– Też tak sądzę – odparła Simone.

Bor zamknął na chwilę oczy, potem otworzył je i spojrzał na kobietę.

– Dokończ to, Simone. Słyszysz? Mam dość życia w strachu przed tymi potworami. Spraw, żeby ten trud się opłacił.

– Tak zrobię. Albo zginę – obiecała.
– Właśnie – zaśmiał się z trudem.
– Medyka! – zawołała Simone.
– Szkoda zachodu. – Bor pokręcił głową. – To, co wzięliśmy w teren, w niczym mi nie pomoże. A jesteśmy za daleko od domu, żeby porządnie mnie załatać.
Simone westchnęła, dźwigając się na jedno kolano.
– Możemy spróbować.
– Oszczędzajcie zasoby dla kogoś, kto ma szansę przeżyć. To był dla mnie zaszczyt – szepnął mężczyzna. – Powiedz dzieciakom, że nie zrezygnowałbym z tego za nic w świecie.
– Masz moje słowo.
Bor skinął głową i przymknął powieki. Oddychał spokojnie, ale coraz słabiej. Simone wstała, gdy nadbiegł uzdrowiciel.
– Zbadaj go – poleciła, ignorując słowa rannego. – Jeśli zdołasz mu pomóc, zrób to. Jeśli nie, dopilnuj, żeby nie cierpiał.
– Tak jest.
Kulejąc lekko, Simone pozostawiła rannego z medykiem, spoglądając w cienie za barykadą.
Wiedziała, że demon powróci, a wówczas rozpęta prawdziwe piekło.
– Do roboty! – warknęła ponaglająco. – Mamy mało czasu, żeby się przygotować.
„Elan, Kalebie, cokolwiek robicie... musi wam się udać. Teraz”.

Elan wpatrywała się w książki z kolekcji Pani Cytadeli. Większość została napisana w nieznanym dziewczynie językach i traktowała o zagadkowych tematach. Były wśród nich jednak dwa tomy przyciągające Elan jak płomień ćmę.

Dziewczyna ściągnęła je z półek i przełożyła na stół, by lepiej im się przyjrzeć. Jedna z ksiąg otworzyła się sama. Strony przewracały się w zawrotnym tempie, aż w końcu znieruchomiały.

Elanthielle nachyliła się, mrużąc oczy. Nauczyła się zdrowej nieufności do rzeczy działających samodzielnie i z niewiadomych

powodów. Domyśliła się jednak, że tomiska pochodzą z tego samego źródła co księgi, które znalazła na Avalonie.

„Traktat o sztuce ze wszech miar absurdalnej... Że co?”

Tytuł brzmiał bezsensownie, mimo że rozumiała wszystkie słowa.

„Absurdalna sztuka? Po co mi coś tak bzdur...”

Elan przerwała rozmyślania, wczytując się intensywniej. Zdała sobie sprawę, że w książce mowa jest o rytuałach.

„I to niby ma być absurdalna sztuka? Poza tym... to jakiś podejrzenie szczęśliwy traf”.

Zauważyła, oczywiście, że księgi, które napotykała w życiu, odkąd zaczęła zdobywać wiedzę, miały w zwyczaju pojawiać się w dziwnie dogodnych momentach. Nie były to zwykłe książki, więc Elan musiała się z tym pogodzić.

Im bardziej się nad tym zastanawiała, tym mniej zaskakiwała ją obecność takiej księgi. Przecież demony odprawiały rytuał. To zrozumiałe, że potrzebowały wiedzy, by go przygotować.

– Dziewczyno! Znaleźliśmy schody!

Elan odwróciła się i skinęła głową Sien’el, spoglądającej z niedowierzaniem z drugiego końca komnaty.

– Naprawdę chcesz tracić czas na czytanie? Suka władająca tą wieżą na pewno zgromadziła sporo ciekawych historyjek, ale nie pora na to.

– To księga o rytuałach – odparła Elan z rozdrażnieniem. – Zapewne posłużyła jej do przygotowania obrzędu, który tu się odbywa. Nie każdy problem da się rozwiązać tłuczeniem patykiem, Sien.

– To ty chodzisz z patykiem, dziewczyno – prychnęła Sien’el. – Mój ma grot, dlatego nazywa się go włócznią.

Elan przewróciła oczami i gwałtownie zamknęła księgi. Musiała je mieć pod ręką, choć przecież nie mogła ich dźwigać podczas walki. Były o wiele za duże, by zmieścić się w torbie i...

Rozdziawiła usta z niedowierzaniem. Księgi skurczyły się jakby na zawołanie.

Elan nie zamierzała nawet próbować tego zrozumieć. Zgarnęła tomy do torby, upewniła się, że są bezpiecznie zamknięte, i spojrzała na Sien, równie wstrząśniętą jak ona. Elan uśmiechnęła się tylko, mijając kobietę.

– Zostawię je na później – powiedziała. – Chodźmy.

– Racja...

Sien potrząsnęła głową i podążyła za Elan w stronę schodów prowadzących na dach.

ROZDZIAŁ 23

OŚRODEK BADAWCZY W REDUCIE PÓŁNOCNEJ

Nimue zatrzymała transmisję ze zbroi Elan w momencie, gdy dziewczyna czytała księgę. Sama Pani Wód nie była w stanie rozszyfrować tekstu. Próbowwała z innymi tomami tak wiele razy, że już straciła rachubę. Bez skutku.

Mimo to dokładnie wiedziała, na co patrzy. Zarówno ona, jak i Merlin na Avalonie mieli w swoich zbiorach bardzo podobne, nieczytelne dzieło.

Księgi te słynęły z tego, że wszelkie próby ich odczytania spełzały na niczym, choć wiele najznakomitszych umysłów swoich epok usiłowało zgłębić ich tajemnice. Gdy Elanthielle zdołała odszyfrować część treści i okazało się, że naprawdę przeczytała tom znajdujący się w posiadaniu Merlina, Nimue zaczęła się domyślać, z czym mają do czynienia.

Z księgami spisany nie w ludzkim języku, ale w czymś bardziej... fundamentalnym.

Jeżeli Elan miała rację, a Nimue tak przypuszczała, księga pozyskana przez demony była źródłem informacji o rytuałach. Miało to sens. Nimue wiedziała, że tom Merlina traktuje o sztuce wojny, podczas gdy jej księga była poświęcona magii w ujęciu ogólnym. Odkrycie, że każde dzieło dotyczy ściśle określonego tematu i może dostosowywać się do czytelnika, stanowiło pewien przełom.

Nimue wręcz szaleńczo zazdrościła Elan tego, że potrafiła odczytać te teksty. Międzywymiarowa inteligencja nie zdołała tego uczynić, choć poświęciła im wiele czasu, podobnie jak wielu innych przed nią.

„Skoro jednak demony oparły rytuał na księgach... To czy sprowadziły je tu ze sobą? Czy te teksty wyszły spod rąk potworów?”

Nie, to nie miało sensu, chyba że planowanie i dywersja podczas inwazji trwały o wiele dłużej, niż sądziła Nimue... Musiałyby też być o wiele subtelniejsze, a przez to mniej efektywne.

Księgi odkryto na długo przed ostatnią epoką świetności człowieka, w zbiorach kolekcjonerów nieświadomych, co posiadają, lub też w grobowcach wielkich wynalazców. Jeden z tomów znaleziono nawet na półce w bibliotece, mimo że nie był nigdzie skatalogowany.

Prawdę mówiąc, nie było to aż tak niepokojące, jak można by sądzić. Magia potrafiła przekształcać wszechświat i doprowadzać do pewnych zdarzeń tak, by obserwatorzy wątpili, czy to, co zobaczyli, jest prawdą. Jeżeli księgi były, jak obecnie podejrzewała Nimue, konstruktami magicznymi... Rzucąco to więcej światła na ich pochodzenie.

Pozostawało pytanie, kto był ich twórcą? Kto rozsiał je po Ziemi?

I dlaczego?

Nimue nie miała teraz jednak czasu na filozoficzne rozważania i choć to pytanie zdecydowanie wiązało się z aktualną sytuacją, projekcja nie uważała, by zdołała w najbliższym czasie uzyskać odpowiedź.

Mogła natomiast wykorzystać zdobyte informacje, żeby jak najlepiej pomóc ludziom.

Magia nie była czymś zupełnie nieznanym ludzkości, choć jej wykorzystanie, zwłaszcza tuż przed inwazją, prawie zupełnie zanikło, z powodu niestabilności i niepewności nieodłącznie towarzyszących dyscyplinom magicznym.

Oczywiście za sprawą magii dawało się dokonać wspaniałych czynów. Problem w tym, że niewiarygodnie trudno było je potem powtórzyć. Działania magiczne miały charakter imponująco skutecznych, ale jednorazowych rozwiązań.

Przy drobnych, prostych zadaniach użytkownik miał praktycznie nieograniczoną liczbę podejść, jednak w miarę wzrastania mocy i złożoności dzieła coraz trudniej było powielić efekt, jakby sama magia sprzeciwiała się kolejnym próbom.

W porównaniu z nią technologia wykazywała o wiele większą wyrozumiałość i posłuszeństwo.

Nie znaczyło to jednak, że magia pozostała niezbadana.

Nimue przyszło do głowy coś, co skłoniło ją do jeszcze dokładniejszego przewertowania badań, których strzegła.
Istniało jakieś rozwiązanie.

CYTADELA

Serg'in warknął, wyciągając ostatnią drzazgę włóczni. Odrzucił gniewnie ludzką broń i zanurzył się w noc, krocząc wśród ruin otaczających wielką wieżę. Nie podejrzewał, że ludzie zdołają się okopać na parterze Cytadeli tak skutecznie i w tak krótkim czasie.

„Nie było mnie tam przez chwilę! Jak to możliwe?”

Teraz było to nieistotne. Liczyło się wypędzenie agresora z gniazda i choć wicekról mógłby poradzić sobie w pojedynkę, nie zamierzał głupio ryzykować. Jeśli chodzi o sztukę walki, ludzie od dawna słynęli jako podstępne dranie. Nawet najmarniejsi z nich mogli od czasu do czasu wyskoczyć z jakąś cholerną magiczną sztuczką – i to dosłownie – żeby obronić siebie lub innych.

Demon zadrżał na wspomnienie chwili, gdy jeden z jego towarzyszy postanowił poddać torturom matkę, wykorzystując jej dzieci. Każdy demon od czasu do czasu posuwał się do czegoś takiego i nie zanosił się na nic niecodziennego, dopóki pierwsza kropla krwi dziecka nie skapnęła na czoło krzyczącej kobiety.

Serg nigdy wcześniej nie widział, by komuś udało się rozerwać wyższego demona na strzępy, nawet podczas bitwy.

Kobieta i jej dzieci oczywiście zginęli, ale kosztem życia zbyt wielu demonów.

Podobna sytuacja nie powinna jednak teraz się powtórzyć. Ludzka magia była ukryta głęboko w zwykle tłumionych emocjach. Powody były dość oczywiste, zważywszy na to, do czego była zdolna kobieta narażona na ogromny stres. Gdyby porządnie zdenerwować wystarczająco dużo ludzi, roznieśliby całą planetę.

W każdym razie po incydencie z matką wicekról nauczył się ostrożności. Zamierzał więc zebrać więcej sił przed odbiciem Cytadeli.

„Nie powinno być z tym problemów, pod warunkiem że ludziom wystarczy obozowanie na najniższej kondygnacji”.

OSIEDLE POD CYTADELĄ

Sindri wyszczerzył zęby, przylegając plecami do budynku w oczekiwaniu na ścigające go demony.

Zatęsknił za zabijaniem tych podłych szkodników.

Bracia już dawno dali sobie z tym spokój, głównie dlatego, że była to bezsensowna robota. Kiedy wybili cały tłum demonów, z przygnębieniem zauważyli, że potwory mają jeszcze więcej mięsa armatniego niż na początku. Zabicie kilku z nich w żaden sposób nie uszczuplało populacji, która mnożyła się nie tylko poprzez rozród, ale też przez zarażanie i przemienianie tubylców.

Teraz gdy prawie wszyscy ludzie byli martwi lub padli ofiarami Przemiany, można było chyba zacząć robić jakieś postępy... Jednak dopóki bracia nie poznali Elan, która wywlekła ich z bezpiecznego gniazda w Mieście, mówiąc brutalnie szczerze, nie widzieli w tym żadnego sensu.

Walka i zabijanie w obronie ludzi to jedno, ale gdy już wszyscy zginęli, batalia przeistaczała się w bezduszną rzeź nieszczęsnych stworzeń poddanych Przemianie.

Teraz jednak Sindri czuł, jak jego krew wrze. Zew walki powrócił.

Cudowne uczucie.

Demony wypadły z pobliskiej alejki. Sindri uderzył młotem w tułów przywódcy bandy i po raz kolejny wyzwolił moc błyskawicy.

Demon nie miał nawet czasu wrzasnąć. W mgnieniu oka obrócił się w plazmę, a piorun raził kolejno jego kompanów w reakcji łańcuchowej. Zabił dziesiątki demonów. Jak na ironię, te, które padły na końcu, były najgorzej poranione, gdyż z czasem piorun wytracił moc unicestwiania i potrafił jedynie parzyć.

Po rozgromieniu napastników Sindri obrócił się i zerwał do biegu. Zaśmiał się cicho w poszukiwaniu kolejnego miejsca na zasadzkę.

„W życiu należy wystrzegać się trzech rzeczy” – pomyślał z nieprzyzwoitą wesołością. „Po pierwsze, ufania słowom demona. Po drugie, zakładania, że ludzie są bezradni... A po trzecie, ścigania Wygnańca, który zostawia za sobą wyraźny trop”.

Teraz martwiło go tylko jedno.

Już od pewnego czasu nie widział płomieni Brokkra.

Brokkr spojrział w niebo, po raz kolejny rozświetlone piorunem. Dobrze było wiedzieć, że brat nadal walczy, teraz jednak uwagę Brokkra zaprzętało coś innego.

Rana już prawie się zagoiła. Na bliźnie igrały teraz iskry elektrycznej plazmy, niewątpliwy znak powrotu do formy. Niestety, wojownik nie był sam na osiedlu.

W jednym z rozwalonych domów chroniła się gromadka dzieci. Ich rodzice pewnie byli już martwi, bo w okolicy Brokkr nie widział żadnych pozostałych przy życiu ludzi. Problem w tym, że nie mógł bez skrupułów korzystać z mocy, gdy w pobliżu były dzieciaki. W przeciwnym razie nie tylko mógłby je zabić, ale z pewnością ściągnąłby na wszystkich demony, a tego zdecydowanie nie chciał.

– Spokojnie, maluchy – powiedział stanowczo, ale bez cienia groźby w głosie. – Zrobiło się tu paskudnie, więc lepiej zaczekajcie. Choć i tak obawiam się, że niedługo będziecie musieli się stąd ruszyć.

Dzieci patrzyły na niego nieufnie, choć już z mniejszym lękiem.

– A gdzie mielibyśmy pójść? – zapytał jeden ze starszych chłopców zrezygnowanym tonem. – Już wcześniej próbowałem kogoś szukać... Ale tu już nikogo nie ma!

„Nietrudno się domyślić, czemu wygląda, jakby się poddał” – pomyślał Brokkr.

– To zależy. Jeśli uda nam się szybko załatwić nasze sprawy, pójdziecie z nami, oczywiście jeśli będziecie chcieli. Daleko stąd jest bezpieczne miejsce. Będziemy zaszczyceni, mogąc was tam przyjąć.

– A co z rodzicami?

Brokkr wzdrygnął się, zerkając na dziewczynkę, która o to zapytała. Nie potrafił jej odpowiedzieć.

– Tego nie wiem, mała. Wielu ludzi uciekło na północ. Może byli wśród nich wasi rodzice?

Wątpił w to. Ludzie broniący swoich dzieci nie uciekaliby bez nich. Możliwe, że niektórzy tak postąpili z powodu odniesionych ran lub dlatego, że uznali dzieci za zmarłe. Ponieważ młodziaki kryły się w ruinach, nietrudno było o taką pomyłkę. Dla Brokkra wszystkie zniszczone budynki wyglądały tak samo.

Tak czy inaczej, jego odpowiedź nie była całkowitą nieprawdą, więc na razie musiała wystarczyć.

– Trzymajcie głowy nisko – polecił stanowczo. Wspomniał jednak dzieciństwo Jola i przez krótką chwilę zastanawiał się, czy którekolwiek z dzieciaków choćby uda, że go posłuchało. – Wróć po was, dobrze?

Dzieciaki pokiwały głowami. Wojownik już miał odejść, gdy zawahał się i odwrócił.

– Jeśli nie przyjdę do świtu, ukryjcie się tutaj i nie wychodźcie na słońce – powiedział. – A potem idźcie na północ. Znajdźcie szlak, który zawiedzie was do jaskini. Wejdźcie tam i zapytajcie o Merlina. Zrozumiano?

Tym razem większość dzieciaków pokręciła głowami, jednak starsze przytaknęły z wahaniem. Brokkr kazał im więc powtarzać instrukcje, dopóki nie upewnił się, że wszystko zrozumiały.

– W porządku. Pamiętajcie, co mówiłem. Do zobaczenia – powiedział, wspinając się na gruzowisko.

– Zaraz!

– O co chodzi, mała? – Brokkr obejrzał się przez ramię.

– Dokąd pan idzie? – zapytała dziewczynka niemal błagalnie.

– Muszę zabić jeszcze parę demonów – wyjaśnił, szczerząc do niej zęby. – Zobaczymy się później.

Wicekról odnalazł pierwsze demony z roju wysłanego pomiędzy ruiny. Błąkały się jak zagubione szczenięta, rozkopując ziemię i utyskując na jakieś bzdury.

– Żałośni głupcy! Co wy wyprawiacie? – krzyknął Serg'in, wyłaniając się z mroku pośrodku bandy.

Ku jego rozbawieniu kilka potworów stężało, jakby w gotowości do ataku, większość jednak skuliła się tchórzliwie, jak na sługi przystało.

– Najjaśniejszy panie – podlizywał się jeden z inteligentniejszych członków hordy – straciliśmy trop.

– To już nie jest najważniejsze – warknął wicekról. – Kiedy wy bawiliście się w ruinach, grupa ludzi zajęła parter Cytadeli!

Zbierzcie się i wracajcie na dziedziniec. Weźcie ze sobą wszystkich, których znajdziecie.

Demony gapiły się tępo i z wahaniem. Nie dziwił im się. Nawet on odczuwał nęcącą moc płynącą we krwi zdrajców. Nie był to jednak czas na takie dylematy, a horda musiała wiedzieć, że rozkaz to rozkaz.

– Ruszać! – ryknął nagle. Jego głos wstrząsnął powietrzem, wzbijając tuman kurzu i pyłu. Przerażone demony pognały na oślep w stronę Cytadeli.

„Przynajmniej to mam już z głowy”. Wicekról westchnął i powiódł wzrokiem po ruinach.

Stwierdził beznamiętnie, że atakujący należycie rozprawili się z budynkami. Niewiele pozostało nieuszkodzonych. Serg'in nie zwykł obracać się w towarzystwie ludzi. Jeśli miał ochotę na zabawę, mógł rozkazać sługom, by mu ją przyprowadzili. Znał jednak kilka najważniejszych punktów osiedla. Wszystkie przepadły bez śladu.

Czuł, jak z oddali nawołuje go moc zdrajcy... Czy może zdrajców? Po chwili skupienia stwierdził, że wciąż jest ich dwóch. Tak też podejrzewał, prowadząc obserwację z Cytadeli, dobrze było się jednak upewnić.

Niestety, nie miał czasu na napawanie się chwilą. Priorytetem byli ludzie zajmujący Cytadelę. Wicekról skoncentrował się więc na drugiej co do wielkości grupie ostatnich bestii i rozmył się w powietrzu, zamierzając zebrać wystarczająco duże siły, by raz na zawsze zmiażdżyć nieprzyjaciela.

– Simone, widzę jakiś ruch na zewnątrz!

Kobieta podeszła do barykady, skąd mogła zaryzykować i wyrzeć w noc.

Zwiadowca miał rację. Simone sama dostrzegła ruch, gdy demony wychodziły spośród ruin i zaczęły się gromadzić prawie poza zasięgiem wzroku. Kobieta westchnęła. Wiedziała, co nadchodzi.

– Po prostu... stoją i czekają.

Nie odwróciła się, by sprawdzić, kto to mówi.

– Czeka ją na posiłki – powiedziała. – Zbierają siły.

– Demony tak nie robią! To bezrozumne bestie...

– Dostyc – ucięła Simone, akcentując to machnięciem ręki. – Słabsze demony są rzeczywiście prawie bezmyślnymi istotami, ale istnieją też inne. Ten, z którym walczyliśmy, z pewnością był rozumny i wystawił nas na próbę. Teraz gromadzi armię. Gdy będzie gotowa, wyśle ją na nas.

To było najgorsze. Simone wiedziała, że dowódca nie stanie na czele podkomendnych, ale raczej pośle ich przodem. Większość zginie, ale przy okazji zmusi ludzi do oddania pozycji i życia. We właściwej chwili demoniczny władca przypuści atak, by zakończyć walkę jednym ciosem.

– Kiedy tu przyjdą? – zapytał ktoś.

Było to dobre pytanie, ale Simone nie знаła odpowiedzi.

– Nie jestem w stanie powiedzieć – stwierdziła po namyśle. – To zależy, ilu żołnierzy zbierze ten demon i jak szybko to zrobi.

Wyprostowała się i klepnęła w ramię stojącego najbliżej mężczyznę.

– Mam coś do zrobienia – powiedziała. – Zostań na warcie i daj mi znać, gdy tylko coś się zmieni.

– Tak jest, Simone.

ROZDZIAŁ 24

CYTADELA

Elan sceptycznie otaksowała schody prowadzące na dach. Droga była wąska, a jeśli wróg zastawił pułapki, trudno będzie ująć z życiem. Niestety, grupie wojowników nie udało się odnaleźć żadnego innego bezpośredniego wejścia na szczyt wieży.

– Idę pierwsza – oznajmiła Elan. Wyciągnęła broń boczną i sprawdziła ją pobieżnie.

– Ja pójdę.

Elanthielle spojrzała na Tura, lekko rozbawiona sztywnym tonem, jakim wypowiedział te słowa. Pokręciła jednak głową.

– Przykro mi, wielkoludzie, ale to ja muszę iść przodem. Nie chciałbyś znaleźć się między mną a naszymi celami.

Kaleb położył dłoń na ramieniu Tura i również potrząsnął głową, gdy siłacz odwrócił się do niego.

– Nie żartuje. Widziałem, jak używa tej broni. – Kaleb nieoczekiwanie się uśmiechnął. – Choć mogłaby trochę poćwiczyć celowanie.

– Chrzań się, Kaleb – prychnęła Elan. – Ja przynajmniej umiem trafić w ścianę, sufit albo budynek, kiedy strzelam w pomieszczeniach!

– Oj, raz mi się zdarzyło – protestował Kaleb.

– Do dziś nie mamy pojęcia, jakim cudem udało ci się chybić wszystkich celów. – Elan roześmiała się, kręcąc głową. – Widać posiadasz jakieś magiczne moce, o których nie mamy pojęcia. Nie powiem, żebym zazdrościła ci umiejętności chybiania, ale na pewno do czegoś ci się przydaje.

Kaleb parsknął, gdy dziewczyna minęła go i weszła na schody, przestępując po dwa stopnie i nabierając prędkości. Patrzył za nią przez chwilę, po czym wziął się w garść i ruszył jej śladem.

– Czy to u nich normalne? – zapytała Sien’el Jolnira.

Młodzieniec wzruszył tylko ramionami.

– Odkąd poznałem Elan, nie mam już pojęcia, co jest normalne.

Lis w milczeniu obserwowała rytuał. Mistrzowie runów jak dotąd bezbłędnie wykonywali jej polecenia. Czuła narastającą moc, pulsującą w rytmie planety.

Wiedziała, że wystarczy jeszcze trochę cierpliwości, by dopełnić dzieła. Liczyła, że rok opóźnienia nie nastęrczy zbyt poważnych problemów, gdy będzie musiała stanąć przed Nadzorcami. Jej siostra miała posłużyć za kozła ofiarnego, Ser'Lis była więc przekonana, że ją samą spotka łagodniejsza kara.

„Czymże jest rok w planie wszechrzeczy? Spędziłam tu ponad pięćset lat, przygotowując się na tę chwilę. Rok więcej czy mniej nie powinien być nawet zauważalny dla demonów z Pierwszego Kręgu”.

Oczywiście to nie przed Pierwszymi musiała się bronić. W każdym razie nie przed Prawdziwymi Pierwszymi, którzy skupiali się na innych, o wiele ważniejszych frontach tej niekończącej się wojny. Lis miała odpowiadać przed popychadłami tych demonów, do których zresztą sama się zaliczała.

Właśnie dlatego jej siostra nie zyskała odpuszczenia win, ani też nie została stracona za klęskę w Mieście. Gdyby to nastąpiło, zanim małostkowe urzędasy przesądzą o jej losie, to Ser'Lis znalazłaby się w centrum uwagi.

Teraz jednak władczyni odczuwała przyjemne napięcie.

„Wystarczy trochę oczyszczającej przemocy, by załatwić wszystko jak należy”.

Lis podejrzewała czasami, iż posiada niewielki dar przewidywania, ponieważ tego rodzaju myśli nachodziły ją w idealnym momencie. Tak było i teraz.

Kątem oka zauważyła jakiś ruch. Gdy odwróciła głowę, ujrzała postać, która wpadła na dach po schodach i zawirowała, stając do walki z ludzką bronią ręki.

„Oho”. Lis zaśmiała się cicho, naprężając obolałe i poobijane mięśnie. „To pewnie ktoś z tej grupy na dole”.

Patrzyła rozbawiona, gdy postać, prawdopodobnie dziewczyna, zwróciła broń ku najbliższemu mistrzowi runów i otworzyła ogień.

Zabójczy strzał odbił się jednak nieszkodliwie od tarczy otaczającej demony.

– Naprawdę sądziłaś, że nie będziemy na to gotowi? – zapytała Ser’Lis z niedowierzaniem, zauważając kolejnych ludzi dołączających do dziewczyny. – Ochrona rytuału była sprawą najwyższej wagi, zwłaszcza po wydarzeniach z ostatniego roku!

Elan przełknęła ślinę, widząc, jak energia wystrzału rozpryskuje się na magicznej osłonie. Przez chwilę rozważała opcje. Opuściła broń, żeby tym razem strzelić w podłoże, powstrzymała się jednak.

„Nie mogę”.

Takie rozwiązanie pozwoliłoby pozbyć się magów kontrolujących obrzęd, jednak Nimue wyraźnie przestrzegła Elan przed konsekwencjami. Rytuał już trwał. Należało go nie tylko zatrzymać, ale też odwrócić.

Po zniszczeniu rytualnego kręgu byłoby to niemożliwe.

Elan odwróciła się powoli, by spojrzeć na demona, który do niej przemówił. W głowie miała gonitwę myśli. Wciąż zastanawiała się nad możliwymi rozwiązaniami.

Nie dała tego po sobie poznać i postanowiła grać na czas.

– Nie szkodziło spróbować – stwierdziła z udawaną nonszalancją.

– Pewnie tak. – Demonessa uśmiechnęła się do niej. – Muszę jednak spytać... Kto jest twoim krawcem? Niezmiernie mi przykro, ale w pierwszej chwili wzięłam cię za chłopca!

Elan odruchowo spuściła wzrok na swoje piersi. Zarumieniła się i popatrzyła ponownie na władczynię demonów, która ryknęła śmiechem, widząc reakcję dziewczyny.

– Rzeczywiście, nie mogę poszczycić się opancerzonym ciałem – powiedziała Elan szyderczo. – Ale cóż, osobiście nie czuję potrzeby, żeby paradować półnago i leczyć kompleksy.

To podziałało. Skrzydlata demonessa wyglądała, jakby dostała w twarz. Po chwili zebrała się w sobie.

– Nieźle – przyznała niechętnie. – Całkiem nieźle. O ile mi wiadomo, spotkałaś już kiedyś moją siostrę...

– Owszem, rok temu – potwierdziła Elan, wykonując skok ze schodów i lądując na dachu. – Nie przyjęła mnie zbyt ciepło, ale to już chyba wasza cecha rodzinna.

– Nie mamy zbyt wielu okazji ćwiczyć życzliwości – przyznała kobieta demon. – Rzadko ktoś nas odwiedza. Wszyscy mizerni ludzie wyginęli już dawno temu. Pozostało tylko ich nędzne potomstwo. Zresztą i tak brakuje wam należytej kultury. Tak z ciekawości, z kim mam przyjemność?

– Jestem Elanthielle z Atlantydy – oznajmiła dziewczyna.

– Elanthielle z Atlantydy – powtórzyła władczyni z namaszczeniem. – Ładnie. W tym imieniu kryje się pewna moc... Młoda, ale wciąż rosnąca. Ja jestem Ser'Lis. Możesz mówić mi Lis, zaoszczędźmy sobie zbędnych uprzejmości.

Elan skinęła głową. Wiedziała, że reszta drużyny poszukuje wyłomów w obronie nieprzyjaciela, podczas gdy dziewczyna usiłowała odwrócić uwagę Ser'Lis.

– Niech będzie Lis – powiedziała. – Za to ty możesz nazywać mnie Elan. Darujmy sobie ceremoniał.

– Racja. Za cały ceremoniał wystarczy nam rytuał – zauważyła Lis ze śmiechem.

Elan ponownie przytaknęła, omiatając wzrokiem dach w poszukiwaniu czegoś, czegokolwiek, co mogłoby dać jej szansę na zwycięstwo. Nie mogła znieść myśli, że przebyła taką drogę i dokonała tych wszystkich czynów, by teraz przegrać... i to nawet nie w walce. Miałaby pogodzić się z porażką i biernie obserwować klęskę?

Nie ma mowy!

„Musi być jakieś rozwiązanie...”

OŚRODEK BADAWCZY W REDUCIE PÓŁNOCNEJ

Nimue skupiła się na transmisjach przesyłanych przez pancierz Elan, nie tylko na obrazach, ale także na danych ze skanerów.

„To koniec”.

Nie dało się nic zrobić. Obrona nieprzyjaciela była pozbawiona usterek.

Oczywiście, gdyby mieli więcej czasu i lepiej wszystko zaplanowali, nie mówiąc już o dostępie do pewnych zasobów, które

równie dobrze mogły przestać istnieć, z pewnością udałoby się ją przełamać. Jednak obecna sytuacja była beznadziejna. Nic, co miała Elan lub jej drużyna ani co dałoby się im przesłać, nie było w stanie przebić się przez osłonę.

– Nimue...

Inteligencja uniosła gniewnie wzrok, widząc Merlina pojawiającego się w jej siedzibie. Było to niegodne zachowanie, coś jak wchodzenie do czyjegoś domu bez pukania. Wedle dawnych norm Nimue miałyby nawet prawo wyrządzić nieproszonemu gościowi poważną krzywdę.

Dziś jednak nie była w nastroju.

– Po co przyszedłeś? – zapytała beznamiętnie, koncentrując się na łączach danych.

– Musimy znaleźć wyrwę w tej tarczy.

– Gdybym ją znalazła, już dawno powiedziałabym o niej Elan – warknęła Nimue. – Nie mogą użyć ani zdobyć niczego, co pozwoliłoby przełamać barierę.

– A gdyby zeszli pod dach i przebili się od dołu? – zapytał Merlin, marszcząc czoło w zamyśleniu.

– Nie. Budowa tarczy na to nie pozwala, a nawet gdyby tak było, zniszczyliby przy tym ryciny – odparła druga projekcja. – Wówczas nie będzie szans na cofnięcie obrzędu.

– Czy osłona okrywa dach od góry? – Merlin nie zamierzał się poddać.

– Oczywiście! – Nimue przewróciła oczami. Wywołała obraz Elan usiłującej zastrzelić jednego z mistrzów runów. – Widzisz? Krzywizna osłony sięga około sześciu metrów nad dachem i tyle samo pod nim.

Merlin milczał, zasepiony.

„Widać skończyły mu się kiepskie pomysły, które sama już rozważyłam i odrzuciłam” – domyśliła się Nimue. „Kto by pomyślał, że dzięki temu będzie można choć na chwilę uciszyć tego starego capa?”

– Gdybym miała czas, a nie mam, mogłabym przeanalizować częstotliwość tarczy i odnaleźć sposób, by ją zneutralizować – powiedziała. – Albo przynajmniej wynaleźć jakiś skupiony ładunek wybuchowy o nadmiernej sile, który przeciążyłby runy generujące

tarczę bez uszkodzenia czegoś innego. Mogłabym ci podać tysiąc sposobów na przeniknięcie osłony, ale żadnego z nich nie da się wykorzystać.

Merlin skłonił głowę, a po chwili zniknął. Zapewne wrócił do Avalonu.

„Krzyżyk na drogę” – sarknęła w duchu Nimue, nie przerywając obserwacji. Bardzo chciałaby wyłączyć transmisję i zrezygnować, jednak nie pozwalało jej na to wspomnienie o czasach świetności rodzaju ludzkiego.

Jeśli ludzie mieli ponieść ostateczną klęskę, ona będzie świadkiem tych wydarzeń i będzie o nich opowiadać przez całą resztę swojej egzystencji.

CYTADELA

– Rozwalę tę tarczę – oznajmił Tur, unosząc topór. Broń zaiskrzyła od energii. Turroch uderzył w pole siłowe, wkładając w cios całą swoją siłę, jednak topór odbił się od osłony i prawie wypadł mu z rąk.

– Szkoda zachodu – powiedział Jol, wpatrując się w pole. Obracał w dłoniach młot, zastanawiając się nad najlepszą metodą ataku. – Bracia pomogli wam najlepiej, jak mogli w tak krótkim czasie, jednak nawet wasza ulepszona broń nic tu nie zdołała.

– A twój młot? – zapytała cicho Elan. Władczyni demonów przyglądała się temu wszystkiemu, wyraźnie rozbawiona.

Jolnir ścisnął broń. Skupił myśli i emocje, by obudzić runy wyryte przez Sindriego i Brokkra. Po dachu rozeszły się wyładowania elektryczne, odbijając się od fragmentów budowli i powracając do młota.

Jolnir gwałtownie wyrzucił dłoń w górę, a z jego gardła wydobył się okrzyk. Z nocnego nieba spadł piorun, przekazując całą energię młotowi. Jol zawirował i z całych sił uderzył w pole. Wyładowania rozpełzły się po magicznej osłonie, jakby w poszukiwaniu dziur.

Wszystko na nic.

Jol dyszał ciężko. Zdołał jedynie pokręcić głową, spoglądając w oczy Elan.

Dziewczyna skinęła głową z niepokojem, po czym zwróciła się do Pani Cytadeli.

– Imponujące, prawda? – zapytała Lis, uśmiechając się z dumą.

– Zdecydowanie – przyznała Elan. – Domyślam się, że nie zechcesz wyjść i stanąć do walki?

– Poczekajmy jeszcze chwilkę – zaśmiała się władczyni zza bariery. – Wierz mi, dziecinko, kiedy z tym skończymy, będziemy mieli dość czasu na walkę... i inne zajęcia.

Elan nie spodobała się ta insynuacja, jednak mogła się tego spodziewać po demonie.

– Rok temu ktoś mnie nawiedził – rzuciła, gdy coś jej przyszło do głowy. – Przyznam, że nie było to przyjemne doświadczenie.

– Tak... I co? – Lis wyglądała na zbitą z tropu.

Elan nie mogła się temu dziwić. Jej wypowiedź wydawała się bez związku z sytuacją.

– Wówczas jeszcze nic o nich nie wiedziałam – ciągnęła. – Jednak przed chwilą, na dole, twoja siostra wyjaśniła mi to i owo. Jak nazywacie wasze przeciwieństwo? Chodzi mi o oficjalną nazwę.

Ser'Lis przez chwilę wpatrywała się tępo w dziewczynę. Potem twarz władczyni przybrała wyraz niespotykanej nienawiści. Elan nigdy wcześniej nie widziała czegoś podobnego, a przecież patrzyła na własne odbicie, gdy w końcu dopadła... tamtego człowieka.

– Te... szumowiny. Wybrakowane bydlę. Nigdy nie powinni powstać. – Lis wzięła głęboki oddech. – Których z nich widziałas?

– Nie przedstawili się – odparła Elan niefrasobliwie, podchodząc do pola i wyciągając rękę, jakby chciała je pogłodzić. – Kiedy mi się objawili, wyglądali jak... kręgi w kręgach, figury o kątach i narożnikach, które... Nie wiem, trudno mi to wyrazić słowami.

– Serafini – prychnęła Lis. – Bezmyślne narzędzia, ale i zabójczy wrogowie. A zatem zeszłoroczne opóźnienie było sprawką Wybrańców. Dziękuję ci za tę informację. Prawdę mówiąc, sądziliśmy, że wszyscy już odeszli.

– Bo tak jest, przynajmniej o ile mi wiadomo. – Elan wzruszyła ramionami. – Ta dwójka została na koniec, żeby o tym powiedzieć. Proponowali, że zabiorą mnie ze sobą.

Zaległa cisza. Elan czuła na sobie spojrzenie nie tylko Lis, ale także swoich towarzyszy.

– A mimo to zostałaś? Głupia dziewczucho! Mówi się przecież, że miejsce, które Serafini nazywają domem, to raj nie z tego świata – obruszyła się Lis. – Każdy przy zdrowych zmysłach skorzystałby z tej oferty.

– Wątpię, czyby mi ją złożyli, gdybym była przy zdrowych zmysłach.

Demonessa skinęła głową.

– Dlaczego więc nie odeszłaś? – zapytał Kaleb, wstrząśnięty.

Kobieta-demon zaśmiała się gromko.

– Naprawdę tego nie widzisz? Ja to widzę, choć ledwie ją znam! Jest tu, by zabijać, chłopcze! By zabić mnie i moich poddanych. A jeśli uda jej się nas wykończyć, być może będzie zabijać dalej! Stanie się wspaniałym demonem, o ile przeżyje Przemianę.

Elan nie sprzeciwiała się, skupiając myśli na czymś zupełnie innym.

– Udzielili mi rady, choć tak naprawdę jej nie zrozumiałam.

– To do nich podobne. Zagadkowe bufony – mruknęła Lis, wbijając wzrok w podłogę. – Kiedy opuścili mój wymiar, zrobili to bez ostrzeżenia. Obrona zależała od naszej wiary... i ich mocy. Zachowaliśmy wiarę po ich odejściu, jednak bez wsparcia najpierw upadła nasza obrona... a niedługo potem wiara. – Zadrżała lekko. Z jej spojrzenia przebijała zaduma. – Dopiero teraz przypomniałam sobie o tym. Utraciłam większość wspomnień o tym, co było... wcześniej. Kiedyś byłam taka jak ty.

Elan przytaknęła.

– Zaczęłam się tego domyślać. Wszyscy byliście dawniej do nas podobni, prawda?

– Do ludzi? Mniej więcej – odparła Lis, wzruszając ramionami. – Istnieją pewne różnice, przekraczające wasze pojęcie, ale rzeczywiście, wszyscy byliśmy kiedyś, w pewnym sensie, podobni do was.

Elan z jednej strony chciała potwierdzić te przypuszczenia, z drugiej wzbraniała się przed tym, nawet jeśli wszystko wskazywało, że ma rację. Widziała grozę, jaką sprowadziły demony, i nie chciała dopuścić do siebie myśli, że stworzenia te były niegdyś ludźmi.

W głębi ducha zastanawiała się, czy mogłyby wrócić do dawnej postaci, jednak odrzuciła tę myśl. Nawet gdyby było to możliwe, sama nie mogła tego dokonać. Pozostawało więc jedno wyjście. Zresztą nie chciała postrzegać demonów jako czegoś więcej. Miałyby wówczas większe trudności z dokonaniem tego, co musiała zrobić.

– Co ci powiedzieli? – zaciekała się Lis.

– Opowiadali o potężnych przedmiotach, które już posiadam – wyjaśniła Elan, unosząc pustą dłoń. – Mówili, że mój los spoczywa w moich rękach...

Ser'Lis nie mogła powstrzymać śmiechu.

– Powiedzieli coś takiego akurat tobie? – nie dowierzała. – Jesteś więc chyba jedyną osobą, która usłyszała takie słowa od bękartów zubożniałego ojczulka. Oni postrzegają samych siebie jako władców losu i zniewolili już wielu, którzy ośmielili się im sprzeciwić.

Elan wzruszyła ramionami. Nie wiedziała, czy to prawda, ale niezbyt ją to obchodziło.

– Skoro odeszli, nasz los chyba i tak zależy już tylko od nas – stwierdziła.

– Istotnie. – Lis uśmiechnęła się podstępnie. – Przynajmniej jeszcze przez krótką chwilę. Potem będzie zależał od czegoś innego.

– Właśnie! – Elan otworzyła torbę i wyciągnęła niewielką książkę. Zaczekała, aż tom powróci do pierwotnych rozmiarów. – A skoro już o potężnych przedmiotach mowa... Jeden znalazłam już wcześniej, wczoraj natrafiłam na kolejny, a przed chwilą, w twojej bibliotecce, w moje ręce wpadło... to.

Lis znieruchomiała, wpatrzona w księgę w ręku dziewczyny.

– Nie masz nawet pojęcia, co trzymasz... dziecko – parsknęła.

– „Traktat o rytuałach i magii runicznej” – odparła Elan, odczytując tytuł na okładce. – Domyślam się, że przydał się przy organizowaniu obrzędu?

– Jest mój! – Demonessa postąpiła naprzód, jednak słysząc brzęczenie bariery, zatrzymała się, patrząc bezradnie na dziewczynę, która nawet nie zaszczycła jej spojrzeniem.

– Nie wydaje mi się, abyś mogła go przeczytać – mówiła dalej Elan, jakby z zastanowieniem. – Jak udało ci się to odszyfrować? Byłaś blisko... – Otworzyła księgę w miejscu, w którym tom wcześniej sam

się otworzył. Przesuwała palcem po stronie z pieczołowicie rozpisany rytuałem. – Nawet bardzo blisko, ale... niezupełnie.

– Łiesz! – warknęła Ser'Lis. – Zrobiłam wszystko zgodnie z księgą. Dopilnowałam, by odzwierciedlić każdy szczegół z ilustracji!

– Wiem. – Elan uśmiechnęła się, wodząc wzrokiem po dachu. – I właśnie to mnie naprowadziło.

ROZDZIAŁ 25

AVALON

– Genialne!

Merlin zmarszczył czoło w zamyśleniu, poświęcając część uwagi na monitorowanie danych, które Nimue przesyłała z Reduty Północnej. Jak można się było spodziewać, druga inteligencja nie miała dotąd zbyt dobrych wiadomości, więc Merlin zdziwił się, słysząc nieoczekiwaną pochwałę.

– Nimue? – zapytał, materializując się w drugiej bazie.

Jego istota oczywiście pozostawała w Avalonie. Zdalna projekcja pozwalała mu natomiast lepiej korzystać z układów scalonych wbudowanych w obiekt, niż gdy używał konwencjonalnych metod łączności.

– Fenomenalne!

Merlin zamrugał, zbity z tropu, choć tym razem bardziej z powodu rozbawienia niż frustrującego przeczucia nadchodzącej zagłady.

– Nimue, co się...

– Ona jest zdumiewająca! Sama nigdy bym na to nie wpadła. – Nimue odwróciła się z błyskiem w oku. Merlin spodziewał się raczej, że zostanie po raz kolejny zbesztany za najście. – Gdzie znalazłeś tę dziewczynę?

– Elan? – upewnił się Merlin, niepewny, kto w tej chwili czuje się bardziej zdezorientowany. – Należałoby powiedzieć, że tak naprawdę to ona odnalazła mnie.

– Żadna niespodzianka. – Nimue przewróciła oczami. – Sam nigdy byś jej nie wypatrzył.

– To nie było miłe – zaprotestował Merlin.

Nimue zupełnie go zignorowała, skoncentrowana na śledzeniu transmisji.

– Zauważyła coś, co dla mnie było niedostrzegalne – wyjaśniła. – Obrzędy, których użyły demony, aby stworzyć pole ochronne, zostały skopiowane bezpośrednio z księgi!

Merlin uniósł brew.

– To bez wątpienia skandaliczne, ale kradzież cudzych pomysłów to dla demonów żadna...

– Postaraj się nadażyć – skarciła go Nimue. – Magia to nie nauka, Merlinie. Wiem, że w tej dziedzinie do niczego się nie przydajesz, ale nie znaczy to, że wszyscy jesteśmy równie beznadziejni.

Merlin westchnął.

„Fatygowałem się tu tylko po to, żeby wysłuchiwać obelg?”

Wszystko na to wskazywało.

– Niech ci będzie – powiedział. – A zatem demony skopiowały obrzęd. Cóż w tym niezwykłego?

– Nie chodzi o samo kopiowanie – wyjaśniła Nimue, nie odwracając się – a o źródło, z którego go skopiowały. O jedną z ksiąg.

Merlin cofnął się lekko. W jednej chwili wszystko stało się dla niego jasne.

Księgi.

Wbrew pozorom nie były to zwykłe książki. Pod każdym względem wymykały się konwencjom. Możliwe, że były nawet samoświadome, tak jak inteligencje. Jak na złość, Merlin nie wiedział zbyt wiele o tych irytujących cholerstwach poza tym, że dało się je opanować tylko, gdy same tego chciały, i tylko w miejscach, w których zamierzały się znaleźć.

Gdy Elan odkryła jedną z ksiąg na Avalonie, Merlin początkowo nie zwrócił na to większej uwagi. Tylko nieliczni potrafili odczytać choćby mały fragment. Setki, jeśli nie tysiące innych przez wieki podejmowały próby tylko po to, by odejść z poczuciem zmarnowanego czasu.

„Powinienem się domyślić, że z Elan było inaczej. Nie wiedziała, z czym ma do czynienia, a mimo to wpadła w jakąś obsesję”.

Osobiście Merlin darzył księgi wyraźną niechęcią, ponieważ nie chciały ujawnić swojej potęgi i użyteczności. Nie dało się im zaufać właśnie przez tajemnice, które skrywały.

– Nie wiedziałem, że demony potrafią je odczytać – powiedział Merlin, zaciskając niematerialne zęby.

– Bo nie potrafią – odparła Nimue ze złośliwym uśmiechem. – Elan właśnie tego dowiodła.

– Jak to?

– Demon skopiował rytuał co do słowa – tłumaczyła Nimue. – Nie odbiegając ani na jotę od schematu z księgi.

– Taak... I co? – dopytywał Merlin.

– Przed wiekami udało nam się częściowo odtworzyć rytuał tarczy – powiedziała Nimue. – Jednak, podobnie jak ta demonessa, nie byliśmy w stanie odczytać księgi. Natomiast w przeciwieństwie do niej po przeprowadzeniu próby zdaliśmy sobie sprawę, dlaczego odnieśliśmy tylko częściowy sukces.

Merlin nienawidził wyciągania odpowiedzi od ludzi, a tym bardziej od innej inteligencji. Zadreptał nerwowo i machnięciem rąk ponaglił Nimue do rozwinięcia myśli.

Ta ponownie przewróciła oczami, jednak była zbyt podekscytowana, by dać upust starym przyzwyczajeniom.

– W zamierzeniu rytuał należy poddawać zmianom w oparciu o warunki, materiały i nieskończenie wiele rozmaitych zmiennych – powiedziała. – Demony rozpostarły wadliwą osłonę.

– Osłonę, która mimo to wytrzymała każdą próbę ataku – przypomniał cierpko Merlin.

– Tu nie chodzi o samą moc – powiedziała Nimue, zwracając się ku transmisjom – ale o konkretne zastosowanie tej mocy. Nasza przyjaciółka zaraz udzieli ci ważnej lekcji, więc bądź grzeczny, patrz i ucz się.

– Teraz to niby nasza przyjaciółka? – zaperzył się Merlin. – Przecież próbowałaś ją porwać i wypuściłaś dopiero, kiedy zagroziła...

– Ćśśśś...

CYTADELA

– Blefujesz! – warknęła Ser'Lis, sztyletując Elan wzrokiem.

– Nawet nie wiem, co znaczy to słowo – odparła dziewczyna. – Ale jeśli twierdzisz, że kłamię... Może się przekonamy? Kaleb?

– Czego potrzebujesz? – ożywił się młodzieniec.

– Idź tam – poleciła Elan, wskazując mu miejsce. – Jol?

– Najwyższy czas wziąć się do roboty! – stwierdził Jolnir, truchtając do wyznaczonego punktu.

Elan klepnęła Turrocha w ramię. Aby to zrobić musiała, stanąć na palcach.

– Co jest? – burknął siłacz.

– Wy dwoje idziecie ze mną – oznajmiła Elan, prowadząc Sien i Tura wokół kopuły pola siłowego. – Potrzebujemy siły i dobrego rozplanowania. Pierwsze już mamy, a co do drugiego... Cóż, pora się zabawić.

Tur i Sien spojrzeli po sobie ze zdziwieniem. Nie mieli jednak lepszego pomysłu, więc poszli za Elanthielle i stanęli tam, gdzie im kazała.

Elan uważnie obejrzała pole, zdumiona, że nagle wszystko samo poukładało się jej w głowie. Dostrzegała wszelkie błędy, a także, co istotniejsze, ich przyczyny.

– Co robisz? – dopytywała się Lis.

Elanthielle przez chwilę ignorowała ją, upewniając się, że dokonała w myślach prawidłowych obliczeń. Dopiero potem spojrzała z uśmiechem na demonessę.

– Psuję to i owo – wyjaśniła.

– Mówiłam ci, to na nic – upierała się władczyni. – Wszystko jest idealnie! Dopilnowałam tego!

– No właśnie... – Elan skinęła głową i obejrzała się na resztę drużyny. – Gotowi?

– Na co? – jęknął Jol. – Nie powiedziałaś jeszcze, co mamy robić.

– Ach, no tak. – Elan zarumieniła się lekko. Rzeczywiście zapomniała o tej drobnostce. – Wybaczcie. Tarczę tworzy się, wypowiadając słowo w języku wszechświata.

– Jakie słowo? – zawołał stojący dalej Kaleb.

– Nie da się go dokładnie przetłumaczyć – wyjaśniła Elan. – Na razie powiedzmy, że słowo to brzmi „chronić”, dobrze?

– Dobrze... – Chłopak nie wydawał się przekonany.

– Wszechświat automatycznie robi, co mu się rozkaże, pod warunkiem że wyrazi się to w jego języku – ciągnęła Elan, niezrażona, w podekscytowaniu analizując wszelkie możliwości.

Nagle stało się dla niej jasne, że to właśnie przez ten język księgi były niemożliwe do rozszyfrowania dla większości ludzi. To właśnie był centralny element magii, nauki, inteligencji... wszystkiego.

Elanthielle była prawie pewna, że wypowiadając właściwe słowo, mogłaby tchnąć w coś życie albo błyskawicznie je odebrać. Nie wiedziała tylko, czy powinna się cieszyć, że nie zna żadnego z tych słów. Język wszechświata był chroniony albo za sprawą jakiejś swoistej cechy, albo przez zewnętrzną siłę. Tylko to by wyjaśniało, dlaczego wszechświat w ogóle jeszcze istniał.

Po inwazji z pewnością nie brakowało ludzi gotowych spalić wszystko, byleby dokopać demonom. Elan rozumiała tych ludzi, sama nie raz myślała podobnie. Mogłaby przysiąc, że gdyby w chwilach kryzysu znała odpowiednie słowa, unicestwiłaby świat, aby zniszczyć demony, Venadrina i wszystko inne, a potem dołączyć do rodziców.

Oczywiście kwestia ta była bardziej skomplikowana. Przy drobnych zadaniach wystarczało słowo mówione, natomiast poważniejsze przedsięwzięcia wymagały spisania słów, tak jak zrobiły to demony.

Gdyby miała zabić wszystkie demony, z każdego zakątka świata... Elan nie była pewna, jak miałyby to wyrazić, podejrzewała jednak, że samo spisanie czy wypowiedzenie kilku słów mogłoby nie załatwić sprawy.

Na szczęście w tej chwili nie zamierzała się porywać na nic podobnego. Musiała jedynie przebić osłonę.

„Szkoda, że Lis nie popełniła głupszego błędu i nie umieściła słowa poza tarczą” – pomyślała kwaśno. „Wtedy byłoby jeszcze łatwiej”.

Pani Cytadeli nie była jednak aż tak nierozsądna, więc aby atak się udał, trzeba było trochę popracować przy polu ochronnym.

– Będę odliczać od trzech. Potem wszyscy musicie uderzyć z całych sił – oznajmiła, rozkładając za plecami kij na pełną długość. Potem skupiła się na broni, która zaczęła drgać w jej uścisku i emitować świecące cząsteczki, opadające powoli i znikające, zanim dotknęły podłoża.

Inni również gotowali się do walki.

– Trzy... dwa... jeden!

Cała piątka zaatakowała wspólnie, szaleńczo uderzając i siekąc tarczę.

Choć dawali z siebie wszystko, nie osiągnęli praktycznie nic.

– Mówiłam, że nic nie wskóracie – skomentowała Lis z pogardliwym uśmiechem.

– A ja mówiłam – odparła Elan, odwzajemniając uśmiech – że zamierzamy się zabawić.

Przez cały czas skupiała wzrok w jednym punkcie.

Słowo przesunęło się nieznacznie w reakcji na atak. Zachwiało się i na chwilę nawet przygasło, zanim odzyskało pełną moc.

„Źle je zakotwiczyła” – pomyślała Elan z zadowoleniem, gdy jej przypuszczenia się potwierdziły. „Na schemacie w księdze pominięto punkt zaczepienia, bo zależy on od miejsca i sposobu wyrażenia słowa. Mogła stosować się do schematu, ale nie miała dostępu do teorii”.

Pokiwała głową ze zdecydowaniem i zwróciła się do grupy:

– Może nam się udać. Kaleb, ty uderzysz pierwszy. Potem Tur, Jol i Sien. A na koniec ja. Potem powtarzamy wszystko, zaczynając od Kaleba. Zrozumiano?

Wszyscy przytaknęli, choć nie bez wahania.

– Przystaniecie dopiero, kiedy powiem. Mamy tylko jedną szansę. Wszystko jasne?

Ponownie żaden z jej towarzyszy nie wyglądał na pewnego siebie, jednak Jol skwitował ogólny nastrój parsknięciem.

– Elan, sam widziałem, jak zaatakowałaś miasto pełne demonów i zwyciężyłaś. Dla mnie zupełnie nic tu nie jest jasne, ale na twoje słowo wchodzę do gry!

– Popieram tego głąba. – Kaleb uśmiechnął się z drugiej strony dachu, ignorując gniewne spojrzenie, jakim obrzucił go Jolnir.

Turroch i Sien’el darzyli Elan mniejszą ufnością, ale i tak przytaknęli ze zdecydowaniem.

– I tak nie mamy nic innego do roboty, dziewczyno – stwierdził Tur, podrzucając topór. – Możemy równie dobrze przeżyć lub zginąć w tym miejscu. Sien?

Włóczniczka westchnęła teatralnie.

– Skoro wszyscy się zgadzają, kim jestem, by wytykać wam głupotę? Znaczy... Wyraźnie wam odbiło, ale czasem trzeba pozwolić durniowi zapuścić się tam, gdzie boją się iść mądrzejsi. Jestem z wami.

– W porządku – powiedziała Elan. – Kaleb, zaczynasz!

Lis obserwowała działania ludzi, próbując maskować niepewność. Nie co do własnych osiągnięć, ale do tego, co właśnie oglądała.

Niepozorny chłopak ruszył pierwszy, wznosząc do ciosu czerwonozłoty miecz promieniujący energią.

„Skąd wzięli taką broń? Ludzie nie powinni mieć już do niej dostępu... Zresztą przecież nawet u szczytu rozwoju rzadko zdarzało się, żeby ktoś miał przy sobie magiczne ostrze...”

Ser'Lis nie potrafiła rozwikłać tej zagadki, co wprawiało ją w wyraźne niezadowolenie.

Zgodnie z jej oczekiwaniami pierwszy cios nie wyrządził żadnych szkód. Demonessa rozluźniła się nieco, patrząc, jak następny wojownik, olbrzym z toporem, uderza w osłonę, również bez widocznego skutku.

Za trzecim i czwartym razem było podobnie. Lis spojrzała na dziewczynę, która mimo młodego wieku wydawała się dowodzić drużyną.

Elan uderzyła kijem tak szybko, że oczy kobiety-demona nie nadążały za ruchem. Pole zafalowało pod wpływem siły ciosu, a potem szybko ustabilizowało się na nowo.

„Ona łże. Mój rytuał był bezbłędny!”

Niepowodzenie nie spowolniło ludzi. Uderzali raz za razem, trzymając się ustalonej kolejności i z narastającą prędkością, gdy już wpadli w rytm. Pole miało coraz mniej czasu, żeby odzyskać sprawność po każdym kolejnym ataku. Nadal jednak nic nie wskazywało, by osłona miała zawieść. Lis uspokoiła się jeszcze bardziej...

I wtedy to zobaczyła.

Pole było całe, ale z runicznych inskrypcji, pieczołowicie wyrytych na dachu, unosił się dym. Lis patrzyła na to szeroko otwartymi oczami, a potem obejrzała się gwałtownie, widząc, jak dziewczyna po raz kolejny zadaje cios kijem.

Miała ochotę wpaść w gniew, kazać tym ludziom przestać, ale wówczas jedynie zachęciłaby ich do ataku. Zmusiła się do milczenia, licząc, że zanim napastnicy zauważą swoje postępy, dadzą za wygraną ze zmęczenia.

Mimo to Ser'Lis zaczęła się przygotowywać do prawdziwej walki.

– Już prawie się udało! – zawołała Elan, spoglądając na inskrypcję, która żarzyła się bynajmniej nie za sprawą magii. Runy były rozgrzane do czerwoności. – Nie poddawajcie się!

Odgłosy uderzeń broni początkowo rozbrzmiewały w regularnym staccato, teraz jednak stopiły się w jeden długi huk, bez wyraźnych przerw.

Gdy przyszła jej kolej, Elan machinalnie uderzyła kijem, a potem dała znak Kalebowi, nie przestając przyglądać się runicznym napisom. Częściowo odpłynęła myślami, gdy rozejrzała się i zrozumiała, co czyta.

Niewielu rzeczy była tak pewna jak tego, że Księgi nie wyszły spod ręki śmiertelnika. Stanowiły ucieleśnienie mocy, napędzane przez coś, czego Elan nie mogła pojąć, i potrafiły wpływać na tego, kto umiał je odczytać.

Teraz Elanthielle zrozumiała to wszystko, choć nie wiedziała, jak to się stało. Miała jednak pewność, że jest na dobrej drodze do pojęcia tych tajemnic.

Bum!

Kij ponownie trafił w cel. Dziewczyna nasłuchiwała kolejnych ciosów, by w końcu raz jeszcze uderzyć w pole siłowe.

Bum!

Pośród rozlegającego się huku uderzeń czujne ucho mogło wyłapać dziwny, syczący odgłos.

Kiedy osłona w końcu pękła, nikt nie był na to przygotowany.

Runy, które wcześniej wytrzymały ciepło bez oznak nadchodzącej krytycznej awarii, nagle spaliły się na żużel. Materiał, w którym je wryto, stopił się, gdy tarcza runęła i zniknęła w mgnieniu oka.

Triumfalny okrzyk uwiązał jednak Elan w gardle, kiedy Ser'Lis zerwała się do lotu i rzuciła się na dziewczynę.

ROZDZIAŁ 26

CYTADELA

– Niedobrze to wygląda, Simone.

Kobieta skinęła głową, wbiła włócznię w ziemię i wyjrzała przez barykadę.

Wiedziała, że „niedobrze” to mało powiedziane. W hordzie zbierającej się na zewnątrz znalazły się prawie wszystkie demony wcześniej polujące na braci. Spoglądały teraz na Cytadelę wyglodzonym, rozwścieczonym wzrokiem.

Simone miała nadzieję, że Brokkr i Sindri uciekli przed gniewem nieprzyjaciela, zdawała sobie jednak sprawę, że najprawdopodobniej zyskali tyle czasu, ile mogli, i przypłacili to życiem. Teraz to do Simone, ludzi z Atlantydy i z osiedla należało dopilnowanie, by trud braci nie poszedł na marne.

– Bądźcie w gotowości – poleciła dowódczyni, stając w pierwszym szeregu. – Musimy dać Elan i jej drużynie więcej czasu.

Towarzyszący jej kobiety i mężczyźni pokiwali głowami. Atlantydzi doświadczyli już walki w różnych formach i Simone wiedziała, że się nie ugną. Nie była jednak pewna, czy może liczyć na to samo ze strony tubylców.

Nie było ich zbyt wielu, więc Simone zadbała o to, by otoczyć nowych żołnierzy jak największą liczbą Atlantydów i utrzymać szyk nawet, gdy miejscowi zaczną tracić morale.

– To chyba nasz dobry znajomy. – Simone rozpoznała demona, który zaatakował ich wcześniej. – Wygląda na to, że tu dowodzi. Ależ mamy parszywe szczęście. Trzeba było go zabić, kiedy nadarzyła się okazja.

– Jasne, bo wtedy byliśmy o włos od zwycięstwa.

Simone odwróciła się, wypatrując sarkastycznego dowcipnisa, nikt jednak nie zamierzał się przyznać.

– Mądrała – mruknęła.

Serg'in sapnął z irytacją, oceniając sytuację. Drażniło go, że w ogóle musi się z tym borykać. Nie miał wątpliwości, że demonom udało się złamać opór miejscowych.

„Skąd więc ten bunt?”

Wiedział oczywiście, że ludzie są nieprzewidywalni. Potwierdzały to doświadczenia z każdego wymiaru. Nieprzewidywalność nie była jednak cudownym środkiem rozwiązującym wszystkie problemy. Zazwyczaj oznaczała tylko tyle, że ludzie byli bardziej leniwi, głupsi i warci jeszcze mniej, niż można było podejrzewać nawet w przyływach najgorszego pesymizmu.

Mimo to od czasu do czasu pojawiał się człowiek, który wywracał wszystko do góry nogami.

To właśnie lenistwo i głupota czyniły ludzi tak niebezpiecznymi. Właściwy głos we właściwym czasie mógł przestawić ospałe, idiotyczne instynkty stada na najwyższe obroty. Nieszkodliwy motłoch mógł łatwo przeistoczyć się w horde godną walki z żołnierzami władcy demonów.

Serg był przekonany, że coś takiego właśnie się zdarzyło. Ludzie znaleźli przywódcę i podążyli za nim jak posłuszne owieczki.

„Jeśli odnajdę tego kogoś, może warto będzie poświęcić mu szczególną uwagę...”

Tymczasem jednak czekały inne, ważniejsze zadania.

– Szykujcie się do boju – rozkazał, dość głośno, by usłyszały go wszystkie demony.

– Żyjemy, by służyć, wicekrólu!

Władca uśmiechnął się paskudnie.

„Wiem o tym. Osobiście tego dopilnowałem”.

– Do ataku!

Brokkr rozejrzał się po ruinach z niewesołą miną. Zachodził w głowę, gdzie podziały się wszystkie demony.

Jeszcze przed chwilą uciekał przed ich pościgiem. Zdołały go nawet poranić i nieźle wymęczyć, a teraz nagle zniknęły. Wojownik

miał dzięki temu przynajmniej czas na wyleczenie ran, ale nie lubił, gdy wróg zachowywał się w nieprzewidziany sposób.

Znaczyło to, że demony poszły po rozum do głowy albo że Brokkr nawalił. Tak źle i tak niedobrze.

– Gdzie je wcięło, do licha ciężkiego? – mamrotał Brokkr, idąc zniszczonymi ulicami.

– Brokkr!

Mężczyzna odwrócił się z szerokim uśmiechem.

– Bracie! Widziałem wcześniej twoje gromy! Jak ci się wiedzie?

Sindri wzruszył ramionami.

– Wszystko szło jak z płotka, a potem demony ni z tego, ni z owego dały drapaka.

– Myślisz, że uciekły? – zapytał Brokkr, unosząc brew.

Sindri parsknął. Obaj dobrze wiedzieli, że demony są zbyt głupie, żeby uciekać.

– Ależ skąd! – odparł. – Coś jednak musiało je stąd wywabić.

– Ano tak. – Brokkr westchnął ciężko. – Może inni? Jak myślisz?

– A cóż by innego?

Bracia zwrócili się ku wieży wyrastającej niedaleko. Wpatrywali się w nią przez chwilę, po czym wymienili spojrzenia i przytaknęli z determinacją.

– Ruszajmy – powiedział Brokkr.

Bez względu na to, co sądziły demony, walka jeszcze się nie skończyła. Po prostu przeniosła się w inne miejsce.

Simone skrzywiła się, słysząc czyjś krzyk, a potem inny głos, ostrzegający o szarzy demonów.

Widziała, co się dzieje. Zresztą tak samo jak wszyscy.

– Wzmocnić barykadę! Przyłóżcie się! – poleciła dowódczyni. – Włócznie naprzód!

Wraz z innymi włócznikami wysunęła broń grotem do przodu. Linia obrony jeżyła się od włóczni. Tylko głupiec mógłby nie przerwać szarzy na taki widok. Oczywiście znalazło się kilka demonów, które okazały się wystarczająco głupie. Simone stęknęła,

napierając na włócznię i wciskając drzewce stopą w ziemię. Za pierwszą falą napastników od razu podążyła kolejna.

Broń wytrzymała kilka sekund, zanim złamała się na pół. Simone odrzuciła bezużyteczne szczątki włóczni i sięgnęła po miecz.

Od dawna posługiwała się żelaznym ostrzem, jednak gdy na Atlantyde przybyli bracia, poprosiła, by wzmocnili jej oręż za pomocą runów. W przeszłości szydziłaby z takiego zabiegu, uważając go za podstępne sztuczki demonów. Wiedząc jednak, ile istnień ocalili Elan, Brokkr, Sindri i Merlin, nabrała do runów odrobinę więcej zaufania.

Nie mówiąc już o tym, że bez ich pomocy ludzie najpewniej byłiby bez szans.

Żelazny miecz emitował jaśniejące cząsteczki, gdy Simone przechyliła się nad barykadą, wbijając ostrze w najbliższego demona, usiłującego wedrzeć się do Cytadeli.

– Wyróżnić ich! – rozkazała Simone. – Nie dajcie im przejść!

Elan wciąż walczyła gdzieś w górze, nie mogli więc pozwolić, by demony odbiły wieżę. Gdyby tak się stało, byłby to koniec... dla wszystkich!

„Nic z tego!”

– To jeszcze nie ostatnia noc ludzkości! – zawołała Simone, przekrzykując zgiełk bitwy. – Rąbcie mieczami! Kłujcie włóczniami! Nie oddamy tego miejsca!

Wicekról trzymał się z dala od walki, bacznie obserwując linię obrony. Liczył, że barykada upadnie zaraz po rozpoczęciu ataku, ale obrońcy najwyraźniej stawili znaczący opór.

„Istne utrapienie” – pomyślał, rozdrażniony.

Jednak właśnie dlatego posłał przodem najslabszych żołnierzy – aby staranowali barykadę, a jednocześnie odsłonili wszelkie słabe punkty obrony. Szybko okazało się, że barykada, choć postawiona pośpiesznie, była zaskakująco wytrzymała.

Serg'in warknął cicho, po czym od razu wysłał drugą falę demonów, by rzuciły się na niedobitki pierwszego szeregu.

W większości demony tego rzutu zwisały bezwładnie z włócznie wyrastających spomiędzy gruzowiska blokującego przejście.

„Co oni chcieli osiągnąć?” – zastanawiał się władca, patrząc, jak demony napierają na swoich poprzedników, żywych lub martwych, przy okazji nabijając wiele ocalałych potworów na włócznie.

Wicekról nie przejmował się dodatkowymi stratami. Demony były praktycznie nieograniczonym zasobem, nawet tutaj, w świecie na linii frontu niekończącej się wojny przeciwko Stwórcy i jego sługom.

Jeśli trzeba, zniszczą barykadę dzięki przewadze liczebnej.

„A wówczas rozerwiemy ludzi na strzępy i pożywimy się ich krwawymi szczątkami!”

– Kiepsko to wygląda – rzucił nonszalancko Sindri, opierając stopę na odłamku gruzu i rozglądając się uważnie.

Brokkr burknął tylko pod nosem, nie mając na podorędziu żadnej błyskotliwej odpowiedzi.

„Nie żeby kiedykolwiek miał coś mądrego do powiedzenia” – pomyślał Sindri z wisielczym humorem.

Demony prowadziły oblężenie parteru starej wieży. Sindriego dręczyło wrażenie, że zna skądś ten budynek, jednak po tylu latach nie mógł sobie przypomnieć skąd. Zresztą nie miało to większego znaczenia.

– Będzie im potrzebna pomoc – stwierdził.

– Nie tylko pomoc, bracie – odparł Brokkr. – Trzeba im cudu!

Sindri wiedział, że to prawda. Sądząc po liczebności demonów, niewiele dało się teraz zdziałać. Nawet dwaj bracia, działając wspólnie, musieliby się ciężko napracować, aby wybić większą część hordy. Dowódca demonów bez wątpienia również był tego świadom.

– Widzisz ich szefa? – zapytał Sindri, spoglądając wokół.

– Nie jestem pewien – mruknął Brokkr. – To pewnie ktoś z tamtej bandy.

Sindri spojrzał we wskazane miejsce i przytaknął. W oddali stała grupa demonów z wyższych poziomów. Trzymały się z dala od walczących, od czasu do czasu wydając rozkazy i komendy.

Demony nie były tchórzami, przynajmniej w tradycyjnym znaczeniu tego słowa. Trudno byłoby je także nazwać odważnymi, ponieważ większość z nich, zwłaszcza potwory z niższych kręgów, nie mogła odczuwać strachu. Czy był to przypadek, czy zaplanowany proces? Tego Sindri nie wiedział.

W miarę jak demony rosły w siłę i przechodziły Przemianę, odzyskiwały umiejętność odczuwania lęku, szacunku i tym podobnych emocji. Potężniejsze potwory potrafiły nawet postępować z pewnym specyficznym honorem, choć rzadko przejawiało się to w sposób widoczny dla ludzi.

Nawrót strachu stanowił jedną z cech wyróżniających wyższe demony. Wprawdzie były w stanie zmiażdżyć planetę jak skorupkę jajka, mogły jednak także czuć obawę, zauważalną dla tego, kto wiedział czego i gdzie ma szukać.

Sindri i Brokkr spoglądali teraz na grupę wyraźnie bardziej zrównoważonych demonów, zapewne członków silniejszego szczepu, przyglądających się walce z daleka. To właśnie odróżniało je od roju bestii stanowiących lwią część ich armii.

– Może sprawdzimy teorię w praktyce? – zaproponował Sindri z krzywym uśmiechem.

– Jasne, czemu nie?

Serg'in pokiwał głową z zadowoleniem, gdy część barykady runęła, a niedobitki demonów zdołały wywlec kilkoro ludzi za linie obrony.

Ludzie nie mieli oczywiście żadnych szans w konfrontacji z rozszalałą hordą. Już po chwili ziemię zaścielały oderwane kończyny i szczątki, tak ofiar jak i oprawców... Przynajmniej te, które jeszcze nie trafiły do paszcz i brzuchów demonów.

– Na razie skoncentrujcie atak w tym miejscu – polecił. – Chcę zobaczyć jeszcze więcej krwi.

– Tak jest, wicekrólu!

Kolejna fala ruszyła od razu, mknąc z potępieńczym wrzaskiem przez zapyłony, skrwawiony gościniec.

Serg warknął w egzaltacji, upajając się rzezią.

„To nie potrwa długo”.

Wtedy nieoczekiwany rozbłysk światła prawie go oślepił. Świat zadrżał, a żar rozlał się w powietrzu jak woda z naczynia.

Simone zebrało się na wymioty, gdy zobaczyła, co spotkało jej podkomendnych, wyrwanych za linię obrony. Byli bez szans. Przynajmniej mieli szybką śmierć. Szybka, ale z pewnością niełatwą.

– Włóczyńcy, zewrzeć szyki! Potrzebuję was na przedzie! – zawołała dowódczyni. – Jeśli nie zabezpieczymy barykady, będzie po nas!

Obrońcy zareagowali wzorowo, jednak w głębi serca Simone wiedziała, że to nie wystarczy. Takie już były demony. Można było być idealnie przygotowanym, uzbrojonym lub okopanym, a ich ciągle zjawiało się więcej... i więcej.

Tej nocy miało być tak samo, chyba że Elan i Kaleb dokonają cudu.

Trzecia fala napastników już nadciągała. Simone patrzyła na to z odrealnionym poczuciem grozy, wiedząc, że atak pochłonie sporą część barykady. Serce zamarło jej jednak w piersi, gdy błyskawica rozcięła niebo, a szalejące płomienie w jednej chwili obróciły teren przed wieżą w piekło na ziemi.

– Bracia żyją!

ROZDZIAŁ 27

CYTADELA

Elan cofnęła się instynktownie. Ledwie zdążyła unieść kij, demonessa zjawiała się tuż przed nią. Miała w oczach żądzę mordy i błyskała obnażonymi kłami.

– Masz się za mądrą, człowieczku! – warknęła prosto w twarz Elan. Chwyciła za kij, który od razu zaczął przypalać jej ciało. Ser’Lis nie wypuszczała broni, ignorując ból. – Zabijałam już mądrzejszych od ciebie. Zapomniałaś, co się stanie, kiedy osłona padnie.

Elanthielle stęknęła. Nawet wspomagana przez zbroję, nie mogła zebrać wystarczających sił, żeby odeprzeć atak demona. Lis poruszała się niewyobrażalnie szybko, a pozorny spokój, który zachowywała podczas wcześniejszej pogawędki, wprowadził dziewczynę w złudne poczucie bezpieczeństwa.

Towarzysze Elan rzucili się z krzykiem w stronę walczących. Nie tak miało być. Życie Elanthielle było niczym w porównaniu ze stawką, o którą toczyła się gra.

Elan trąciła zbroję. Hełm okrył jej twarz i głowę. Odzyskawszy oddech, dziewczyna z całych sił uderzyła Lis głową w twarz. Gdy demonessa odchyliła się po ciosie, Elan spojrzała jej przez ramię.

– Nie! Zostawcie ją mnie! – krzyknęła do reszty drużyny. – Załatwcie mistrzów runów!

Wzięła zamach, zadała Ser’Lis kolejny cios w głowę i szarpnęła za kij. Wyrwała go wraz z płatami skóry demona. Potem zrobiła dwa szybkie kroki w tył, by zwiększyć dystans.

– Ha! – krzyknęła Lis, dochodząc do siebie i zaciskając pięści tak mocno, że kilka kropel ciemnej, prawie czarnej krwi skapnęło na dach. Po chwili otworzyła dłonie, ukazując gładką, nienaruszoną skórę. – Ani ten twój patyk, ani żadna inna broń nic tu nie zdziała. Nie zamierzałam na sam koniec panowania nad tym marnym kawałkiem skały uzależniać wszystkiego od jednej linii obrony!

Elan zakręciła kijem i oparła go w zgięciu ręki. Skinęła głową na przyjaciół.

– Nie zwracajcie na nią uwagi i sprawdźcie, co da się zrobić – poleciła. – Sama się policzę z tą suką.

– Mnie to pasuje – zaśmiała się Ser’Lis.

Elan wywinęła młynek czerwonozłotym kijem, gdy demonessa rzuciła się na nią z wyciągniętymi szponami.

Kaleb zawahał się, obserwując początek starcia. Czy powinien zrobić, jak kazała Elan? Czy raczej zignorować polecenie i pomóc w walce z kobietą-demonem? Być może udałoby się ją szybko pokonać, a potem zająć się rytuałem?

Zastanawiał się tylko przez kilka sekund, ale to wystarczyło, aby Jol wszystko zauważył i klepnął chłopaka w ramię.

– Bierzmy się do roboty. Elan sobie poradzi.

Kaleb przełknął ślinę, ale skinął głową, odrywając wzrok od walki i zwracając się ku najbliższemu demonowi.

– Uważajcie – powiedział Jolnir, przytrzymując Kala i dając ostrzegawczy znak Sien oraz Turowi. – Nie wiemy, jak się jeszcze bronią.

Pozostali pokiwali głowami. Tarcza pękła, a wojownikom udało się wdrzeć w obszar, który chroniła, jednak nie wolno było lekceważyć demonicznych mistrzów runów, mimo ich niepozornego wyglądu.

– Widziałem, do czego są zdolni – odparł Kaleb. Nie ruszał się z miejsca i wspominał zdarzenie na wyspie.

Jeden specjalista od runów prawie wykończył wszystkich ludzi, a teraz musieli zmierzyć się aż z pięcioma demonami, które miały dość czasu, by urządzić krwawą jatkę.

„Tym razem nie uratują nas morskie potwory” – pomyślał Kal ponuro.

– Spokojnie – warknął Tur. – Ja uderzę pierwszy. Wypatrujcie czegokolwiek, co może nam się przydać.

Reszta przystała na to z niechęcią, ale nikt nie miał lepszej propozycji. Kaleb cofnął się, gdy Tur uniósł topór i zbliżył się do jednego z demonów nucących zaklęcia.

Mistrzowie runów nawet nie zauważyli, że mają towarzystwo. Jak gdyby nigdy nic, kontynuowali śpiewy. Wyglądało na to, że

zanurzyli się w magii zbyt głęboko, by zauważać świat zewnętrzny.

Kaleb bardzo chciał wiedzieć, czy ma to wziąć za dobry znak.

„Założę się, że nie” – stwierdził w duchu, ale wolał nie wypowiadać tej myśli na głos.

Tur wzniósł topór i zadał cios z góry, wkładając w niego tyle siły, na ile pozwalały jego mięśnie i ulepszona broń. Jednak w efekcie wszystkich oślepiło jasne światło, a Tur wzleciał w górę i upadł jak szmaciana lalka odrzucona przez znużone dziecko.

– Tur! – krzyknęła Sien, biegnąc w jego stronę.

Siłacz mocno uderzył w dach i ześlizgnął się na jego skraj, zdołał jednak wyhamować. Jęczał z bólu, gdy Sien przypadła do jego boku.

– Jesteś cały? – spytała z niepokojem.

– Będę żył – wycedził przez zęby, drżąc bez opamiętania.

– Rzeczywiście – potwierdził Kaleb, odczytując informacje z pancerza rannego kolegi. – Ale i tak mamy problem.

Odwrócił się w stronę niczego nieświadomych mistrzów, którzy mieli przynieść zgubę wszystkim niedemonicznym stworzeniom na planecie. Zanim Tur upadł, chłopak przez chwilę widział napis wyryty wokół stóp demona. Wiedział, że to kolejna osłona, choć nie potrafił dociec jej natury.

„Musimy ją przełamać. Jeśli się nie uda, wszystko będzie stracone”.

Elan uchyliła się przed ostrymi jak brzytwa szponami. Machnęła kijem po krótkim łuku, chcąc utrzymać dystans. Demonessie wyraźnie zależało na walce w zwarciu.

– Uciekasz, dziewczynko? – szydziła Lis, bez trudu przeskakując dzielącą je odległość i wymachując obiema rękami. Natrafiła jednak tylko na powietrze i twarde podłoże. Elan tymczasem przetoczyła się na bok, wstała i uderzyła demonessę w plecy.

Ser’Lis warknęła, odpychając broń przedramieniem. Przez chwilę jednak skuliła się, wyraźnie odczuwając uraz.

– To nie jest zwykła broń – zauważyła, spoglądając gniewnie na czerwonozłoty materiał. – Skąd ją masz? Ludzie nie używają takiego oręża!

– To prezent – odparła Elan, chwytając kij w obie dłonie i celując w demona.

– Oryszalk... – syknęła Lis. – Kto ci go dał? Jaki zdrajca... – Urwała i wypuściła powietrze. Cały gniew nagle z niej uleciał. – Właśnie. Zdrajca. Musiałaś spotkać jednego z nich!

– Tylko jednego, powiadasz? – zapytała zaczepnie Elan.

– Cud, że ktokolwiek z nich pozostał przy życiu, kiedy pozbyliśmy się obrońców tego świata – stwierdziła Pani Cytadeli. – Domyślam się jednak, że mogło być ich więcej. – Zamyśliła się na chwilę. – Mniejsza o to. Rozprawimy się ze wszystkimi w swoim czasie. Zaś ci, którzy dali ludziom broń z oryszalku, posłużą mi za szczególny przykład...

– Pod warunkiem że przeżyjesz tę noc. – Elan zmrużyła oczy.

Lis zaśmiała się, kręcąc głową.

– Jesteś niezła, dziewczyno, ale to za mało. Brakuje ci do mnie jakichś stu tysięcy lat!

Elan zamarła. Nie dowierzała w te słowa, nie była nawet pewna, czy się nie przesłyszała.

„Sto tysięcy lat? To niemożliwe... Prawda?”

Za mało znała się na demonach. Oczywiście zawsze odnosiła wrażenie, że istoty te żyją dłużej od ludzi, a konfrontacje z Ser’Goth czy samą Lis tylko to potwierdzały.

Ale sto tysięcy lat? Oznaczało to nie tylko długowieczność, ale i pochodzenie z innego wymiaru!

– Łiesz! – oznajmiła Elan, słysząc niepewność we własnym głosie.

– Tak sądzisz? – naigrywała się Lis, podchodząc bliżej. – Dziecko, nie masz pojęcia o mocach, z którymi igrasz. Widziałam rzeczy, od których stopiłby się twój umysł, poznałam słowa, które doprowadziłyby cię do obłędu, gdybyś choć spróbowała je wypowiedzieć. Wszechświat nie został stworzony dla nędznych, żalonych... i wybrakowanych podróbek takich jak wy!

Elan zamrużyła. Nie bardzo wiedziała, jak ma to rozumieć.

– Jak to podróbek? – zapytała, okrążając przeciwniczkę. Nadal grała na czas i usiłowała znaleźć dogodną pozycję do ataku.

Zamiast odpowiedzieć, Lis nie przerywała rozpoczętego wątku:

– Powinniście się płaszczyć i wychwalać nas za to, że tu przybyliśmy i daliśmy wam możliwość Przemiany! Zerwania ze słabością, przekształcenia wadliwej cielesnej powłoki w coś wiecznego, w formę, do której wszyscy powinniśmy dążyć!

– Wiecznego? – obruszyła się Elan. – Ilu zabiliście, żeby obdarzyć ten świat „życiem wiecznym”?

– Kogo to obchodzi?! I tak umrzecie – odgryzła się demonessa. – A czy po stu latach, czy po roku? Parę lat więcej nie ma znaczenia z perspektywy wszechświata. Wybicie miliardów istot, by zapewnić nieśmiertelność przynajmniej jednej, tak czy inaczej oznacza kilka lat więcej dla całego rodzaju ludzkiego. Sami byście to dostrzegli, gdybyście nie zostali celowo okaleczeni przez Tego, który lęka się własnego stworzenia!

Elan nie miała pojęcia, o czym mówi kobieta-demon.

– Czyli przez kogo? – Dziewczyna musiała o to zapytać.

– Kogo? – Lis się roześmiała. – Nie masz pojęcia, w jakiej grze uczestniczysz. Jesteś słabym, nic nieznaczącym graczem na planszy tak skomplikowanej, że nie umiesz jej zobaczyć, choć masz ją pod stopami.

– Nie muszę rozumieć twojej gry, demonie – zaproponowała Elan. – Wystarczy mi wiedza, czy czynicie dobro, czy zło. A co do tego nie mam żadnych wątpliwości.

– Dobro? Zło? To bujdy! Wszechświata nie obchodzą twoje motywy. I tak pilnuje, żebyś zrobiła wszystko, co trzeba.

– Jak... Jak to? – zapytała Elan, całkowicie zbita z tropu.

Lis uśmiechnęła się z zadowoleniem.

– Dziecko, na tym świecie możesz sobie być ucieleśnieniem prawdy, odpowiedzialności i wszelkich innych bredni, które uważasz za przejawy dobra... Ale w innym? Stoisz u mego boku i wspólnie doprowadzamy do końca świata! Z kolei w jeszcze innym z radością zabijasz wszystkich swoich śmiechu wartych przyjaciół, ot tak, dla zabawy. Wymiary, plany, rzeczywistości... – Demonessa wzruszyła ramionami. – Jakkolwiek je nazwiesz, rozgałęziają się prawie w nieskończoność. Każde działanie, które kiedykolwiek rozważałaś, każda twoja decyzja, w dowolnej postaci, zdarzyły się w tej czy innej rzeczywistości.

Pani Cytadeli wyprostowała się i popatrzyła z góry na Elan.

– Dziecinko, czy naprawdę sądziłaś, że jesteś tu, bo taki był twój wybór? To nieprawda. Stało się tak, bo wszechświat uznał, że w tej rzeczywistości powinnaś wejść mi w drogę. – Zmierzyła Elan jadowitym wzrokiem. – A ja bardzo nie lubię, kiedy wszechświat rzuca mi kłody pod nogi...

Kaleb zaklął, gdy jego miecz odbił się od tarczy chroniącej demony, które nie przestawały śpiewać, pogrążone w błogiej nieświadomości.

– Możemy spróbować tego, co robiliśmy wcześniej! – zaproponował Jol. – Będziemy uderzać na zmianę i...

– To na nic – mruknął Kaleb. – Wtedy udało się tylko dlatego, że Elan zauważyła błąd w czarach. Tutaj nie widzę podobnych problemów. Ani w ogóle żadnych. Myślę, że to zupełnie inny rodzaj magii.

– Masz rację!

Kaleb prawie wyskoczył ze skóry, słysząc w uchu obcy głos. Rozglądał się gorączkowo. Jol, Sien i Tur patrzyli na niego ze zdziwieniem. Kal z ociąganiem dotknął boku głowy.

– Ekhm... Kto to powiedział? – zapytał niemal lękliwie.

– Nimue. Być może mnie pamiętasz...

Kaleb odetchnął.

– Tak, przypominam sobie.

Spojrzał na towarzyszy i bezgłośnie wypowiedział imię projekcji, wskazując na własną głowę. Pozostawił Jolnirowi objaśnienie Turrochowi i Sien'el, jakim cudem można rozmawiać z kimś, kto jest tak daleko.

– Mam taką nadzieję – powiedziała Nimue surowo. – Nie da się o mnie zapomnieć.

Kaleb przewrócił oczami.

– Wszystko widzę!

– Jak?! – zapytał chłopak, patrząc wokół.

Nimue zaśmiała się cicho.

– To tajemnica. Teraz mamy zresztą ważniejsze sprawy na głowie, a ja mogłabym dopowiedzieć to i owo.

– Niech będzie – zgodził się Kaleb. – Jakie masz informacje?

– Osłona jest skutkiem demonicznego zaklęcia – wyjaśniła Nimue.

– Potężnego, ale o wyraźnych słabych punktach, które da się wykorzystać. Można je zniszczyć żelazem...

– Nasza broń odbija się od osłony. Włócznia Sien’el także – zaprotestował Kal.

– Tak, niestety, żelazo działa powoli, a w tym wypadku nie daje idealnych rezultatów. Podałam jedynie przykład. Natomiast, o ile dobrze rozumiem, twoja broń nie jest z żelaza.

Kaleb zerknął na ostrze podarowane mu przez braci.

– Nie, jest z czegoś innego – powiedział. – Nie jestem pewien, co to, ale Brokr i Sindri mówili, że może wyrządzać szkody demonom.

– W rzeczy samej. To rzadki stop, nazywany przez demony oryszalkiem – odparła Nimue. – Może łatwo uszkodzić tarczę.

– Mówiłem przecież, że mój miecz odbił się od niej! – upierał się Kaleb.

– Nie machaj nim jak byle patykiem. Użyj broni jak narzędzia, którym jest – skarciła go Nimue. – Aby wypłenić magię nieprzyjaciela, musisz utworzyć obwód pomiędzy twoim mieczem a osłoną.

Kaleb zamrugał. Nie miał pojęcia, o czym mówi ta inteligencja.

– Zapominam, jak bardzo się cofnęliście – westchnęła Nimue. – Wbij czubek ostrza głęboko w podłoże, a potem skieruj głowicę tak, by zetknęła się z tarczą.

Kaleb przez chwilę patrzył na swój oręż. W końcu uznał, że usłuchanie bezcielesnego głosu było mniejszym szaleństwem niż kapitulacja.

– Przygotuj się – ostrzegła Nimue. – Tarcza nie padnie tak łatwo. Będziesz musiał wytrzymać.

– Cudownie – syknął Kal. Chwycił miecz za jelec i napierając obiema rękami, wbił go w dach.

Miał nadzieję, że to wystarczy. Przechylił ostrze i z całej siły wbił głowicę w pole chroniące demony. Oślepił go nagły wybuch roziskrzonych energii i światła. Kaleb czuł, jak energia przepływa

przez jego ciało, i miał wrażenie, że za chwilę usmaży się żywcem. Nie poddawał się jednak, gdy feeria światła przybierała na sile.

Elan skręciła się, kiedy Lis uderzyła ponownie. Próbowwała rozorać szponami bok dziewczyny, która odpłacała się pięknym za nadobne, wymierzając demonessie mocny cios kijem. Rozległo się trzaśnięcie, jakby Lis pękła jakaś kość w tułowiu, jednak Pani Cytadeli ledwie się wzdrygnęła, po czym powróciła do zadawania ciosów.

Elan szybko zdała sobie sprawę, że ciągle uniki do niczego nie prowadzą. Oczywiście zadawała coraz więcej celnych ciosów, ale tylko dlatego, że jej przeciwniczka ignorowała te ataki, jakby nie czyniły jej żadnej krzywdy.

Prawdę mówiąc, było to dość uwłaczające, a Elan zaczynała odczuwać więcej gniewu niż lęku.

Zanurkowała, unikając kolejnego ciosu, przetoczyła się na środek dachu, a potem wstała i ponownie zwróciła się w stronę demona.

Ser'Lis rozpostarła skrzydła i rzuciła się na Elan. Dziewczyna wyciągnęła broń boczną i czym prędzej oddała strzał.

Pocisk energii zdolny niszczyć góry omiół Lis, ale ku zdziwieniu i przerażeniu Elan demon nie odniósł żadnych widocznych obrażeń. Elanthielle знаła podstawy funkcjonowania swojej broni. Nauczyła się ich od Merlina, zanim pozwolił jej korzystać z tego oręża, i wiedziała, że żadna istota cielesna nie powinna wyjść cało z takiego ostrzału.

Teraz jednak mierzyła się z wrogiem, który nie tylko był do tego zdolny, ale też robił wszystko, by tego dowieść w samym środku walki.

Elan skoczyła w bok, zanim Ser'Lis wylądowała, dzięki czemu uniknęła kolejnego ataku, który zmiażdżyłby ją, o ile wcześniej nie rozerwałyby na krwawe strzępy.

„Niedobrze”.

Lis obróciła się powoli z drapieżnym uśmiechem. Elan wiedziała, że demon czyta jej w myślach.

– Teraz wiesz już, jak poważnie się przeliczyłaś? Nie jestem jak moja siostra – naigrywała się Lis. – Nie masz szans, dziewucho!

Elan stanęła na równe nogi, schowała broń boczną do kabury i ponownie rozłożyła kij. Coś przyszło jej do głowy.

– Ona też tak mówiła – odparła zaskakująco spokojnym i pewnym tonem.

– Ser’Goth zawsze pozostawała w moim cieniu. Nie bez powodu – oznajmiła Ser’Lis, prostując się i ruszając powoli w kierunku Elan.

Dziewczyna cofała się, nie pozwalając przeciwniczce zmniejszyć dystansu i gorączkowo szukając jakiegoś wyjścia z tej sytuacji.

– Elan... – z jej zbroi dobiegł głos Nimue. – Mamy plan.

„Mamy? My, czyli kto?” Elan zamrugała, ale wolała nie pytać o to na głos. To i tak było teraz nieważne.

– Słucham.

ROZDZIAŁ 28

OBSZAR PRZED CYTADELĄ

Brokkr obserwował oblężenie. Bracia siali spustoszenie w siłach wroga. Demony z pierwszego szeregu rozbiegły się, gdy siła zdwojonego ataku rozerwała ziemię, posyłając słabsze do piekła lub obezwładniając na chwilę nawet silniejsze potwory.

Niestety, był to jedynie ułamek sił, jakimi dysponował miejscowy władca.

„To poważny problem” – zauważył Brokkr, gdy demony odwróciły się od wieży w kierunku pozostałości osiedla, w których kryli się bracia. Brokkr nie wątpił, że pozostawione same sobie, demony złamałyby szyk i ruszyły w pościg. Rzecz w tym, że nie były pozostawione same sobie.

– Tamten to na pewno przywódca – oznajmił Sindri.

Brokkr odwrócił się i skinął głową. Zobaczył jednego z potężniejszych demonów, który stał na uboczu, a teraz siłą zmuszał hordę do posłuszeństwa i kontynuowania natarcia na Cytadelę.

– Założymy się? Dałbyś głowę? – zapytał zaczepnie Brokkr.

Sindri spojrzał na niego bez emocji.

– A pewnie. Gdybym się pomylił, miałbyś przynajmniej jeden łeb, który myśli.

Brokkr parsknął.

– Bracie, czasem przeceniasz swoją wartość.

Sindri zarechotał, wskazując głową demona, którego zidentyfikowali jako dowódcę sił nieprzyjaciela.

– Ja zacznę.

Brokkr przytaknął, skupiając uwagę na hordzie.

– Usmaż tego sukinsyna, bracie!

Wicekról zaklął cicho, gdy już udało mu się zawrócić hordeę we właściwym kierunku.

„Cholerni zdrajcy” – zżymał się duchu. „Mogłem się tego po nich spodziewać”.

Nie darzył zdrajców miłością, zresztą jak żaden demon. Historia ich walki z Kręgami ciągnęła się od tak dawna, że sam wicekról nie był do końca pewien, czy którakolwiek ze stron pamiętała jeszcze, o co poszło.

Demony nazywały wrogów zdrajcami, nikt jednak nie mógł sobie przypomnieć dlaczego... A przynajmniej nikt skory do podzielenia się wiedzą. Serg'in zakładał, że niektóre demony z Pierwszej Generacji, władcy Pierwszego Kręgu... czy też Dziewiątego, w zależności od tego, jak się je liczyło... byli najbliżsi osiągnięcia wszechwiedzy i wszechmocy. Widzieli też początek konfliktu... Inni jednak nie mieli o tym pojęcia.

Przyczyna niesnasek, jakakolwiek by była, pozostała żywa przez wiele generacji długowiecznych potworów. Zdrajcy nienawidzili demonów z wzajemnością. Stało się to wręcz fundamentalnym prawem wszelkiego istnienia.

Wicekról nie raz walczył z tymi przeciwnikami, kilku nawet zabił. Prawdopodobnie... Trudno było mieć pewność. Zdrajcy byli wytrzymalsi od insektów i wirusów. Serg z pewnością pokonał kilku, zmuszając ich do ucieczki przed swoimi siłami. Doświadczenie to nauczyło go darzyć nieprzyjaciela szacunkiem, przynajmniej tak samo silnym jak nienawiść.

– Uważać na flanki – polecił co mądrzejszym spośród swoich strażników. – Zdrajcy uderzą ponownie.

– Tak jest, wicekrólu!

Kiedy siły demonów ponownie ruszyły na pole bitwy, wzmocnione posiłkami, Serg'in zwrócił wzrok w kierunku toczącego się starcia.

Teraz zdrajcy stanowili niebezpieczny, ale jedynie poboczny kłopot. Głównym celem pozostawało odbicie Cytadeli.

– Znowu nadchodzą!

Simone warknęła gniewnie. Żałowała, że nie ma już włócznie, jednak była gotowa walczyć żelaznym mieczem.

Wataha demonów nadciągająca przez dziedziniec nie była już tak zwarta jak wcześniej. Bracia wybili słabsze osobniki, inne potwory nie dały się zmusić dowódcom do powrotu do szeregu.

Takie osłabienie powinno dać ludziom choć nikłe szanse.

– Utrzymać szyk! – rozkazała Simone. – Nie mogą przejść dalej!

Barykada zadrżała od uderzenia tłumu demonów. Wrzaski rozlegające się po drugiej stronie dawały do zrozumienia, że wysunięte włócznie trafiały w cele, pomimo nabitych na nie potworów z poprzedniego starcia. Wspólnymi siłami ludziom udało się utrzymać zaimprovizowaną ścianę.

Simone wspięła się na barykadę i zaczęła siec demony. Żelazne ostrze cięło głęboko za każdym razem, choć kobieta nie mogła mieć pewności, czy trafia w żywego napastnika, czy może w któreś z ciał zdobiących barykadę. Widziała, że inni poszli za jej przykładem. Rozbłyśki żelaza rozjaśniały noc, odbijając blask odległych płomieni.

Wtem o wiele mocniejszy, wręcz oślepiający rozbłysek i wstrząs mrozący krew w żyłach sprawiły, że Simone zachwiała się i prawie upadła. A potem zaległa cisza...

– Bitwa rozwija się... całkiem nieźle – stwierdził Sindri niepewnym tonem.

Prawdę mówiąc, trudno było powiedzieć, kto wygrywa walkę u wejścia do Cytadeli, jednak ludziom wciąż udawało się odpierać atak nieprzyjaciela, co dobrze świadczyło o obronie.

Sindri wzniosł młot, przelewając własną energię w broń, którą skonstruował, by skupiać w niej swoje talenty.

Przyzywanie piorunów nie było łatwym zadaniem i wiązały się z nim pewne ograniczenia. Mimo całej swojej niewiarygodnej mocy wojownik nie mógł stworzyć energii z niczego, nie wolno mu też było lekceważyć siły gromu. Był natomiast w stanie przywołać energię z nieba, o ile była tam obecna... albo też doprowadzić do wydarzeń, które wytworzyłyby potrzebną moc.

Obecne warunki otoczenia jak najbardziej sprzyjały wyładowaniom energii. Ciepło, w połączeniu z wodą w zatoce na południowym wschodzie, wytwarzało coś w rodzaju nieprzerwanego wiru. Sindri podejrzewał, że w takim miejscu zdarzają się naprawdę widowiskowe burze, choć po tej nocy miało w nich być mniej błyskawic.

Czuł narastającą moc pioruna, który lada chwila miał spaść z nieba. Wojownik musiał pokierować gromem, by ten nie trafił w pierwszy lepszy punkt, idąc po linii najmniejszego oporu, zgodnie z prawidłami natury.

Sindri wyzwolił siłą umysłu własną moc, dużo subtelniejszą i bardziej wyrafinowaną. Wyrysował na niebie linię wysokoenergetycznych cząsteczek, które wytrąciły z miejsca kilka naładowanych drobin, przygotowując błyskawicy najbardziej atrakcyjną ścieżkę z możliwych.

Dopiero wówczas Sindri uruchomił piorun.

Niebo się otworzyło, a ziemia zadrżała od grzmotu. Sindri czuł, jak grom zstępuje wyznaczoną ścieżką, by uderzyć w lokalizację dowódcy demonów z furią godną najgwałtowniejszych burz.

Wtedy cały ruch w okolicy nagle zamarł.

Czuł, jak jego ciało płonie od środka.

„Pieprzeni zdrajcy” – pomstował w duchu wicekról, walcząc z bólem i usiłując ugasić płomienie na ramieniu.

Z niepokojem zdał sobie sprawę, że mało brakowało, by piorun pozbawił go życia. Zrobiłby to, gdyby demon nie był przygotowany. Mimo to uderzenie gromu zniszczyło jego tarczę. Wicekról nie spodziewał się tego, zwłaszcza, że każdy, kto próbuje przesłać taką moc, powinien przypłacić to życiem.

„A zatem coś mi umyka” – pomyślał wicekról cierpko, dźwigając się z osmalonego dołu, w który wpadł.

Wokół siebie widział demony jęczące z bólu, a także kilka niedających znaku życia. Nie zamierzał sprawdzać, czy zginęły. Jeśli tak, nie będzie po nich płakać. Jeżeli przeżyły, oczekiwał, że albo wyjdą z tego zahartowane, albo zdechną, próbując się wylizać.

W tej chwili wicekról nieszczęśliwie się tym zamartwiał.

„Co innego, jeśli chodzi o zdrajcę”.

Demon obrócił się, spoglądając na ruiny miasta, za którymi zorganizował stanowisko dowodzenia.

O tak, zdrajca to zupełnie inna sprawa.

Niestety, w tej chwili wicekról znalazł się między młotem a kowadłem. Jednak nie było wątpliwości, który z tych elementów wymaga od niego pełnej uwagi.

Z drugiej strony, nie mógł po prostu zignorować miotacza błyskawic.

– Goloth! – ryknął, wzywając godnego zaufania podkomendnego, aktualnie popędzającego hordę do ataku na Cytadelę.

– Tak, wicekrólu? – wydyszał demon, gdy dobiegł na miejsce.

– Zbierz drużynę – rozkazał wicekról, wskazując na ruiny. – Znajdź zdrajców i pozbądź się ich!

Wielki demon wyszczerzył kły w uśmiechu.

– Bracie, nadchodzą! – Brokkr zobaczył nadbiegającą bestię jako pierwszy i ostrzegł Sindriego, zrywając się na nogi i wyciągając miecz.

Sindri stęknął, zmęczony, wręcz wypalony po niedawnym ataku.

– Przytrzymasz ich przez chwilę? Nie jestem akurat w najlepszej formie.

– Żadna nowość – zażartował Brokkr. – Zajmę się nimi.

W przeciwieństwie do brata Brokkr niezbyt dobrze radził sobie z niebem i błyskawicami. Do takiej sztuki należało utrzymać jakąkolwiek kontrolę. Może i byłby w stanie przyzwać piorun bez większego problemu, grom jednak uderzałby na oślep i równie dobrze mogłby trafić Brokkra.

Wolał zupełnie inną metodę manipulacji naturalnym porządkiem rzeczy, wymagającą o wiele mniejszej precyzji, a jednocześnie większej siły.

Miło się podpalało różne rzeczy, zwłaszcza jeśli należały do nieprzyjaciela.

Brokkr wyszedł z ukrycia, pozwalając, by szarżujące demony dobrze mu się przyjrzały. Przekierował moc w powietrze otaczające miecz. Pierwiastki unoszące się wokół pobudziły się tak szybko, że pominęły zapłon i przeszły od razu do kolejnej fazy. Brokkr uśmiechnął się, widząc błękitną plazmę igrającą tuż nad ostrzem.

Zwykle już po kilku chwilach taka dawka ciepła stopiłaby miecz w jego dłoni, dało się jednak temu zaradzić, wkładając więcej siły umysłu w kontrolowanie energii. Utrzymywanie jej na wysokim poziomie poprzez zwracanie utraconego ciepła znacznie ułatwiało zadanie.

Demony wywrzaskiwały bzdurne obelgi, ale Brokkr pozostał niewzruszony. Zarówno on, jak i jego brat już dawno nauczyli się, że nie warto przeszkadzać wrogowi wpadającemu w szal.

Dzięki temu można było napawać się jego reakcją, kiedy wreszcie dotrze do niego, w co się wpackował.

Goloth dotarł do Czwartego Kręgu głównie dlatego, że udało mu się nie przypłacić tej próby życiem. Widział wojny, rzezie, więcej krwi i łajna, niż był w stanie sobie wyobrazić, zanim Kręgi zajęły jego świat i wciągnęły go w swoje szeregi. Jak większość, nie pamiętał zbyt wiele z czasów przed Kręgami, choć wciąż miewał pewne przebłyski z przeszłości.

Demony nie mogły płodzić potomstwa, dlatego ekspansja Kręgów zawsze przebiegała w taki sam sposób. Podbój świata. Przemiana drobnego ułamka populacji i wybicie całej reszty.

Goloth miał niejasne wrażenie, że był czas, kiedy nie aprobował takiego postępowania. Nie miał pojęcia, dlaczego miałby tak sądzić.

Rzeź, pustoszenie światów... Nie było niczego chwalebniejszego.

A co najlepsze, to wszystko służyło najwspanialszej sprawie.

Prawdziwej sprawiedliwości!

Kiedy więc wicekról polecił mu dopaść zdrajców, dla Golotha było to jak błogosławieństwo.

Demony z jego drużyny towarzyszyły mu już od kilku kampanii. Większość pochodziła z Trzeciego Kręgu. Nie było wśród nich nikogo

z Pierwszego. Żołnierze ci byli potężni, zabójczy i praktycznie niepokonani dla większości przeciwników.

Goloth wiedział jednak, że zdrajcy to zupełnie co innego.

Nawet najpotężniejsze demony mówiły o nich z niechęcią, a ci, którzy o nich opowiadali... wiedzieli tak naprawdę niewiele poza tym, że zdrajcy byli zajadłymi wrogami.

To wystarczało. Wrogowie Kręgów byli wrogami sprawiedliwości. Jako tacy zasługiwali na śmierć.

Goloth przysiągł, że tego dopilnuje.

Brokkr stanął w rozkroku, widząc szarżującą grupę. Demony rozpraszały się w miarę, jak podchodziły coraz bliżej. Był to wyćwiczony manewr, świadczący o tym, że dowódca miał jakieś takie pojęcie o kierowaniu żołnierzami w walce.

– Wstawaj, bracie – ostrzegł. – Zaraz tu będą.

– Dobrze już, dobrze – burknął Sindri, podnosząc się z ziemi, ale pozostając daleko od Brokkra. – Daj mi tylko jeszcze trochę czasu.

– Jasna sprawa.

Trzymając jaśniejący miecz, Brokkr stał na gruzowisku, którego postanowił bronić. Chciał zająć wyższą pozycję, przynajmniej na początku walki. Nie dawało mu to może przytłaczającej przewagi, ale mogło pomóc choćby przez chwilę.

Zauważył, że pierwszy demon szarżuje na oślep, jakby nie wiedział, na co się porywa.

„Bo pewnie nie wie” – stwierdził Brokkr na chwilę przed tym, jak potwór skoczył prosto na niego.

Zakręcił się, unikając ataku i zatoczył mieczem łuk, rozcinając demona mniej więcej od klatki piersiowej do miednicy. Tak przynajmniej podejrzewał. Fizjologia demonów była tak zróżnicowana, że Brokkr nie wiedział nawet, czy potwory nadawały jakiegokolwiek nazwy częściom i funkcjom swoich ciał.

Tak czy inaczej, Brokkr usłyszał dwa oddzielne odgłosy uderzenia, gdy przepołowione cielsko wroga upadło na ziemię za nim.

Demony bez wahania przypuściły szarżę z bojowym okrzykiem. Brokkr oczekiwał ich w milczeniu.

ROZDZIAŁ 29

OŚRODEK BADAWCZY W REDUCIE PÓŁNOCNEJ

Nimue poczuła dreszcz ogarniający całą jej świadomość. Zastanawiała się, czy ludzie też tak się czują w chwilach nagłego olśnienia. Musiała przyznać, że uczucie to działało wręcz... odurzająco.

– Kaleb chce uszkodzić tarczę, jednak jest ona dziełem demona – zwróciła się do Elan poprzez system łączności wbudowany w zbroję dziewczyny przez Merlina. – Aby zniszczyć taką osłonę, najłatwiej jest skłonić do tego osobę rzucającą zaklęcie.

Puls Elan przyspieszył, gdy dziewczyna starała się trzymać jak najdalej od niebezpiecznej demonessy.

– Jak? – zapytała.

Nimue była pod wrażeniem. Żadnych krzyków, narzekań na niewykonalność tego zadania. Zamiast tego proste, rzeczowe pytanie.

– Przygotuj się – poleciła. – Kaleb i inni również się szykują. Dasz radę zająć czymś tego demona jeszcze przez chwilę?

– Tak.

„Inna sprawa, że zdawkowe odpowiedzi działają mi na nerwy”.

Nimue odsunęła emocje na bok i skupiła się na bieżącej sytuacji.

– Dobrze – powiedziała. – Poprowadzę cię we właściwej chwili.

Tym razem Elan nic nie odpowiedziała, co jeszcze bardziej rozdrażniło Nimue, nie było jednak czasu, żeby się nad tym rozwodzić. Czekало ich poważne zadanie, i to takie, które mogło się udać.

Nimue od dawna nie czuła takiej ekscytacji.

– Kalebie, przygotuj się...

CYTADELA

Plan Nimue był niezbyt rozsądny, ale przynajmniej lepszy niż ten, który obmyśliła Elan.

„Przed następną walką będę potrzebowała więcej planów awaryjnych”.

Oczywiście o ile nadarzy się okazja na następną walkę, a tego nie dało się zagwarantować.

– Nie możesz mi umykać w nieskończoność, dziecko!

Elan ignorowała Lis, starając się kluczyć zawiłą trasę wyznaczoną przez Nimue, licząc, że demonessa nie zauważy, co się święci.

– Wiesz, mogłybyśmy po prostu pogadać – zaproponowała. Wstała i wykonała obrót akurat w porę, by sparować kijem kolejne uderzenie.

Ser’Lis przewróciła oczami, oceniając krótki dystans między nimi.

– Dziecinko, nie tak łatwo mnie rozproszyć. Chcesz porozmawiać? Dołącz do nas. Będziemy mieć całą wieczność na dyskusje o czym tylko zechcesz.

– Co za brednie! – zaśmiała się Elan.

– Cóż, z pewnością będziemy mieć przed sobą wieczność. – Lis wzruszyła ramionami. – Początkowo będziesz wrzeszczeć za głośno, żeby wydusić słowo, ale nie będzie tak źle. Zapewniam, że w końcu dasz się złamać. Mogłabym nawet zadbać o choć odrobinę... zabawy.

– Nie, dziękuję. – Elan zadrżała z obrzydzenia, rozluźniając chwyt na kiju.

Lis straciła równowagę. Zanim doszła do siebie, Elan wzięła zamach. Uderzyłaby demonessę w głowę, gdyby ta w porę nie osłoniła się ramieniem.

– Niech ci będzie – wycedziła Pani Cytadeli przez zęby. – Nie będziemy się bawić... Ale krzyk to konieczność.

Elanthielle stężała, oceniając sytuację. Lis dźwignęła się z podłogi. Dziewczyna rzuciła się w bok, gdy demonessa podleciała w jej stronę.

Elan uderzyła o dach ramieniem i obróciła się. Lis wpadła prosto na Kaleba, wbijającego miecz w dach. Chcąc nie chcąc, napała na ostrze z czerwonozłotego metalu i wbiła je w tarczę chroniącą mistrzów runów.

W powietrzu rozszedł się zapach jak po uderzeniu pioruna, a rozbłysk światła oślepił wszystkich na dachu.

Kaleb rzucił się w tył, gdy tymczasem Ser'Lis nie przerwała lotu i uderzyła w jednego z demonów z taką siłą, że oboje potoczyli się po dachu. Magia tarczy zaiskrzyła w proteście, a potem cały czar prysnął.

Elan zerwała się, z szeroko otwartymi oczami.

– Teraz! Do ataku!

Jol, Sien i Tur wkroczyli do akcji na komendę Elan. Jolnir ruszył na czele, przelewając w młot całą swoją energię, tak jak uczył go Sindri. Broń iskrzyła od elektryczności, gdy młodzieniec uderzył w najbliższego demona, wciąż nucącego zaklęcia.

Cios zmiażdżył kości i ciało. Z okropnych ran buchnęła krew. Jol poprawił uderzenie kopniakiem, by wypchnąć demona ze stanowiska i uniemożliwić mu rzucanie czarów.

Z tyłu głowy słyszał krzyk demonessy, pełen furii źle wróżącej temu, kto ją rozgniewał. Czyli w tej chwili wszystkim, na których zależało Jolnirowi.

Chłopak odsunął na bok gniew i żądzę krwi, skoncentrował się na przerwaniu rytuału.

Kątem oka zauważył, jak Turroch atakuje, zataczając toporem szeroki łuk. Ostrze, które już wcześniej pozbawiło życia wiele demonów, teraz, dzięki pomocy braci, stanowiło zabójcze narzędzie o możliwościach przekraczających wyobraźnię właściciela. Tur odrąbał głowę kolejnemu mistrzowi runów. Bezgłowe ciało upadło, a łeb demona roztrzaskał się na dachu jak zabawka roztargnionego dziecka.

Sien postawiła na prostotę i okazała więcej litości. Wolą po prostu przebić włócznią gardło demona, wyprowadzając prosty cios.

„Prosty, efektywny, choć niezbyt efektowny” – pomyślał Jol, uśmiechając się nerwowo. Nie była to jednak pora na żarty. Wojownik odwrócił się od martwego mistrza runów i wytrzeszczył oczy. Pani Cytadeli pozbierała się z upadku i wróciła do walki.

Błyskając rozcapierzonymi szponami, poruszała się tak szybko, że Jolnir z trudem ją zauważał. Chłopak uniósł młot, próbując się bronić, choć w głębi duszy wiedział, że już za późno. Nie miał szans.

Najważniejsze jednak, że udało się zatrzymać rytuał. Nie oznaczało to jeszcze zwycięstwa, ale dla Jola było to istotne osiągnięcie.

„Całkiem dobre zakończenie”.

Czując podmuch, Jolnir instynktownie wzdrygnął się, zamykając oczy. Nieoczekiwany atak spadł na demonessę tak szybko, że Jol nie zdążył go zauważyć. Fala uderzeniowa omiotła go, gdy z niedowierzaniem wpatrywał się w znajomą postać, która właśnie wgniotła Ser'Lis w powierzchnię dachu.

– Goth? – szepnął, szczerze wstrząśnięty. Demonessa podniosła się, jedną stopą nadal przytrzymując głowę Ser'Lis.

– Witaj, Jol. – Dawna Pani Miasta uśmiechnęła się, rozpościerając skrzydła. – Nie przeszkadzaj sobie, wpadłam złożyć wyrazy szacunku mej drogiej siostrze.

Obezwładniona Lis wypluwała z siebie płomienie i słowa, których Jol nie znał, choć sądząc po ich brzmieniu, mógł się z tego jedynie cieszyć.

Ser'Goth z okrutnym uśmieszkiem przydepnęła siostrę jeszcze mocniej.

Elan z trudem zachowała równowagę po przybyciu starej znajomej. Patrzyła, zszokowana, jak Ser'Goth powala Ser'Lis z siłą, od której zadrżał cały budynek.

Nie miała pojęcia, co wyprawia Goth, ale nie miała też czasu, by się tym zamartwiać. Plan najwyraźniej się powiódł, a jej ludzie zdołali dotrzeć do miejsca rytuału.

Elanthielle na przemian czołgała się i rzucała do biegu. W końcu ponownie upadła przy runicznych inskrypcjach. Pospiesznie starła z nich pył i brud, odsłaniając słabo świecący napis.

Rozumiała przekaz. Niedawne objawienie wciąż było żywe w jej myślach.

„Te słowa... mają sens”.

Dotarło to do niej, gdy odczytywała runiczne pismo. Właśnie w tym języku spisano Księgę, czy też Księgi. Nie była to mowa demonów ani ludzi.

Musiał to być język kosmosu albo...

„Nie, nie jesteś językiem kosmosu, prawda?” – myślała Elan, oczyszczając kolejne ryciny. „Jesteś odzwierciedleniem języka wszechświata...”

Nie miała pojęcia, skąd to wie, była jednak przekonana, że ma rację. Demony, bracia, ludzie z ich skromnymi badaniami, czy nawet Nimue, dużo lepiej znająca te pisma, nie byli w stanie tego dostrzec, choć dla Elan było to wręcz śmiesznie oczywiste.

Były to słowa skierowane do wszechświata.

„A wszechświat... odpowiedział”.

OŚRODEK BADAWCZY W REDUCIE PÓŁNOCNEJ

Nimue oglądała coraz to nowe zdjęcia napisów odkrywanych przez Elan, chłonąc jak najwięcej informacji i obmyślając plan.

Wyprowadzenie przeciwnej fali z miejsca, w którym powstała fala pierwotna, wymagało stosunkowo prostego obliczenia. Nimue poznała już pierwszą falę i śledziła cykl jej powstawania przez wszystkie fazy konstrukcji i dekonstrukcji. Teraz musiała jedynie odwrócić obliczenia według właściwego czasu. To powinno wystarczyć, by cofnąć skutki działań demonów.

Powinno.

Teoria była dobrze ugruntowana, teraz jednak miało się okazać, czy sprawdzi się w praktyce.

– Elan – odezwała się inteligencja – przesyłam ci nowe obliczenia. Potrafisz wytworzyć falę przeciwną?

CYTADELA

Elan przez chwilę nie odpowiadała na pytanie Nimue, zmiatając pył i skupiając wzrok i myśli na tym, co miała przed sobą.

To pismo było piękne... A zarazem przerażające.

Sam język cechowała niespotykana elegancja. Sprawiał, że Elan czuła się całkowicie niegodna, nie tylko aby wykonać zadanie, ale

aby w ogóle żyć.

Czytała dzieło mistrza i usiłowała go naśladować, zupełnie jak wtedy, gdy jeszcze jako dziecko naśladowała matkę. Czuła się przez to gorsza.

„Chociaż...”

Chodziło o coś więcej. Zauważała nie tylko język, ale i dialekt, o ile można go było tak nazwać. Demony wprowadziły własne zmiany. Nie wiedzieć czemu, dla Elan było to zaskoczenie. Ten dialekt, ta gramatyka... Miały w sobie nieokrzesaną brutalność i brakowało im subtelności języka, który był ich podstawą.

Również demony zachowywały się jak dziecko imitujące dorosłego. Tyle tylko, że były jak gniewne, rozkapryszone bachory krzyżące do rodzica, że nie ma nad nimi żadnej władzy.

– Elan!

Dziewczyna wzdrygnęła się, potrząsając głową.

– Co? – warknęła, sfrustrowana utratą łączności z napisem, który miała przed oczami, a który wrył się w jej umysł.

– Możesz wytworzyć falę przeciwną? – powtórzyła Nimue niecierpliwie.

– Ja... mogę – odparła po chwili Elan, spoglądając ponownie na runy. – Widzę, o co chodzi. Mogę to zmienić. Potrzebuję danych.

– Przesyłam je do twojej zbroi.

Elan śledziła liczby od Nimue, wypełniające luki w jakiś nienaturalny, ale skuteczny sposób. Nie była pewna, czy podoba jej się to wrażenie, jednak od razu zauważyła, że działa ono na nią jak narkotyk. Było coś wyjątkowego w odkrywaniu prawdziwej natury wszechświata poprzez pismo, choćby to poznanie dotyczyło tylko niewielkiej części.

Musiała zwalczyć chęć zatopienia w tej prawdzie. Wyszarpnęła więc sztylet i zaczęła zmieniać napis.

„Jedno dziecko papuguje dorosłego, a inne próbuje odwrócić znaczenie jego słów” – pomyślała Elan cierpko. „To nie może się dobrze skończyć”.

Kaleb zacisnął zęby i uniósł miecz, z niepokojem obserwując nowo przybyłego demona.

„Nie trzeba było zostawiać jej przy życiu. Teraz za to zapłacimy” – pomyślał, gdy Sien’el i Turroch przygotowywali się do ataku.

– Czekajcie! – Jolnir powstrzymał ich, wymachując rękami.

Kaleb potrząsnął głową. Był przekonany, że to zły pomysł, ale ponieważ nie widział lepszego wyjścia, zrobił krok w tył i usiłował się rozluźnić.

– Chyba upadłeś na łeb! – oburzyła się Sien’el. – Przecież to demon!

– A przy okazji ma na pieńku z naszym wrogiem – odgryzł się Jol. – Dasz radę im obu?

Sien zaniemówiła. Goth wybuchła śmiechem.

– Jol, zawsze wynajdujesz przezabawne wymówki dla swoich lubieżnych żądź – zażartowała, puszczając do niego oko. – Podoba mi się to.

Jolnir wbił w nią wzrok.

– A z ciebie zawsze przebijała mieszanina ułudy i szaleństwa. Zbyt niebezpieczna, żebym mógł ci się oprzeć, nieważne, co inni myśleliby na ten temat.

– Nie myliłeś się co do mnie – stwierdziła Goth, zerkając na Lis przygwożdżoną do podłoga. – Na flirty i inne zabawy przyjdzie jednak czas później. Siostrzyczka odzyskuje siły... Nie mogę do tego dopuścić.

Ser’Goth zdjęła nogę z głowy Lis, chwyciła siostrę za włosy, podciągnęła ją do przykłąku i wygięła jej głowę w tył.

– Miałaś czelność więzić mnie jak jakieś ludzkie bydło? – sarknęła Goth.

– Gdyby nie to, musiałabym cię stracić za twoją porażkę – wydusiła Lis, wciąż oszołomiona po uderzeniu. – Wiesz przecież, że nie chciałam patrzeć na śmierć najdroższej siostry.

Goth roześmiała jej się w twarz.

– Daruj sobie. Wiem, że miałam być kozłem ofiarnym na wypadek, gdyby ktoś w wyższych Kręgach postanowił wymierzyć karę za zwłokę.

Lis wzruszyła ramionami, rozciągając obolałe mięśnie.

– Wiesz, jak jest – rzuciła.

– Istotnie, wiem. – Goth skinęła głową. – Ty zaś wiesz, że nie mogę puścić ci tego płazem teraz, gdy odzyskałam wolność.

Ser'Lis obrzuciła ją spojrzeniem pełnym nienawiści.

– Każdy, kto ma dość rozumu, zwlekałby z zemstą do zakończenia rytuału, durna wywłoko! Jeśli w Kręgach dowiedzą się...

– Rzecz w tym, że o niczym się nie dowiedzą, prawda? – Goth nachyliła się do niej. – Jedynymi świadkami jesteśmy ja, ty, garstka ludzi i twoi skrybowie, o ile przeżyli, kiedy rozwaliałaś ich tarczę. Niezdara z ciebie, siostrzyczko.

Goth gwałtownie cisnęła siostrę przez dach. Druga demonessa rozwinęła skrzydła na pełną długość.

– Nie sądzę, abym musiała martwić się świadkami – powiedziała Ser'Goth, wysuwając szpony i ruszając przed siebie.

Kaleb nie wiedział, czy powinien zareagować ani co właściwie miałby zrobić. Nie przeszkadzało mu, że Ser'Goth dopadła swoją siostrę i że najwyraźniej zamierzała ją zabić. Jolnir miał rację. Prawie przegrali walkę z jednym demonem.

Nie zamierzał próbować szczęścia z dwoma.

Nie znaczyło to jednak, że dobrym pomysłem jest pozostawianie Goth przy życiu dłużej, niż będzie to konieczne.

Chłopak zacisnął dłoń na głowicy miecza, obserwując bieg wydarzeń.

ROZDZIAŁ 30

TEREN NA ZEWNĄTRZ CYTADELI

Brokkr roześmiał się, gdy kolejny zaszlachtowany demon upadł u jego stóp w zakrwawione błoto. Jak mógł się spodziewać, najsłabsi przeciwnicy okazali się najbardziej zapaleni do walki.

Wojownik nie tracił na nich zbyt wiele czasu, wiedząc, że silniejsze potwory zostały w tyle, wyczekując na okazję, by uderzyć i szybko zakończyć potyczkę. Potężne demony były do tego zdolne, pod warunkiem że miały dość rozumu i sprytu, by obmyślić plan. Większości bestii brakowało tych cech, jednak Brokkr wolał nie brać niczego za pewnik.

Kiedy ostatni wróg runął na ziemię, a jego układ nerwowy wciąż szarpał mięśniami, mimo że potwór był już praktycznie martwy, Brokkr skoncentrował się na tronie drużyny wysłanej za nim i jego bratem.

„Ależ wielkolud” – pomyślał, patrząc na demona, którego uznał za dowódcę.

Stwór musiał być wysoki na prawie trzy metry, co czyniło go blisko dwa razy wyższym od Brokkra. W walce liczył się jednak nie tylko wzrost. Bracia niejednokrotnie dowiedli tego w przeszłości.

Bycie wielkoludem zwykle wiązało się z niezdarnością.

„Problem w tym, że zdarzają się wyjątki” – rozmyślał Brokkr, mierząc wzrokiem dowódcę.

Przemiana w demona przebiegała w nieprzewidywalny sposób. Przypominała co prawda naturalny proces, ale była wypaczona, by dać więcej wyników w krótszym czasie. Najczęściej, podobnie jak mutacje występujące w przyrodzie, od razu zabijała ofiarę. Ci, którzy przeżyli, nierzadko ginęli z rąk innych demonów, gdy zmiany okazały się zbyt słabe, by przynieść odpowiednie korzyści.

W miarę jak demony robiły postępy i pięły się na kolejne poziomy Kręgów, odsetek wybrakowanych elementów malał.

Brokkr był pewien, że tym razem nie będzie miał do czynienia ze słabeuszem.

Goloth nie był może uradowany, ale z niemałą satysfakcją patrzył, jak ostatni zwiadowca pada martwy. Posłał przodem najgłupszych podkomendnych, o zbyt wysokich aspiracjach, typowych zresztą dla demonów z niższych Kręgów, wciąż zachłyśniętych potęgą Przemiany i nieznających własnych ograniczeń. Ich śmierć dostarczyła ważnych informacji dowódcy i reszcie drużyny.

Jak można się było spodziewać, zdrajca nie działał sam. Wszyscy widzieli i odczuli podwójne wybuchy magii, jednak istotne było to, że zdrajcy odnaleźli siebie nawzajem. Nie była to dobra wiadomość, ale Goloth zdążył zauważyć, że ostatnio nikomu nie zbywa na radosnych nowinach.

Co więcej, jeden z przeciwników był ranny, być może poważnie. To akurat była bardzo dobra wiadomość.

Gorzej, że obaj zdrajcy wyglądali na obeznanych w sztuce walki w zwarciu.

Goloth klepnął w plecy jednego z podległych mu demonów.

– Wybierz trzech naszych. Okrążcie go od lewej – rozkazał.

Demon warknął potwierdzająco i szybko dobrał trójkę żołnierzy. Grupa ruszyła do akcji, gdy dowódca wydawał innym rozkaz uderzenia z prawej flanki.

W przypadku demonów rozbitcie grupy rzadko bywało dobrym pomysłem, bez względu na zalety ataku z kilku różnych stron. Ograniczona inteligencja pomniejszych potworów praktycznie uniemożliwiała koordynację działań.

Tym razem jednak słabsze jednostki zdążyły już poświęcić swój nędzny żywot w zamian za informacje, więc Goloth był skłonny sięgnąć po bardziej złożoną taktykę. Posłał przodem większość swoich sił tak, by dotarły na miejsce jeszcze przed rozpoczęciem walki. Zdrajca zdążył ich zauważyć, więc dowódca nie był pewny, czy taki manewr w jakikolwiek sposób zaskoczy nieprzyjaciela.

Gdy się zbliżali, wojownik z młotem zwrócił się w stronę Golotha, unosząc broń w niedbalej parodii salutów.

– Proszę, proszę. Ostrożna z ciebie bestyjka, co, kurduplu? – Niski mężczyzna naigrywał się z postawniejszego demona. – A może mamy zaczekać na twoich mikrych kolegów?

„Cóż, teraz już wszystko jasne” – pomyślał Goloth.

– Naprzód! – ryknął, popędzając swoich żołnierzy.

Skoro i tak zostali nakryci, nie należało dawać zdrajcy czasu na przygotowania.

Brokkr patrzył, jak na rozkaz dowódcy demony zbliżają się coraz szybciej. Nie zamierzał robić uników, więc manewr nieprzyjaciela nie był do końca trafiony, zwłaszcza że potwory uderzające z flank nie zdążyły jeszcze zająć pozycji. Brokkr nie zamierzał jednak ostrzegać przeciwników o błędach, które mogliby popełnić.

Ten wielki był niemal na pewno demonem ze średnich Kręgów. Silnym, ale wciąż zbyt nieludzkim, by zbliżyć się do zakończenia Przemiany.

Brokkr wiedział niewiele o samym procesie, jednak spędził wraz z Sindrim tyle czasu w pobliżu tych bestii, że musiał zauważyć kilka istotnych szczegółów.

Przemiana była czymś w rodzaju wymuszonej ewolucji, wyczyniającej rzeczy niedopuszczalne w jakimkolwiek normalnym wszechświecie. Wiedząc jednak, do jakich wynaturzeń zdolna jest sama natura, Brokkr zawsze myślał o Przemianie przynajmniej z uczuciem lekkiego niepokoju.

W przeciwieństwie do ewolucji Przemiana była zaplanowana z góry. Jej ofiary stopniowo traciły ludzkie cechy, poświęcając ciała i umysły kosztem większej mocy... Gdy jednak zmiany dobiegały końca, człowieczeństwo wydawało się powracać!

Każdy miał jakieś przypuszczenia co do przyczyn tego zjawiska, jednak nawet z całą swoją wiedzą Brokkr nie mógł niczego stwierdzić z całkowitą pewnością. W głębi duszy zawsze miał wrażenie, że coś mu umyka. Ale co? Nie miał pojęcia. Wiedział tylko, że sam widok demonów przyprawia go o mdłości.

„Jakbym miał we łbie jakąś niewidzialną dziurę” – dumiał ponuro, szykując się do boju.

– Bracie! – zawołał. – Bądź gotów! Wróg się zbliża!

– Jasne! – odparł Sindri, wyraźnie pokrzepiony. – Będę cię wspomagał.

„W to akurat nigdy nie wątpiłem” – pomyślał z uznaniem Brokkr, gdy demony rzuciły się sprintem na jego pozycję.

Miecz wojownika zaiskrzył od przesłanej mu energii.

„Nie wątpiłem w ciebie ani na chwilę”.

Gdy czoło grupy dotarło na pozycję wroga, Goloth pozostawał na tyłach. Wyładowania energii sprawiły, że prawie zapomniał o ostrożności, i mało brakowało, by sam rzucił się do ataku. Smak mocy wyczuwalny w powietrzu był dla niego niespotykaną wcześniej pokusą, jednak dowódca miał dość siły woli, by zapanować nad sobą.

Zdrajca zatoczył mieczem szeroki łuk, od razu gruchocząc kości i rozpryskując krew co najmniej trzech demonów. Mimo niepozornego wyglądu wojownik miał dość siły, by jednym ciosem wyrzucić w powietrze trzech o wiele większych przeciwników.

„Imponujące” – pomyślał Goloth.

Zanim jednak zdrajca zdążył się pozbierać, dopadły go inne demony.

Brokkr zaklął pod nosem, gdy zabił pierwszego napastnika. Kopnął go z obrzydzeniem i zwrócił się w lewo, uchylając się przed dwójką kolejnych demonów, próbujących go przygwoździć do ziemi. Jednego uderzył płazem, drugiego wyminął. Ledwie stanął na nogi, a już musiał zmierzyć się z następną trójką.

– Bracie, nie ociągaj się – mruknął, unosząc broń i grając na czas.

Demony okręzały go, szukając okazji do ataku. O to akurat było nietrudno, bo miały przeciwko sobie tylko jeden miecz. Brokkr musiał więc nieustannie wirować, odpędzając przeciwników płomieniami, od których zapalało się powietrze.

Z tego, co widział, większość demonów stanowiły stworzenia rozwinięte niewiele lepiej od dzikich bestii, jednak w wygłodzonych spojrzeniach ich ciemnych, połyskujących oczu dostrzegał ślady jakiejś przebiegłej inteligencji.

– Orientuj się, bracie! – zawołał Sindri.

Brokkr odruchowo zanurkował. W górze rozległ się grzmot, a nienaturalnie wyprostowany piorun spadł z nieba, gdy Sindri wyzwolił moc poprzez młot.

Siła uderzenia wstrząsnęła ziemią. Brokkr przez chwilę nie widział nic poza powidokami po rozbłysku, mimo że zamknął oczy, słysząc ostrzeżenie.

Gdy odzyskał zdolność widzenia, rozejrzał się powoli i odetchnął z ulgą. Stojące najbliżej demony oberwały wyjątkowo mocno i żaden z nich nie dawał oznak życia.

– Teraz! Do ataku! – rozkazał Goloth, sam również rzucając się do boju.

Czekał, aż nieprzyjaciel zużyje moce. Wiedział, że przed kolejną próbą zdrajcy będą potrzebowali czasu na uzupełnienie zapasu energii. Była to szansa, którą Goloth zamierzał wykorzystać.

Miał wokół siebie najsilniejsze demony, dość liczne, by udało im się przełamać obronę, choćby samą siłą natarcia.

Potwory szarżowały przez gruzowisko, prosto na pierwszego przeciwnika, dzierżące płonący miecz.

Brokkr usłyszał nadciągającego wroga, jeszcze zanim go zauważył. Mrugał gorączkowo, modląc się o odzyskanie zdolności widzenia, zanim będzie za późno. Dobrze przynajmniej, że demony hałasowały tak, że domyślił się, skąd biegną.

– Nadchodzą, bracie. Szykuj się – ostrzegł.

– Gdy te łajzy tu dotrą, będę gotów – warknął Sindri głosem pełnym napięcia.

Brokkr uśmiechnął się nerwowo, jednak wyszedł naprzód, osłaniając brata. Zamierzał mu dać jak najwięcej czasu na odzyskanie energii. Wiedział, ile sił kosztuje go wyzwolenie takiej mocy.

Przyzwanie pioruna mogło okazać się albo stosunkowo prostym, albo też zabójczo trudnym zadaniem. Jeśli powietrze było odpowiednie i trwała burza, wystarczyło użyć własnej mocy, by wzbudzić wyładowania. W innym przypadku trzeba było nasycić powietrze i rozpętać burzę. Znacznie utrudniało to ciągle wywoływanie błyskawic, ponieważ po każdym uderzeniu należało przygotować wszystko od nowa.

Właśnie dlatego Brokkr wolał poświęcić swoje umiejętności i talenty mocy płomieni.

Aby rozpałcić ogień, wystarczyło paliwo, tlen i odrobina siły woli.

Szczerząc zęby, spojrział na ostrze odbijające światło, a potem na demony wspinające się po gruzowisku, na którym stał.

„Będziecie płonąć”.

Serg'in spoglądał jednym okiem na Cytadelę, wciąż obleganą przez jego siły, musiał jednak poświęcić część uwagi zdrajcom, dającym pokaz swoich mocy w pozostałościach ludzkiego osiedla. Czuł pokusę, by porzucić swoje stanowisko, zdołał jednak opanować pragnienie i zachować trzeźwy osąd.

Piorun uderzył blisko i z wielką mocą. Zaskoczył wicekróla i pozostawił po sobie wyczuwalną energię. Płomienie, wciąż widoczne na tle nocnego nieba, oświetlały samotną postać stojącą na gruzach.

Serg miał sokoli wzrok, nawet w ciemności, zaraz więc zauważył demonicznych żołnierzy szybko wspinających się do nieprzyjaciela. Skinął głową z aprobatą. Wiedza, że zdrajcy są, w najgorszym razie, mocno zajęci, pozwoliła mu skoncentrować się na najważniejszej części ataku.

Ludzie ledwie się trzymali. Zewnętrzna część barykady stała się przerażającą fasadą martwych i umierających demonów, nabitych na włócznie podczas kilku pierwszych szarż. Dzięki tym ofiarom udało się przynajmniej unieszkodliwić broń wroga.

Nadszedł czas, by to zakończyć.

Wicekról skinął głową swoim podwładnym. Ci, w odpowiedzi, podnieśli ryk i ruszyli, najpierw dziesiątkami, a potem setkami.

„Cytadela jest nasza” – pomyślał władca gniewnie, dołączając do ataku. „Przysięgam wam, ludzie, że tej nocy wszyscy zginiecie!”

Wewnątrz Cytadeli Simone usłyszała potępieńcze wycie. Przeszedł ją zimny dreszcz. Słyszała ten odgłos już wcześniej, przed laty, podczas najazdu demonów na jedno z ostatnich ludzkich miast. Mieszkańcy ludzili się, że mury zdołają ich ochronić. Wielu nie dowierzało nawet, aby demony, o ile w ogóle istnieją, stanowiły poważne zagrożenie.

Zmiana leżała w naturze demonów. Można było się obronić przed niektórymi, ale nie przed wszystkimi. Wystarczył drobny błąd, by potwory znalazły sposób, żeby zniszczyć ludzi i wszystko, co było dla nich ważne.

Simone widziała to na własne oczy, i to nie raz.

– Utrzymać pozycje! – zawołała, napierając ramieniem na barykadę i sprawdzając, czy uda jej się bez przeszkód dobyć miecza.
– Jeszcze nie wszystko stracone!

Atlantydzi wznieśli okrzyk. Ich entuzjazm udzielił się tubylcom.

Mimo to wszyscy broniący barykady odczuwali wstrząsy, gdy horda potworów uderzała raz za razem. W głębi serca Simone wiedziała, że zaporą musi w końcu runąć.

„Elan, Kalebie... Pospieszcie się! Nie wytrzymamy dłużej”.

ROZDZIAŁ 31

DACH CYTADELI

Ser'Lis gwałtownie poderwała się do góry, walcząc ze stosunkowo lekką siostrą. Zdołała przyklęknąć na kolano i osłonić się przedramieniem przed ciosem Goth. Zignorowała ból, gdy jedna z jej kości pękła, by po chwili się zrosnąć.

– Ty... nadęta... smarkulo! – warknęła, stając na nogi i rozprostowując skrzydła. – Dobrze wiesz, że nigdy nie byłaś dla mnie godnym przeciwnikiem. Dlaczego sądzisz, że coś się zmieniło?

Goth uśmiechnęła się wręcz słodko, o ile można tak powiedzieć o jakimkolwiek wyrazie twarzy demona.

– Doprawdy masz się za godnego mnie przeciwnika? Jakie to urocze.

Lis prychnęła, sparowała kolejny cios i ruszyła naprzód.

– Przegrałaś każdą naszą walkę – powiedziała gniewnie. – Zawsze mogłam ci odebrać, co tylko chciałam. Ty byłaś zaledwie cieniem podążającym za mną jak zagubiony człowieczek, więc z łaski swojej, daruj sobie to pieprzenie!

Goth skwitowała to śmiechem.

– Droga Lis, istnieje trafne określenie na osoby stawiane na samym przedzie... Przynęta! Nie jestem tak głupia, by pchać się na sam szczyt, skoro mogę zająć bezpieczne miejsce parę szczebli niżej i cieszyć się wszelkimi korzyściami praktycznie bez ryzyka. Zawsze traktowałaś swój wizerunek zbyt poważnie. Naprawdę, mogłabyś czasem zwinąć skrzydła i trochę się zabawić.

– Tak jak ty i twoja banda chłopców do towarzystwa? – parsknęła Lis, zerkając na Jola. – Ten był ostatni? Czy to dlatego postanowiłaś się wtrącić?

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz – krygowała się Goth.

– Ach, czyli mam rację! – wykrzyknęła Lis z gromkim śmiechem. – Nigdy nie rozumiałam, co takiego widzisz w ludziach... Może gdybym wypróbowała tego tutaj, dowiedziałabym się, o co chodzi.

Goth na chwilę skrzywiła się gniewnie, jednak szybko zmusiła się do uśmiechu.

– Nadal musisz się zadowalać wykradaniem moich zabawek?

– Nigdy niczego ci nie ukradłam, siostrze. Wszystko, czego pragnęłam, trafiało do mnie, bo byłam po prostu lepsza od ciebie pod każdym względem.

– Tak to sobie tłumacz, wredna pindo – szydziła Goth. – Dostawałaś tylko to, co sama byłam gotowa oddać. Zazwyczaj to nie ty wpadałaś na pomysł kradzieży. Sama musiałam ci go podsuwać. – Ukryła twarz w dłoniach w wyrazie udawanego szoku. – Ojej, moja starsza siostra ma wszystko, a mnie został tylko ten ostatni, cenny skarb... Oby nie postanowiła mi go odebrać! Biada mi! – Przewróciła oczami. – Kiedy znudziłam się jakąś zabawką, zawsze najłatwiej było ją wcisnąć tobie.

– Kłamiesz, źmijo!

– Doprawdy?

Kaleb obserwował całą tę scenę z wahaniem, trzymając opuszczony miecz.

– Powinniśmy... coś zrobić? – zapytał cicho.

– Ty rób, co ci się żywnie podoba, ale ja nie zamierzam się w to pakować – odparł Jolnir. – Niech wykończą się nawzajem. Co z Elan?

Kal obejrzał się na dziewczynę, zawzięcie czołgającą się po dachu ze sztyletem w dłoni i z szaleńczym zapalem wycinającą fragmenty powierzchni.

– Tam też nie pójde – oznajmił, gdy obaj patrzyli na nią oniemiałi.

– Tchórze – westchnęła Sien. – Tur, chodź. Załatwmy to.

Siłacz popatrzył najpierw na swój topór, potem na dwa walczące demony, aż wreszcie pokręcił głową.

– Nie, zgadzam się z nimi.

– Chyba żartujesz – zaprotestowała. – Nie są aż takie straszne!

– Między ciebie a twoją kuzynkę też nigdy bym się nie wtrącał – zapewnił Tur z pełną powagą. – Jeśli demony spróbują nas zaatakować, wrócimy do walki, ale na razie zostawmy je w spokoju.

– Nie wierzę własnym uszom...

Elan widziała w myślach słowa, które gorączkowo wydrapywała na powierzchni dachu. Gdy już zaczęła, nie była w stanie przestać.

Język był dla niej jednocześnie zrozumiały i niepojęty. W jej głowie jawił się jako słowa czy wyrażenia, które była w stanie wypowiedzieć... Gdy jednak wyryła je na dachu i obrzuciła wzrokiem, wydawały jej się czymś zupełnie nowym... a mimo to dziwnie znajomym.

Nie wątpiła, że tą zagadką powinna zająć się później. Teraz należało ukończyć dzieło.

Kontrowanie fali zależało w dużej mierze od czasu, Elan musiała więc uwinąć się jak najszybciej, by aktywować ją w dogodnym momencie.

Dręczyło ją tylko wrażenie, że nie wie jeszcze wszystkiego.

OŚRODEK BADAWCZY W REDUCIE PÓŁNOCNEJ

– Jest rewelacyjna! Kiedy się tego nauczyła? – zapytała Nimue, z trudem dowierzając w to, co widzi za pośrednictwem kamery pancerza.

– Nie mam pojęcia – wyznał Merlin, wyraźnie skołowany. – Ja na pewno jej o tym nie powiedziałem.

– Domyśliłam się, skamielino – parsknęła Pani Wód. – To, co teraz robi, przekracza nawet moje możliwości!

– Elanhielle przybyła do mnie jeszcze jako dziecko – opowiadał Merlin, puszczając przytyk mimo uszu. – Szkoliłem ją najlepiej jak umiałem, ale skupiłem się prawie wyłącznie na właściwym korzystaniu ze zdobyczy dawnej technologii, które wciąż są dla nas dostępne. Jestem pewien, że nie odbyła szkolenia magicznego.

– A zatem stało się coś bardzo dziwnego – stwierdziła Nimue z napięciem w głosie. – Ta dziewczyna rewiduje moje pojęcie o tej gałęzi magii, a przecież wiem wszystko, o czym wiedziała nasza kultura.

Merlin skinął głową ze zrozumieniem.

– To na pewno sprawka Książ. Stanowią memetyczne zagrożenie.

Nimue syknęła cicho. Nie podobała jej się ta sugestia. Ani ona, ani Merlin nie wiedzieli nic o pochodzeniu tych tekstów. Pojawiały się w różnych miejscach, często jakby bez przyczyny, i nikt nigdy nie wiedział, skąd się wzięły. Pismo było nieczytelne, choć pochylały się nad nim najtęższe umysły, a mimo to...

– Czy to na pewno zagrożenie? – zapytała Nimue z wahaniem. – Elan wydaje się działać przeciwko demonom.

– Choć chwilowo jestem skłonny założyć, że Książ nie napisały demony – odparł Merlin – znaczyłoby to, że w tym konflikcie maczała palce jakaś strona trzecia. Nie wątpię, że na przestrzeni tysięcy lat demony narobiły sobie wielu wrogów, ale nie można ufać nikomu tylko dlatego, że darzy te potwory nienawiścią. Rekwiruję Księgę do czasu dalszych wyjaśnień.

Nimue westchnęła, ale pokiwała głową.

– Zrobię tak samo... Chyba że zdarzy się kolejny koniec świata.

– Racja – powiedział Merlin beznamiętnie.

W obliczu końca świata względy bezpieczeństwa schodziły na dalszy plan.

Merlin zmarszczył widmowe czoło, odbierając kolejną transmisję.

– Co ona robi?

Nimue nachyliła się z zaciekawieniem, choć dla inteligencji tego typu gesty trąciły teatralną sztucznością.

– Integruje moje obliczenia z runami – oznajmiła. – Pozwoli jej to wzbudzić falę wsteczną i zneutralizować tę, którą wytworzyły demony.

Merlin już miał skinąć głową, gdy coś zwróciło jego uwagę.

– O nie...

– Co się dzieje?

CYTADELA

Lis rzuciła się na Ser'Goth z wrzaskiem, wyciągając szpony. Skrzydła nadały jej dodatkową prędkość.

– Cholerna wariatko! – krzyknęła w locie. – Dopilnuję, żebyś płonęła przez wieki za pomoc nieprzyjacielowi!

Goth uniknęła szponów, machnęła skrzydłami i wyciągnęła rękę, aby schwycić siostrę za skrzydło. Gdy Lis zakreśliła się w powietrzu, Goth cisnęła nią o dach.

Pani Cytadeli potoczyła się, aż wreszcie wyhamowała. Ser'Goth pikowała głową w dół, pozwalając, by jej skrzydła współpracowały z siłą grawitacji, zamiast się jej przeciwstawiać.

Ludzie odsunęli się, gdy Lis przykleknęła, pospiesznie spoglądając w górę, by zlokalizować przeciwniczkę. Uskoczyła w ostatniej sekundzie. Goth uderzyła w dach z siłą, która mogła zatrzęść Cytadelę w posadach.

– I kto tu jest niezdara? – szydziła Lis. Cięła pazurami w pierś Ser'Goth, bez problemu rozrywając ciało. Z ran wypłynęła czarna ciecz.

Goth warknęła z bólu, jednak odpłaciła się podobnym ciosem, orząc skórę i mięśnie na nogach Lis.

Demony rozdzieliły się z sykiem i naprędce obejrzały rany, które już zaczynały się goić.

– Możemy tak całą noc – ryknęła Lis. – Ale ani ja, ani ty nie mamy na to czasu.

– Trzeba było o tym pomyśleć, zanim postanowiłaś zrobić ze mnie kozła ofiarnego za własne porażki!

– Porażki? – zapytała Lis gniewnie. – Żałosna prostaczko! To nie ja pozwoliłam, żeby garstka ludzi zniszczyła Miasto. To była twoja wina! Nie zrzucaj jej na nikogo innego.

Ser'Goth obnażyła kły.

– Mówisz o tej garstce ludzi, którzy wdarli się do twojej bezcennej Cytadeli, wypuścili więźniów i zakłócili twój śmieszny rytuał?

– Gdyby nie ty, już dawno byliby martwi!

– Brzmi to jak ciekawa historia. – Goth uśmiechnęła się drwiąco. – Ale ja proponuję inną. Choć moja droga siostra nie chciała tego przyznać, utrata Miasta wyraźnie ją przerosła. Dlatego też przyspieszyła przygotowania i popełniła poważne błędy, a wróg tylko na to czekał. Robiłam, co w mojej mocy, ale nie zdołałam zaradzić jej głupiej niekompetencji...

– Ty suko...

– Jedna z nas zyska szansę, aby opowiedzieć tę historię – drażniła się Goth. – I nikt nie będzie mógł powiedzieć, że było inaczej.

– To bez znaczenia! – powiedziała Lis. – Jeśli rytuał się nie powiedzie, przybędą tu kolejne demony. Zniszczą wszystkich za tę porażkę!

– A jeśli się uda, i tak wydasz mnie jako zdrajczynię, umiłowana siostró – odparła szyderczo Goth. – Zaryzykuję. Nawet jeśli masz rację, przynajmniej pociągnę cię ze sobą na dno.

Pani Cytadeli wydała okrzyk pełen frustracji. Dwa demony starły się ponownie na oczach zdezorientowanych ludzi.

Kaleb zważył w dłoni miecz. Wciąż nie mógł się zdecydować, czy powinien się mieszać w niespodziewaną konfrontację, której był świadkiem.

Wszelka niepewność uleciała, gdy z jego zbroi dobiegł znajomy głos:

– Kalebie?

– Merlin? – Chłopak przechylił głowę, marszcząc brwi. – O co chodzi?

– Mamy problem na dole.

Kaleb spojrzał ku krawędzi dachu. Do głowy przychodziło mu jedno imię.

– Simone? – zapytał, czując, jak serce podchodzi mu do gardła.

– Jeszcze żyje, ale nasze siły są u kresu wytrzymałości. Gdy wróg wdrze się do środka, nasi żołnierze nie dadzą mu rady. A już na pewno nie bez licznych ofiar.

Kaleb chciał ruszyć, jednak zamarł w pół kroku i obejrzał się najpierw na Lis i Goth, a potem na Elan pogrążoną w pracy.

– Idź!

Chłopak prawie skoczył na dźwięk tego głosu. Gdy się odwrócił, Elanthielle patrzyła na niego, ale...

– Elan, twoje... twoje oczy – wyjąkał, zszokowany.

Z oczu dziewczyny wypływało niezwykle, srebrne światło.

– Idź, Kalebie – poleciła Elan. – Simone cię potrzebuje.

– A co z tobą? Jeśli nam się nie uda, wszystko będzie stracone!

– Jeżeli nasi ludzie polegną, Atlantyda i tak może nie podnieść się po takiej stracie – odparła Elan, ignorując kwestię swoich oczu. –

Dzisiaj musimy zwyciężyć. I tutaj, i tam, w dole. Ja i pozostali zajmujemy się wszystkim, co trzeba. Ty idź ratować naszą przyszłość!

Kaleb przełknął ślinę, ale przytaknął.

– W porządku. Idę. A tobie nie wolno umrzeć!

Elan uśmiechnęła się, gdy srebrzysty blask w jej źrenicach przybrał na sile.

– Bez obaw, jeśli nawet zginę, niczego nie będę żałować.

– Przestań! – warknął młodzieniec, zmierzając już do krawędzi budynku. Obrócił się i wycelował palec w Elanthielle. – Nie wolno ci umrzeć!

A potem skoczył.

Elan patrzyła za Kalebem. Rozkaz, który rzucił na odchodne, brzmiał dla niej zabawnie i choć wiedziała, że był podyktowany raczej emocjami niż logiką, i tak potrafiła go docenić.

– Tak jest – szepnęła z mdłym uśmiechem, po czym wróciła do pracy.

Runiczne ryciny były już prawie gotowe, zgodnie z wyliczeniami Nimue. Pozostawało kilka ostatnich szlifów i można będzie wprowadzić w życie nowy plan. Elan nie miała pewności, czy ma na to dość mocy, jednak nie była na dachu sama.

„Już prawie” – pomyślała, kończąc inskrypcje. „Już. Teraz muszę je naładować i...”

Znieruchomiała. W głowie miała pustkę.

„I co potem?”

Oto było pytanie. Oczywiście należało powstrzymać falę, której demony chciały użyć, by przebić barierę międzywymiarową, ale gdy już się to uda, co będzie dalej?

„Stara śpiewka. Kolejne walki. A w końcu kolejne demony. Będziemy je pokonywać, a one nigdy się nie poddadzą”.

– Elan? – odezwała się Nimue z troską w głosie. – Musisz skończyć pracę. Mamy coraz mniej czasu.

Dziewczyna ledwie ją słyszała. W głowie miała gonitwę myśli.

„Przodkowie bez przerwy wygrywali z demonami. I po co to wszystko? Ponieśli porażkę, bo demony nie dbają o ofiary. Zbierają

nowe mięso armatnie i uderzają znowu”.

- Mogę coś na to poradzić – powiedziała.
- Elan, ocknij się. Gadasz bez sensu – upomniała ją Nimue.
- Nimue, potrzebuję obliczeń – powiedziała dziewczyna.
- Przecież wprowadziłaś już prawidłowe równania...
- Nie chodzi o zatrzymanie fali – odparła Elanthielle. – Zamierzam stworzyć własną!

ROZDZIAŁ 32

PARTER CYTADELI

Simone krzyknęła, gdy demony staranowały barierę i powaliły obrońców. Ludziom wyczerpał się zapas włóczni, które albo złamały się w starciu z wrogiem, albo tkwiły w zwłokach napastników. Simone upadła, usiłując zignorować ból, próbowała podnieść się na nogi z mieczem w ręku.

– Nie poddawajcie się! – zawołała. – Odpierajcie atak!

Na jej rozkaz Atlantydzi, wznosząc okrzyk, rzucili się raz jeszcze w wir walki. Widok ten napełniał serce dowódczyni dumą, choć jej wnętrzości skręcały się na myśl, że tak czy inaczej, posłała ludzi na pewną śmierć.

Zdążyła jednak przywyknąć do tego uczucia, więc zignorowała je i ruszyła naprzód, by wypełnić własny rozkaz. Dostrzegła ogromnego potwora, odrzucającego na bok szczątki barykady, i cięła bestię w głowę.

Simone wiedziała, jak żelazo działa na demony, jednak nawet ono okazywało się za słabe, gdy potwory rosły w siłę. Wrażliwość na metal pomagała w starciu z pomniejszych osobnikami, teraz natomiast do walki ruszyły silniejsze bestie.

Choć pamiętała o tym, że bracia ulepszyli jej oręż, a także broń wielu innych żołnierzy, zmartwiała, gdy ostrze ledwie zdołało przebić skórę demona, a z rany pociekła niewielka strużka krwi, mimo że kobieta włożyła w cios wszystkie siły.

Demon wzdrygnął się lekko, potem jednak zaczął napierać. Simone uderzała raz za razem, masakrując twarz i łeb wroga, jednak nie udało jej się go zatrzymać.

Taki atak powstrzymałby człowieka, oślepił go lub przynajmniej wytrącił z równowagi. Nawet powierzchowne rany, jeśli tylko było ich wystarczająco wiele, nie dały się zignorować, zwłaszcza jeśli ktoś oberwał w twarz. Demon jednak wydawał się prawie nie dostrzegać starań Simone. Złościł się jedynie coraz bardziej z każdym kolejnym ciosem.

Simone nie dała się ponieść lękowi. Wiedziała, że jeśli się załamię, większość jej żołnierzy zrobi to samo. Wówczas wszyscy zginą.

Gdzieś z boku usłyszała, jak barykada pęka pod naporem przeciwnika. Odłamki drewna, kamienie i truchło demonów runęły do wnętrza Cytadeli, a nieprzyjaciel wdarł się przez wyrwę.

„O nie!”

Kaleb darzył pradawną zbroję szczerym uwielbieniem. Pozwalała mu dokonywać rzeczy, o których wcześniej mógł pomarzyć. Był przekonany, że mógłby wyjść z cało ze skoku z dachu Cytadeli, nie miał jednak zamiaru sprawdzać tego przed walką. Dlatego zsuwał się po murze, by siła tarcia spowolniła upadek.

Początkowo widział pod sobą jedynie płomienie. Z każdą chwilą zauważał coraz więcej. Cienie wyłaniające się z mroku nabierały kształtów znajomych, wrogich stworzeń. Do uszu młodzieńca dobiegły odgłosy walki.

Gdy był już prawie na dole, wybrał pierwszy cel. Odbił się nogami od budynku. Spadając swobodnie, ułożył się stopami w dół, podkurczył je i ocenił odległość.

Tuż przed lądowaniem kopnął z całą siłą, na jaką pozwalał pancerz i jego mięśnie. Trafił jednego z większych demonów w łeb, praktycznie rozwalając go na krwawą miazgę. Kaleb zebrał w sobie resztki energii i wyhamował, gdy przeciwnicy cofnęli się instynktownie.

Wydobył miecz. Lśniący oręż nie był bronią ulepszoną przez braci, gdy ci dotarli na Atlantyde, ale jednym z ich dzieł.

Czerwonozłote ostrze rozświetlało noc, gdy Kaleb ruszył do ataku. Ciął demona, który nie zdążył umknąć dość daleko. Potwór upadł, wrzeszcząc wniebogłosy. Dopiero wówczas chłopak poświęcił chwilę na należyłą ocenę swojej sytuacji i ustalenie pozycji innych ludzi.

„Demony blokują wejście do Cytadeli” – zauważył z niepokojem.

Przewaga liczebna nie miała jednak znaczenia. W Cytadeli byli jego przyjaciele, więc Kaleb zamierzał tam pójść, choćby miał przedzierać się przez tłum demonów.

Serg zmarszczył brwi, słysząc hałas, który nie dobiegał z pola bitwy. Odwrócił się i ujrzał czerwonawy blask pośrodku grupy demonów. Ktoś powalał jego żołnierzy.

„Przeklęci zdrajcy”.

Nie podobało mu się, że został złapany w kleszcze, nawet jeśli musiał mierzyć się ze stosunkowo słabszymi przeciwnikami. Nie mógł po prostu zgromadzić sił jak należy i wykończyć nieprzyjaciela tak, jak na to zasługiwał.

Gdyby wicekról pozwolił jednej stronie odwracać swoją uwagę, podczas gdy druga będzie uszczuplać jego siły, z pewnością przegrałby tę bitwę. Nie wolno było do tego dopuścić.

– Na razie ignorujcie zdrajców – rozkazał. – Odbijcie Cytadelę!

Żądne krwi demony ryczały, coraz zacieklej atakując wieżę i chroniących się w niej ludzi. Wicekról skwitował to okrutnym uśmiechem. Sam czuł, jak jego żądza krwi rośnie, i czekał niecierpliwie, aż wymierzy wrogom karę.

„Dopilnuję, by choć kilkoro z nich ocalało” – postanowił.

Garstka niedobitków uświetni obchody zwycięstwa swoją obecnością.

Sindri złapał lekką zadyszkę. Oparł się o gruzowisko i spojrzał na pole bitwy.

– To jeden z naszych? – zapytał, wskazując głową walkę.

– Tak mi się wydaje – potwierdził Brokkr, zauważając czerwonawy blask ich ostrza, używanego zgodnie z przeznaczeniem.

Szczytowym osiągnięciem kunsztu braci nie była broń ze stali czy z żelaza, ale z najcenniejszego metalu, jaki kiedykolwiek odkryli. Z oryszalku.

Materiał ten był prawie tak wytrzymały jak stal, ważył o jedną trzecią mniej i przesyłał magię, jakby żył własnym życiem. Bracia pracowali z nim przez wieki, jednak nigdy nie twierdzili, że wiedzą o nim wszystko.

Byli jednak pewni, że materiał ten został stworzony do wyrobu doskonałego oręża. Brokkr i Sindri rzadko wykuwali je dla innych. W obecnej sytuacji na świecie zapewne wpadłoby w łapy demonów.

Mimo to garstce dzieciaków udało się uprosić braci o kilka egzemplarzy tej bezcennej broni. Sindri nie był pewien, jak tego dokonały, ale nie mógł powiedzieć, by tego żałował.

Kaleb skręcił się w miejscu, gdy demony próbowały go schwycić. Przeskoczył nad kilkoma potworami, unikając szponów. Podejrzewał, że nie byłyby w stanie przebić zbroi podarowanej mu przez Merlina, ale wołał tego nie sprawdzać.

Cytadela wznosiła się kilka metrów dalej. Młodzieniec przypuścił atak na pozostałości z barykady. Słyszał odgłosy walki mieszające się z wrzaskami demonów wdzierających się do środka. Kaleb rzucił się do walki, korzystając z nadludzkiej siły, jaką dawała mu zbroja, by odpychać demony na boki. Zadawał mieczem chaotyczne ciosy, świadczące o tym, że powinien się jeszcze doszkolić pod okiem Simone. Chciał najmocniej dopiec nieprzyjacielowi, a jednocześnie przebić się do Cytadeli.

– Simone! – zawołał, mimo wszystko licząc na odpowiedź.

Po czwartej próbie usłyszał przytłumiony dźwięk brzmiący trochę jak jego imię.

Kopnął w pysk potwora, który próbował dostać się na parter, i chwycił za jeden z głazów. Rozwalił część barykady, by załatać dziurę, przez którą sam przeszedł. Dzięki temu utrudnił dostęp demonom, które musiały wspinać się po gruzowisku.

– Jesteś tam? – wydyszał, rozglądając się na boki.

– Kaleb? – Tym razem głos Simone był wyraźniejszy. – Miałeś być na dachu!

– Merlin powiedział, że potrzebujecie pomocy, więc jestem!

– Przydasz się – odparła Simone z ulgą. – Jak sytuacja na górze?

– Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia – wyznał Kaleb, szlachtując kolejnego napastnika i rozrzucając jego szczątki.

Widok wewnątrz Cytadeli dawał młodzieńcowi pojęcie o tym, jak krwawa odbywała się tu bitwa. Wszędzie leżeli ludzie i demony.

Niektórzy jeszcze się ruszali, inni już nie. Kaleb nie był pewien, ilu żołnierzy poległo, wiedział jednak, że ludzie nie mogą pozwolić sobie na zbyt wiele ofiar, jeśli chcą przeżyć w świecie, który pozostanie im po zwycięstwie.

Oczywiście, jeśli przegrają, nie będą musieli się o to martwić.

Simone przeciskała się do walczącego Kaleba. Młodzieniec powalił kopniakiem jeszcze jednego demona, wykrzykując przy tym rozkazy.

– Utrzymać pozycje! Czekajcie, aż wróg podejdzie bliżej, a potem łączcie się w grupy – wołał. – Niech ktoś zastawi tę wyrwę, zanim demony ją zauważą!

– Jak to nie masz pojęcia? – dopytywała się Simone, stając u jego boku i dysząc lekko. – Przecież to tam rozstrzygają się losy bitwy!

– Elan wyczynia jakieś dziwne czary. Reszta patrzy, jak dwie demoniczne babki próbują się nawzajem pozabijać. – Kaleb wzruszył ramionami, nie przerywając walki. – Niewiele miałem do roboty, więc Merlin kazał mi ruszyć tyłek i zejść do was. Czy coś ci nie pasuje? Mogę znaleźć schody...

Simone wpatrywała się w niego gniewnie. Po chwili namysłu i po wbiciu miecza w kolejną parę demonów nieco się uspokoiła.

– Przepraszam. Po prostu... Wiem, o co toczy się gra. Jeśli przegramy na górze, obrona tutaj pójdzie na marne.

– Z drugiej strony, wygrana na dachu nie zda się na wiele, jeśli tutaj zabraknie nam ludzi – odparł Kaleb znużonym tonem. – To nasz ostatni bastion, Simone.

– Rzeczywiście – przytaknęła.

Oboje skupili się w pełni na walce z demonami przeciskającymi się przez wyrwy w barykadzie. Nie mogli tego stwierdzić na pewno, ale wszystko wskazywało na to, że wzbierająca fala potworów już wkrótce zmiażdży ludzkich obrońców.

Wicekról pokiwał głową z zadowoleniem, śledząc rozwój wydarzeń.

Horda poniosła straty podczas szturm na barykadę, był to jednak normalny aspekt taktyki. Silni przeżywali, a słabi stawali się karmą

dla kolegów z lepszych Kręgów. Po tej bitwie pozostali przy życiu żołnierze będą mieli co jeść przez kilka miesięcy. Coś takiego zawsze wzmacniało morale.

Mimo wszystko Serg'in nie spodziewał się aż tylu ofiar. Ludzie walczyli prawie tak zaciekle jak ich przodkowie, choć oczywiście wyrządzali światu mniejsze krzywdy. Pomimo tego oporu czekała ich taka sama klęska jak wszystkich innych ludzi.

„Gdyby te stworzenia miały jakiegokolwiek poczucie wspólnoty, byłyby niepokonane” – zauważył ironicznie. „Tworzą podziały i zwracają się przeciwko sobie w sposoby, które nam, demonom, nie przyszyby na myśl... Przynajmniej do czasu, aż awansujemy do wyższych Kręgów. Żałosne”.

Wbrew przypuszczeniom wielu osób, łącznie z wicekrólem, inwazji demonów dało się uniknąć. Gdyby ludzie już na początku odpowiednio ocenili zagrożenie, mieliby jeszcze szansę, by położyć temu kres.

Woleli się jednak sprzeczać i walczyć między sobą. Wielu z nich nie chciało wierzyć w realne zagrożenie inwazją, nawet gdy wróg zajął już ludzkie przyczółki.

Dla demonów było to aż za proste zadanie, niewymagające tak naprawdę myślenia ani wysiłku. Wystarczyło, że wkroczyły i postąpiły zgodnie z własną naturą. Wystarczająco wielu ludzi angażowało się wówczas w niweczenie prób ocalenia, marnując siły, które mogli wykorzystać przeciwko prawdziwemu nieprzyjacielowi.

Ludzie, z którymi demony walczyły teraz, mieli podzielić los swoich przodków.

– Nie zatrzymamy ich! – Kaleb starał się przekrzyczeć zgiełk.

– Musimy! – odparła machinalnie Simone.

Kaleb wiedział, że kobieta ma rację, ale nie widział żadnych szans. Zostali odepchnięci przez demony napływające przez wyrwy w barykadzie. Na razie nie atakowały z przytłaczającą siłą, jednak chłopak wiedział, że po prostu nie mają czasu, aby rozmontować blokadę. Gdy zwolnią tempo, będzie po wszystkim. A ponieważ

obrońcy musieli cofnąć się tam, skąd przyszli, ta chwila musiała nastąpić.

Kal wzniosł miecz, wzywając ludzi do odbicia jednej z luk. Żołnierze usłuchali go bez zastanowienia. Pod dowództwem Kaleba zdołali odeprzeć atak, zabić kilku maruderów i zająć przejście.

Problem w tym, że przy okazji stracili pozycje przy dwóch innych wyrwach.

Kaleb walczył, dopóki nie zabezpieczyli stanowiska, po czym zwrócił się do Simone.

– Utrzymajcie tę pozycję – polecił. – Ja pomogę załatać pozostałe.

Kobieta skinęła głową. Zabrakło jej tchu na odpowiedź. Kaleb od razu ruszył w poszukiwaniu kolejnej walki.

Nie musiał szukać daleko.

Korzystając z siły pancerza, skoczył kilka metrów przed siebie, zaskakując grupę demonów. Lądując, wyrzucił przeciwnikom prawie tyle samo szkód stopami co ostrzem.

– Atlandydzi!!! – krzyknął tak głośno jak mógł. – Do mnie!

Usłyszał okrzyki ludzi odpowiadających na wezwanie i poczuł, jak mężczyźni i kobiety gromadzą się wokół niego, gdy napał na linię wroga z całą siłą, jaką zdołał zgromadzić.

Kaleb zdawał sobie sprawę, że to jak walenie głową w mur. Mimo to mur powoli ustępował, a obrońcy zepchnęli demony z powrotem w ciasny przesmyk w barykadzie. Kaleb stanął w wyrwie i wyciągnął miecz, blokując przejście.

– Zostańcie tutaj – zwrócił się do żołnierzy. – Chcą naszej krwi? Niech za nią zapłacą!

Sindri przyglądał się walce, pomrukując posępnie. Z tego miejsca trudno było cokolwiek wypatrzeć, jednak nie miał wątpliwości, że ludzie załamują się pod naporem wroga.

– Nie wydaje mi się, żeby długo wytrzymali – stwierdził w końcu.

Brokkr warknął i przytaknął. Nie musiał dodawać nic więcej. Sytuacja była dynamiczna, jednak podejrzewał, że gdy się uspokoi, ludzkie siły będą zbyt nieliczne, by cokolwiek zmienić. Jeżeli bracia mieli pomóc, musieli działać już teraz.

– Masz jakieś pomysły? – zapytał, zaniepokojony ogarniającym go poczuciem bezradności.

– Gdybym miał, nie stalibyśmy tutaj – odparł Brokkr. – Może skoczek? Jego miotacze powinny mieć dość siły.

– Wątpię – westchnął Sindri.

Lekki myśliwiec sił morskich, który wykradli Pani Miasta, nie nadawał się na linię frontu. Miał działa, jednak stworzono je z myślą o zagrożeniach z morza, nie o demonach. Sindri nie był pewien, gdzie władczyni znalazła to cacko, ale prawdopodobnie nie trafiło ono do niej podczas bitwy, chyba że ktoś był naprawdę zdesperowany... Prawdę mówiąc, nie wydawało się to aż tak nieprawdopodobne.

Tak czy inaczej, niewielka machina nie mogła mierzyć się z całą hordą potworów. Niektóre z nich potrafiły latać, inne mogłyby miotać pociskami, gdyby dobrze namierzyły cel.

– Racja – jęknął Brokkr. – Bylibyśmy ugotowani już po pierwszej salwie.

Sindri kiwnął głową w milczeniu.

– Musi być jakieś wyjście – ciągnął Brokkr. – Dość już napatrzyliśmy się na śmierć. Wystarczyłoby jej na tysiąc naszych żywotów. Wolalbym oszczędzić sobie takich widoków.

– Już lepiej byłoby pomarzyć o pokoju we wszechświecie, bracie – odparł Sindri, śmiejąc się cynicznie. – Albo o tym, by wszystkie demony nagle przeszły na naszą stronę. I jedno, i drugie jest bardziej możliwe niż to, że nie ujrzymy dziś więcej śmierci. Na pewno doświadczymy jej przynajmniej jeszcze raz. Szczęśliwie czy nie? Wolę nie zgadywać.

Brokkr spochmurniał. Sindri wiedział, że jego brat domyśla się, kto miałby doświadczyć śmierci w „szczęśliwym” scenariuszu. Żaden z nich nie kochał życia na tyle, by naprawdę bać się śmierci, choć chyba tylko nieśmiertelność mogła być od niej lepsza. Bracia nie zamierzali jednak za nic w świecie dobrowolnie pogrążyć się w jej mroku pod władzę Kręgow.

Istniały dobre miejsca na śmierć. Piekło zdecydowanie do nich nie należało.

– Jeszcze chwila i nie będziemy musieli się kłopotać z myślami – stwierdził Brokkr. – To chyba jakieś pocieszenie.

- Cholerny ponurak...
- Jak zawsze, bracie – odparł Brokkr, szczerząc zęby.
- No dobra – burknął Sindri. – Idziemy.

ROZDZIAŁ 33

DACH CYTADELI

„Tak... Może mi się udać... Może nam się udać!”

Elan ledwie nadążała za własnymi myślami. Miała niemal namacalne wrażenie, że nabywa nowej wiedzy podczas odczytywania słów wyrytych na powierzchni pod jej stopami. Słów, które jakimś cudem rozumiała.

Obliczenia wprowadzone przez Nimue do schematu zmieniły znaczenie runicznych inskrypcji, a przy okazji otwierały umysł Elan. Dziewczyna czuła, jakby jej głowa rosła z każdym nowym pojęciem, które docierało do jej mózgu.

Zdała sobie sprawę, że obliczenia Nimue mogły zadziałać. Całkowicie zneutralizowałyby falę wytworzoną przez demony, ale nic poza tym.

Elan nie godziła się na remis. Zbyt wiele straciła przez demony. Matkę. Ojca. Kaerna...

Odczuła ponury dreszcz i wzbierające emocje. Zachciało jej się płakać, jednak skupienie na tej chwili zrozumienia pozwalało jej się opanować. Żal, gniew i wszystkie związane z nimi słabsze uczucia nie zniknęły, ale chwilowo czekały gdzieś w cieniu.

Przyjdzie czas, by je wyzwolić, teraz jednak dziewczynę czekało ważniejsze zadanie.

„Fala podmywa barierę między naszym światem a... tym drugim, gdziekolwiek jest” – pomyślała, gdy udało się jej przejrzeć zamiary Ser'Lis.

Nie do końca pojmowała to, co obliczenia mówiły na temat dokładnej lokalizacji „drugiego” świata... Ani nawet lokalizacji jej własnego świata. Jej mózg sprzeciwiał się dopasowaniu kierunków do rzeczywistości, zapewne dlatego, że nie istniały one w prawdziwym świecie. Elan tak naprawdę nie wiedziała, jak niby ma to rozumieć, mimo że ktoś wtłaczał jej w mózg nową wiedzę.

„Tyle nowych pomysłów”.

Elan zamrugęła. Przez chwilę miała wrażenie, że tonie w natłoku informacji, które napływały z każdym przeczytanym i napisanym słowem.

Miała świadomość, że wiedza zmienia ludzi. Pod koniec lekcji człowiek był już inny niż na początku. Jednak w przypadku lekcji zmiany przebiegały stopniowo i można było w spokoju pogodzić stare z nowym.

Elan nie sądziła, aby teraz miała czas na takie rzeczy.

Czuła, jak w głowie formują się dwa różne aspekty jej psychiki. Oba pochodziły od niej... A mimo to wydawały się stać w sprzeczności. Było to dziwne, dezorientujące i nieprzyjemne doznanie.

– Tchórz.

– Co? – Elan poderwała głowę.

Jedna z jej odśłon stała przed nią, uśmiechając się kpiąco.

– Powiedziałam, że jesteś tchórzem. – Nieco starsza wersja Elan prychnęła, przewracając oczami. – Masz całą wiedzę wszechświata na wyciągnięcie ręki, a zamartwiasz się, czy po wszystkim pozostaniesz sobą? Przestań się rozczulać nad stratami i pomyśl, ile zyskasz!

– N...nie słuchaj jej!

Elan odwróciła się i ujrzała drugi aspekt. Ta wersja wyglądała na niepewną i pełną obaw, choć nieskorą do kapitulacji.

– To co wiemy, to... to nie wszystko. Liczy się to, kim jesteśmy.

– Litości. Tajemnice wszechświata są o wiele ważniejsze niż nastoletnie rozterki. Jeśli mamy się zmienić, niech i tak będzie! Staniemy się lepsze niż kiedykolwiek. Wiedza to nie potęga, ale może całkiem przekonująco ją imitować. – Starsza Elan zaśmiała się. – Jeżeli przestaniemy być sobą, to dlatego, że nie zasłużyliśmy na tę wiedzę. Widzisz przecież, że wszechświat tylko czeka, aż po niego sięgniesz. Wyciągnij dłoń i zrób, co trzeba!

Elan potrząsnęła głową, chcąc wrócić myślami do rzeczywistości, a przy tym nie zerwać kontaktu ze słowami.

Wiedziała, że aspekty jej psychiki to tylko widma, wymysły, nad którymi panowała. Podszepty lęków, utajonych pragnień... choć również i prawdy. Przestrogi i rady.

„Otóż to”.

Elan podskoczyła. Nowy głos zdawał się docierać do jej umysłu z zewnątrz. Miała wrażenie, że skądś go pamięta...

„Kaern?” – zapytała w myślach, zaskoczona.

Obróciła się, słysząc nieopodal kroki na dachu. Dobrze zbudowana postać wyszła jakby z mgły. Przez lata Elan widywała tego mężczyznę w snach, które rzadko bywały przyjemne.

„To naprawdę ja, z... no, może nie z krwi i kości, ale na pewno we własnej osobie”. Postać uśmiechnęła się do niej. „Pięknie wyglądasz, dziewczyno. Ładnie nam wyrosłaś”.

„Przecież... ty nie żyjesz” – Elan utrzymywała stanowczy ton myśli, który w ostatniej chwili się załamał. „Prawda?”

„Trudno mnie zabić, jak wszystkich moich ziomków”. Kaern rozejrzał się, unosząc brew. „A gdybym cię nie znał, mógłbym przysiąc, że i ty jesteś jedną z nas. Wiem jednak, że jesteś na to zbyt dobra”.

Elan nie wiedziała, co się dzieje. Jakiś głos jej w głowie krzyczał, że to wszystko jest tylko halucynacją. Inny głos szepnął: „To nie halucynacja. To Śnienie”.

Rozejrzała się.

„Czy...”

– Właśnie, mała. Znowu Śnienie – odparł Kaern, którego głos rozbrzmiewał teraz pomiędzy nimi, a nie w myślach dziewczyny. – Jak przy naszym pierwszym spotkaniu. Przyznam, że masz talent do grania demonom na nerwach. Za tobą trwa całkiem niezła szamotanina. Te dwie mają się czym pochwalić...

– Co...

Elan patrzyła jednocześnie na Kaerna i na cały świat... Nie, na cały wszechświat, który przepływał wokół nich i poprzez Kaerna, a także... przez Elan!

W tej chwili wszystko wskoczyło na swoje miejsce. Dziewczyna odwróciła się od Kaerna i wróciła do pracy. Mężczyzna przyglądał się jej z rozbawieniem.

– Cóż, w swoim życiu często bywałem ignorowany przez damy. Sądzę, że to nic niezwykłego – stwierdził nonszalancko, podchodząc i zaglądając Elanthielle przez ramię. – Runiczne ryciny? Zmienianie stałych wszechświata? Dziecino, jak ty szybko rośniesz!

– Nie mam czasu na pogaduszki – odparła, nie podnosząc wzroku.
– Jeśli wciąż żyjesz, to gdzie się podziewałeś?

– Prawdę mówiąc, wciąż jestem trochę zagubiony. To, co mnie spotkało, nie było miłym doświadczeniem. Pozostawałem nieświadomy przez... Cóż, nie mam właściwie pojęcia, jak długo byłem martwy.

– Martwy? – powtórzyła Elan, oglądając się przez ramię.

– W pewnym sensie. – Kaern skinął głową, wskazując na napisy. – Możesz pracować dalej, dziewczyno. Ja będę mówił.

Elan obruszyła się, ale szybko wróciła do runów.

– Rzeczywiście byłem martwy. Ciało przestało działać, serce i mózg wysiadły... – wyjaśniał Kaern. – To się kwalifikuje jako śmierć.

– Jak... Jak to jest?

– Nie odchodzimy w taki sam sposób jak wy... Albo raczej jak powinniście odchodzić. – Westchnął. – Gdyby Niebianie nie opuścili wszechświata.

Elan ponownie przerwała pracę.

– Kto?

– Niebianie. Tak naprawdę mają wiele imion, w zależności od wszechświata i kultury. To nie Kręgi były pierwsze, tylko Niebianie. To z nimi wojują demony.

– Wojują i wygrywają – mruknęła Elan z goryczą.

– Może tutaj. – Kaern wzruszył ramionami. – Gdzie indziej przegrywają, ale ogólnie rzecz biorąc, rzeczywiście, jakimś cudem zwyciężają.

– Jakimś cudem?

Karen parsknął.

– Niebianie są o wiele potężniejsi, dziewczyno. Powiedziałbym, że niemal nieskończenie potężniejsi.

– A więc... dlaczego?! – wybuchła Elan. Nic z tego nie rozumiała.

– To już wielowiekowa tajemnica – przyznał Kaern pośepnie. – Nie żartuję. Ludzie zadawali to pytanie, jeszcze zanim powstał wasz wszechświat. My tego nie wiemy, a Niebianie nie chcą nic powiedzieć. Nawet w Kręgach nikt nie ma o tym pojęcia, ale demony musiałyby mieć o wiele więcej rozumu, by zadawać takie pytania.

Elan spojrzała na inskrypcje, na których usiłowała się skoncentrować, mimo że myśli w jej głowie szalały. Zamrugła, gdy runy zmieniły się samodzielnie.

– Co jest... Hej! – zaprotestowała, widząc, jak jej praca idzie na marne. Uczucie frustracji uleciało jednak, gdy tylko zrozumiała, co się dzieje. – Aha...

– Dopiero to rozgryzłaś, co?

Spojrzała na Kaerna, szczerzącego do niej zęby.

– Mogłeś mi powiedzieć – powiedziała z wyrzutem.

– Wtedy nie byłoby tak zabawnie.

„Oczywiście. To znowu Śnienie”. Elan westchnęła. „Dopóki się nie obudzę, nie będę mogła wprowadzić zmian... Muszę je jednak zapamiętać”.

Kaern spojrzał w niebo. Elan zdała sobie sprawę, że nie jest to już nocny firmament, pod którym do tej pory działała. Niebo wydawało się płonąć w kilku miejscach, podobnie jak świat pod nim.

– Tutaj demony są bliskie zwycięstwa – wyjaśnił Kaern. – Widzisz to poprzez Śnienie. Dlatego tym razem tak szybko przybyłem na twoje wezwanie.

– Ja wcale... – Elan urwała, zastanawiając się.

„Rzeczywiście, wzywałam go. Teraz już sobie przypominam”.

Kaern uśmiechnął się porozumiewawczo.

– Rozwijasz się, ale sporo ci jeszcze brakuje do opanowania Śnienia. Wiesz, martwiłem cię o ciebie, ale teraz nie jestem pewien, czy nie powinienem raczej obawiać się o los twoich wrogów. – Wskazał głową otaczające ich runy. – Dobra robota. Ma moc. Jest tylko jeden... no, może kilka sposobów, dzięki którym mogłaś się tego nauczyć tak szybko. Jednak wyłącznie w jednym przypadku mogłabyś po wszystkim zachować człowieczeństwo ciała i ducha. Odnalazłaś któryś ze Skarbów.

Elan przytaknęła. Wiedziała, o czym mowa.

– Czym one właściwie są? – zapytała. – Wyglądają jak stare księgi, ale...

– To pradawna wiedza, tak stara i bogata, że sama zyskała zdolność rozumowania – tłumaczył Kaern. – Magia to zabawna sprawa, dziewczyno. Sprowadza życie tam, gdzie nigdzie go nie było, a niektórzy powiedzieliby wręcz, że tam, gdzie nigdy nie powinno

zaistnieć. Niebianie obdarzyli nas magią dawno, bardzo dawno temu. Dla nas, dla rodzaju ludzkiego, był to ostatni prezent od... rodziców. Myślę, że można tak ich nazwać.

Elan zdziwiła się. Kaern mówił o sobie jako o przedstawicielu ludzkości, choć przecież istoty takie jak on przed wiekami odłączyły się od ludzi.

– Niebianie tchnęli we wszechświat życie jednym Słowem – mówił dalej. – Słowo to brzmiało magia. Gdy dorośliśmy i nauczyliśmy się odpowiedzialności, otrzymaliśmy ją w darze. – Westchnął, wznosząc oczy ku płonącemu niebu. – Prawdę mówiąc, nie wyszło nam to na dobre.

– Nie rozumiem – powiedziała dziewczyna.

– Nie szkodzi. Teraz i tak nic już na to nie poradzisz – odparł Kaern, spoglądając znowu na inskrypcje. – Choć może... Widzę, co knujesz, dziewczyno. Mógłbym ci coś doradzić?

Elan przytaknęła niepewnie. Kaern nachylił się do niej.

– Jedno słówko. Zasłona!

Elan przekrzywiła głowę, zbita z tropu.

– Co to... Kaern!

Mężczyzna uśmiechnął się, a potem zniknął. Elanthielle gwałtownie powróciła do rzeczywistości. Niebo znów było ciemne i rozświetlone gwiazdami, a nie złowrogimi rozbłyskami ognia. Za plecami Elan dwie władczynie demonów nadal walczyły.

„Zasłona? O co mu chodziło?”

Spojrzała na niedokończone dzieło, stopniowo odczytując runy. W jednej chwili wszystko nabrało sensu, jakby ktoś dał jej klucz.

– Zasłona – westchnęła.

To było wręcz... idealne!

Pospiesznie wróciła do pracy. Miała coraz mniej czasu.

OŚRODEK BADAWCZY W REDUCIE PÓŁNOCNEJ

Merlin przeglądał obrazy ze zbroi Elan nierozumiejącym wzrokiem. Dziewczyna z jakiegoś powodu zmieniła plany. Był nie

nadał za nią, był jednak pewien, że zaprzestała prac nad zneutralizowaniem fali.

– Co ona robi? – zapytał.

– Nie... Nie wiem – przyznała Nimue, równie zdezorientowana jak on.

Mogła śledzić postęp prac. Nie było to aż tak skomplikowane, a poza tym posiadała pokaźny zasób wiedzy o tej sztuce, nie potrafiła jednak przewidzieć, co przyniosą poczynania Elan. Nimue miała ochotę o to zapytać, ale powstrzymywała ją pewność i szybkość, z jaką pracowała dziewczyna.

– Widzę runiczne inskrypcje ochronne, ale one na pewno nie będą skuteczne przy tej skali pracy – zwróciła się Nimue do Merlina. – Bardziej niepokojące jest to, że Elan łączy je za pomocą symboli ofiarnych.

Merlin aż zeszywniał.

– Ale co zamierza złożyć w ofierze?

Nimue sama się nad tym zastanawiała. Ofiara była konieczna tak naprawdę do każdego działania. Czy chciało się pokonać władcę demonów, czy po prostu wstać rano, trzeba było zapłacić pewną cenę. Koszt, rzecz jasna, bywał różny. Codzienne czynności takie jak wstawanie z łóżka i zdobywanie jedzenia wymagały poświęcenia energii potrzebnej na ruch, znalezienie źródła pożywienia i inne związane z tym kwestie.

Natomiast aby pokonać przedstawiciela Kręgów, potrzeba było potężniejszej ofiary, jednak nawet wówczas cena nie była stała. Dało się ją spłacić wcześniej poprzez trening i spożytkowanie energii na nabycie umiejętności i siły albo wynalezienie broni dającej przewagę.

Każde działanie wiązało się z ofiarą, ale nie wszystkie ofiary były sobie równe.

Nimue nie wiedziała, co zamierzała poświęcić Elan, jednak było to silnie związane z rycinami.

– Nie mam pojęcia. Nie ma niczego, co miałyby dość mocy, aby ofiara miała jakikolwiek wpływ na...

Urwała, łącząc fakty.

„O nie”.

CYTADELA

Elan uśmiechnęła się, kończąc pracę, umieszczając kilka ostatnich oznaczeń runicznych ze znuwaniem, z którego nie zdawała sobie sprawy. Gdy wszystko było gotowe, przyłożyła dłoń do rycin i wyciągnęła sztylet. Przeciągnęła ostrzem po dłoni szybkim, zdecydowanym ruchem, rozcinając skórę.

Krew spłynęła na runiczne wzory. Nastąpił wybuch energii, a na dachu zaległa cisza.

Nawet dwa demony zostawiły na chwilę swoją kłótnię, bezwolnie odwracając się w stronę źródła mocy.

– Co ty wyprawiasz? – zapytała Ser’Lis przyciszonym, niepewnym tonem. Gdy się rozglądała, na jej twarzy dezorientacja walczyła z gniewem i lękiem.

Elan wstała w milczeniu, zaciskając skaleczoną dłoń i pozwalając, by krew ściekała dalej.

– Zadałam ci pytanie! – warknęła Lis.

Elan odwróciła się powoli, spoglądając na demonessę.

– Słyszałam.

– Więc odpowiadaj, ludzki szczeniaku!

– Wprowadziłam pewną zmianę.

– To niemożliwe! – Ser’Lis potrząsnęła głową. – Nie obchodzi mnie, co potrafisz, twoja krew nie mogła wyzwolić aż takiej mocy!

– I nie wyzwoliła. Ja tylko wszystko uruchomiłam – wyznała Elan niewesoło. – Zasiliłam ją.

– Ale jak?! Jesteś nic niewartym ścierwem – piekliła się Lis. – Człowieczkiem łudzącym się, że cokolwiek znaczy. Nie masz nic, co byłoby w stanie wzmocnić coś tak potężnego!

– Rzeczywiście, nie mam. – Elan przytaknęła powoli. – Popełniliście jednak błąd. Wiesz, kiedy zniszczyliście dawną cywilizację. Nie udałoby mi się, gdyby nadal istniała.

Lis patrzyła na nią, skołowana. Ser’Goth tymczasem zerkała zza ramienia siostry i nasłuchiwała, złożony skrzydła.

– Co masz na myśli? – zapytała Pani Cytadeli.

Elan uśmiechnęła się smutno.

– Zawarłam układ ze wszechświatem, demonie... W imieniu całej ludzkości. Zostało nas tak niewielu, że teraz jestem właściwie

jednym z przywódców ludzi i mam do tego prawo na mocy nadanej mi przez wszechświat!

ROZDZIAŁ 34

CYTADELA

Kaleb ryknął, podpierając barykadę, aby ochronić ją przed atakiem niezliczonych demonów. Dzięki zbroi chłopak miał o wiele więcej siły niż zwykły śmiertelnik, jednak nawet ona miała swoje granice. A ponieważ mierzył się z całą hordą czyhającą za murem, sprawa wydawała się przesądzona.

Ściany wieży drżały coraz mocniej. Bariera rozpadała się i kolejne demony przeciskały się przez wyrwy. Kaleb czuł, jak ściana ustępuje. Ślizgał się stopami po podłodze i dał się odepchnąć, bardziej z braku punktu oparcia niż z braku sił.

Ośłonił się ramieniem przed odłamkami i odskoczył w samą porę, zanim cała barykada runęła. Usłyszał ryk uradowanych demonów.

– Utrzymać pozycje!

Rozkaz Simone był ledwie słyszalny w tym chaosie, jednak Kaleb wsparł dowódczynię własną komendą.

– Zabić ich wszystkich! – warknął. Ściskając w dłoni miecz, skoczył do walki przeciwko żarłocznej hordzie wspinającej się po gruzach, zadając silne, choć mało finezyjne ciosy. Ostrze rozcinało kończyny i kości, posyłając demony na tamten świat, gdziekolwiek się znajdował.

Kaleb zauważył, że towarzysze broni zwarli szyk i nie ustawiali w walce. Ich broń przez pewien czas utrzymywała demony na dystans, miało to jednak swoją cenę. Zwaliste bestie brutalnie odrzucały ludzi, którzy nieopatrznie podeszli zbyt blisko. Inni, którzy dali się schwytać demonom, ponosili jeszcze gorszą śmierć.

Rozszalałe potwory wepchnęły obrońców z powrotem do Cytadeli, jednak tym razem walka była bardziej wyrównana.

Choć zajęty bojem, Kaleb widział, jak demony padają martwe. Kałuże krwi i posoki mieszały się, gdy podłoga pokryła się szczątkami żołnierzy obu stron. Kal nie wiedział, ilu zginęło, ilu zostało rannych i czy ktokolwiek ujdzie z życiem, by móc to policzyć. Uznał jednak, że nie ma to większego znaczenia. W tej chwili

wszystkie ważne kwestie zdawały się schodzić na dalszy plan, przesłonięte przez samą bitwę.

Kaleb zacisnął zęby, parując miazdzący cios demona i odpowiadając pchnięciem miecza, który przebił przeciwnika na wylot. Gdy potwór runął martwy prosto na Kaleba, młodzieniec doznał olśnienia, które zapierało dech prawie tak samo jak walka.

W tej chwili rzeczywiście nie liczyło się nic poza wygraną w bitwie.

Co zaś do reszty wojny... Cóż, będzie się nią martwił już po walce.

Wicekról uśmiechnął się szeroko, widząc, że barykada ostatecznie padła, a jego horda ruszyła do Cytadeli.

Wiedział, że to już koniec. Oczywiście walka miała trwać jeszcze przez pewien czas. Ludzie słynęli z uporu, co było zarówno wadą, jak i zaletą tego gatunku, jednak ze strategicznego punktu widzenia wyrzucenie ich z Cytadeli, jakkolwiek brutalne i krwawe, nie powinno stanowić wyzwania.

A ponieważ nieprzyjaciel był zajęty, przynajmniej nie mógł zakłócić Ser'Lis rytuału.

Rozmyślając o tym, władca demonów popatrzył w niebo.

„Czy nie powinien już pojawić się jakiś znak?” – zastanawiał się.

Sam oczywiście nie był ekspertem w dziedzinie runicznych obrzędów. Ci, którzy podążali tą ścieżką, byli... raczej spaczeni – fizycznie i umysłowo. Serg'in był jednak wystarczająco zaznajomiony z samą koncepcją. Zresztą jeszcze tej nocy pomagał w zaplanowaniu rytuału.

Rozważał wysłanie latającego posłańca, by sprawdzić, czy u Pani Cytadeli wszystko w porządku. Odrzucił jednak tę myśl, gdy z pobliskiego gruzowiska buchnęły płomienie, które otoczyły grupę demonów.

– Zatraceni zdrajcy! – wycharczał, machając na jednego z posłańców. – Zniszczyliśmy zaporę broniącą wejścia do Cytadeli. Macie dalej napierać na obrońców. Teraz jednak przyszedł czas, żeby wysłać kilka drużyn, które wyeliminują opór.

– Tak jest, wicekrólu. – Demon skłonił głowę. – Czy wybrałeś jakieś szczególne drużyny?

– Nie. Po prostu poślijcie dwie... Nie, raczej cztery – polecił Serg. – Powiedz im, że jeśli się z tym nie uporają, lepiej będzie dla nich zdechnąć, zanim ich znajdę.

– Oczywiście, wicekrólu.

Posłaniec zamigotał, a potem zniknął, pozostawiając po sobie pustkę i specyficzny zapach, nad którym władca wolał się nie zastanawiać.

– Idą następni – zwrócił się Sindri do brata. – Nie wygląda to dobrze.

– Ilu? – zapytał Brokkr, kierując kolejną kulę szalejącego ognia na tłum demonów, próbujących wedrzeć się do Cytadeli.

Teraz były tak łatwym celem, że gdyby Brokkr nie znał się na demonach, mógłby nabrać podejrzeń i zacząć wypatrywać pułapki. Tak dyktowałyby zdrowy rozsądek. Żadna rozumna istota przy zdrowych zmysłach nie godziłaby się na taki pogrom. Demony nie zaliczały się jednak do istot, które można było określić jako zdrowe na umyśle.

Brokkr nie wiedział, czy to Przemiana doprowadziła je do szaleństwa, czy też były takie od samego początku, nigdy jednak nie spotkał demona, który nie byłby kompletnie zwichrowany. Niektóre zaskakująco dobrze to ukrywały, jednak ostatecznie każdy dawał po sobie poznać, że od środka rozdziera go głęboki konflikt.

– Za dużo ich, bracie. – Głos Sindriego wyrwał Brokkra z rozmyślań. – Prawie wyczerpała mi się moc, a niebu wkrótce zabraknie energii na moje najlepsze sztuczki. Wiem, że z tobą jest podobnie.

– Racja – wycedził Brokkr przez zaciśnięte zęby.

Wykorzystywał swój potencjał w inny sposób niż brat. Efekt był może słabszy, ale na dłuższą metę wymagał mniej mocy. Sindri potrafiłby od niechcienia ściągnąć piorun na czyjąś głowę, zwłaszcza jeśli w górze szalała burza, jednak po wyczerpaniu energii elektrycznej z nieba dalsze wytwarzanie mocy stawało się męczące.

Brokkr płacił za płomienie wysoką cenę, która jednak nie wzrastała z czasem.

Dzięki temu bracia dobrze współdziałali w boju, uzupełniając się. Jeśli jednak bitwa się przeciągała... każdy musiał w końcu opaść z sił.

„Ta chwila właśnie nadeszła”.

Sindri sponsepniał. Brokkr w zupełności go rozumiał.

Ludzie utracili ostatnią prawdziwą przewagę. Jeżeli coś się szybko nie zmieni, stracą wszystko, co im zostało. Wyspiarze nie zasługiwali na taki los, ale Brokkr i Sindri nie mogli już im pomóc.

– Zaczekam jeszcze z uciezką – zdecydował Brokkr. – Będziemy ich wspierać do samego końca.

– Zgoda. – Sindri przytaknął powoli. – A co potem?

– Potem trzeba będzie się przenieść gdzie indziej.

– Smutne, ale prawdziwe – odparł Sindri.

Już wcześniej uchodzili przed hordami demonów, a ponieważ byli długowieczni, miało się to zdarzyć jeszcze nieraz. Wściekali się, że nie mogą w żaden sposób powstrzymać zniszczenia, które siały te bestie. Gdyby jednak zostali i dali się zabić, niczego by nie zyskali.

Kaleb zaklął, wypchnięty ze swojej pozycji. Nie mógł jej utrzymać i bronić się jednocześnie. Upadając, widział kolejne plugawe bestie wdzierające się do środka. W innych miejscach na linii frontu nie było wcale lepiej.

„Elan, obyś skończyła zadanie, bo my już jesteśmy skończeni”.

– Cofnąć się! – krzyknął Kaleb. – Brońcie korytarzy! Niech wróg się wykrwawi!

Podłoga była śliska od krwi sojuszników i przeciwników. Uważając, by nie potknąć się o ciała, Kal sam przystąpił do wykonywania własnego rozkazu. Zatrzymywał się tylko, aby podnieść rannych lub ledwie żywych nieszczęśników, których spychał jak najdalej od walki, podążając w głąb Cytadeli.

Widział, że niebo rozświetlały jaskrawe błyski, i słyszał ryk płomieni, brzmiały zdecydowanie zbyt radośnie jak na tę

dramatyczną sytuację. Wiedział zatem, że bracia jeszcze nie odeszli, choć teraz i tak nie mogli wiele zdziałać.

Walka stawała się mechaniczna. Pchnięcie, cięcie, pchnięcie, pchnięcie. Unik. Parada, cięcie, pchnięcie, pchnięcie. Kaleb wykonywał każdy ruch jak w transie, prowadząc odwrót, w obliczu zmasowanego ataku niewyczerpanych sił hordy demonów.

Z otępienia wyrwał go czyjś okrzyk.

Simone znalazła się w potrzasku. Trzy bestie otoczyły ją, kiedy starała się podtrzymać przy życiu niektórych rannych. Jej ostrze odbijało światło płomieni na zewnątrz Cytadeli. Twarz miała zbryzganą krwią ludzi i posoką demonów.

– Zabierzcie ich stąd! – rzuciła przez ramię, by inni, jeszcze sprawni żołnierze pomogli odciągnąć rannych.

Ta chwila dekoncentracji wiele ją kosztowała.

Jeden z potworów wyłamał się z szyku i zacisnął zęby na ramieniu Simone.

Zginał chwilę później, wypatroszony mieczem, jednak zdołał zadać obficie krwawiącą ranę. Simone zagryzła wargi, by nie krzyknąć z bólu.

– Simone!

– Zabierzcie ich, powiedziałam! – warknęła, tym razem nie oglądając się za siebie.

Osaczające ją demony wyczuwały krew. Kobieta usiłowała się bronić, jednak zraniona ręka odmawiała jej posłuszeństwa. W akcie desperacji postanowiła dać sobie spokój ze sztuką fechtunku i uciec się do wymachiwania na oślep, bardziej by odpędzać demony, niż wyrządzić im poważne szkody. Metoda ta sprawdzała się przez chwilę, dowódczyni wiedziała jednak, że nie potrwa to długo.

Zdała sobie sprawę, że nadszedł jej czas, gdy do trójki demonów dołączyły kolejne, by przypuścić kolejny atak.

Gdyby pokonały Simone, miałyby wolną drogę do rannych.

– Nic z tego! – wrzasnęła Simone. Zacisnęła zdrową dłoń na rękojeści miecza tak, że aż zbieleły jej knykcie. – Za diabła ich nie dostaniecie! Słyszycie?!

Zanim demony przestały się śmiać, rzuciła się na nie, błyskając mieczem i obnażając zęby.

Kaleb krzyczał, przedzierając się przez tłum demonów. Chciał jak najszybciej przedostać się przez hol. Ciskał mniejsze demony tak mocno, że zanim spadły, najpierw roztrzaskiwały się na suficie. Większym łamał kości lub kaleczył mieczem ich istotne narządy, jednak cokolwiek robił, miał wrażenie, jakby brnął przez smołę, nie mogąc ani na chwilę oddalić się od nieprzyjaciela.

– Simone!

Patrzył, jak jego mentorka, która tak naprawdę zastępowała mu matkę, rzuca się w pojedynkę na nacierające demony. Przebiła mieczem jednego z nich, ale gdy potwór runął na ziemię, przy okazji wyrwał jej oręż z ręki.

Dla większości ludzi byłby to koniec, jednak Simone brała udział w niejednej walce, jeszcze gdy Kaleba nie było na świecie. Młodzieniec parł więc naprzód, pewny, że Simone nie podda się, nawet przytłoczona przez wroga.

Mimo to był wstrząśnięty, gdy kobieta zaatakowała kolejnego demona, zaciskając zęby na gardle bestii i szarpiąc z całych sił.

Potem Kal już jej nie widział. Reszta przeciwników rzuciła się na walczących i przygwoździła do ziemi zarówno Simone, jak i demona, którego schwyciła w śmiertelny uścisk.

Szamocząc się w plątaninie ciał, Kaleb nie był pewien, czy odróżniłby potwora od człowieka, ale w tej chwili właściwie nie dostrzegał niczego poza Simone.

Uderzył na linię demonów z siłą lawiny, siekając wrogów na strzępy i zadając tyle ran, ile zdołał w krótkim czasie, rozrzucając przeciwników lub po prostu powalając ich na ziemię.

Trwało to jakieś trzydzieści sekund, ale młodzieniec miał wrażenie, że minęło trzydzieści lat.

Przebijając mieczem czaszkę ostatniego potwora, Kaleb ściągnął powaloną bestię z ciała poległej mentorki. Gdy ją zobaczył, serce podeszło mu do gardła.

W swoim ostatnim boju Simone zabiła co najmniej pięć demonów, nie licząc tego, któremu przegryzła gardło. W zmasakrowanej lewej dłoni wciąż trzymała sztylet. Krwawiła bardzo mocno i Kaleb wiedział, że i tak nie ma prawa przeżyć. Mimo to upadł na kolana i próbował ją ocucić.

Nie wiedział, jak długo to trwało. Zanim zebrał w głowie jakiegokolwiek rozsądne myśli poza potrzebą ocalenia kobiety, która go wychowała, usłyszał łomot i jęk bólu. Zaskoczony, podniósł wzrok.

Nad nim stał Bor, odpierający mieczem dwa demony, próbujące dopaść klęczącego młodzieńca, wciąż oszołomionego tym, co zobaczył, i doznaną stratą.

Siłacz spojrzał w dół z bólem malującym się na twarzy. Kaleb zauważył krew ciekącą z jego ramienia.

– Zostaw żałobę na później, chłopcze – poradził wojownik stanowczym tonem. – Simone odeszła, więc ty jeden możesz nad nami zapanować.

Kaleb czuł się tak podle, jak jeszcze nigdy. Wiedział jednak, że jeśli zaniedba swoją powinność, nie będzie miał szans na ponowne spotkanie z Simone, o ile istniało jakieś życie pozagrobowe. Przytaknął ze zdecydowaniem, ułożył głowę kobiety na ziemi i powstał, rozglądając się za mieczem, choć nie pamiętał, by go odkładał.

Szybko odnalazł czerwonozłoty oręż. Bez wahania chwycił za rękojeść i od razu pchnął najbliższego demona, z którym zmagał się Bor, dając wielkoludowi szansę na wykończenie drugiego przeciwnika.

Bor klepnął go w ramię.

– Chodźmy, młody. Jeśli mamy przetrwać, trzeba skończyć robotę.

Kaleb skinął głową. Po raz ostatni obejrzał się na martwą przyjaciółkę, mentorkę i matkę, po czym zebrał się w sobie, pełen ponurej determinacji.

– My przetrwamy – oznajmił. – Oni na pewno nie!

Serg'in patrzył z uśmiechem, jak ludzka linia obrony padła, gdy horda demonów przystąpiła do ukończenia dzieła. Wyrok już zapadł. Garstka ludzi nie mogła odeprzeć hordy, która od tyłu lat gromadziła się w Cytadeli. Należało jednak docenić ich starania.

Patrząc na wszystko racjonalnie, władca liczył, że przynajmniej kilkoro ludzi pozostanie przy życiu. Oczywiście najsilniejszych. W swoim czasie staną się potężnymi demonami.

Odbierał meldunki od biegających i latających posłańców, gdy nieoczekiwanie usłyszał głośny ryk. Wbił wzrok w Cytadelę. Coś było nie tak.

Demony... uciekały?

„Nie. Wróg je wypiera... Ale jak?”

Takie zdarzenie nie mogło przeważać szali zwycięstwa. Jednak fakt, iż sytuacja w tak niewielkim obszarze została postawiona na głowie, był dość niecodzienny.

– Ruszajcie. – Wicekról skinął głową jednej z drużyn, które trzymał w rezerwie właśnie na taką ewentualność.

Demony usłuchały go bez zbędnego gadania. Jednak zgiełk bitwy nie słabł. Szybko stało się jasne, że ludzie zbierają się do kontrataku.

„I dobrze”.

Takie posunięcie dawałoby ludziom dość nadziei, by zatruć ich dusze, zanim zostaną zmiążdżeni.

Zdawkowym machnięciem głowy i gestem władca rzucił do walki kolejne rezerwy, wspierając hordę silniejszymi i cenniejszymi podkomendnymi.

Cokolwiek skłoniło nieprzyjaciela do kontrataku, nie mogło przetrwać w starciu z siłami demonów. Wicekról nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

Dziwny, świszczący odgłos na chwilę odwrócił jego uwagę. Demon rozglądał się w poszukiwaniu źródła dźwięku.

„Co to było?”

Nie czując niczego poza wściekłością, Kaleb wybiegł naprzeciw nadchodzącej fali demonów, usiłujących przygwoździć go i zalać niczym prawdziwy przypyływ.

Nie miało to znaczenia. Teraz liczył się tylko on, jego miecz i gniew.

Kal jak przez mgłę zdawał sobie sprawę, że Bor stara się za nim nadążyć. Tylko dzięki temu chłopak nie postradał jeszcze zmysłów i nie wpadł w szal bojowy. Miał u boku ludzi, za których odpowiadał. Nie mógł o nich zapomnieć.

– Walczcie! – zawołał. – Walczcie za wasze domy! Rodziny! Za Simone!

Bor podchwycił ostatni okrzyk. Kaleb słyszał, jak inni powtarzają go, krzycząc ile sił w płucach.

„Walczcie za Simone”. Te słowa zagłuszały krzyki umierających. Wszyscy wiedzieli, że teraz już nie ma odwrotu.

Kaleb wciąż otrzymywał na zbroję transmisje o ogólnym stanie walk. Merlin z trudem nadążał za chaosem rozrywającym pole bitwy. Nie wyglądało to dobrze.

Chłopak nie chciał tego przyznać, ale zdawał sobie sprawę, że ta walka jest już przegrana.

Miał nadzieję, że Elan odniosła zwycięstwo. Tylko to pozwalało mu wierzyć, że poświęcenie ludzi nie pójdzie na marne. Kaleb miał się dopiero poświęcić, jednak Simone i wielu innych już oddało życie za sprawę.

Kal zaczął się uspokajać. Złość ustępowała miejsca bezradności i żalowi, choć wojownik robił co mógł, by stłumić je i podtrzymać gniew. Dręczyło go, że nie potrafi znaleźć wyjścia z tej sytuacji.

Potrzebowali cudu, jednak w ostatnim czasie nie mogli na niego liczyć.

Nagły hałas, jakby tysiąca ciosów z otwartej ręki, zbił go z tropu. Demony cofnęły się w ciszy. Kaleb nie wiedział, co to znaczy, ale umiał wykorzystać takie okazje.

– Zabić ich wszystkich! – krzyknął ponownie, ruszając z mieczem na cofającą się horde.

Spoglądając przez wyjście na przedsionek Cytadeli, zauważył tłum nieznanymi postaciami wychodzących spomiędzy ruin osiedla. Na zdezorientowane demony spadł kolejny grad strzał, tak gęsty, że raził każdego potwora po kilkanaście razy.

Na wezwanie Kaleba odpowiedział krzyk z setek gardeł ludzi szarżujących na Cytadelę.

ROZDZIAŁ 35

DACH CYTADELI

– Nie. – Lis potrząsnęła głową z niedowierzaniem. – Nie masz tyle mocy!

– Moc? – Elan zaśmiała się z politowaniem. – Myślisz, że tylko o to w tym chodzi?

– Sama o mało nie spłonęłam, kiedy przygotowywałam te runy.

– Siłowałaś się ze wszechświatem. Cud, że nie stanęłaś w płomieniach od samej myśli o tym – stwierdziła Elan beznamiętnie, patrząc nie na demona, ale na coś, co tylko ona była w stanie zobaczyć. – Ostatecznie wszechświat i tak by cię zabił. Na szczęście wybawiłam cię od tego losu. Nie musisz mi dziękować.

Ser'Lis nie wierzyła własnym oczom i uszom. Ten mizerny człowieczek myślał, że może ot tak przyjść i przepisać na nowo runiczny rytuał, który Pani Cytadeli przygotowywała przez dziesięciolecia! Było to nie tylko niemożliwe, ale i uwłaczające.

Rozprostowała szponiaste dłonie i zaczęła zbliżać się do Elan.

– Nie wiem, co takiego zrobiłaś, ale uporam się z tym w kilka chwil... Gdy już z tobą skończę!

Elan ze spokojem wyciągnęła zza pasa niewielki cylinder z czerwonozłotego metalu i w jednej chwili rozłożyła ponaddwumetrowy kij bojowy.

– Spróbuj, jeśli potrafisz – powiedziała.

Lis warknęła i wzbiła się w powietrze, zamierzając dosięgnąć pazurami gardła młodej kobiety. Kij zawirował i uderzył demonessę w głowę, zanim ta zdążyła go zauważyć. Ser'Lis potoczyła się po dachu i z trudem wyhamowała.

Otrząsnęła się i zmusiła, by wstać. Wbiła gniewny wzrok w dziewczynę.

– To już koniec – powiedziała łagodnie Elan. – Przegraliście.

– My... nigdy... nie... przegrywamy!

Rozwścieczona demonessa uderzyła ponownie. Tym razem schwyciła obiema dłońmi kij, który miał ją raczej powstrzymać, niż

zranić. Przez chwilę uśmiechała się szyderczo do dziewczyny, przekonana, że dzięki nadludzkiej sile może po prostu rozbroić przeciwniczkę. Mimo to kij ani drgnął.

– To niemożliwe... – wydyszała Lis, szeroko otwierając oczy. – Zwyczajne ludzkie sztuczki! Twój żaloszny pancerzyk nic ci nie pomoże!

– Ach, to? – Elan spuściła wzrok, przekładając kij do jednej ręki, a drugą wskazując na zbroję.

Ser'Lis próbowała wykorzystać tę chwilę pozornej nieuwagi, ale wciąż nie mogła usunąć broni z drogi.

– Mogę go zdjąć, jeśli chcesz – zaproponowała Elan.

Pani Cytadeli cofnęła się. Wietrzyła podstęp, ale nie wiedziała, na czym polegał. Powoli puściła kij i cofnęła się z wahaniem.

– Chcę – powiedziała w końcu.

Elan wzruszyła ramionami i zaczęła powoli i metodycznie zwalniać zatrzaski, z każdym ruchem otwierając kolejne elementy pancerza.

– Elanthielle – odezwał się Merlin w jej uchu – to nie jest dobry...

Umilkł, gdy dziewczyna zrzuciła zbroję i zerwała łączność z Avalonem.

– A teraz, nędzny demonie, pokażę ci coś lepszego od mocy!

Jol nie miał pojęcia, na co właściwie patrzy, ale tak czy inaczej był pod wrażeniem.

Elan znacznie podniosła stawkę, nawet jeśli rzeczywiście sądziła, że ludzie już wygrali. Jolnir nie był pewien, co o tym myśleć, zwłaszcza że na pozór nic się nie zmieniło.

Lis wręcz drżała z gniewu. Jol widywał wcześniej Goth w takim stanie. Powiadano, że szczątki pechowców, którzy jej się narazili, potrzebowały półtora dnia, żeby wreszcie uderzyć o ziemię, kiedy nimi ciskała.

„A skoro już mowa o...”

Chłopak spojrział na swoją... znajomą. Sądząc po jej minie, wydawała się równie zdezorientowana. Jolnir rzadko zauważał, by była aż tak zszokowana. Zwyczajnie upajałby się tą chwilą, teraz jednak wiedział, że ma zadanie do wykonania.

– Rozdzielcie się – polecił Sien i Turowi. – W razie potrzeby osłaniajcie Elan.

– Twoja przyjaciółka nie wygląda, jakby potrzebowała pomocy – odparł Tur, jednak wykonał rozkaz.

Jol nie mógł odmówić siłaczowi racji, ale tak czy inaczej warto było się upewnić.

– Kim ona jest?

Słyszając te słowa z ust Goth, Jol poczuł ciarki i obejrzał się na Elan zmagającą się z demonessą. Uświadomił sobie nagle z pewnym niepokojem, że sam nie potrafi odpowiedzieć na to pytanie.

Ser'Lis patrzyła, jak pancierz ludzkich sił zbrojnych opada niczym znoszona suknia. Po części wciąż nie wierzyła w to, co widzi, przede wszystkim jednak zamierzała wykorzystać głupotę swojej przeciwniczki.

Bez względu na to, jakie mrzonki zrodziły się w głowie tej dziewczyny, taki dzieciak nie mógł się mierzyć z potężnym demonem pokroju Lis. Porzucając swoją ostatnią tarczę, wojowniczką przypieczętowała swój los.

Lis rzuciła się na nią jeszcze szybciej niż poprzednio. Zamierzała rozszarpać gardło smarkuli za zrujnowanie planów, nad którymi Pani Cytadeli pracowała przez kilka wieków.

Dziewczyna wyciągnęła jednak dłoń i zablokowała cios. Pozostała część energii nie przestawała płynąć w powietrzu. Potem wystarczyło tylko... szarpnąć.

Demonessa obróciła się i runęła jak długa na dach, a dziecko odwróciło się, by odejść jak gdyby nigdy nic. Gapiąc się w niebo, Ser'Lis zastanawiała się, co właściwie się wydarzyło.

– Co... – wycharczała – co z ciebie za jedna?

– Człowiek.

– Człowiek.

Elan nawet się nie odwróciła, wypowiadając to słowo. Demonessa nie stanowiła już dla niej żadnego zagrożenia, a wokół działo się wiele ciekawszych rzeczy.

Powietrze tętniło życiem, a z nim cały świat... Nawet sama Cytadela.

Być może „życie” nie było najtrafniejszym określeniem. To wszystko przekraczało jej pojęcie z czasów, zanim wiedza wchłonięta ze Skarbów osiadła w mózgu Elanthielle.

Dziewczyna podeszła do trójki towarzyszy, obrzucając pytającym spojrzeniem drugiego demona, który jeszcze pozostawał przy życiu.

Ser'Goth uniosła dłonie, aby pokazać, że schowała szpony, po czym pokręciła głową. Elan skinęła jej i zwróciła się do Jola.

– Już po wszystkim – powiedziała. – Musimy zejść na dół. Może uda nam się pomóc innym.

Jolnir, Sien'el i Turroch spojrzeli po sobie niepewnie. Jol przytaknął powoli.

– Nie zejdziemy tam tak szybko jak Kaleb, ale po schodach...

– Nie zdążymy – ucięła Elan, unosząc dłoń.

Jol ledwie zauważał ruchy jej palców, gdy dziewczyna wykonywała szereg skomplikowanych gestów. Na jej znak powietrze przed nią rozstało się, odsłaniając parter, na którym trwała bitwa.

Chłopak zawahał się. Zerkał to na walczących, to na Elan. Ona jednak tylko się uśmiechnęła.

– Nic wam nie grozi – zaręczyła. – Idźcie. Wkrótce do was dołączę.

Jol kiwnął głową, ściskając młot, bardziej dla pokrzepienia niż w gotowości do boju. Nie wahał się jednak i wkroczył w przejście.

– Tur, Sien – mówiła dalej Elan – bez was nie mogłoby nam się udać. Dziękuję.

Wojownicy wymienili nerwowe spojrzenia, ale skłonili się.

– Uratowałaś nas – powiedziała Sien. – I dokonałaś... tego wszystkiego, cokolwiek to było. Czy już naprawdę...

– Po wszystkim? Tak. Musiałam jednak za to zapłacić.

– Jaką cenę?

– Potworną. – Elan uśmiechnęła się ponuro. – Ale zostawmy to na później. Przydałaby nam się wasza pomoc na wyspie.

– Mój topór jest na twoje usługi – oznajmił Tur, po czym śmiało podszedł do portalu.

Sien nie wyglądała na szczęśliwą, ale przytaknęła.

– Moja włócznia też.

Sien i Tur przeszli przez niezwykle drzwi i od razu znaleźli się na parterze, gdzie pospieszyli z pomocą ocalałym obrońcom.

Elan natomiast zwróciła się ku demonom.

Lis ostrożnie podnosiła się z upadku, bacznie śledząc ruchy dziewczyny. Milczała jednak, a w jej oczach błyskał lęk. Elan zignorowała ją, skupiając się na drugiej demonessie.

– Co ty zrobiłaś? – zapytała Ser’Goth. Z jej głosu przebijała taka sama trwoga jak ze spojrzenia siostry.

– Kręgi zgubiły drogę do tego wszechświata – wyjaśniła Elan. – Zamknęłam drzwi... Ale to akurat było łatwe.

Goth wyglądała na zaniepokojoną, gdy rozważała te słowa.

– A co było trudne?

– Musiałam się upewnić, że pozostaną zamknięte. A teraz żegnaj i obyśmy się już więcej nie spotkały.

Elanthielle odwróciła się i weszła w portal. Ten zamknął się za nią, wciągając z sykiem powietrze i wyzwalaając nagromadzoną energię.

Ser’Goth wpatrywała się w pustkę w miejscu, gdzie zniknęła dziewczyna, zastanawiając się nad tym, co widziała.

Tworzenie portali nie było dla demonów szczególnie trudną sztuką, choć niewiele potworów tak naprawdę osiągnęło w niej mistrzostwo, ponieważ nie była im ona niezbędna. Demony rzadko podróżowały, a jeśli już, korzystały z innych sposobów.

Portal, który zobaczyła Goth, nie był jednak demonicznym wytworem. Był czystszy, prostszy i o wiele praktyczniejszy.

– Kim była ta suka? – zapytała Lis zbolalym głosem, stając w końcu na nogi.

– Nie wiem, ale chyba posłucham jej rady – odparła Goth, odwracając się. – Wiele można mi zarzucić, siostrze. Brak rozsądku, upór, szaleństwo... Ale na pewno nie jestem tak głupia, żeby ponownie wchodzić w drogę temu człowiekowi.

Skierowała się na tyły Cytadeli, oddalając się od odgłosów walk dochodzących z dołu.

– A ty dokąd? – zapytała Lis, ruszając za nią z głośnym tupotem. – Kręgi zażądamy za to naszych dusz! Nie zdołasz uciec!

– Uciec? – Goth obejrzała się przez ramię. – Niby dlaczego? Jeśli dziewczyna ma rację, nigdy więcej nie będę miała do czynienia z Kręgami. A jeśli się myli, i tak już jestem trupem. Zaryzykuję i uznam, że miała rację.

– Nie możesz tak po prostu odejść! – zaprotestowała Lis.

Uderzyła Goth szponiastą ręką. Dawna Pani Miasta odwróciła się i zauważyła desperację w oczach Pani Cytadeli.

– Siostro – zaczęła powoli – jeśli sądzisz, że we dwie mamy jakiegokolwiek szansę w walce z tą dziewczyną, to jesteś tak głupia, że aż cud, że jeszcze żyjesz. Nie wiem, co jej się stało, ale wolałabym teraz stanąć przeciwko całemu Edenowi niż przeciwko niej.

Lis wzdrygnęła się, jakby ktoś ją spoliczkował.

– Nie może być aż tak potężna!

– Posmakuj powietrza, siostro. Powiedz, co czujesz.

Ser'Lis początkowo nic z tego nie rozumiała, jednak gdy wykonała polecenie, wytrzeszczyła oczy w wyrazie nagłego olśnienia. Wciągnęła ustami odrobinę powietrza i poczuła, jak smaki nocy mieszają się z brudem jej podwładnych i pozostałościami po rytuale... Potem zauważyła jeszcze inny smak, który przenikał nie tylko powietrze, ale właściwie wszystko.

– Niebianie – westchnęła.

– Niezupełnie, siostrzyczko. To magia. Czysta, nieskażona przez Kręgi – odpowiedziała Goth. – Znamy skądś ten smak. Pamiętasz?

– O... O nie. – Lis zadrżała.

– Otóż to. Odchodzę – oznajmiła Goth, rozpościerając skrzydła. – Tobie radzę to samo.

Potem uniosła się nad dachem i pozostawiła siostrę, znikając w mroku nocy.

ROZDZIAŁ 36

OKOLICA CYTADELI

Brokkr i Sindri biegli do boju, oszołomieni nagłym zwrotem akcji. Zastęp żądnych zemsty ludzkich wojowników wychynął z osiedla, posyłając przed sobą grad strzał.

– Co to za ludzie? – zawołał Brokkr w biegu. – Nie są z wyspy.
Sindri potrząsnął głową.

– To pewnie niedobitki z tutejszego miasta!

Dla Brokkra brzmiało to sensownie, kiedy dostrzegł mizerny wygląd żołnierzy, choć i tak parę pytań pozostało bez odpowiedzi.

– Myślałem, że wszyscy uciekli – mruknął, gdy szereg wojowników przeszedł do ataku.

Brokkr nie przyznawał tego na głos, ale nie podejrzewał, by ludzie mieli w sobie dość odwagi, żeby zorganizować kontrofensywę. Nic zresztą dziwnego. Zostali pobici tyle razy, że trudno im było myśleć o zemście.

Przemoc stawała się rutyną, przynajmniej pozornie, jeśli człowiek miał z nią styczność wystarczająco długo. Zachowując odpowiednią równowagę, można było podtrzymywać ten stan praktycznie bez końca...

O ile coś nie zakłóciło równowagi.

„Atak” – Brokkr otworzył szeroko oczy i wyszczerzył się od ucha do ucha.

– Z czego się tak cieszysz, durniu? – dopytywał Sindri.

– Chodzi o atak, bracie. Demony straciły kontrolę – wyjaśnił Brokkr. – Przebudziły bestię!

Sindri prawie przystanął, gdy wszystko zrozumiał.

– Ano tak. Ma to sens. Ale dość zgadywanek, pora na walkę!

Brokkr przytaknął energicznie. Trzymał już miecz w gotowości i rzucił się na tyły wroga. Demony próbowały się odwrócić, by odeprzeć nieoczekiwany atak. Zewsząd, także z Cytadeli, dobiegały okrzyki bojowe. Atlantydzi z pewnością wykorzystali chwilową dekoncentrację nieprzyjaciela.

„To nasza najlepsza szansa” – pomyślał Brokkr, choć w głębi serca podejrzewał, że to za mało.

Wicekról wpadł w furię i był bliski apopleksji. Pospiesznie wysłał posłańców, by zreorganizować swoje siły.

Odpowiedź na nieoczekiwany atak wiele go kosztowała, ale to i tak nie mogło już zmienić biegu bitwy. Na każdego ludzkiego wojownika można było poświęcić dziesięciu żołnierzy szturmowych i mimo wszystko zwyciężyć bez większych problemów.

Władca wiedział jednak aż za dobrze, że jeśli nie rozmieści żołnierzy jak trzeba, szybko straci słabszych podkomendnych.

„Skąd w ogóle wylazło to robactwo?”

Kaleb nie miał pojęcia, skąd wzięły się posiłki, ale nie mogli wybrać lepszej chwili, nawet gdyby była to zaplanowana akcja.

No dobrze... Nie była to do końca prawda.

Chłopak poczuł przyływ melancholii na myśl o Simone. W tej sytuacji nie miał jednak prawa narzekać.

– Atlandydzi! Do mnie! – krzyknął, unosząc lśniący miecz. Zerwał się do biegu, zaciekle wymachując bronią. – Za Simone!

Odpowiedziały mu pełne gniewu okrzyki: „Za Atlantyde!” i „Za Simone!”, zagłuszające szcęk stali. Nawet ranni wstawali, by dołączyć do walki.

Kaleb włożył całą siłę w atak na tłum zdezorientowanych demonów. Połowa z nich zdążyła się jedynie odwrócić, zanim Atlandydzi uderzyli na nieprzyjaciela po raz ostatni. Demony cofały się pod naporem ludzi. Ziemię pokryło jeszcze więcej krwi, posoki i ciał.

Za pośrednictwem pancerza Kal otrzymywał od Merlina informacje, które wykorzystywał, by nakierować najbliższych żołnierzy do punktów zapalnych i jak najlepiej spożytkować nieoczekiwany kontratak mieszkańców osiedla. Podawane przez Merlina liczby były jednak przytłaczające, a szacunki co do

liczebności demonów wysysały z młodzieńca energię, którą napełnił go wcześniej gniew oraz niespodziewane wsparcie.

– Nadchodzą kolejne posiłki.

Kaleb zamrugał, gdy słowa Merlina rozbrzmiały w jego głowie.

– Skąd? – zapytał chłopak.

– Elanthielle wykonała zadanie. Inni też już do was idą.

Kaleb prawie jęknął, jednocześnie patrosząc najbliższego demona. Cofnął ostrze i pozwolił bestii upaść. Wolał nie myśleć o tym, że Elan wpakuje się w sam środek bitwy, bez szans na wygraną. Był pewien, że tak właśnie robi.

– Każ jej się wycofać – warknął. – Skoro już skończyła, możemy zarządzić odwrót do reduty!

– Zdjęła zbroję. Nie mam z nią łączności.

– Że jak?!

– Za tobą.

Kaleb cofnął się o krok, przepuszczając Bora i paru innych. Zaryzykował spojrzenie za siebie i oniemiał.

Jol pędził naprzód z roziskrzonym młotem. Uderzył na wroga niczym siłą żywiołu, wyzwalając pioruny, z którymi Kaleb wolałby nigdy nie mieć do czynienia. Chłopak skupił się jednak na tym, co zobaczył za plecami Jolnira.

Dwoje nowych wojowników, Sien i Tur, zeszło na parter Cytadeli... najwyraźniej prosto z dachu. Kal nie miał pojęcia, jak to możliwe. Na koniec zobaczył Elan, ubraną zaskakująco lekko i dzierzącą kij.

„Co ona znowu wymyśliła?”

Za sprawą Elan Kaleb zaczynał wątpić we własne zdolności. Gdy już wydawało mu się, że sprawił się całkiem nieźle, ona dokonywała rzeczy, które wcześniej zdawały się mu niemożliwe.

Oczywiście było to również coś, za co darzył ją uwielbieniem.

Elan zaczekała, aż portal zamknie się za nią, a jednocześnie obserwowała bitwę.

Chmara demonów najwyraźniej obrywała z dwóch stron. Dziewczyna pomyślała, że będzie potem musiała wyrazić uznanie

dla Simone za tak imponujące posunięcie. Teraz jednak musiała się skoncentrować na doprowadzeniu wszystkiego do końca.

– Elan – zawołał Kaleb. – Jeśli skończyłaś, musimy przerwać walkę i uciekać. Demonów jest za dużo!

Wojowniczka nie odpowiedziała od razu. Kroczyła przez hol Cytadeli, oceniając straty po walce, która trwała tam wcześniej, ale teraz przenosiła się na otwarty teren poza wieżą.

Ciała leżące na podłodze, w większości zastygłe w bezruchu, mówiły bardzo wiele o bitwie. Elan spochmurniała, myśląc o tym, ile poświęcili jej zwolennicy, by mogła wykonać zadanie na dachu. Kosztowało ich to więcej, niż ktokolwiek z żyjących mógł podejrzewać, ale Elan odniosła sukces.

„Pozostaje się przekonać, jak wielki sukces”.

– Kalebie. – Uśmiechnęła się do młodzieńca, który trwał przy jej boku od tak dawna. – Cieszę się, że jesteś cały.

Kal zmartwiał. Wyraz bólu na jego twarzy mówił wiele, choć nie wszystko. Wojownik zmusił się do uśmiechu, który nie objął jednak jego oczu.

– Dzięki – odparł. – Teraz musimy przejść do odwrotu. Tracimy zbyt wielu ludzi.

– Żadnego odwrotu. – Pokręciła głową.

– Ale...

– Kalebie... – Elanthielle dotknęła jego ramienia, przechodząc obok. – Nie trać wiary.

Młodzieniec patrzył za nią, gdy kroczyła pewnie przez pole bitwy. Po chwili podążył jej śladem.

Elan szukała czegoś... Sama nie była pewna czego, wiedziała jednak, że musi to gdzieś być.

– Jeżeli nie uciekamy, musimy pomóc – odezwał się Kaleb za jej plecami.

– To właśnie zamierzam zrobić – odparła, zgodnie z prawdą. Nie miała zamiaru rzucać się na oślep do walki, nawet uzbrojona w kij. Potrzebowała czegoś więcej.

W końcu wypatrzyła tego, kogo szukała. Wielkiego demona, stojącego daleko od pola walki i wydającego rozkazy, które gońcy mieli przekazać żołnierzom. To jego należało zabić w pierwszej kolejności. Pozostawało więc tylko jedno pytanie.

– Kalebie. – Obejrzała się za siebie. – Nadal masz kontakt z Merlinem?

– Tak... – Przytaknęła. – Jest na ciebie wściekły!

– Przyjęłam to do wiadomości – odpowiedziała z uśmiechem. – Zapytaj, czy ma dostęp do jakichś platform uzbrojenia dawnych ludzi.

Kaleb zaniemówił, ale i tak nie musiał zadawać tego pytania. Merlin wszystkiemu się przysłuchiwał.

– Powiedział, że ma, ale... żadne z nich nie są aktywne nad naszym obszarem? – relacjonował chłopak niepewnym tonem. – Co to oznacza?

Elan spojrzała w niebo.

– Wystarczy mi jedna. Nie musi być aktywna, ważne, żeby była naładowana. I żeby nie miała zbyt dużej mocy.

Kaleb był coraz bardziej dezorientowany, ale skinął głową.

– Merlin mówi, że jedna jest nad nami. Odpowiada na zapytania, ale na komendy już nie. Co... Ja nie...?

Elan wyciągnęła dłoń ku niebu i wypowiedziała coś, czego Kaleb nie był w stanie zrozumieć. Słowa, o ile tym właśnie były, przyprawiały go o ból głowy, a jednocześnie dodawały energii. Zanim doszedł do siebie, Elanthielle podjęła marsz przez pole bitwy, jak gdyby wolna od wszelkich zmartwień. Młodzieniec pospieszył za nią, gdy kilka demonów dostrzegło dziewczynę i postanowiło zaatakować.

Kaleb doskoczył do nich i od razu powalił mieczem pierwszego, który znalazł się za blisko. Elan zdążyła jednak zabić dwóch innych, machając kijem jakby od niechcienia. Jednemu demonowi pogruchotała szczękę, potem wykonała unik. Gdy drugi demon się potknął, wojowniczka połamala mu kości kilkoma dobrze wymierzonymi ciosami. Gdy z demona została jęcząca, bezwładna miazga, Elan ruszyła dalej.

Kaleb zauważył, że do niego i Elan dołączył Jol, a zaraz potem Tur i Sien. Zaczęli wyrąbywać drogę, zostawiając za sobą martwe i umierające demony. Atlantydzi szli za ich przykładem.

Marsz samotnej dziewczyny rozrósł się w formację bojową, wbijającą się klinem w szeregi nieprzyjaciela i spychającą demony na boki, jakby wojownicy w ogóle się nimi nie przejmowali.

Mimo to gdy parli naprzód, Kaleb zauważył, że demony zwierają szyki i otaczają Atlantydwów idących za Elan. Głos instynktu krzyczał, że dziewczyna prowadzi ich prosto w pułapkę, z której nie zdołają się wyrwać.

Elan, wyraźnie niezrażona, nie zwalniała kroku, dopóki nie dotarła do podnóża wzniesienia, na którym stał władca demonów.

– Czy ty w ogóle słuchasz... Na co się gapisz?! – ryknął wicekról. Zamierzał uderzyć gońca, któremu przekazywał rozkazy, jednak powstrzymał się, gdy zobaczył, co zwróciło uwagę słabszego demona.

W dole, parę kroków od nich, stał człowiek. Wpatrywał się w Serg'ina, niewzruszony toczącą się wokół brutalną walką.

Władca wbił wzrok w dziewczynę. Odczuł niepokój, gdy ta odwzajemniła spojrzenie z miną pełną... smutnego rozbawienia, jakby z jakichś powodów mu współczuła.

– Zabić ją! – warknął wicekról, zwracając się do jednego z egzekutorów, których wolał zatrzymać przy sobie.

Żołnierz prawie od razu zbiegł z rykiem po zboczu, napędzany tłumioną długo żądzą krwi. Do tej pory obserwował bitwę z daleka, więc teraz palił się do boju.

Serg patrzył na podwładnego z uśmiechem... Do chwili gdy doszło do kontaktu.

Gdyby mrugnął, przegapiłby wszystko.

Dziewczyna, która jeszcze niedawno była dzieckiem, nawet się nie ruszyła. Egzekutor zahamował i sięgnął szponami do jej gardła. Wicekról musiał się dobrze przyjrzeć, aby zrozumieć, co zaszło.

Z pleców żołnierza wystawał kawał czerwonozłotego metalu. Demon sam nadział się na broń, siłą rozpędu, a gdy kij cofnął się z cichym, metalicznym brzękiem, padł martwy u stóp człowieka.

Serg poczuł suchość w ustach. Nie przywykł do widoku ludzi dokonujących czegoś...

„Chwileczkę... Czy to rzeczywiście człowiek?”

Najbardziej krwiożercze demony, które przetrwały drogę przez niższe Kręgi i sięgnęły szczytów potęgi, przypominały bardziej ludzi

niż potwory. Często korzystały z tej przewagi, zwłaszcza w pierwszych latach inwazji, by przeniknąć w szeregi ludzi i poznać ich najsłabsze punkty.

„Czy jest... jedną z nas? Czy może jedną ze zdrajczyń?”

Nie sprawiała takiego wrażenia. Nie emanowała magią typową dla zdrajców. Zresztą, pomimo długowieczności, zdrajcy i tak wyglądali na starszych od tej dziewczyny. Szczytowe demony potrafiły jednak z łatwością zmieniać wygląd.

– Kim jesteś? – zapytał władca, zauważając z rozdrażnieniem, że jego głos skłonił demony do wstrzymania walki.

„Gdy to się skończy, oduczę ich słuchania instynktu” – obiecał sobie.

– Nie jestem nikim ważnym – odparła wojowniczką. – Przynoszę tylko wiadomość.

– Mów zatem.

– Plan Ser’Lis nie powiódł się – oznajmiła. – Wycofaj swoje siły lub giń!

Wicekról przez chwilę patrzył na nią w milczeniu, po czym wybuchnął śmiechem.

– Chyba oszalałaś, dzieciно! – parsknął. – To niemożliwe!

– A co konkretnie? – zapytała tonem, który przyprawił demona o ciarki.

– Wszystko, co powiedziałaś! – ryknął tak głośno, że powietrze się zakotłowało, a wiele demonów cofnęło się lękliwie. Nawet zaprawieni w boju ludzie musieli się powstrzymać, by nie wziąć nóg za pas i opanować drżenie.

Natomiast dziewczyna wydawała się niewzruszona tym pokazem subtelnej, ale skutecznej umiejętności demona.

Gdy uśmiechnęła się tylko i uniosła dłoń, Serg’in sam poczuł, jak przechodzi go dreszcz. Gotował się do walki, jednak zobaczył, że dziewczyna nie trzyma broni.

Skreśliła palce pod dziwnym kątem, a potem... przemówiła w języku, którego nigdy nie słyszał, ale który brzmiał złowroźnie, nawet jeśli nie rozumiało się słów. Następnie zacisnęła rękę w pięść i machnęła nią w dół z całej siły.

Wicekról stężał. Wiedział już, że to jakaś inwokacja.

Nic się jednak nie stało.

Prawie nic...

Dziewczyna znowu posłała mu uśmiech i obróciła się na pięcie.

Wicekról patrzył zszokowany na ten pokaz niefrasobliwości. Czuł wzbierający gniew.

– Ani się waż!!! – ryknął. Tym razem wzbudził niekontrolowany strach, tak u demonów, jak i ludzi. Niewielu żołnierzy po obu stronach zdołało choćby ustać na nogach.

Na dziewczynie nie zrobiło to żadnego wrażenia.

Szła przed siebie, po drodze dotykając swoich towarzyszy broni, by ich uspokoić i pokrzepić. Ludzie wydawali się tak samo zdezorientowani jak demon, a mimo to w milczeniu odwracali się i odchodzili.

Wicekról nie godził się na taką zniewagę. Napiął mięśnie, by wyrwać ciało z otępienia. Resztki człowieczeństwa ulotniły się, gdy wydał kolejny ryk i stanął na ośmiu kończynach, z których każda była tak gruba jak ludzki tułów. Rosnąc z każdą sekundą, ruszył po zboczu wzgórza.

Dziewczyna obróciła się. Serg'in ucieszył się, że zdołał rozwiać jej głupie mrzonki. Dobrze wiedział, że jest silniejszy niż ktokolwiek spośród istot, które go otaczały.

– Czeka cię śmierć, dzieciaku! A ponieważ mnie obraziłaś, dopilnuję, byś konała powoli – warknął nieludzkim głosem.

Ku jego konsternacji dziewczyna ledwie na niego spojrzała, bardziej zainteresowana czymś, co znajdowało się za nim.

– Na co tak patrzysz?

– Na zwiastun – odparła. – Zwiastun twojej śmierci!

– Co takiego?!

Serg'in zauważył, że wszyscy patrzą w tę samą stronę, zamiast podziwiać jego imponującą postać. Potem zdał sobie sprawę, że noc stała się dziwnie jasna. Rzucił cień, a to nie powinno być możliwe! Zbity z tropu, odwrócił się i spojrzał w górę. Wytrzeszczył oczy, widząc płomienie na niebie.

– Wszyscy padnij!!! – krzyknęła Elan, ściągając w dół kilku najbliższych stojących ludzi i wkładając w swój głos tyle siły, by zmusić,

czy przynajmniej zachęcić pozostałych, aby zrobili, jak kazała.

Sama wciąż stała. Sięgnęła do Wiedzy i szybko otoczyła prostą tarczą ludzi, a przy okazji także wiele demonów. Osłona nie wytrzymałaby nawet słabego ataku ze strony demona, jednak nie takie było jej przeznaczenie.

Broń kinetyczna trafiła w pozycję władcy demonów, kierując większość siły w górę lub prosto w ziemię. Spora jej część eksplodowała we wszystkich kierunkach, zabijając wszystkich w promieniu kilometra.

Wszystkich, poza tymi, których chroniła magia Elan.

Siła uderzenia jedynie omiotła ich z każdej strony. Potężny demon tymczasem zniknął w płomieniach i popiele.

Gdy fala uderzeniowa już przeszła, ocalali ludzie i demony rozdzielili się, wodząc nierozumiejącym wzrokiem po pobojuwisku.

Elan wraz z czwórką przyjaciół stała pośrodku grupy ludzi, powoli oswajając się z myślą, że przeżyli.

I chyba nawet... zwyciężyli?

EPILOG

AVALON

Merlin obserwował, jak ostatni ludzie przechodzą przez system transportowy położony najbliżej Atlantydy. Czekał na przybycie jednej, konkretnej osoby, która nie miała udać się prosto na wyspę. Elan nalegała jednak, by przetransportować wszystkich w bezpieczne miejsce, zanim sama opuści strefę zagrożenia.

Prawdę mówiąc, Merlin nie był pewien, o jak wielkim zagrożeniu mowa.

Sytuacja uległa nieodwracalnej zmianie w sposób, którego nie potrafił ująć w liczby.

Obecnie miał ograniczony dostęp do dawnej infrastruktury. W większości była zepsuta, pogrzebana pod ziemią lub bezużyteczna z innych powodów. Merlin nadal miał łączność z wieloma satelitami osadzonymi na niebie, choć zdążył już wyliczyć, kiedy ostatni z nich wróci do atmosfery, by tam spłonąć. Licząc według określonej skali, nie minie wiele czasu, zanim byt zupełnie oślepie.

Teraz jednak na jego oczach dokonywały się ogólnoświatowe przemiany.

Demony niejako pogubiły się, z braku lepszego określenia. Uciekły z twierdz i uległy rozproszeniu. Niektóre ponoć targnęły się na życie własne lub swoich pobratymców, urządzając istną rzeź.

Merlin nie potrafił tego wyjaśnić, a jedyna osoba, która coś o tym wiedziała, jak na złość porzuciła broję i urządzenie komunikacyjne, wbrew jego radom.

We własnych systemach byt wyczuwał obecność Nimue. Czuwała z tych samych powodów co on, gdy system transportowy brzęczał od energii. Ciśnienie powietrza zmieniło się na chwilę, gdy na miejscu zjawiała się piątka młodych ludzi.

– Witamy z powrotem na Avalonie. – Merlin skłonił się wszystkim, po czym zwrócił się do Elan: – Mamy sporo do omówienia...

– Wiem, ale teraz jestem zmęczona – odparła dziewczyna. Wyglądała, jakby po narkotycznej euforii wreszcie dopadło ją wyczerpanie.

„Zapewne właśnie tak jest” – pomyślał Merlin, wiedząc, co robiła wcześniej.

– Może chociaż podstawowe fakty?

Skinęła głową, przechodząc z komory transportowej do wewnętrznych pomieszczeń, gdzie mogła usiąść. Merlin i pozostali poszli za nią, w milczeniu wymieniając spojrzenia tylko po to, aby upewnić się, że nikt tak naprawdę nie ma pojęcia, co się stało.

Był czuł się lepiej ze świadomością, że nie tylko jego dręczy to niecodzienne uczucie.

Elan opadła ciężko na stary fotel biurowy, który zaskrzypiał pod jej ciężarem.

– Podstawowe fakty? – powtórzyła w próżnię, wpatrzona w sufit. – Nie wiem... Rzuciłam zakęcie? Osłoniłam ten wszechświat, a może tylko ten świat... Prawdopodobnie to drugie, ale nie jestem pewna.

– Jak? – zapytała Nimue. Zjawiała się znikąd i wyglądała na niewiarygodnie zakłopotaną.

– Fala wzbudzona przez demony miała zniszczyć barierę między naszymi światami – wyjaśniła Elan. – Mogłam ją po prostu... zneutralizować.

– Owszem, taki był plan – powiedziała Nimue karcąco. – Lecz ty tego nie zrobiłaś!

– Zrobiłam – zapewniła dziewczyna. – Ale na tym nie koniec. Demony dały nam mapę do miejsca, skąd przyszły, i wykorzystały własną energię, aby wytyczyć szlak. Nie mogłam tego zmarnować. Dlatego, zgodnie z planem, unieszkodliwiłam falę, a potem odwróciłam jej cel i powiązałam ją z magią demonów. Dopóki pozostanie na miejscu, będzie wzmacniać granicę i chronić ludzi.

Nimue zmarszczyła czoło. Pozostali wyglądali na bardziej zadowolonych.

– Czyli koniec z demonami? – Kaleb uśmiechnął się szeroko.

– Niezupełnie. Wciąż tu są, ale kolejnym trudno będzie dotrzeć. A te, które zostały, będą musiały się namęczyć, jeśli spróbują zaatakować ludzi.

– To jakiś cud – stwierdziła Sien’el, dogłębnie oszołomiona.

- Cuda mają wszak swoją cenę – przypomniał Merlin cicho.
- Racja... – Elan wykrzywiła wargi w uśmiechu.
- Jaka była cena? – dopytywała Nimue. – Co poświęciłaś?

Inteligencja od dawna badała takie sprawy i nawet nie potrafiła sobie wyobrazić, ile kosztowało to Elan, zwłaszcza że dziewczyna siedziała teraz przed nimi, cała i chyba zdrowa. Nawet jej życie mogłoby nie wystarczyć. Nimue wąpiła, by ofiarowanie własnej duszy pozwoliło osiągnąć to, o czym mówiła Elanthielle.

Przez chwilę trwała zupełna cisza. Elan wpatrzyła się w ścianę.

- Wiedzę – powiedziała zdawkowo.
- Wiedzę? – zapytał Kaleb. – Nie rozumiem.
- Merlinie, ilu ludzi zostało? – Elan zwróciła się do gospodarza Avalonu, zamiast odpowiedzieć na pytanie.

– Trudno powiedzieć – przyznał widmowy starzec po namyśle. – Na całej planecie niewielu. Największe skupisko jest tutaj, na Atlantydzie. Licząc nowych rekrutów, których sprowadziłaś, a także poniesione straty, powiedziałbym, że na wyspie jest was nie więcej niż dwanaście tysięcy, a na świecie niecałe dwadzieścia tysięcy. To wystarczy, by wasz gatunek przetrwał, jeśli zachowamy ostrożność... Pojawią się jednak problemy natury genetycznej, z którymi nie musieli się borykać wasi przodkowie.

Elan przytaknęła z roztargnieniem.

– Większość rodzaju ludzkiego mieszka tutaj. Ci ludzie widzieli we mnie swoją przywódczynię. Właśnie dzięki temu mogłam... dobić targu ze wszechświatem, jako przedstawicielka ludzkości. Musiałam jednak zapłacić za to, czego chciałam, i jedyną rozsądną ofiarą była wiedza.

- Nie rozumiem – powiedział Merlin. – Jaka wiedza?
- O istnieniu demonów – odparła Elan beznamietnie. – I magii.

Zebrani rozejrzeli się ze zdziwieniem.

– Ale przecież... one istnieją – powiedział Kaleb. – Wszyscy o tym wiemy. Nie powinniśmy czasem o nich zapomnieć, skoro poświęciłaś tę wiedzę?

– To nie działa w ten sposób. – Nimue potrząsnęła głową. – Nawet przywódca ludzkości nie mógłby dokonać takiego zamachu na ludzkie umysły.

– To prawda. – Elan uśmiechnęła się smutno. – My nie mamy ochrony. Niewielu teraz ją ma. Zasłona chroni jedynie nieświadomych... To, o czym nie wiemy, nie może wyrządzić nam krzywdy... Ale jeśli spojrzymy w otchłań, to wszystko będzie tam czyhać i spoglądać na nas. Wiemy o magii i demonach, więc one nadal nas widzą. Nas i większość Atlantydy.

– A zatem tak naprawdę niczego nie poświęciłaś. – Kaleb wzruszył ramionami, wciąż szczerząc zęby. – Znalazłaś sposób, żeby wykiwać magię!

– Magii nie da się „wykiwać”! – zaperzyła się Nimue. – Magia jest wszędzie. Nie można oszukać czegoś, co zna twoje najskrytsze myśli. Dziecko, co uczyniłaś?

– Jeśli nie opowiemy o tym dzieciom, nie będą mieć pojęcia, że demony istnieją. Będą stale chronione, a Zasłona przetrwa, umocniona tą ofiarą – wyjaśniła Elan. – Jeśli jednak przekażemy tę wiedzę, potwory ruszą na polowanie, a Zasłona w końcu opadnie.

– Chwila... – Jolnir zmarszczył brwi. – Jeżeli nie powiemy nikomu o demonach, ludzie nie zdołają się obronić, gdyby Kręgi znalazły sposób, żeby obejść tę całą Zasłonę.

– Wiem. Jeśli jednak przekażemy wiedzę, a Zasłona zostanie zniszczona, całą ludzkość czeka zguba. Z ostatniej bitwy wyszliśmy zwycięsko, ale nie moglibyśmy tego powtórzyć. – Spuściła wzrok. – Aby ocalić nas wszystkich, przypieczętowałam los naszych potomków... – Podniosła głowę. – Ale wiecie co? – Spojrzała na przyjaciół z zaciętą miną. – Gdybym miała zrobić to powtórnie, nie wahałabym się ani chwili!

KONIEC TOMU TRZECIEGO

SPIS TREŚCI

Strona tytułowa
Strona redakcyjna
Prolog
Rozdział 1
Rozdział 2
Rozdział 3
Rozdział 4
Rozdział 5
Rozdział 6
Rozdział 7
Rozdział 8
Rozdział 9
Rozdział 10
Rozdział 11
Rozdział 12
Rozdział 13
Rozdział 14
Rozdział 15
Rozdział 16
Rozdział 17
Rozdział 18
Rozdział 19
Rozdział 20
Rozdział 21
Rozdział 22
Rozdział 23
Rozdział 24
Rozdział 25
Rozdział 26
Rozdział 27
Rozdział 28
Rozdział 29
Rozdział 30

Rozdział 31
Rozdział 32
Rozdział 33
Rozdział 34
Rozdział 35
Rozdział 36
Epilog

[1] Cytat z wiersza „Wydrążeni ludzie” (ang. „The Hollow Men”) T.S. Eliota w przekładzie Czesława Miłosza (przyp. tłum.).